P. 2350-2

TWÓRCZOŚĆ

U. I. C. C.
APR 24 1978
LIBRARY

3

MARZEC

ROK XI 1955

NOTICE

THIS VOLUME IS INCOMPLETE

THE FOLLOWING ISSUES ARE NOT AVAILABLE:
no. [redacted] 1-2, 4-7, 10, 12 1955

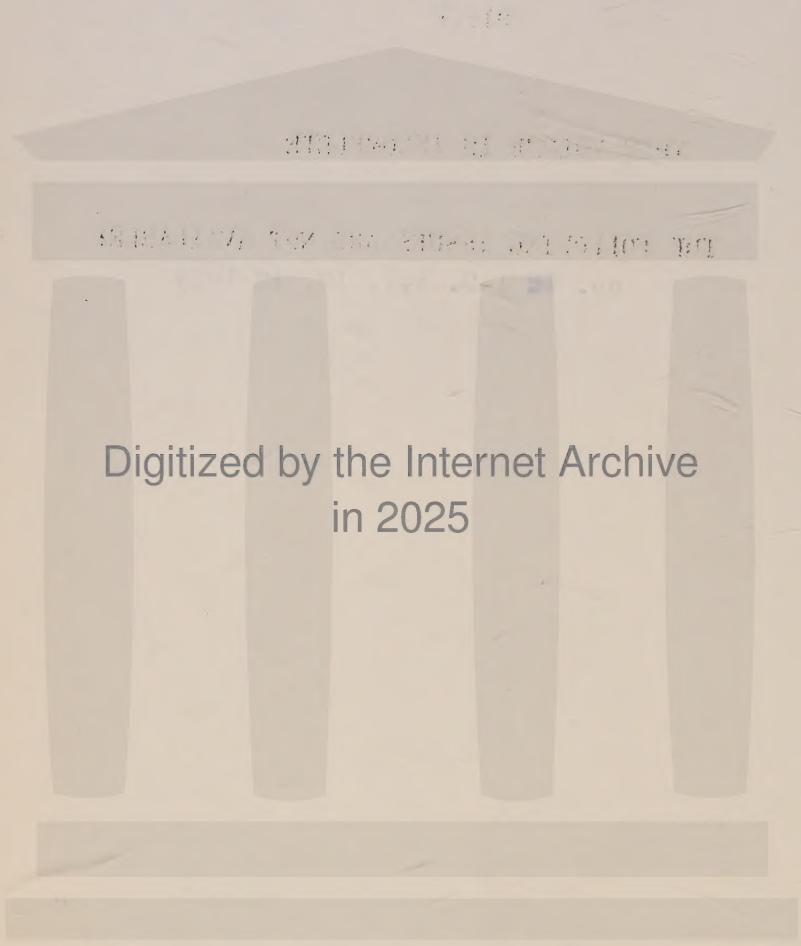

Digitized by the Internet Archive
in 2025

https://archive.org/details/tworczosc_1955_11_3

TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK

ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

ROK XI ZESZYT 3

WARSZAWA, MARZEC 1955 ROK

Zakłady Graficzne Dom Słowa Polskiego, Warszawa
Zamówienie 614/c z dnia 2.2.55 r. Nakład 4.925.
Drnk ukończono w marca 1955 r. B-6-297

KRAJOBRAZ Z LAT DZIECINNYCH

Ta sama furtka rękami obiema,
Nie, biciem szalonego serca pchnięta.
I dzisiaj wiem już, że za nią nic nie ma,
Lecz wiedząc, głębiej niźli wiem, pamiętam.

Ta sama cisza koroną stulistną
Kołysze się po przejściu niewidzialnym,
I głazy polne, żmij białe siedlisko,
Tchną jadem lata, oddechem upalnym.

Ta sama chwiejna dziewanna, ten rączy
Obłok, gdy pod nim przepływa dolina,
Ten dźwięk, co mnie ze sobą dawnym łączy.
Ja nie powtarzam nic, ja przypominam.

Sad przypominam, furtkę, kwiat dziewanny,
I głazy, i korzeni żmijowisko,
Co w dniu upalnym jak w inspekcie szklannym
Wre czarnym jadem, gdy podejdziesz blisko.

WOŹNICA

„Daleko pojedziesz,
Daleko zajedziesz"...
Wróżyła mi z dłoni dziecinnej Cyganka.
Gościniec zamykał się w mgłach koczowniczych.
Jechaliśmy. Naszym jedynym pojazdem
Był wóz, drabiniasta furmanka.
I świstał mój z piasku skręcony biczyk.
Woźnicą był młody, łagodny Jan Zoń,
(Ja nazwisk i imion w mych wierszach nie zmieniam)
Po dyszla lewicy biegł kary koń,
Po prawej grzywiasty kasztan.
Świeżymi skibami jeżyła się ziemia.

W zanadrzu pamięci chowałem te lata,
Do obcych i słodkich jak wiśnie miast
Woziłem. Już po nas tam ślady kurz zatarł
I z wodą wiślaną spłynęła łódź czasu,
To hetta sterując, to wiśta...
Do drzwi zniknionego za chmurą lat domu

Przybita po karym podkowa złocista,
Pod ziemię się zapadł koń-kasztan,
Skrzesawszy ostatnią z gwiazd.
A my, dobry Janie, na wiązce ze słomy
Jechaliśmy w słońcu, by wysiąść tam, aż tam...
Gdzie brzęczy powietrze od pszczół Czarnolasu.

WIECZÓR W OGRODZIE

Słowik w liściach oślepnął z miłości,
Ale światłem dźwięku mrok przebija
Jego pieśń już niczyja, niczyja...
Słucham jej w gęstniejącej ciemności,
Tu, gdzie mur zwieszonych winorośli.
Przeszli obok mnie, ogrodem poszli.
Nie oglądam się za siebie, mijam
Wśród zbliżonych nagle wysokości.

SPOKÓJ

Ciasno stłoczone owoce — i światło
Późnej jesieni na wędrownych niciach.
Węzły splątane na śmierć, linie życia
Jakże się dzisiaj rozwiązują łatwo!
Wszystko, com przeżył, wszystko, com przecierpiał
Dziś się wydaje łatwe do przebycia —
Jakbym ze źródła wielkiej rzeki czerpał
Małą szklanką wodę do picia.

SEN

Usnąłem w skwar pod drzewem,
Skłębionym od owoców.
Zbudziłem się pod drzewem
W gwiaździstym środku nocy.
Widziałem we śnie kraj
W ziemi i wód żywiole,
Widziałem we śnie kraj,
O którym milczeć wolę.

CZŁOWIEK

Widziałem człowieka;
Mordowanego przez aniołów,
Torturowanego pytaniami,
Obrzmiałego od zduszonego krzyku,
Żywego trupa,
Ofiarę moralności.

I nie mogłem mu pomóc,
Gdyż zasługiwał już tylko na litość, wygnaną.
I musiałem go dobić,
Wraz z aniołami
Depcząc, rozrywając, ćwiartując
Jego liche serce,
Jego ludzkie — mimo wszystko — serce.

PRZYJACIELE

Odchodzą. Czy na zawsze obojętnieją?
Otwierają puste serca przyjaciele.
Niewdzięczny! przypatrz się swoim dziejom.
Tak wiele. Tak niewiele.

Nawet zmarli, okryci podwójną żałobą
W nieprzezroczystej głębi twego czasu,
Choć drzwi zamknęli za sobą,
Żyją w tobie jak echo wśród ciemnego lasu.

Na każdej chwili twojej obecność człowieka.
Wspomnienie odnajduje tajne tropy.
Jeden — łzami zawisnął na twoich powiekach,
Drugi — na sercu zostawił ślad stopy.

POD WIECZÓR

Pod wieczór w lesie serca słyszę
Wśród gwaru głosów róg myśliwski
I głową się przechylam w ciszę
W małej izdebce na Iwickiej.

Słyszę, już stąpa noc na palcach.
Nie mnie roztkliwiać się jej pięknem:
Nie tańczę w wierszach polki, walca,
W kamieniu ryję twarde dźwięki.

Niewiele z marzeń mych namiętnych
Zostało: zeschłe liście klonu,
Bez odpowiedzi list, pamiętnik
Lotem jaskółek przekreślony.

Słyszę dźwięk rogów, chrzęst gałęzi,
Psów ujadanie, stuk o drewno —
I ja, własnego serca więzień,
Co czynię tu z mą nutą rzewną?

To sprawa moja: nasłuchiwać
Niemilknącego chóru świata,
Póki wśród gruzów i igliwia
Śladu stóp naszych śnieg nie zatarł,

Dopóki nie jest dla nas niemy
Tych zdarzeń gwar i sąd nasz nad nim,
Póki myślimy i pragniemy —
Tragiczni, drwiący i — zabawni.

PIEŚŃ ZIMOWA

Wrony wśród zwalonych pni,
Czarny łopot i krakanie.
Brylant w dziobie kruka lśni.
A to księżyc schodzi z nieb,
Śpiewa ogień, pachnie chleb.
Noc truchleje przed świtaniem.

Gwiazda spośród wszystkich gwiazd
Najgorętsza blask rozsiewa.
Niczym dla niej ziemski czas.
Była bieda, mór i głód.
Śnieg jaśnieje, błyszczy lód,
W haftach szronu stoją drzewa.

Od powietrza, ognia, wojny...
Człowiek wraca dobrą ścieżką
Pod dach śnieżny, w dom spokojny.

Śpiewa ogień, pachnie chleb,
Słodko dzwoni dziecka śmiech.
Było zło, przed świtem pierzchło.

Ogień dobry jest i zły,
Dwa znaczenia ma powietrze,
I ze szczęścia płyną łzy,
I dwuznaczne bywa szczęście.
Śpiewa ogień, pachnie chleb,
Dzwoni słodko dziecka śmiech.

Mieczysław Jastrun

PIEŚNI JESIENNE I ZIMOWE

*
* *

Czy ty jesteś szczęśliwa,
o przyjaciółko moja?
Jesień u ciebie bywa,
Kopciuszek na pokojach.
Przebiera popiół biały,
aż palce jej sczerniały.

Czy ty jesteś szczęśliwa,
o moja przyjaciółko?
Jabłoń, grusza i śliwa
los wróżą ci z kukułką.
A ona lata krótkie
odlicza ci ze smutkiem.

Czy ty jesteś szczęśliwa,
o przyjaciółko moja?
Niemądra, niecierpliwa
dłoń twoja owoc zrywa.
Sad pachnie na pokojach,
o przyjaciółko moja!

Pusto za oknem. Biało.
Zimy ci się zachciało.
Przykładasz szklane śniegi
do rozpalonej skroni,
Syberie i Onegi
z niedbałej lecą dłoni.

Czy ty jesteś szczęśliwa?
Już noc od mrozu siwa.
Już się i mgły nie włóczą.
Już ptaki piór nie płuczą.
W lodowatym jeziorze
różowe płoną zorze.

Teraz jesteś szczęśliwa,
o przyjaciółko siwa!
Czas kończy się, ucieka.
Mało go dla człowieka.

Rozsądna i cierpliwa,
owoców już nie zrywasz.
Czekasz, aż same spadną
na zimę. Na śmierć. Na dno.

*
* *

Niewiele po mnie tu zostanie
i nawet krótki szloch kobiecy
nie zerwie ciszy, cień na ścianie
zniknie, gdy zgaśnie płomień świecy.

Nie z rodakami, lecz sam z sobą
od lat rozmowę nocną wiodę.
Pomiędzy krzywdą i żałobą
wciąż szumią tamte wiersze młode.

Ach, nie Romanse i Ballady,
misterne Telimeny siatki!
Nocą otwieram księgę, blady,
i czytam groźny wiersz: Do Matki...

On w samo serce moje sięga
i dławi krtań. Cóż mogę ja?
Jak wolność sama jest ta księga
i jak nad wczesnym grobem łza.

*
* *

Sam jeden w głębi nocy
biedzę się, troskam, myślę.
Jak gdyby wzywał pomocy,
gwiżdże stateczek na Wiśle.

Tu wszystko zwykłe. Dwie szyby
jak oczy wlepione ze świata.
Ja wiem: ta noc jest na niby,
tak patrzy starucha garbata.

Cudzy dom. Cudza noc. Moja sprawa.
W biedzie, w trosce myśli nie zmienię.
Milczy śpiąca Warszawa.
Gada moje sumienie.

*
* *

Zostało może kilka lat,
miesięcy, dni, a nawet godzin.
Ale trwać będzie kraj i świat
dla nowych śmierci i narodzin.

W nieczułej zimie śnię mój sen,
że pryska lód, co ziemię dławi,
na północ mknie rogaty ren,
z południa ciągnie klucz żurawi.

I tak się splata w słodki dźwięk
dwóch warg zetknięcie i dwóch dłoni,
że mija żal i ból, i lęk,
i drzewo znowu liście trwoni.

*
* *

Najsmutniejsza — jesień,
najmądrzejsza — zima.
Wtedy nocy strzeż się,
zbyt długo straż trzyma.

Chodzi za oknami,
jak więzienna warta,
potrząsa kluczami,
surowa, uparta.

W ciemności i ciszy
przypominam lata,
twarze towarzyszy
i gorzki smak świata.

Chłodno. Świt. Z firanki
wieje noc przepadła.
Odjeżdżają sanki,
grzechoczą brzękadła.

*
* *

Czym dla muzyki dźwięk i barwa dla obrazu,
tym dla poezji głos swobodny, czysty, strojny,
co przez stulecia trwa, jak ziemia, wody, lazur,
w spokojny daje czas oręż dla przyszłej wojny.

Kiedy nieczuła noc spada na białe szrony,
gdy pryska siny lód z czarnych gałęzi brzozy,
mój cudzoziemcze, w nasz krajobraz zasmucony
ze stopni wierszy zejdź, jak na niziny prozy.

I co zrozumiesz tu, gdzie rzeka lodem skuta
głębokim nurtem drga i toczy swoje wody?
Za opłotkami wsi wilczyca psami szczuta
bliźniętom daje pierś, aby Rzym powstał młody.

Ja nie doczekam dnia, pewno mnie zmrozi zima,
serce przestanie bić z goryczy, troski, nudy,
lecz gasnącymi chcę ujrzeć ten dzień oczyma,
gdy czysty, wolny głos usłyszą wszystkie ludy.

Paweł Hertz

DZIEWCZYNA I GOŁĘBIE

Inżynier S. po wojnie osiedlił się w Komorowie koło Pruszkowa, gdzie miał maleńki domek, i oprócz zajęć zawodowych poświęcił się całkowicie wychowaniu swojego najmłodszego syna. Edward był nieco zaniedbany przez ojca, ale teraz, po stracie żony i dwóch córek, uczucia inżyniera dla syna znacznie się wzmogły i można nawet powiedzieć — nabrały cech monomanii. Wprawdzie istniał jeszcze najstarszy, Staś, ale ten usamodzielnił się od dawna, w czasie wojny znalazł się we Lwowie, a potem przyszedł z Pierwszą Armią, jako jeden ze śpiewaków kwartetu Teatru Wojska Polskiego, następnie śpiewał w chórze Eriana jako tenor, potem zaś został solistą, piosenkarzem, i mieszkał to we Wrocławiu, to znowu latem w Zakopanem lub w Karpaczu, o ile nie występował w objazdach Artosu na Wybrzeżu i gdzie indziej.

Domek inżyniera składał się z dwóch pokoi i kuchni na dole oraz z dużego pokoju wbudowanego w wysoki dach. Dach ten widać z daleka, gdy się jedzie kolejką. Ten pokój „strychowy" zajmował właśnie Edek. Opóźniony w nauce wskutek perypetii wojennych i powstaniowych, mimo ukończonych osiemnastu lat uczęszczał do dziesiątej klasy zawodowej szkoły plastycznej przy ulicy Noakowskiego w Warszawie. Rysował wcale nieźle, choć bez zapału, i ojciec niepokoił się, że obrał dla syna fach nie bardzo mu odpowiadający. Chociaż sam Edek nie skarżył się i nawet się odgrażał, że będzie znakomitym dekoratorem teatralnym, ale na razie objawiał mało zapału do swego przyszłego zajęcia. Zresztą ze szkoły przynosił z rysunków odręcznych i technicznych same piątki, sumienie więc inżyniera uspokajało się stopniowo.

Mieszkanie inżyniera było małe, ale ładne. W kuchni i przyległym pokoiku panowała niepodzielnie stara „Kołdusia", tak nazywana dla znakomitego przyrządzania ulubionej potrawy inżyniera.

W drugim pokoju mieściła się pracownia inżyniera (co domek zwalniało od kwaterunku), sypialnia i jadalnia. Tam ojciec i syn spędzali czas wieczorami. Jeżeli nie gościło w tym mieszkaniu szczęście, to niewątpliwie było w nim bardzo spokojnie. Ojciec i syn spotykali się dopiero przy kolacji, gdyż z rana wyjeżdżali o różnych porach i cała treść, cała istota ich życia koncentrowała się w godzinach po wieczerzy. kiedy rozmawiali, pracowali, od czasu do czasu przypominali matkę lub wspólnie czytali lekkomyślne listy Stasia. Imiona sióstr nie padały nigdy w ich rozmowie.

Domek komorowski istniał również przed wojną, ocalało więc w nim trochę książek i pamiątek. Ale dziecinne fotografie Krystyny i Marii znikły po ich śmierci ze ścian pracowni. Edek nie zdradzał zbyt dużych zainteresowań intelektualnych, ale potulnie czytywał z ojcem niektórych klasyków, co go czasami potężnie nudziło.

Kiedy inżynier, wysławszy Edka na górę, zostawał sam w swoim pokoju, trudno mu było streścić i zsumować wszystko to, o czym mówili, rozmowy ich nie miały określonych kształtów, podobne raczej do monologów inżyniera, gdyż Edward był bardzo małomówny z natury. Wszystkie jego pytania i powiedzenia ojciec powtarzał sobie długo w noc, doszukując się w nich jakiejś treści. Pytania jednak i uwagi chłopca były zupełnie zwyczajne.

Powoli jednak inżynier spostrzegł, że niejasno i w sposób zupełnie niesprecyzowany, w znacznej, o ile tak można określić, odległości, krążyły one wokoło czy też zdążały do jednego tematu. Tematem tym była kobieta.

Oczywiście aluzje były dyskretne. Edek być może sam sobie nie zdawał sprawy, że powracał do rozmów o sąsiadkach, o koleżankach. Zajmowały go kwestie ich urody, powierzchowności. Czy Helcia ma ładniejsze włosy od Marysi, czy Ani oczy są niebieskie, czy szafirowe? Inżynier starał się, nie pokazując tego po sobie, skierować myśli syna na inne przedmioty. Mówił o malarstwie, rysunkach, o sprawach technicznych, o swojej pracy przy odbudowie Warszawy, o nowych systemach murowania. Edek znowu po chwili zaczynał o Basi, która mieszkała w sąsiedniej willi. Była to hoża, wysmukła dziewczyna i sam inżynier zwrócił uwagę na jej radosną, wiosenną urodę. Ale teraz znowu zmienił temat rozmowy. Taktyka ta miała swoje powody.

Inżynier bał się erotyzmu. Uważał go za element, który niszczy ludzkie życia. A przede wszystkim pozbawia go dzieci. Staś zdecydował się na swoją wędrowną karierę pod wpływem jakiejś dziewczyny. Ale nie to było najpoważniejszą tragedią w życiu inżyniera. Miał jeszcze dwie córki — pomiędzy Stasiem a Edkiem. Jedna z nich zginęła w powstaniu warszawskim. Znalazła się w AK nie ze względów ideowych. Wciągnął ją do tej organizacji kolega, w którym się ślepo zakochała. Nie widziała ani jego głupoty, ani arogancji, ani lekkomyślności, z którą traktował sprawy polityczne i życiowe. Jego prawdziwie szlacheckie „jakoś to będzie" udzieliło się Krystynie. Ojciec miał z nią dwie poważne rozmowy. Krystyna wysłuchała ojca w obu wypadkach z pokorą i zrozumieniem, przyznała mu rację, ale na jedno skinienie Krzysztofa poszła za nim ślepo i z tępym uporem, z martwym wyrazem twarzy,

z oczami zaciągniętymi mgłą, jaką inżynier widywał u podnieconych zwierząt. Zginęli razem — w dość głupi sposób — bo zlekceważyli sobie „gołębiarza" strzelającego z dachu na Placu Teatralnym, a „gołębiarz" ich sprzątnął dubletem jak parę dzikich kaczek. Druga córka, Marysia, poszła także za jakimś fircykiem. Chłopak ten, również niewielkiej wartości, dostał się w łapy gestapo przy obławie na handlarzy brylantami, przebył pół roku w Gusen i po wejściu Amerykanów skierował się na Zachód. Marysia, otrzymawszy od niego wiadomość z Nadrenii, przekradła się do niego przez zieloną granicę. Po paru miesiącach inżynier S. otrzymał w Komorowie wiadomość, że córka jego zginęła w Bonn, przejechana na ulicy przez rozpasany jeep z amerykańskimi żołnierzami. Ona również przed ucieczką miała parę rozmów z ojcem i tak samo jak jej siostra zgadzała się ze wszystkimi jego argumentami. Tak samo też zauważył na jej twarzy ów tępy, zacięty wyraz, kiedy w wigilię wyjazdu przyłapał ją zawiązującą węzełek bielizny i pakującą go do przygotowanego zawczasu plecaka. Lękał się teraz tego wyrazu jak ognia, a przede wszystkim nie chciał go spostrzec na twarzy jedynego dziecka, jakie mu zostało.

Edek oczywiście nie orientował się w uczuciach ojca i w konsekwentnym posuwaniu rozmów o dziewczynkach krępowało go wobec ojca zwykłe uczucie wstydliwości, które tak silnie działa zawsze wobec rodziców. Natomiast mógł się wygadać na te tematy, które mu tkwiły głęboko w mózgu, z „przyjacielem" swym, Włodkiem, mieszkającym obok niego, w tej samej willi, co Basia.

Włodek był starszy o parę lat od Edka.

Różnica wieku byłaby nawet nieduża, ale Włodzio nadawał sobie wobec przyjaciela tony doświadczonego i praktycznego znawcy kobiet. Edek patrzył w niego jak w tęczę i każde jego słowo przyjmował jak wyrocznię. Włodek z racji wspólnego mieszkania w jednym domu z Basią uważał za stosowne mówić o tej dziewczynie z pewnością siebie i nader cynicznie. Edzia takie traktowanie Basi oburzało w głębi serca, żywił on do niej pewnego rodzaju nabożeństwo, ale nie śmiał sprzeciwiać się starszemu, pewnemu siebie koledze.

— Wisz, bracie, ona by już dawno do mnie przyszła — powiadał Włodek — żebym tylko chciał. Ale ja nie lubię kramu z kobitami!

Edziowi bardzo się nie podobał ten ton Włodka, właściwie w każdym zdaniu czaiły się tu nieprzyjemne niedomówienia. Co oznaczało słowo „przyszła"? Co to za „kram" miałby Włodek z kobitami? I z jakimi to kobietami?

Wolał już powiedzenia całkiem cyniczne, ale określone. Wtajemni-

czały go one w „życie". Na przykład, Włodek wyłożył mu, że jest lepiej, kiedy kobieta jest szeroka w biodrach, gdyż wtedy jest wygodniej „przy stosunku", jest się o co oprzeć. Słowo „stosunek" Włodek wymawiał z lubością, nieco sepleniąc przy literach „s". Prześladowało ono Edka przez długie wieczory, słyszał je wymawiane ze smakiem i lubieżnością. I żadna kobieta, nawet najstarsza, nie mogła go minąć na ulicy, aby nie skonstatował, jakie ma biodra. W kolejce przypatrywał się ich piersiom.

Oczywiście te zainteresowania nie mogły się nie odbić na nauce szkolnej. Edek coraz mniej przejmował się zadaniami matematycznymi, językiem rosyjskim, nawet rysunkami. Doprowadzało to do rozpaczy inżyniera, ale na swoje pytania nie mógł wydusić z syna żadnej rozsądnej odpowiedzi. Domyślał się po części, co było przyczyną obojętności Edwarda na wszystkie powaby pracy, i starał się obudzić w nim przygasłe zainteresowania.

Czasami wieczorami wydobywał z szuflady specjalne papiery i zaczynał szkicować jakieś fantastyczne projekty budowli, aby zainteresować nimi syna. Mówiono wtedy wiele o budowie miasteczka filmowego w Komorowie, inżynier szkicował ewentualne plany takiego miasteczka, po obu stronach Utraty, ze sztucznym jeziorem. Wreszcie udało mu się złapać Edka na tę wędkę, począł on śledzić robotę ojca i robić swoje uwagi.

— Mógłbyś mi pomóc trochę. Narysuj, na przykład, fronton pawilonu głównego nad jeziorem. Masz tu dane...

— Ale... — odpowiedział Edzio — ja nie jestem budowniczym. Nie potrafię.

— Dlaczego nigdy nie rysujesz? Nie masz to prac do szkoły?

— Dla szkoły mam wszystko wykończone.

— No, a te sosny przed domem? Obiecałeś mi, że je narysujesz. Oprawiłbym je i powiesił na ścianie. Tu akurat puste miejsce...

— Przyjdą wakacje, to narysuję — bez przekonania obiecał chłopiec.

— A kiedy już te wakacje? — z pewnym niepokojem powiedział ojciec.

— Za dwa tygodnie...

Kiedyś inżynier zawołał wieczorem Kołdusię. Edzio był tego dnia w kinie i długo nie wracał.

— Moja Kołdusiu — powiedział inżynier — czy to jutro jest środa?

— A środa.

— Pojedzie Kołdusia na targ do Grodziska?

— A pojadę. Masła trzeba kupić.

— Czy Kołdusia się zna na gołębiach?

— Na gołębiach? A skądże...

— No, bo ja chciałem dla Edka kupić parę gołębi.

— Dla Edziula? — spytała Kołdusia niedowierzająco — a bo to on będzie koło tego chodził?

— Tam na tym małym stryszku obok jego pokoju mógłby je sobie ulokować.

— Na tym stryszku? Ja tam zawsze skarpetki wieszam, jak przepiere...

— No, to powiesi Kołdusia gdzie indziej. Czy to takie ważne?

— A gołębie to ważne?

— Chciałbym, aby miał jakieś zajęcie. Wakacje za pasem.

— A na obóz to on już nie pojadzie w tem roku?

— Za duży już, moja Kołdusiu, rośnie.

— Ja go zawsze mierzę, u mnie w kuchni. To za ostatnie pół roku urósł pięć centymetry. Już wyższy od pana inżyniera.

— To nietrudno — uśmiechnął się inżynier, który nie był wysoki i to było jego bolączką.

— Jemu już pora z panienkami się bawić, nie z gołębiami — zauważyła Kołdusia.

— Moja Kołdusiu — zirytował się inżynier — cóż mi to tu Kołdusia takie rzeczy opowiada.

— No, to jak z temy gołębiamy? Mój Józio to tam je trzymał kiedyś, to bym poznała, jaki ładniejszy... tylko to drogie tera, taki, co je trzyma, to myśli, że Bóg wie co. Ceni jak jendykie. Ale niech pan co da, to kupie.

— A ileż toto może kosztować?

— Jakoś tam starguję. Pan da dwadzieścia złotych.

— Nie mało?

— E, jeszcze przyniese. Albo rzadkiewki kupię. Edek lubi wiosenną sałatkę — wzięła banknot od inżyniera. — I niech się tam pan nie martwi Chłopak swój rozum ma. I tak go w domu nie utrzymamy.

Inżynier machnął ręką i Kołdusia znikła, odchodząc na swoich filcowych pantoflach cicho jak mara. Inżynier się zamyślił.

Przebijał się przez to życie w trudnych okolicznościach. Był synem tak zwanego „stróża". Wielu rzeczy zaznał, zanim doszedł do wiedzy i umiejętności, jakie posiadał. Przekonał się nieraz, że pańska łaska na pstrym koniu jeździ i w ostatecznym rachunku wiedział, że może li-

czyć tylko na siebie samego. Przez całe życie prześladowała go samotność. I kiedy widział teraz, jak jego koledzy znajdują takie oparcie w partii, w związku, w zespołowej pracy, ogarniało go uczucie zazdrości. Orał w swojej pracowni urbanistycznej, ale jego usposobienie utrudniało mu pracę w zespole, w gromadzie, toteż nie wysuwał się na pierwsze miejsce, trzymał się w cieniu, nie odznaczał się niczym oprócz solidnej pracowitości. Koledzy go lubili, ale trzymali się od niego z daleka. Zdziś Karmański, zdolny bestia, z którym zawsze do spółki opracowywał projekty przed wojną, zginął w czasie okupacji. Zbliżył się teraz do innych, ale to była praca czysto zawodowa, oficjalna powiedziałbym nawet.

— Jak głupio tak kochać kogo — pomyślał o synu — wszystko, czym się jest, skupić na jednej zwyczajnej istocie, chłopcu tak bardzo przeciętnym. Syn — to prawda. Kogóż mam kochać jak nie jego? Już mi tylko to pozostało...

Ale jego myśli krążyły naokoło Edka w sposób maniakalny. O niczym innym nie mógł mówić. Korzystał z każdej sposobności w biurze, aby wymienić jego imię, pochwalić się nim:

— A bo mój syn to... a bo mój syn tamto. Mojemu synowi ten projekt się nie podoba... Mój syn to mówi, że Marienszta...

Koledzy znali już tę jego słabość. Wielcy budowniczowie Warszawy sięgali projektami daleko w przyszłość, spierali się, uderzali na siebie mocno ustawionymi argumentami. Obliczali ogrom przyszłej stolicy socjalistycznego państwa, wyliczali potrzeby, realizowali w cudownym pośpiechu swoje myśli w budowach, które czasami wyrastały prędzej niż myśli — i były przez to trochę nieobmyślone. Rodzina dla nich odchodziła na dalszy plan. A tutaj tym wszystkim problematom inżynier S. przeciwstawiał malutką osobę jakiegoś tam urwisa. Na słowa „mój syn" uśmiechali się i spoglądali na siebie porozumiewawczo. Inżynier S. wiedział o tym i starał się jak najrzadziej wspominać imię Edka, ale to było ponad jego siły. Czasami nawet doblagowywał, to też była zbyt silna pokusa, aby się jej można było przeciwstawić. Rozpakowując w biurze śniadanie, które dla niego przygotowywała zawsze Kołdusia, niby to od niechcenia powiadał: „O, mój syn zapakował mi rzodkiewki! Chciał mi zrobić niespodziankę, ja tak lubię rzodkiewki!" Nikt na to powiedzenie nie zwracał uwagi. Edek nie bardzo troszczył się o ojca, ponury i zamknięty w sobie. O tym, aby przygotował ojcu śniadanie, w ogóle nie było mowy. Ale inżynier pragnął, aby jego koledzy myśleli, że jest otoczony czułą opieką syna. W dniu, kiedy wiedział, że Edek miał iść do kina albo do teatru, powiadał podczas pracy, po-

chylony nad rysownicą czy nad jakimś planem, do otaczających go: „Dziś idę z moim synem do teatru!" i w głosie jego brzmiała nutka tryumfu. Po czym po skończonej pracy śpiesznie szedł do kolejki i jechał do Komorowa, aby przez długi, ciemny wieczór czekać na powrót Edwarda.

Żaden z jego kolegów nie chodził do kina z rodziną albo uważali to za tak naturalne, że o tym nawet nie wspominali. Inżynier stopniowo wciągał się w swoje małe kłamstwa i nie pytany opowiadał treść filmu czy sztuki, na której jakoby był wczoraj ze swoim synem. Znał tę treść z bardzo monosylabowych wypowiedzi Edka i łatwo by go było złapać na nieścisłości. Ale kogo interesowały te krótkie zdania starego, pożytecznego, ale dla wszystkich obojętnego człowieka? Koledzy puszczali te opowiadania mimo uszu. A inżynier utrzymując dom i wypłacając Edkowi niewielką pensyjkę nie miał nawet za co pójść od czasu do czasu do teatru lub kina celem sprawdzenia opowiadanych przez siebie streszczeń. Zresztą w gruncie rzeczy nie interesowało go to specjalnie. Wystarczała mu wyobraźnia.

— Bardzo się podobał n a m wczoraj ten film — powiadał. Albo — Wczorajsza sztuka nie zrobiła na n a s dodatniego wrażenia.

A Edzio najczęściej chodził gdzieś z Włodkiem.

Nazajutrz Kołdusia rzeczywiście przywiozła z Grodziska parę bardzo ładnych białych gołąbków. Na razie umieściła je w kuchni, w klatce po kanarku, co zdechł zeszłego roku, podrapany przez kota, który wsadził łapy między pręty. Dwa białe ptaki siedziały przestraszone, naczupierzone i nawet trochę pobrudzone w swoim nowym pomieszczeniu i nie chciały nic jeść, nawet tego grochu, który Kołdusia z żalem w sercu nasypała im na dno klatki.

Edek tego dnia przyjechał z Warszawy późno, dobrze już po przybyciu inżyniera, zmęczony jakiś i zdenerwowany. Dopiero w Komorowie przekonał się, że jechali jednym pociągiem z Basią, ale w innych wagonach i nie spotkali się w drodze. Był niezadowolony z tego powodu.

Ku wielkiemu zdziwieniu inżyniera bardzo się ucieszył z gołębi. Zgromadzili się wszystko troje w kuchni, gdzie Edek jadał kolację, jeżeli przyjeżdżał później. Edek pochylił się nad klatką stojącą na stole i z czułością patrzył na ptaszki, poruszając wargami. Inżynier uważnie przyglądał się twarzy syna. Widział, jak stopniowo schodził z niej wyraz pochmurnego zmęczenia, jak gdyby jakiś wietrzyk zmuskiwał i ściągał z jego rysów przejrzystą maskę smutku. Powracał jego twarzy czuły, dziecinny wyraz, który ojciec widywał dawniej u malut-

kiego jeszcze Edka, kiedy ten siedział na kolanach matki. Serce inżyniera ścisnęło się bolesnym przypomnieniem. Nie zwracał wtedy należytej uwagi na najmłodszego syna. Przybył on niepotrzebnie i nieoczekiwanie, Staś go nie lubił, bo mu psuł jego jedynactwo, a Staś był wtedy najważniejszą osobą w domu. Inżynier zajmował się córkami, Krysia i Marysia szczebiotały zawsze naokoło niego. Edek pozostał „synkiem mamusi". Ojca się bał, a inżynier spoglądał zawsze na niego krytycznym okiem. Teraz było mu żal straconych tamtych lat, prawie ich nie pamiętał. Nie mógł sobie uprzytomnić, jak wyglądał Edek, kiedy był malutką, wątłą istotką. Żal mu było okrutnie i czynił sobie wyrzuty.

Edek jakby to odczuł. Odwrócił się nagle do ojca i powiedział swoim chmurnym, zawoalowanym głosem:

— Mama tak lubiła gołąbki.

Potem otworzył klatkę, brał oba gołąbki po kolei do ręki i otwierając im dzióbki wkładał ziarnka grochu. Gołębie łykały je.

Inżynier poszedł do swego pokoju przynieść synowi chleb i masło, które tam zostały na stole.

— Jedz i ty — powiedział.

Ale Edzio wdał się w spór z Kołdusią. Okazało się, że niedoświadczona w tej dziedzinie kucharka kupiła dwie samiczki.

— Ależ to naprawdę, Kołdusiu — mówił Edek ze szczerym oburzeniem — jak można? Cóż one będą same robiły?

— Chyba jaki samiec do nich przyleci — odparła Kołdusia — to go sobie przykaraulisz.

— Kołdusia chce, żebym gołębie kradł?

— Pojedziesz w przyszłą środę do Grodziska i kupisz sobie samca — wtrącił się ojciec. — Będzie dobry początek wakacji.

— A one będą cały tydzień pościły?

— Dadzą sobie radę.

— Muszę kupić dwa samce — powiedział Edek siadając przy stole — bo gołębie muszą żyć parami.

Nakrył był klatkę czystą ścierką, a teraz zabrał się do jedzenia wesoło i z apetytem. Inżynier towarzyszył mu, paląc papierosa, i z radością skonstatował, że dziecinny, swobodny wyraz pozostał na twarzy syna. Po kolacji poczęstował go papierosem. Wiedział, że Edek pali, ale nigdy nie mówili o tym i Edek przy ojcu nie wyjmował papierosów. Edek uśmiechnął się radośnie, pokazując wszystkie zęby, i wyjął jednego „mocnego" z papierośnicy ojca. Zapałki miał w kieszeni.

I oto kiedy chłopiec zapalał papierosa i wciągał pierwszy dym ze

zwyczajnym w tym wypadku skurczem mięśni twarzy, kiedy zmarszczył wargi, na rysy jego powrócił nalot smutku, oczy zwęziły się, pobiegły gdzieś za dymem w górę, usta po wypuszczeniu zawarły się jak gdyby z goryczą, a potem odęły się wyrazem pychy i bezczelności, tak obcym zazwyczaj skromnej twarzy chłopca.

— Nie pamiętam go, jak był malutki, jak ssał piersi Heleny, jak zasypiał z małymi piąstkami przy uszach — pomyślał inżynier — a teraz widzę, jak pali pierwszego oficjalnego papierosa.

Kołdusia zaczęła gderać.

— Nie częstowałby to pan dziecka papierosem. Ma jeszcze czas. Pani nieboszczka nigdy by mu nie pozwoliła palić, a pan to mu na wszystko pozwala. Zbisurmani się i już.

— Co oni tak dzisiaj tę Helenę wspominają? — pomyślał inżynier, ale nic nie powiedział.

Edek na słowa Kołdusi uśmiechnął się lekko i dość smutnie, jakby z pogardą. Nieobecne jego oczy śledziły lot dymu.

— Kołdusia mnie zawsze uważa za dziecko — powiedział powoli — a ja już nie dziecko.

— Dla mnie zawsze będziesz dzieckiem — swarliwie powiedziała Kołdusia — na rękum cię nosiła, fartuch mi zalewałeś...

— A ja nie pamiętam, żebym go nosił na ręku — myślał inżynier. — Stasia nosiłem, to pamiętam. Ale raz go upuściłem, na szczęście na łóżko — i potem już dzieci nie nosiłem, dziewczynek też nie nosiłem. I Edzia nie... takie miał delikatne, drobne ciałko...

— Fe, też coś — powiedział Edek — przypomina Kołdusia takie nieprzyzwoite rzeczy.

Wstał gwałtownie, jakby otrząsając się ze snu, poprawił sobie spodnie i poszedł na górę, schwyciwszy teczkę z książkami. Przeskakiwał po dwa stopnie i po chwili rozległ się jego wesoły, przeniliwy gwizd w górnym pokoju.

Kołdusia przysiadła przy stole na miejscu, które zajmował Edek. Zamyśliła się. Cała jej pochylona postać, opuszczone ręce, zmarszczona twarz wyrażały zmęczenie.

— Cóż tam, Kołdusiu? — serdecznie spytał inżynier — Zmęczyłaś się?

— A no tak — westchnęła stara — takie to życie jest.

W tym momencie z potężnym trzaskiem obcasów Edek zleciał ze schodów i gwałtownie otworzywszy drzwi kuchni zawołał:

— Idę jeszcze do Basi, zaniosę jej „Młodą Gwardię", bo mnie prosiła.

Zatrzasnąwszy drzwi raz jeszcze je otworzył i wsadził głowę do kuchni:

— Opowiem jej o gołąbkach.Ucieszy się.

I znowu trzask drzwi od kuchni, a potem wejściowych. Kołdusia uśmiechnęła się.

— Jakie to jeszcze dziecinne.

Inżynier nic na to nie odpowiedział.

Edek nie tyle chciał Basi opowiedzieć o gołębiach, ile przedstawić jej cały projekt wyprawy do Grodziska po samce. Zresztą bardzo się zapalił do sprawy ptaków. Nazajutrz wstał o godzinę wcześniej niż zwykle i majstrował na stryszku. Z jakiejś starej paki porobił „duki" dla gołębi, a raczej zaczął je robić, bo plan inwestycyj gołębnikowych nakreślił sobie bardzo szeroko; trzeba było zrobić wylot, przed wylotem balkonik zamykany na noc, przykryty siatką, trzeba było wydobyć skądsiś miseczki na wodę i skrzynki na pokarm. Jednym słowem roboty było w bród. Tego dnia Edek wrócił wcześniej z Warszawy i natychmiast znowu poleciał na stryszek, tym razem lokując już tam samotne samice. Następnego ranka gołębice gruchały już słodko na swoim stryszku, na balkoniku pod siatką. Spoglądały one w stronę domu, gdzie mieszkała Basia. Gołębnik był tak zaplanowany, że ptaki patrzyły zawsze w tamtą stronę, a Edek przy pracy także miał na oku mieszkanie dziewczyny. Majstrując mógł przez otwór ptasiej komórki ujrzeć za oknami sąsiedniej willi to tu, to ówdzie przemykającą się sylwetkę Basi. Gdy ją spostrzegał, gwizdał mocniej i weselej.

W następną środę wybrali się rzeczywiście do Grodziska. Było to nazajutrz po zakończeniu roku szkolnego, przy samym końcu czerwca. Edek czuł się specjalnie lekko, nauka zakończyła się szczęśliwie, bez zahaczeń. Nie mógł spać już od czwartej, słońce wzeszło pogodnie, potem jednak zaczęło się gwałtownie chmurzyć. Ze swojego pokoju Edek nie widział willi Basi i nie mógł obserwować, czy ona już wstaje. O piątej nie wytrzymał i poszedł do gołębi. Otworzył im klapkę. Ptaki poczęły spacerować po niej tam i z powrotem, kiwając małymi, gładkimi główkami i falując podgardlem. Od czasu do czasu spotykały się na środku promenady i obojętnie odskakiwały od siebie ustępując drogi. Gdy Edek wyjrzał ze swego punktu obserwacyjnego, spostrzegł, że u Basi śpią jeszcze wszyscy, okna były pozamykane i białe firanki pozaciągane. Błyszczały one w świetle porannego słońca. Niestety, były to nietrwałe promienie.

Wrócił do siebie i z troską spoglądał na niebo, które się zawlekało

szarymi chmurami, a raczej równomierną popielatą zasłoną. Na próżno się pocieszał maksymą Kołdusi „deszcz ranny — płacz panny". Chmury stawały się coraz gęstsze i wreszcie zaczęło padać drobniutkimi, siąpającymi kroplami. Pod szarym pułapem zjawiły się zielonawe, ruchliwe obłoczki, koło szóstej deszcz rozpadał się na dobre.

Ale o pół do siódmej Edek odział się w pelerynę i wyszedł. Basia czekała na niego w progu swojego mieszkania z olbrzymim starym parasolem w ręku. Śmiała się głośno.

— Zachciało się nam gołąbków — zawołała, zanim się jeszcze przywitała z Edkiem.

— Pieczone gołąbki nie lecą same do gąbki — powiedział ni w pięć ni w dziewięć Edek.

Maszerowali szybko w stronę kolejki. Przeładowane wagony mknęły w kierunku Warszawy. Te, które szły w przeciwną stronę, mniej były natłoczone, ale w Komorowie wraz z nimi wsiadło wiele bab z koszami, workami, jechały po zakupy na targ. W Nowej Wsi, a zwłaszcza w Podkowie przybyło tych podróżniczek. Znały się one między sobą, witały, rozmawiały, żartowały z konduktorkami, wymieniały ceny produktów, umawiały się o wspólny powrót. Za Podkową na każdej stacyjce powiększało się ich gwarne grono, stopniowo w wagonie zrobiło się bardzo ciasno.

Basia i Edek stali na przedniej platformie drugiego wagonu, otoczeni zwartą masą wesołych kumoszek. Czuli się odosobnieni i jakby wydzieleni z tego towarzystwa swoim onieśmieleniem. Jeszcze nigdy nie byli tak blisko siebie, w tym tłoku stykali się rękami i całym ciałem. Edek spojrzawszy przypadkiem na Basię ujrzał tuż przed sobą jej źrenice, ciemnozielone i nakrapiane złotem. Wargi jej z bliska wydawały się jeszcze ponętniejsze, bardzo świeże w kolorze. Rozchylił je nieśmiały uśmiech.

Jakiś stary kolejarz stojący w kącie zrobił sarkastyczną uwagę:

— Skąd się ich tyle bierze, tych bab?

Gruba gosposia, która dopiero co wsiadła obładowana dwoma pustymi koszami, oburzyła się na wpół żartem, na wpół serio:

— Tylko nie baby, tylko nie baby — powiedziała głośno — my was dziadami nie nazywamy.

Potem obejrzawszy się, szeroko uśmiechnięta, po stłoczonych pasażerach i ujrzawszy Basię dodała:

— Tutaj są nawet bardzo ładne panienki.

Edek spojrzał na nią z wdzięcznością, Basia się zarumieniła:

— Zna się na rzeczy — szepnął Edek do swej towarzyszki.

Basia chciała machnąć ręką, ale nie mogła uczynić żadnego gestu, tak była ze wszystkich stron ściśnięta. Edek uczuł pod palcami ten niedoszły ruch jej dłoni i wziął jej palce w swoje. Spokojnie wysunęła rękę, nie patrząc na niego. Edkowi zrobiło się przykro.

Deszcz siekał w szyby zostawiając na nich wzór okrągłych kropelek, smugi wody zmywały brudne szkła. Kiedy dojeżdżali do celu podróży, rozjaśniło się trochę.

Tak dotoczyli się do Grodziska. Wagony stanęły i kupy bab wysypały się na zabłoconą ulicę. Podłużne kałuże widniały wzdłuż torów, trzeba je było przeskakiwać. Wozy nadjeżdżały ze wszystkich stron, znowu rozległy się piski i krzyki. Woźnice wstrzymywali zaprzęgi i klęli siarczyście.

Edek zeskoczył pierwszy i podał rękę Basi. Poszli trotuarem w tłumie przybyłych kobiet. Kałuże na każdym kroku utrudniały im ruchy.

— Ty wiesz, gdzie sprzedają gołębie? — spytała Basia.

— Pewnie! — kiwnął tylko głową.

Targ na gołębie leżał w załomie jednej z bocznych ulic. Poprzedzała go grupa handlarzy królików. Porozkładane worki pełne były szynszylowych, srebrzystych futerek, króliki kurczyły się od deszczu i tuliły do siebie, tworząc puszyste kłębki. W klatkach siedziały powiewne angory.

Zaraz za królikami stały grupy gołębiarzy. Wszystkich ich — pomimo najróżnorodniejszych strojów i najodmienniejszych profesji — łączy wspólny wyraz twarzy, niechęć do spoglądania przed siebie, coś zatajonego we wzroku, zatajonego z patrzenia w górę, odbicie nieba. W sztywnym od gołębiarskiej choroby karku zatajona chęć ustawicznego spoglądania w górę, chęć oderwania się od pospolitego widoku, jaki ich otaczał.

W momencie, kiedy nasza para zbliżała się do tego targu, jeden z gołębi wyrwał się i frunął. Wszystkie głowy podniosły się w jednej chwili i oczy wszystkich zgromadzonych śledziły lot ptaka. Gołąb usiadł na dachu i głowy opadły.

W ciasnych klatkach pieniło się białe pierze. Od czasu do czasu widziało się czarnego „murzyna" albo piękny jasnobrązowy okaz z tęczowymi piórkami na podgardlu. Ptaki zachowywały się nad wyraz potulnie i spokojnie. Nie można było tego powiedzieć o handlarzach.

— Panie, panie, coś pan z byka spadł? Piętnaście złotych za takiego wróbla?

— Patrz pan, weź go pan do ręki, zobacz pan, jaki letki.

Basia zdziwiła się.

— To gołąb powinien być lekki?

— Widocznie — powiedział Edzio, który także po raz pierwszy to słyszał.

— Pani, niech pani kupi samice do tego samca — nagabywał wysoki człowiek w zniszczonym wojskowym ubraniu.

Paniusia w koronkowym szaliku uśmiechała się z zażenowaniem trzymając w ręku siwego gołębia.

— Pani przecie ma samice, nie samca — co pan zawracasz głowę — mówił obserwujący tę scenę stary, poważny stolarz.

Paniusia popatrywała to na jednego, to na drugiego z niepewnym uśmiechem. Widać kupowała gołębie na rzeź, a nie śmiała się przyznać do tego w tym kółku amatorów. Nie sprzedaliby jej, gdyby się przyznała.

Edzio i Basia kręcili się między tym tłumem trochę zawstydzeni. Edzio nie bardzo wiedział, jak wziąć się do kupna. Wreszcie zaczepił młodego gołębiarza, był on mniej więcej w tym samym wieku, co on, poczuł więc do niego koleżeńską sympatię.

— Słuchajcie, kolego — powiedział nawet — ja bym chciał ze dwa samce, tylko żeby były ładne.

— Tu same ładne — powiedział szczerząc zęby młody chłopiec — brzydkich nie sprzedajemy — zakpił.

Ale widocznie poczuł sympatię do Edzia, a może podobała mu się Basia, dość że zmienił ton i trącając kupca łokciem zwierzył mu się na ucho:

— Chodź pan tam dali. Tam są lepsze, takie amatorskie ptaki.

Wyprowadził Edka i Basię poza cały jarmarczny rejwach i wszedł na małe podwórko domu, który stał w pobliżu. Na podwórku czuwał mniejszy chłopak nad koszami i klatkami przykrytymi brezentem.

— Olek — powiedział młody handlarz — daj dwa orzechy dla faceta.

Chłopak bez słowa nachylił się i wydobył — dość bezceremonialnie przeciągając je przez pręty klatki — dwa nastroszone, śnieżyste ptaki.

— To jest towar — powiedział handlarz odbierając od Olka gołębie i podając je Edkowi.

— Trzymaj, trzymaj pan — dodał, widząc, że Edek niezgrabnie ujmuje ptaki — jeszcze pan wypuścisz takie skarby.

Edek pokazał gołębie Basi. Pochylili się nad nimi, delikatnie rozprostowując palcami zmierzwione ich piórka. W pochyleniu nad ptakami włosy Edka wypadły spod czapki i musnęły Basię po twarzy. Odgarnęła je ręką, a potem oczy ich opuściły gołębie, a skierowały się ku sobie.

Edek patrząc na Basię poczerwieniał.

— Widzisz, jakie fajne gołąbki — powiedział odwracając się ku ptakom — moje samiczki się ucieszą.

Wrócili do Komorowa obładowani ptakami, gdyż Basia kupiła jeszcze parkę „za swoje" i przekazała je Edkowi do pilnowania.

— Co ja teraz będę miał roboty — mówił chłopiec w powrotnej drodze — będę musiał pilnować twoich gołębi i moich gołębi... moich dzieci i twoich dzieci — zaśmiał się, ale Basia spoważniała.

— Dobrze, że już zaczynają się wakacje.

Z początku Edek bardzo zajmował się gołębiami, karmił je i piastował. Włodek dodał mu jeszcze jedną parę. Po kilku dniach ptaki oswoiły się i latały naokoło domku, siadywały na dachu, gruchały czule o południu. Basia wyjechała na dwa tygodnie — pierwsze tygodnie lipca — do ciotki, do Strykowa. Edek udawał, że to nic nie znaczy dla niego, i zrazu zajmował się gołębiami, ale potem porzucił ptaki i zdał je na własny los. Kołdusia mu przypominała:

— A gołąbki?

Machał dłonią.

— Musisz o nich pamiętać. To nie tylko twoje ptaszki, ale i Basi, i Włodka. Z głodu poginą.

— Nie poginą — mówił Edek i niechętnie niósł im na strych zboże i ziarno. Nie chciało mu się nic robić, odkąd Basia wyjechała. Przez te dwa tygodnie prowadził jakieś dziwne, ospałe życie. Tym dziwniejsze mu się ono wydawało, że ojciec zajęty przy budowie MDM wracał do domu bardzo późno i spracowany potężnie. Pogoda przez cały ten czas była upalna i piękna. Edek z Włodkiem całe dnie spędzali nad gliniankami, położonymi pomiędzy Komorowem a Pruszkowem. W wodzie siedzieli niedużo, leżeli opalając się i od czasu do czasu przerzucali się leniwymi słowami. Gdy inżynier wracał wieczorem do domu, Kołdusia mu komunikowała z pozorną obojętnością:

— Ten chłopak to jak we śnie. Rusza się jak mucha na jesieni.

— No, a gołębie, gołębie? — pytał inżynier.

— Co tam gołębie... ani o nie zadba...

Włodek z Edkiem nie rozmawiali o Basi. W ogóle mało mówili leżąc obok siebie na słońcu. Jednak temat kobiecy często powracał w ich rozmowach. Edek sam nic nie mówił o tym, co go najbardziej interesowało, ale jakoś tak odlegle kołował, żeby Włodka wyciągnąć na słowa. Zresztą to nie było trudne, myśli młodego chłopca bezustannie krążyły naokoło tego samego przedmiotu, a nie miał tej wstydliwości, co Edek, więc nie powściągnął języka.

— Dlaczegoś ją wypuścił do tego Strykowa? — pytał wreszcie Włodek — Jabym jej na to nigdy nie pozwolił.

— A dlaczego?

— Jak to? Zaczęły się wakacje. Teraz najlepszy czas.

— Ty wciąż swoje.

— No, bo jakże? Czego ty chcesz od kobiety?

Edek nie odpowiedział. Nie miał tak bezwzględnej pewności, jak Włodek, czego chce od kobiety.

— Trzeba się zdecydować — po długiej chwili leżenia mówił Włodek — albo chcesz, albo nie chcesz. I tak postępować.

Znowu milczeli chwileczkę. Słońce doskwierało tak, aż im skóry pachniały przypalonym potem.

— No, bo ja się dawno zdecydowałem — znowu odezwał się Włodek — mówię ci: nie chcę kramu z kobietami. Po co mi to? No, a ty?

Edek nie śmiał się przyznać Włodkowi, że zupełnie nie wie, czy ma się zdecydować, czy nie — nawet nie bardzo rozumie, co Włodek chce przez to powiedzieć. Tylko czuł, że jeszcze nigdy do nikogo nie tęsknił tak, jak do Basi, przez tych kilka dni, co jej nie widział. Nic go nie interesowało, nic go nie obchodziło, o gołębiach myślał: niech zdychają! Tylko mu się chciało znowu widzieć Basię, jej uśmiech, jej ręce, albo po prostu czuć, że może ją każdej chwili spotkać, że wyjdzie ze swojego domu, że wsiądzie do tej samej kolejki.

Usiadł, wydobył z kieszeni w kąpielowych spodenkach niebieski grzebyk, który zawsze miał na podorędziu, i począł przyczesywać swoje długie włosy, które i tak mu się zawsze gładko trzymały i błyszczały jak jedwab.

Włodek nie odejmując policzka od piasku rzucił ku niemu senny wzrok, leżał na brzuchu:

— No, a ty co? — powtórzył.

Edek wzruszył ramionami.

— No, chcę — powiedział — pewnie, że chcę.

— Ty nie bądź głupi — Włodek ożywił się znacznie — ja ci mówię, bracie. Już ja cię muszę przypilnować, bo ty wszystko przefajtasz. I wiesz co?

— No, co? — spytał obojętnie Edek, nie patrząc na przyjaciela i znowu powoli przykładając się do piasku — Nudzisz mnie — dodał.

— Jedźmy za nią do tego Strykowa — zaproponował Włodek jak z bicza trzasł.

— A po co? — spytał Edek — Ona za tydzień wróci.

— Wróci? A może nie wróci? Po co ona tam pojechała?

— Do jakiejś ciotki. To tak jak na wsi...

— W takiej sielance to zawsze łatwiej — powiedział z przekonaniem Włodek — wódki się napijemy...

— Nie będę poił wódką Basi — oburzył się Edek — zupełnie mnie nie rozumiesz.

— Nie rozumiesz, nie rozumiesz — zapiszczał Włodek — chłopak zawsze chłopaka rozumie.

— Może by rzeczywiście do tego Strykowa pojechać? Czy to daleko?

— Za dzień obróci. A może na noc zatrzymają? Jedziemy?

— No, jak chcesz. Możemy pojechać.

Basia mieszkała w Strykowie za miasteczkiem, za młynem i za kościołem mariawitów, w stronę Dobrej, w stronę Łodzi. Ciotka jej była zamężna za dawnym pomocnikiem młynarskim, który jeszcze przed wojną kupił sobie tutaj chatę i kawałek gruntu, na którym założył spory ogród. Dom składał się z dwóch pokoi przedzielonych sienią, w jednym z tych pokoi stał piec kuchenny. Basia raczej zmieszała się niż ucieszyła, kiedy chłopcy zjawili się niespodziewanie. Było jeszcze wcześnie, bo wyjechali najranniejszym pociągiem. Basia podpalała właśnie ogień i trzymając w ręku trzaski odgarniała dłonią kosmyki zwisających nad oczami włosów.

— O! — powiedziała nie wstając od ognia — a wyście skąd się tu wzięli?

— Ładnie witasz gości — powiedział z emfazą Włodek, choć widać było, że takie przyjęcie nic go nie obchodzi. Przy płycie stała ciocia Basi, tęga kobieta.

— Ciociu, to są moi koledzy — powiedziała Basia wstając sprzed ognia i przekładając trzaski i zapałki z prawej ręki do lewej.

— Ojej, goście od samego rana — powiedziała ciocia Sabina z pewnym zakłopotaniem, ale raczej życzliwie. — No, niech panowie siadają, na czym można — dodała przywitawszy się — zaraz będzie mleko.

— Myśmy tutaj przywieźli całe gospodarstwo — powiedział Włodek siadając i kładąc przed sobą na kuchennym stole wypchaną teczkę.

— Kołdusia pewnie nadawała zapasów — uśmiechnęła się Basia — dla swojego Edziula...

— Kołdusia i nie Kołdusia. Moja matka też jest coś warta — dodał Włodek.

— I zaraz zaczął wykładać na stół jaja na twardo, pomidory, surowe ogórki, bułeczki.

— O, widzi panna Basia, to mi śniadanie.

Ciocia Sabina była zachwycona.

— Goście nie z próżnymi rękoma przyszli — powiedziała z uznaniem. — Śniadanie aż miło. A napijecie się herbaty czy mleka?

— Niech im ciocia da mleka, to zdrowiej — poprosiła Basia.

— No, mleko z pomidorami, to nie wiem — zauważyła ciocia Sabina, ale postawiła przed chłopcami po dużym kubku mleka. Włodek mrugał jednym okiem do przyjaciela.

Edek siedział przy stole i wpatrzony w swój kubek nie śmiał nawet spojrzeć na Basię. Wstydził się swojego niespodziewanego przyjazdu. Nie odezwał się dotychczas ani słowem. Wydawało mu się, że Basia i nawet ciocia odgadły natychmiast, z jakimi zamiarami przywiózł go Włodek, i okropnie go to martwiło. Basia wydała mu się w tym codziennym otoczeniu taka miła, taka zwyczajna i taka koleżeńska, że wszystkie rozmowy z Włodkiem wydały mu się czymś okropnie głupim i nierzeczywistym, powiedziałby podłym.

Basia zauważyła natychmiast, że milczy jak zaklęty i siedzi nie patrząc na nią wcale. Wzruszyła na to ramionami i zajmowała się głównie Włodkiem. Ciocia Sabina też tego okazałego i gadatliwego młodzieńca uważała za ważniejszego gościa, za kawalera siostrzenicy i częstowała go mlekiem, chlebem i kiełbasą, którą wydobyła z białego kredensu.

— Mój mąż poszedł do młyna — powiedziała — ale chyba zaraz przyjdzie — dodała niepewnie.

Edkowi było trochę przykro, że tak nikt nie zwraca na niego uwagi. Siedział z opuszczoną głową i udając, że nie zauważa mrugania Włodka, popijał owo mleko, którego mu się bardzo nie chciało. Wreszcie Basia zauważyła jego ponurą minę i zwróciła się do niego z pytaniem:

— No, a jakże nasze gołębie?

— A nic! — odpowiedział Edek takim basem, że ciocia Sabina spojrzała na niego zdziwiona.

Basia czekała przez chwilę, że Edek powie coś jeszcze o gołębiach, ale chłopak milczał. Wyciągnął tylko nogi przed siebie i wyjął z kieszeni spodni papierośnicę. Wyjął papierosa i zapalił.

— Taki młody człowiek i już pali — zastanowiła się ciocia Sabina.

— O, on już dawno pali — objaśnił za towarzysza Włodek — ojciec mu pozwolił.

— Ojciec go rozpieszcza — dodała Basia ciotce — bo on tak jest, jak jedynak.

— Wcale nie jak jedynak — znowu basem powiedział Edek — mam przecie jeszcze brata, Stasia... — dodał po chwili.

Włodek się zainteresował:

— Masz brata? Nie wiedziałem. A gdzie jest?

— W Katowicach, prawda? — powiedziała Basia.

Edek nic nie odpowiedział.

Milkliwość jego poczęła denerwować Włodka. Przestał na niego mrugać, tylko już koniecznie chciał wywołać z jego strony jakieś wypowiedzenie się i trzepał najróżnorodniejsze rzeczy, wciąż wzywając Edka na świadka: „No, powiedz, Edek! No, prawda, Edek? No, czy nie tak, bracie?“ powtarzał po każdym prawie zdaniu, ale to nic nie pomagało. Edek milczał, choć zjadł bardzo dużo na śniadanie.

Posiedzenie przerwała im koleżanka Basi czy przyjaciółka, bardzo zabawna, pretensjonalna dziewczyna z prowincji. Przyszła pod jakimś pretekstem, ale oczywiście od razu było wiadomo, że wieść o przyjeździe gości do Basi rozeszła się migiem wśród okolicznych domów i że Anielcia zjawiła się tylko po to, aby obejrzeć Edka i Włodka. I ona też nie zwróciła najmniejszej uwagi na Edwarda, natomiast zajęła się gadatliwym i „dowcipnym“ Włodkiem. Edek cierpiał katusze. Wreszcie Basia zaproponowała spacer nad Moszczenicą.

— Co to jest Moszczenica? — spytał Włodek.

— To rzeczka tutejsza — odpowiedziała Anielcia. — Chodź, dzień taki ładny.

— A rzeczka ładna? — spytał Włodek.

Basia wzruszyła ramionami.

— Et, taka tam struga.

Wychodząc chłopcy znaleźli się przez chwilę sami przed domem. Dziewczyny zostały w pokoju.

— Ach, ty — powiedział Włodek i uderzył Edka w bok — nie bądź że fajtłapą. Po coś tu przyjechał?

— Namówiłeś mnie — z grymasem powiedział Edek — sam nie wiem, po co przyjechałem.

Dzień był rzeczywiście prześliczny. Niebem płynęły spokojnie obłoki i wiał ciepły wietrzyk.

— Gorąco! Jak w lipcu — zażartował Włodek.

Chłopcy byli w koszulach, Edek w trykotowej koszulce w paski, którą ojcu przysłał ktoś z zagranicy, dziewczyny w jasnych sukienkach. Łąki nad Moszczenicą, niedawno przystrzyżone, słały się jak aksamit. Błyszczały zielenią. Za łąkami zaczynały się suche laski, a dalej ku Skoszewom płynęły faliste wzgórza, na których od czasu do czasu widniały plamy kamionek lub sylwety polnych grusz. Skowronki jeszcze śpiewały. Na dalekich wzgórzach bielały łany doj-

rzewającego żyta, żółcił się łubin. Dolatywał stamtąd słodki zapach, zapach młodości.

Włodek wysforował się naprzód z Anielcią. Dziewczyna wdzięczyła się do niego i żartowała, ale ciągle oglądała się na Basię, czy ona jej tego nie ma za złe. Edek pozostał z Basią. Basia w milczeniu gryzła jakąś trawkę. Wreszcie przysiedli na brzegu łąki pod niewielką sosną.

— Po coś przyjechał? — spytała nagle Basia — Przecież ja za tydzień będę już w Komorowie.

— Tak. Nudziło mi się. Włodek mnie namówił.

— Cóż Włodkowi strzeliło do głowy! On ma zawsze takie pomysły. Prawie się nie znamy.

— Podobno kochasz się w nim — obojętnym basem i nie patrząc na Basię wyrzucił Edek.

— Ja? Rzeczywiście. Kto ci powiedział?

— Sam widziałem. Przed chwilą.

— Przywidziało ci się.

— Tak się ucieszyłaś na jego widok, jakby to był twój narzeczony. Ugaszczałaś go...

— A co miałam robić? Ugaszczałam go z tego, coście sami przywieźli...

— Ciotka go kiełbasą częstowała.

— Nie wiedziałam, że jesteś taki małostkowy — powiedziała Basia i nachmurzyła się. — Jeżeli masz być cały czas taki miły, to mogłeś lepiej nie przyjeżdżać.

Edek bez słowa wstał i ruszył w stronę, skąd przyszli. Basia siedziała jeszcze przez chwilę i śledziła go złym okiem. Ale potem zaczęła go gonić.

— Edek! Edek! — wołała.

Chłopiec zatrzymał się:

— Co?

— Nie bądź głupi. Co ci się zrobiło? No?

Chwyciła go za rękaw i starała się popatrzeć w oczy.

— Ej, nie kapryś — pogroziła mu palcem — bo będziesz potem żałował.

Edek roześmiał się.

— No, chodź — powiedziała Basia — dogonimy tamtych.

I poszli rozmawiając już teraz swobodnie, jak wtedy, kiedy jeździli do Grodziska.

A Włodek tymczasem leżał pod lasem i wykładał oratorsko pannie Anielci:

— Bo wie pani, ja nie lubię żadnej organizacji. To mnie krępuje. Ja lubię być swobodny. Na przykład, w stosunkach z kobietami... pani rozumie? ZMP miesza się do wszystkiego, absolutnie. A ja chcę być swobodny. Ja lubię zmieniać kobiety...

Anielcia się zainteresowała.

— Często pan to robi?

— Co? — spytał Włodek.

— No, z tymi kobietami... często pan zmienia kobiety?

— To zależy — wymijająco odpowiedział Włodek.

— A z Basią dawno pan chodzi?

— Ja? Z Basią? To Edek, mój przyjaciel, kocha się w pannie Basi...

— Jak to? To nie pan? — Anielcia jeszcze się bardziej zainteresowała i nawet jak gdyby przysunęła się trochę do Włodka. — A Basia co?

— Czy ja wiem? Nie pytałem się o to.

— Co ona może widzieć w takim smarkaczu?

— Właśnie. To dziecko. On nie potrafi jeszcze brać się do rzeczy. Nie to, co ja...

To mówiąc Włodek usiłował objąć Anielcię i ucałować ją. Ale dziewczyna się wyrwała.

— Co pan wyrabia, panie Włodku — powiedziała nie bardzo nawet oburzona.

W tej chwili nadeszli Edek i Basia.

Wrócili razem do domu. Było południe. Basia z ciocią Sabiną nakryły serwetą stół w drugim pokoju, gdzie stały dwa wysoko zasłane łóżka. Wyjęto z bufetu talerze, kieliszki, Edek pomagał Basi. Przyszedł wujek: na czole miał sklejone kosmyki włosów i krople potu spływały mu po twarzy. Narzekał na upał.

— A gdzie to ty chodziłeś do tej pory? — spytała dość surowo ciocia Sabina.

— A we młynie byłem, kochanie, we młynie — odpowiedział wujek niepewnym głosem.

— A z młynarzem gdzieś chodził?

— Nigdzie ja nie chodziłem, Sabinko, kochanie — tłumaczył się wujek.

Włodek z Anielcią siedzieli na ławeczce przed oknem i przekomarzali się w sposób klasyczny. Ciocia Sabina przyniosła z kuchni duży kawał schabu. Nalała wiśniaku do kolorowych kieliszków.

— Chodźcie jeść — powiedziała zasiadając sama do stołu — młodzi i po spacerze to powinni mieć apetyt. Chodź, Anielciu, zjesz z nami, co tam jest.

— Młodzi mają apetyt, ale jak na co, jak na co, moja stara — powiedział wujo obcierając sobie gębę po wypiciu kieliszka.

Po obiedzie Edek z Basią z kolei wyszli przed dom.

— Dlaczego ty tu siedzisz? — spytał Edward — tu przecie jest okropnie...

Basia spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Nie, wcale nie. Wujostwo są bardzo dobrzy. Mnie tu bardzo dobrze. I ładnie jest tutaj.

— W Komorowie ładniej — powiedział lakonicznie Edek.

— O, nie — żywo zaprzeczyła Basia — tutaj to taka prawdziwa wieś...

Tak się ciągnęło aż do wieczora. Snuli się wkoło chaty, pili, jedli; pylnym zmrokiem poszli na stację, panny ich odprowadzały.

— Niech panowie częściej przyjeżdżają — mówiła Anielcia, kiedy już czekali na pociąg z Łodzi. — Tutaj takie nudy! Na wsi! Panowie z wielkiego świata!

— Wielki świat — Komorów! — mruknął Edek.

Basia nic nie mówiła. Zapewniała tylko Włodka, że za tydzień wróci.

— Niech pan powie mamusi, że w przyszłą niedzielę przyjadę!

— A pani? — zwrócił się Włodek do Anieli.

— Ja przyjadę na 22 lipca. Jestem przodownicą pracy! Przyjadę na zlot!

— Ho! ho! — zaśmiał się Włodek — i w czym-że to pani tak przoduje?

Nadszedł pociąg, ścisk był wielki. Tłum wsiadających rozdzielił chłopców i umieścili się w różnych wagonach. Wieczór był ciepły i pełny kurzu.

Gdy wysiedli w Warszawie i przechodzili na kolejkę, Włodek wziął Edka pod rękę.

— Co jak co, ale z tą Anielcią można pokombinować!

Edek milczał po swojemu.

— A ty co? Zachowujesz się jak sentymentalny młodzieniec sprzed stu lat. Sam nie wiesz, czego chcesz.

— A właśnie — odpowiedział po długiej chwili milczenia Edek — sam nie wiem, czego chcę!

— Gapa jesteś — zadecydował bezapelacyjnie Włodek.

Edek się namarszczył, jak gdyby się namyślał nad bardzo trudnym zagadnieniem.

— A ty świnia — powiedział, gdy już wsiadali do wagonu kolejki.

Włodek nie obraził się za tę nazwę. Uważał ją za przyjacielski żar-

cik. Śmiał się tylko długo i bardzo złośliwie. W Komorowie pożegnali się chłodno.

Cały tydzień po powrocie ze Strykowa, aż do powrotu Basi, Edek spędzał bardzo głupio. Właściwie mówiąc sam nie wiedział, co robił. Spał albo leżał na łóżku ubrany, udając, że czyta. Na obiad wcale nie schodził, choć go Kołdusia wołała, a nawet sama wdrapała się do niego na górę i zasapana usiadła u niego na łóżku.

— Cóż ci jest? Choryś? — pytała.

Edek odpowiedział niewyraźnym mruknięciem.

— Za mało cię ojciec prał... — zrobiła uwagę Kołdusia filozoficznym tonem.

Edek bez słowa kopnął nogą w ścianę, koło której leżał.

— Nie złość się, nie złość się — dodała kucharka z trudnością wstając z krzesła i obracając się ku drzwiom — złość piękności szkodzi.

Stanęła jeszcze w drzwiach i patrząc z ubolewaniem na chłopaka pokiwała głową. Edek odwrócił się do ściany i nie patrzył na nią.

— No, przyjdziesz na obiad? — powiedziała trochę łagodniejszym tonem. Nie odpowiedział.

— Jak chcesz — powiedziała stara znowu poprzednim groźnym tonem — nie chcesz jeść, to nie jedz. Zdychaj sobie z głodu — mnie tam co? Tatusiowi tylko kłopot...

Wyszła mocno zatrzaskując drzwi.

Wieczorem poszła do pokoju, do inżyniera. Podniósł na nią zmęczone oczy. Zajęty był jakimiś obliczeniami i nudziła go wizyta Kołdusi.

— Proszę pana — mówiła kucharka, siadając na krześle przy roboczym stole inżyniera, który był jednocześnie stołem jadalnym — sama nie wiem, co robić. Tak się kocha, tak się kocha... no, mówię panu, obiadu dziś nie jadł.

— Ale Kołdusiu, co Kołdusia wymyśla — zniecierpliwił się nieco inżynier — takie dziecko jak Edek! Czy on może tak się bardzo kochać? Ot, dziecinne urojenie.

— Pan nie chce wierzyć. A ja panu prawdę mówię. Sam się pan inżynier nie kochał w tym wieku?

— A wie Kołdusia, że się nie kochałem.

— Aha, nie kochałem. Nie pamięta pan już.

— Może nie pamiętam...

— O, bo ja się kochałam. Tam w jednym... To jakem go spotkała na ulicy, to cała się zatrząsłam. Powiadam panu, jakby mnie kontrakt elektryczny złapał.

— A gdzie on teraz jest?

— A nie wiem. Poszedł gdzieściś. Całymi wieczorami gdzieś się włóczy. A chodzi tak, jakby nogi miał bawełniane. To musi tak z osłabienia.

— Co on robi przez cały dzień?

— Nic. Albo leży, albo chodzi. I albo nic nie mówi, albo odezwie się jak do psa. Jeszczem go takiego nie widziała.

— Kiedyż ta Basia przyjeżdża?

— Ponoć w niedzielę. Mówiła mi ta jeich stróżowa.

— Czy myślisz, że on się zmieni?

— On taki jest, proszę pana, że nic nie wiadomo. On jest do ni nieśmiały. Jak pojechali wtedy do tego Strykowa, mówił Włodek ty Magdalenie, no, ty, co u nich zamiata, to mówi, że ani słowem się do ni nie odezwał. Chodził jak mruk, to Włodek mówił, że tylko się z niego uśmiał.

— Nie było z czego się śmiać.

— Pewni. A on nie umi się do kobity wziąć. Dzieciak taki. Tylko u niego to tak wszystko w środku, w środku... a na wirzch to niemożebne. Oj, panie inżynierze, takie mom z nim zmartwienie.

— No, chyba i ja się martwię!

— No, pewni, pewni. Takie ma pan kochliwe dzieci.

Inżynier się zmarszczył.

— No, moja Kołdusiu, ja muszę zrobić na jutro ważne obliczenie. Jak mi Kołdusia będzie tutaj głowę zawracała byle czym — to nic nie zdążę...

Kołdusia wstała.

— A herbaty panu inżynierowi dać?

— Proszę mi tu postawić filiżankę. To już będzie na noc.

Kołdusia poczłapała do kuchni i po chwili wróciła z herbatą. Inżynier przez czas jej nieobecności nie wrócił do rachunków. Siedział zamyślony w fotelu z ołówkiem przy wargach. Brwi mu ściągnęła bolesna fałda. Rzucił spojrzenie na ściany, na których wisiały fotografie córek.

— A gołębie? — spytał Kołdusi.

— Już trzeci dzień sama karmę — powiedziała Kołdusia — ani nawet do nich nie zagląda.

W tej chwili wszedł Edek. Stopy miał zakurzone, w ręku trzymał zmiętą czapkę.

— Dobry wieczór — powiedział bardzo cichym głosem i usiadł na fotelu.

Kołdusia, demonstracyjnie nie patrząc na chłopca, wyniosła się do kuchni.

Inżynier milczał przez chwilkę, udawał, że wrócił do swoich obliczeń i machinalnie przesuwał suwak logarytmiczny.

Po chwili podniósł głowę i popatrzył na Edka.

— Dlaczego ty nie jadasz obiadów?

— Nie chce mi się. Nie mam apetytu. Zresztą jem...

— Kołdusia mówi, że nie jadasz.

— Kołdusia! Ona zawsze chce czegoś ode mnie.

— Bardzo jest zmartwiona. Uważa to za osobistą obrazę. Bądź łaskaw, nie rób nieporządku w domu...

— Czy to jest nieporządek?

— Pewnie. Jeżeli nie jadasz regularnie obiadu...

— Masz burżuazyjne przesądy — powiedział Edek i wstał z fotela. Wyglądał przez szerokie otwarte okno na lipcową noc.

— Nie uważam, aby jadanie obiadów w określonej porze było burżuazyjnym przesądem.

— Tak, ale co się za tym kryje... — z ironią powiedział Edek uderzając czapką o dłoń.

— Kurzysz swą czapką. Gdzieś był?

— Tak... włóczyłem się. W stronę starej cegielni.

— Sam?

— Sam. A z kimże?

— Myślałem, że może z Włodkiem...

— Włodek to ordynus.

— Odkądże to mój syn jest taki dystyngowany?

— Tatek, daj spokój — nagle poruszonym głosem powiedział Edek.

Inżynier się zdziwił.

— Jadłeś co wieczorem? — spytał.

— Nie.

— Może napijesz się herbaty? Tu stoi nietknięta filiżanka.

— A dobrze — powiedział Edek i wziął filiżankę do ręki.

— Może co zjesz?

— Kołdusia zawsze wieczorem zostawia w moim pokoju...

— No, widzisz. Nie martwże jej tym twoim niejedzeniem. Wierz mi, to nie ma sensu.

— Ja wiem — Edek stał po drugiej stronie stołu i patrzył wymownie na ojca — ja wiem, że to nie ma sensu. A życie w ogóle jaki ma sens?

Inżynier wzruszył ramionami.

— Pewnie, że takie życie jak twoje, całe poświęcone egoistycznemu uczuciu, nie ma sensu. Wyłączyłeś się ze społeczeństwa.

— Wszystkie uczucia są egoistyczne — powiedział Edek i postawił filiżankę na oknie. Nie wypił herbaty. — O ile są prawdziwymi uczuciami — dodał, jak gdyby już myśląc o czym innym.

Inżynier westchnął.

— Nudzę ojca, prawda? — jak gdyby drwiąco powiedział Edek.

— Nie — odpowiedział inżynier — ale mam jeszcze sporo roboty na jutro...

— No to wieję — powiedział trochę weselszym tonem Edek — dobranoc!

— Dobranoc! A kiedy mi narysujesz te obiecane sosny?

Edek zatrzymał się w progu.

— Za parę dni — rzucił zdawkowo.

Kroki jego rozległy się w kuchni, potem zatupotały po schodach, wreszcie odezwały się u inżyniera nad głową. Inżynier oderwał oczy od rachunków i nasłuchiwał. Edek mocno uderzył zrzucając najpierw jeden but, potem drugi. Potem posłyszał inżynier ciche już kroki, zbliżające się do stołu, który stał przy oknie. Edek odsunął krzesło.

— Je — powiedział inżynier do siebie i uśmiechnął się łagodnie.

Potem otrząsnął się ze wszelkich uczuć i uśmiechów i zabrał się do swojego suwaka i ołówka.

Basia w niedzielę nie przyjechała. Edek do późnego wieczora kręcił się koło stacji. Ojciec i Kołdusia dawno już spali, kiedy wrócił do siebie: drzwi dla niego w takich razach zostawiano otwarte. W ubraniu rzucił się na łóżko i nie mógł zasnąć.

— Zwariowałem — powiedział do siebie — tak dłużej być nie może. Trzeba raz już z tym skończyć.

I rzeczywiście nazajutrz wstał w innym nastroju. Zjadł normalnie śniadanie w kuchni razem z Kołdusią. Potem zabrał się do naprawiania korków, bo akurat się przepaliły. Właśnie kończył zakładać druciki, kiedy za oknem kuchni rozległo się wołanie:

— Uhu, uhu!

— Kie licho? — spytał Edek Kołdusi nie odchodząc od licznika.

— Licho nie licho — powiedziała stara patrząc na Edka ze specjalnym uśmiechem. — Panienka przyjechała.

Edek zrobił się purpurowy, ale nie ruszył się z miejsca.

— Panienka idzie! — zawołała Kołdusia przez okno — Edek korki reperuje. Nie może się ruszyć.

Basia weszła do kuchni.

— Czemuś wczoraj nie przyjechała? — spytał Edek nie porzucając swej roboty i nie witając się z Basią.

— Tak, wujostwo mnie zatrzymali. Zabawa była wczoraj w lesie pod Dobieszkowem.

— W lesie?

— Tak, taka tam zabawa. Dechy.

— Dużo było kawalerów?

— A dużo. Z Łodzi przyjechało dużo studentów.

— Studentów. Dorosłych.

— Pewnie, że nie takich młodzików.

— A Włodka już widziałaś?

— Widziałam. Poszedł na glinianki. Może i my tam pójdziemy?

— Idź, kiedyś taka skora.

— Boże, jaki ty jesteś nieznośny.

Edek skończył z korkami.

— No, jak się masz — powiedział zeskakując ze stołka, na którym majstrował. — Chodź do mnie do pokoju — dodał.

Basia się zawahała.

— Na górę? — zapytała.

— No pewnie. Nie chcesz?

— Ja jeszcze nie znam waszego mieszkania — powiedziała — pokaż mi dół.

— O, wielkie mi mieszkanie! Na dole jest kuchnia, przedpokój, wielki pokój mego ojca... chodź, pokażę ci jego plany.

Weszli do dużego pokoju, który służył za jadalnię, sypialnię i pracownię inżyniera. Prócz tego na dole był tylko pokoik Kołdusi.

— Widzisz, to są projekty mojego ojca — mówił Edek z ożywieniem pokazując Basi wiszące na ścianach oprawne i zaszklone rysunki — to jest teatr. Teatr ogromny, na trzy tysiące widzów.

Basia się zaśmiała.

— Teatr? — spytała — zupełnie wygląda jak pudełko na kapelusze. Prawda?

— Ty się na tym nie znasz.

— Oczywiście. A gdzie ten teatr wybudowali? W Warszawie?

— Nie, to tylko taki pomysł tatka, fantazja. Tego nigdzie nie wybudowali. Teraz nie budują takich rzeczy.

Basia zatrzymała się przed oknem.

— Jaki tu ładny widok. To ładnie pomyślane, żeby tu zrobić takie

okno. Nie myślałam, że w Komorowie może być taki ładny widoczek. Te sosny są śliczne.

— Miałem je narysować — przypomniał sobie Edek kiwając dłonią — trzeba się będzie do tego kiedy zabrać.

— A naszego domu od was nie widać?

— Widać, ale tylko z łazienki i z mojego pokoju. Chcesz zobaczyć?

— Nie.

Edek zbliżył się do Basi stojącej w oknie. Patrzyła na sosny rosnące przed domem, ale Edek wiedział, że czuje jego bliskość. Stanął tuż przy niej. Serce mu biło jak młotem.

— Edek, nie bądź taki — powiedziała Basia proszącym tonem.

— Jaki? — spytał zdławionym głosem Edek.

— No, taki, jaki byłeś w Strykowie. Jak byłeś tylko co w kuchni.

— Jaki? Nie rozumiem — powtórzył chłopak.

— Wiesz sam. Taki obcy. Taki zimny. I nic nie mówisz. Żebyś ty wiedział, jak ja wtedy ciebie nie lubię, nie lubię.

— A żebyś ty wiedziała, jak ja wtedy ciebie lubię, lubię... — mówił Edek coraz bardziej zdławionym głosem i pochylając głowę pocałował Basię w szyję.

Dziewczyna się obruszyła.

— Co ty wyrabiasz? — zawołała i odwróciła się cała do Edka.

Edek wyciągnął ręce i obejmując Basię przycisnął ją do siebie.

— Kochasz? — spytał.

— Oczywiście — odpowiedziała.

A wtedy Edek przycisnął ją jeszcze mocniej i pocałował w domknięte usta.

Teraz czas do 22 lipca minął im szybko. Co prawda zauważył Edek, że Basia unikała pozostania z nim sam na sam. Na wszystkie spacery ciągała za sobą Włodka, a potem przed samym już świętem i Anielcię, która przyjechała do Komorowa, a stąd udała się na zlot do Warszawy.

Do domku Edwarda przez cały ten czas nie zaszła ani razu. Wywoływała tylko swojego młodego przyjaciela stałym sygnałem:

— Uhu! Uhu!

W dzień otwarcia MDM siedzieli od samego rana w Warszawie. Dzień był, jak wszyscy pamiętamy, upalny, słoneczny, niebieski. Edek z Basią nie przyłączyli się do swoich szkół. Kiedy inżynier zapytał Edka, dlaczego tak uczynił, Edek wzruszył tylko ramionami. Dopiero po pochodzie żałowali tego.

Wzruszył ich ten marsz młodzieży jasnej, wesołej, śmiałej.

— Patrz, oni wszyscy mają jasne czupryny.

— Tylko za długie — swoim basem spokojnie powiedział Edek.

I rzeczywiście wiatr stroszył chłopcom na głowach ich długie jasne włosy, jak strzechy słomianych chat.

— Przecież strzech u nas na wsi nie będzie — powiedział Edek Basi, kiedy mu coś o tym wspomniała.

Ale potem, kiedy fale młodzieży zalały szeroki, biały plac Konstytucji, kiedy nastąpił moment przysięgi, Edek przestał żartować. Wziął Basię pod ramię.

— Dobrze, Baśka! Słusznie — powiedział schylając się nad uchem dziewczyny — my z nimi! Prawda?

— Przede wszystkim nie możesz być niezrzeszony — powiedziała Basia — jaki ty jesteś aspołeczny!

— Za to jestem solidny — powiedział Edek.

Przeszły fale młodzieży, przeszły zespoły artystyczne w rytmie tańca, przeszli jak rzeźby piękni sportowcy z lasem sztandarów.

Gdy wszystko minęło, Basia i Edek znaleźli się sami na środku placu, trzymając się za ręce. Było już bardzo późno. Poczuli gwałtowny głód.

Chcieli więc ruszyć do domu, kiedy na pustym miejscu, które się naokoło nich zrobiło, zauważyli małego, może trzyletniego chłopczyka. Szedł bezmyślnie przed siebie i darł się w niebogłosy. Cała jego jasna twarzyczka zaczerwieniła się na policzkach, uszy miał purpurowe, z oczu spływały jasne, duże krople, a usta to szeroko rozwierał, to zaciskał kurczowo, łkając boleśnie.

Basia poskoczyła do dziecka i przysiadając przy nim zatrzymała je, a raczej chłopczyk wpadł na nią, nic nie widząc przed sobą, i gwałtownie chwycił ją za szyję.

— Do mamy... — wołał szlochając — do mamy.

Edek podszedł do Basi i również przysiadł przy małym. Usiłował rozkurczyć jego piąstki, które zawarły się na sukience Basi przy wycięciu.

— Co się stało? — zapytał — Co takiego?

Mały płakał bez przerwy.

— A gdzie twoja mama? — spytała Basia.

— Nie wiem... — powiedział chłopczyk pomiędzy jednym szlochem a drugim — nie wiem...

— To ładna historia — zaśmiał się Edek — co my z nim, Basia, zrobimy?

Basia nie traciła kontenansu.

— A jakże ty się nazywasz? — spytała.

Mały przestał płakać zupełnie nagle. Spojrzał na Basię przytomnie, jasnymi, przejrzystymi oczami i na twarzy jego odbił się wysiłek myśli.

— Darek — powiedział z powagą i grubym głosem. „R" wymawiał starannie, ale mu się jednak ześliznęło na „l".

Po czym znowu chlipnął i zdawało się, że zabiera się z powrotem do ryku. Ale zastanowił się i zatrzymał. Jasne krople zatrzymały się również na jego twarzy na końcu swoich dróg od kącików oczu do zaczerwienionych policzków.

Znowu popatrzył na Basię uważnie i prosto w oczy, a potem spojrzał na kucniętego Edka i coś jak cień tryumfalnego uśmiechu przemknęło mu po wargach.

— Darek — powtórzył znowu i znowu mu „r" na „l" zjechało — Darius Kryska.

Basia uściskała małego.

— Patrzcie go, jaki mądry — zawołała podnosząc go w górę. — No, jeżeli wiesz, jak się nazywasz, to jest już pół biedy.

Ktoś im poradził dać znać do megafonów.

— Poczekamy na matkę pod świecznikiem — powiedział Edek i skoczył do aparatury. Gdy się rozmówił z panem, który zapowiadał, wrócił do Basi. Spostrzegł jak szła, wysmukła i jak gdyby dumna przez plac, prowadząc uspokojonego Darka za rękę. Mały lizał karmelek, który mu dał ktoś spośród zebranych widzów.

— Darek Kryska prosi swą mamusię — padały przez megafon pretensjonalnie wymawiane wyrazy.

Edek bez słowa podszedł i wziął Darka z drugiej strony za rękę. Tak szli w kierunku środkowego świecznika, pod którym zamówiono spotkanie.

Basia rzuciła na Edka ucieszone spojrzenie.

— Chciałbyś mieć takiego? — spytała.

Edek zarumienił się, potem uśmiechnął i bez słowa kiwnął głową. Pochylił się nad Darkiem, ściskając drobną jego piąstkę w swojej łapie i nieco zachwianym głosem powiedział:

— Co ty za świństwo tu smokczesz?

— Cukielek — powiedział Darek. Wyjął swą rękę z dłoni Edka, wysunął czerwony karmelek z ust i pokazał go Edkowi.

Ale już leciała ku nim zaaferowana, wystrojona kobieta, z wypiekami na twarzy. Wyrwała im Darka prawie z ręki. Za nią biegł korpulentny pan w szarym ubraniu.

— Ja ci zawsze mówię... ty nigdy mnie nie słuchasz... — dobiegły ich uszu słowa pana.

Matka tymczasem zrzucała winę na Darka:

— Jak ty mogłeś? Jak ty mogłeś? — powtarzała.

Basia i Edek nawet nie doczekali się podziękowania uszczęśliwionych rodziców Darka.

Jeszcze Edek nigdy nie był taki wesoły jak w powrotnej drodze z Warszawy do Komorowa. Basia go nie poznawała, śmiał się, żartował, oczy mu błyszczały.

Kiedy wyszli z kolejki, było już dość późno. Szli w stronę swoich mieszkań. Edek wziął Basię pod rękę.

— Wiesz, Baśka — powiedział — muszę ci się pochwalić: czuję się bardzo szczęśliwy.

Basia zaśmiała się cicho.

— Dlaczego właśnie dziś?

— No, bo mi się ta młodzież podobała... i tak mi jakoś raźniej... i ten Darek taki miły... i ty...

— Co ja? — spytała Basia.

— Kocham ciebie — cichutko powiedział Edek.

— No? — nieokreślenie zagadnęła Basia.

— Chodź do nas na herbatę. Ojciec i Kołdusia czekają na nas.

Gdy weszli do mieszkania, rzeczywiście czekano na nich, ale oprócz ojca i Kołdusi ktoś jeszcze był w pokoju.

— O, Boże! — zdziwił się Edek — Staś!

Od stołu podniósł się wysoki, przystojny młody człowiek. Gładko przyczesane włosy błyszczały pomadą. Duże, niebieskie oczy ocieniał brązowy kolor ciężkich powiek. Poruszał się jakoś ociężale i pretensjonalnie zarazem.

— Jak się masz, bracie — powiedział.

Usiedli przy stole.

— Ale ty wcale nie jesteś podobny do brata — powiedziała Basia do Edka porównując ich oczami.

— Dół twarzy mają bardzo podobny — powiedział inżynier — uśmiech i zęby. A poza tym są rzeczywiście zupełnie inni.

— A który ładniejszy? — spytał Staś przekręcając nieco głowę i patrząc bokiem na Basię.

Uśmiechnął się na to tylko ojciec.

Kołdusia przyniosła odgrzany obiad dla Edka i dla Basi. Posłyszała powiedzenie Stasia.

— A bo wszyscy zawsze mówią Stasio, Stasio — wtrąciła się — że taki piękny. A dla mnie Edzio daleko ładniejszy.

Pocałowała go przelotnie w głowę.

Edek się zaśmiał.

— Ja się tylko Kołdusi podobam — powiedział — będę się musiał z Kołdusią ożenić.

— E, tam — machnęła Kołdusia fartuchem — pan Edzio to nie powinien jeszcze o żeniaczce myśleć. Pan Staś to tak. Stary już jest... — zaśmiała się i poszła do kuchni.

Basia jadła z apetytem i z wielkim ożywieniem opowiadała o całej uroczystości. Była przy tym taka ładna, że zarówno Staś, jak i jego ojciec, patrzyli na nią z prawdziwą przyjemnością. Edek także zajadał, ale milczał. Cały jego dobry humor, całe usposobienie do żartów znikło natychmiast po przyjeździe do domu. Niechętnie popatrywał na Stasia, który zdawał się nie zwracać na niego uwagi. Jego jasne oczy w ciemnej oprawie połyskiwały uwodzicielsko. Mówił ze specjalną, bardzo wyraźną dykcją. Na tej dykcji była oparta cała jego kariera piosenkarska, gdyż głos miał nieduży i nie bardzo wdzięczny.

— Pani to tak ślicznie wszystko opisuje — powiedział — że mi się po raz drugi chce to zobaczyć... Pani oczami spojrzeć i mieć pani entuzjazm.

— A panu się nie podobało? — spytała Basia.

— Owszem, bardzo nawet. Ale jeszcze chciałbym mieć pani młodzieńczy entuzjazm.

— Brak panu entuzjazmu? Przecież pan jest artystą!

Staś się zaśmiał.

— Taki to tam i artysta — powiedział uprzejmie.

— No, w każdym razie chleb z tego masz — powiedział poważnie inżynier.

Edek obrzucił dyskretnym, ale uważnym spojrzeniem postać Stasia. Miał na sobie piękne, ciemnobrązowe ubranie, doskonale skrojone, kremową koszulę i żółty fularowy krawat w dyskretny niebieski deseń. Pachniał przy tym zagranicznym mydłem do golenia.

Staś, mimo pozorów, widocznie dawał baczenie na Edka, bo złapał jego wzrok przesuwający się po krawacie.

— Ach, wiesz, braciszku — powiedział pretensjonalnie i to „braciszku" zabrzmiało jak wyzwisko — przywiozłem ci prezent. Masz!

Sięgnął za siebie na okno i wydostał zza firanki małą paczuszkę.

— Prawdziwe paryskie — przysłali koledze — dodał.

— Pokaż, pokaż — zawołała Basia klaszcząc w ręce.

— Dziękuję ci bardzo — obojętnie powiedział Edek i rozwinął paczkę. Był tam zielony krawat w białe desenie i taka sama chusteczka.

— Ach, jakie śliczne — powiedziała Basia.

Wszyscy obejrzeli krawat i chusteczkę i Edek spokojnie odłożył to na boczny stolik. Nie podobało mu się.

— Napijemy się — powiedział Staś wznosząc kieliszek.

Tylko inżynier napił się z nim.

— Opowiedzże nam, Stasiu, coś o sobie. Tak rzadko pisujesz — powiedział ojciec stawiając kieliszek na stole — nie żenisz się?

Staś z uśmiechem popatrzył na złoty pierścionek z szafirem, który miał na czwartym palcu prawej ręki.

— A po co mi? To wielki kłopot — małżonka...

— Ty wolisz żyć bez kłopotów — uśmiechnął się inżynier.

Edek smarując chleb masłem spojrzał na brata z pogardą i irytacją.

— Cóż tak na mnie patrzysz? — powiedział Staś, który znowu przyłapał ten wzrok.

— Uważam cię za lekkomyślnego — powiedział bez uśmiechu Edek — a przecież jesteś starszy brat...

— Och, Edek — szepnęła Basia — ty jesteś niemożliwy.

— Zaśpiewaj co — powiedział inżynier do Stasia.

— Nie, nie chce mi się. A przy tym nie ma akompaniamentu. Ale macie gramofon?

— Jest adapter — zauważył Edek

— No, to założę wam parę moich płyt.

— Przywiozłeś?

— Przywiozłem. Chciałem przecie, aby tatek posłyszał, jak śpiewam.

— W radio słyszę czasami.

— Och, moje płyty tak rzadko nadają przez radio.

Staś wstał. Był wysoki, smukły, zgrabny, znacznie wyższy od Edka. W przelocie jak gdyby, nalał sobie jeszcze wiśniaku i wypił. Ten jeden gest wychylania kieliszka miał trochę ordynarny.

Nastawił płytę. Edek się nie poruszył i zajadał w dalszym ciągu. Basia znalazła się koło adaptera.

Płyta zaszumiała, zatrzeszczała i potem rozległa się czuła melodia. Zaintonował ją klarnet, powtórzył saksofon.

— Zatańczymy? — zwrócił się Staś do Basi.

W milczeniu wyciągnęła ręce.

Rozległy się słowa piosenki śpiewanej przez Stasia.

...Bo ta melodia la la la
do twoich stóp upada la la la
kiedy melodii twego śpiewu la la la
gest twojej ręki odpowiada la la lala!

Każde słówko toczyło się jak perła. Inżynier się uśmiechał. Kołdusia zjawiła się znowu. Staś tańczył z Basią na szczupłym wolnym kwadracie, jaki pozostawał w zastawionym meblami pokoju. Wykręcał się trochę zanadto, ale tańczył ładnie. Basia była bardzo ubawiona.

Gdy płyta skończyła się, Staś zatrzymał się z uśmiechem:

— To zabawne tańczyć tango przy własnym śpiewie — powiedział.

— I ty się nie wstydzisz śpiewać podobne bzdury? — spytał nagle swoim głębokim basem Edek i w głosie drżały mu nutki rozdrażnienia.

Basia klasnęła w dłonie.

— Edek, co ty pleciesz? — zawołała — takie śliczne tango.

— No, to teraz co innego — powiedział Staś i założył nową płytę. Rozległy się jakieś skoczne tony.

...pytała mi się,
czy znasz Ludwisię...

poleciały znowu idiotyczne perełki jego dykcji.

Porwał tym razem Basię bez pytania i wirował z nią na jednym miejscu.

— Panie Stasiu — broniła się — w głowie mi się kręci!

Zatrzymali się w końcu. I płyta stanęła.

Inżynier i Kołdusia bawili się razem z nimi. Inżynier tylko udawał, że nic nie widzi. Zajadał jeden kaławek chleba za drugim.

— Niech no Kołdusia przyniesie mi jeszcze herbaty — powiedział, kiedy spostrzegł zbyt wiele zachwytu na twarzy starej kucharki.

— A ty nie zatańczysz? — zwrócił się do Edka ojciec.

— Chyba z Kołdusią — wzruszył ramionami Edward.

Basia podeszła do Edka i przez stół wyciągnęła do niego rękę.

— Edek — powiedziała — nie bądź znowu taki. Ja się dziś cały dzień tak dobrze bawię. Taki piękny dzień.

Staś tymczasem nastawił nową płytę.

— Zatańcz — powiedziała jeszcze Basia.

— Widzisz przecie, że jem — mruknął Edek nie wstając.

Staś znowu wziął Basię do tańca.

Inżynier zrobił do Edka minę oznaczającą: „nie chmurz się, synu, nie warto!", ale Edek udał, że jej nie widzi.

Staś stanął po tym tańcu nie puszczając rąk Basi i zawołał:

— Za mało par tutaj, za smutno. Kiedy pomyślę sobie, że teraz na placu Konstytucji tańczą tysiące ludzi...

I nagle krzyknął:

— Panno Basiu, jedziemy na plac Konstytucji.

Basia się tylko roześmiała, a Edek patrzył na Stasia jak na wariata.

— Gdzie pojedziecie teraz wieczorem — niechętnie powiedział inżynier, rzuciwszy przelotne spojrzenie na Edka — przyjechałeś na tak krótko...

— Jutro cały dzień będę u ojca, cały dzień. A dzisiaj niech mi tatek da się wytańczyć. No, co? Jest pół do ósmej, za trzy kwadranse będziemy w Warszawie... dwie godziny tańca, na jedenastą będziemy z powrotem. Gdzie mój kapelusz?

Porwał z kąta pokoju jasny, puszysty kapelusz i nakładając go zawadiacko na ciemne włosy, mazurowym krokiem przebiegł całe mieszkanie.

— Jedziemy, panno Basiu, jedziemy — wołał już z ogródka. Basia ze śmiechem poleciała za nim. W progu stanęła.

— Poczekaj na mnie, Edek — powiedziała — ja wrócę wcześnie.

— I poleciała — wzruszył ramionami inżynier.

Edek nic nie powiedział, ale znowu uparcie ukrajał kawałek chleba.

Przez chwilę ojciec i syn milczeli. Inżynier wstał i zgasił górne światło. Paliła się tylko na stole duża lampa, przykryta batikiem.

Inżynier nalał sobie duży kieliszek owocowego wina i popijał zwolna. Patrzył spod oka na Edka, który zjadł, otarł usta i zwykłym gestem, siedząc, wyprostował nogę, aby wyjąć z kieszeni papierośnicę.

Inżynier uśmiechnął się patrząc, jak zapala papierosa. Edek spostrzegł ten uśmiech.

— Drwisz ze mnie — powiedział.

— Nie mogę się przyzwyczaić do twojego palenia — inżynier powściągnął uśmiech i zmrużył nieco oczy.

— Jeszcze do niejednego będziesz się musiał przyzwyczaić — powiedział dość ponuro chłopiec.

— Nie uprzedzaj mnie co do najgorszych rzeczy — zaśmiał się znowu inżynier — i tak się o tym dowiem.

— Taki pewien jesteś, że o wszystkim się dowiesz? — Edek śledził dymek z papierosa.

— Wiesz, że nie lubię, kiedy tak mówisz — inżynier wzruszył ramionami — stylizujesz się na jakiegoś demona.

— Nie na demona — poprawił obojętnie Edek — tylko na rozczarowanego.

— Niech będzie na rozczarowanego. Jesteś niegłupi i dobry chłopak, nie lubię tych nieszczerych min.

— Nie możesz wiedzieć, co się pod takiemi „nieszczerymi“ minami kryje.

— Bardzo trudno zgadnąć — znowu obruszył się inżynier — chyba nie wątpisz o tym, że wiem dokładnie, co przeżywasz w tej chwili.

— No co? — dość ordynarnie powiedział Edek, patrząc arogancko na ojca.

— Och, byle nie z tego tonu, mój Edwardzie — powiedział inżynier bardzo chłodno — nie potrzebujesz się przede mną wywnętrzać.

— Bo ojcu się zaraz zdaje, że mnie to strasznie obchodzi, że Stanisław zabrał Basię do Warszawy. A to mnie nic nie obchodzi...

— Widocznie trochę cię to obchodzi, boś go nigdy nie nazywał Stanisławem...

— A jak go mam nazywać? Stasieczkiem? To Kołdusia tak nazywa swego faworyta.

— I to także nieprawda — w dalszym ciągu spokojnie mówił inżynier — wiesz dobrze, że od urodzin byłeś ulubieńcem Kołdusi. Jesteś rozdrażniony i niesprawiedliwy. Niczego tak nie należy unikać w życiu, jak pochopnych sądów.

— Bardzo ci dziękuje za naukę — powiedział Edek tonem, jakiego ojciec nigdy u niego nie słyszał. — Postaram się postępować w myśl tej zasady i nigdy nie pomyślę, że Staś jest powierzchowny i idiotyczny cymbał i że ludzie nie są pomyleni, kiedy płacą mu olbrzymie sumy za te nieprawdopodobne głupoty, które on wyśpiewuje. I nie powiem, bo to może będzie sąd nazbyt pochopny, że powielanie takich płyt w Polsce Ludowej to nie tylko wyrzucanie pieniędzy za okno, ale po prostu szkodnictwo. I nie powiem, że to świństwo ubierać się w angielskie materiały i nosić francuskie krawaty, a nie przysyłać ani grosza tobie, tatek, który musisz pracować i na siebie, i na mnie — tu mu głos lekko się załamał — i nie powiem, że jest świństwem przyjść do domu i zabrać bratu sprzed nosa dziewczynę, pojechać z nią do Warszawy i nawet dla przyzwoitości nie zaprosić brata, żeby też pojechał... boję się, że moje wszystkie sądy są „zbyt pochopne".

Inżynier z lekko otwartymi ustami patrzył na Edwarda i w najwyższym zdumieniu wysłuchał tego całego przemówienia.

Edek umilkł wreszcie i gestem niecierpliwości i zniechęcenia, który się wydał inżynierowi niezwykle „dorosłym", zmiażdżył niedopałek papierosa w popielniczce.

— Widzisz, Edek — powiedział po chwili ojciec — jednak przejąłeś się tą sprawą.

— Pewnie, że się przejąłem.

— Jesteś zazdrosny o Basię? — spytał inżynier.

Edek nie odpowiedział. Twarz jego, rozbudzona przed chwilą i zdra-

dzająca silne wzruszenie, jak gdyby się uspokajała, chłodła, zamykała się. Stawała się niedostępna i zakrywała się przyłbicą pozornej bezmyślności.

— Wierz mi, synu — powiedział wtedy inżynier S. — nie warto. Żadna kobieta nie zasługuje nigdy na to, aby być o nią zazdrosnym. Skoro daje powód do zazdrości, to już na tę zazdrość nie zasługuje. Wydaje mi się, kochanie, że od jakiegoś czasu zacząłeś przywiązywać zbyt dużą wagę do uczuć erotycznych. Rozumiesz przecie, Edek, że cały świat nie opiera się tylko na miłości do kobiet.

Edek słuchał uważnie, patrząc zmrużonymi oczami na lampę.

— Nie opiera się na miłości do kobiet. To nie jest najważniejsza rzecz w życiu. Chyba to rozumiesz. No, na przykład, nasz zespół, nasze biuro projektów, cóż byśmy robili, gdybyśmy, tak jak ty, za najważniejsze sprawy świata uważali nasze sprawy osobiste. Żebyśmy się kochali, żebyśmy się rozwodzili, żebyśmy byli zazdrośni... To się w głowie nam nawet nie może pomieścić. Dlaczego? Dlatego, że są w życiu sprawy ważniejsze od miłości i one to są istotą naszego życia, nimi żyjemy...

— I ty się nigdy nie kochasz? W nikim?

— Kiedyś tam — zmieszał się inżynier — w waszej matce, na przykład, no tak!...

— E, w matce — rozczarował się Edek.

— No, cóż chcesz, taką mam naturę...

— Mnie się wydaje, że miłość to rzecz najważniejsza w świecie...

— I mylisz się, syneczku. Pomyśl, jak ważne są sprawy narodu, zbiorowość. Jakie ciebie w życiu czekają zadania, ciebie, młodego Polaka. W życiu naszej ojczyzny masz odgrywać taką rolę. Jakże można się zasklepiać w tak egoistycznych uczuciach?

Edek znowu zapalił papierosa.

— Czy nie za dużo, synu? — spytał inżynier.

— E, dla uczczenia takiej ważnej rozmowy — zaśmiał się Edek i twarz mu się znowu rozjaśniła — przecież myśmy nigdy tak nie gadali.

— Właśnie, chciałbym, abyś mnie zrozumiał.

— Nie, ja rozumiem — powiedział Edek wstając i zaczynając chodzić po pokoju — ja zawsze rozumiem. Nieraz zadawałem sobie pytanie, czy miłość nie jest czasem sobkostwem, egoizmem. Czymś, co nas oddziela od społeczeństwa. Ja pamiętam wyjazd Marysi... ona odrzucała nas, i ciebie, rodzinę, dom, wszystko... bo kochała tamtego. Widzisz, wtedy zrozumiałem...

Pochodził jeszcze chwilę, potem usiadł w cieniu, w kącie.

— No i co? — spytał inżynier.

Rozumiem, że będę się musiał tego wszystkiego wyrzec. Nie mogę być odludkiem. Zdecydowałem się wstąpić do ZMP. Tak, trzeba było tylko tego pretekstu, żeby zerwać z Basią. Ta miłość mi strasznie przeszkadzała. Miłość to straszna w życiu przeszkoda, prawda, tatek?

— No, nie zawsze — uśmiechnął się inżynier — czasami bardzo pomaga. Nie trzeba być doktrynerem, nie można odrzucać szczęścia...

— Kiedy ja miłość odczuwam jak nieszczęście, coś, co się na mnie zwaliło niepotrzebnie i nieoczekiwanie.

— Tak, miłość czasami bywa nieszczęściem — zastanowił się inżynier patrząc w okno.

— Patrz, Marysia, Krysia — powiedział Edek z dziwnym akcentem w głosie, z pewną trudnością wymawiając imiona, których dotychczas nigdy przy ojcu nie wymawiał — jakie to dla nich było nieszczęście.

— Tak, to prawda — powiedział inżynier opuszczając głowę.

Po chwili podniósł ją jednak i popatrzył w stronę syna, widział tylko jego gołe ramiona w cieniu.

— Musisz się tego wyrzec — powiedział cicho.

— Już się wyrzekłem — westchnął chłopiec — tylko mi trochę ciężko

Chwilę jeszcze milczeli. Ćmy rozbijały się o niebieskawy batik osłony na lampie. Edek podniósł się.

— No, dobranoc, stary — powiedział zbliżywszy się do ojca i musnąwszy go wargami w czoło — dziękuję ci.

Inżynier nie odpowiedział, ścisnął go tylko za ramię. Siedział nieruchomo przy stole patrząc w jeden punkt. Po chwili słyszał już kroki syna w pokoju na górze. Czekał, aż zdejmie buty i ciśnie je o ziemię. Ale Edek wprost od drzwi podszedł do łóżka, inżynier słyszał to wyraźnie, i od razu w jego pokoju zapanowało milczenie. Inżynier nasłuchiwał przez chwilę, a potem sam zabrał się do spoczynku. Otworzył tapczan i wydobył posłanie. Poszedł do kuchni odnosząc trochę brudnych naczyń, Kołdusi już w kuchni nie było, spała u siebie.

Inżynier wrócił do swojego pokoju i znowu nasłuchiwał. U Edka w dalszym ciągu panowała zupełna cisza. Zaniepokoiło go to.

Wrócił jeszcze raz do kuchni i cichutko zakradł się na górę, przed drzwiami pokoju syna chwilę się zatrzymał. Nigdy tu nie przychodził.

Bez pukania otworzył drzwi i wszedł. Słaba lampa przy łóżku oświetlała pokój. Okna w mansardach świeciły granatową letnią nocą, pokój był bardzo nagrzany. Edek ubrany leżał na łóżku z głową wciśniętą w poduszkę.

Inżynier szybbko zbliżył się do syna.

— Edek! Co ci jest? — spytał gorączkowo.

— Niech tatek sobie idzie — rozległ się zapłakany głos z poduszki — ja się wstydzę. Niech tatek sobie idzie!

Inżynier siadł na łóżku i położył dłoń na wstrząsanych łkaniem plecach chłopca.

— Uspokój się, Edek — powiedział cichutko — czy to warto?

I jednocześnie poczuł ukłucie w sercu, ukłucie żalu, zazdrości, szalonej miłości, której mu już nic nie odpłaci.

— Przeze mnie nigdy nie będzie tak płakał — pomyślał — a ja?

Nachylił się nad synem, przycisnął go ramieniem. Dawno go już nie dotykał. Wydało mu się to duże, mięsiste ciało czymś ze wszech miar obcym. Czuł lekki, nieprzyjemny odór męskiego potu. Zupełnie nie mógł sobie wyobrazić, że to jest jego dziecko, ten mały Edek, trochę zaniedbany w dzieciństwie, kiedy Staś był pierworodnym, a Krystyna i Marysia panoszyły się jak kwiaty. To dojrzałe, płaczące mężczyźnisko napełniało go lekką odrazą, którą musiał przezwyciężyć. Było mu go bardzo żal, ale tak jakby mu było żal każdego obcego chłopaka, pogrążonego w rozpaczy. Większą litość odczuwał dla samego siebie, poczuł się nagle bardzo samotny. Odczuł boleśnie pustkę domu, Komorowa, Warszawy.

— Nie, nie — powiedział do siebie nieco sztucznie — tam są koledzy w Warszawie. Pracujemy razem...

Przypomniał sobie ich ironiczne spojrzenia i potrząsnął głową.

Edek wziął szept ojcowski do siebie. Chlipał jeszcze w poduszkę.

— Ja wiem, ja wiem — powtarzał.

Inżynier otrząsnął się z własnych myśli. Przeciągnął dłonią po kości pacierzowej syna i powiedział:

— Daj spokój! Ona nie warta jest twoich łez.

Edward podniósł głowę z poduszki, twarz miał zaczerwienioną: odcisnęły się na niej w tatuowany wzór desenie poszewki. Wytarł nos chustką, którą trzymał w ręku.

— Ja wiem, że nie warta — chlipnął jeszcze parę razy, zupełnie jakby miał trzy lata, jak Darek — a ja myślałem, że warta.

Inżynier wzruszył ramionami.

— Śpij teraz. Rozebrać cię?

— Tatek zwariował.

— No, bo beczysz jak bobuś, myślałem, że trzeba cię traktować jak dziecko.

— Też coś — chlipnął jeszcze Edek.

Mimo to dał sobie ściągnąć pantofle.

— Pobrudzisz czyste prześcieradło butami. Kołdusia się zmartwi — powiedział.

Woń potu stała się jeszcze mocniejsza. Inżynier wstał z łóżka i zbliżył się do drzwi.

— Rozbierz się i śpij — powiedział — dobranoc.

Poszedł do siebie gasząc po drodze światło. Tapczan był już posłany, rozebrał się szybko i położył. Czuł, że dziś długo nie zaśnie. Jeszcze nigdy nie czuł tak bardzo obcości własnych dzieci. „Mają prawo do własnego życia — myślał — do własnych losów, wybierają na własną rękę i ja już nie znaczę dla nich nic, nic, nic..."

Przypomniał sobie Stasia i jego bezczelne spojrzenia spod jasnego kapelusza, jego taniec z Basią. Obcy, nieprzyjemny człowiek. A Edek?

Patrzył na granat otwartego okna. Z szelestem nagle opadł jakiś ptak na parapet. Spojrzał — to był biały gołąb.

— Nie zamknął nawet gołębi na noc — pomyślał.

Wybiła jedenasta.

Nagle usłyszał pod oknem jakieś szybkie kroki po żwirze. Ktoś skrzypnął furtką i obszedł dom naokoło. Inżynier zamarł.

Kroki stanęły naprzeciwko mansardy. Inżynier posłyszał cichutkie, ale to bardzo cichutkie wołanie:

— Uhu! uhu!

Potem chwila ciszy. I znowu lekkie uderzenie. Ktoś rzucił kamyczkiem w okno pokoju Edka. I znowu:

— Uhu! uhu!

Inżynier usłyszał nad sobą ciche kroki zdążające w stronę okien. Doleciał go szept:

— Basia? To ty?

— Ja.

Głosy zamilkły. Inżynier leżał jak trusia. Słyszał otwarcie drzwi na górze i ciche stąpania bosych stóp po schodach na dół.Otworzono kuchenne drzwi i ktoś wchodził znowu po schodach do pokoju Edka. Tym razem chłopak nie był sam.

Drzwi na górze otworzyły się i zamknęły, potem nic nie było słychać. Nagle usłyszał tupot prędkich kroków Edka od łóżka do drzwi, cichy zgrzyt przekręconego dwa razy klucza i równie szybki powrót kroków do łóżka.

Potem nastała cisza.

Inżynier S. bardzo długo nie mógł zasnąć. Lecz potem przyszedł sen czarny i kamienny.

Nazajutrz trzeba było wstać o szóstej, żeby nie spóźnić się do biura. Dzień był znowu pogodny i niebo niebieskie. Inżynierowi ubieranie się przychodziło z lekkim wysiłkiem.

Słońce wschodziło już później i nie oświetlało dobrze łazienki o tej wczesnej porze. Do golenia trzeba było ustawić lusterko na oknie. Okno to wychodziło wprost na dom sąsiadów. Kiedy inżynier, goląc się, rzucił okiem w stronę tej willi, ujrzał naprzewko siebie, za taką samą szybą, głowę Basi. Słońce padało pełnym światłem na ścianę domu, na szybę i na twarz dziewczyny. Spostrzegła i ona inżyniera i patrzyła na niego bez uśmiechu. Stali tak naprzeciw siebie może minutę, może dwie. Nie ulegało wątpliwości, że Basia patrzyła na niego poważnie, ale z tryumfem.. Coś jakby nawet odrobina pogardy malowała się w jej wielkich oczach.

Ta chwila wydała się inżynierowi wiekiem, czuł się zmiażdżony, upokorzony, ale nie śmiał odwrócić wzroku. Nagle zza willi ukazało się stado gołębi. Wzniosły się nad czerwonym dachem jak garść białych papierków, rzuconych niewidzialną ręką w powietrze. Twarz Basi na tle jasnej ściany domu, otoczona przez chwilę chmurą ptactwa, wyglądała jak na obrazku. Inżynier uśmiechnął się z trudnością, a potem odwrócił głowę. Basia odpowiedziała uśmiechem i odeszła od okna.

Gdy inżynier siedział przy śniadaniu podanym mu przez nachmurzoną Kołdusię, ze zdziwieniem posłyszał kroki syna na schodach.

— Jak się masz, tatek — powiedział Edek wesoło.

Inżynier z piekącym żalem obserwował lekkie niebieskie cienie na ukochanych powiekach. Nigdy jeszcze Edek nie miał takich. Czasem wstawał z głębokimi, daleko sięgającymi cieniami na policzkach. Inżynier wiedział, co one oznaczają. Tak szafirowych i tak lekkich nie widział nigdy. Drobny ten szczegół zmieniał bardzo wyraz twarzy Edka.

— Coś się tak wcześnie zerwał? — spytał syna — myślałem, że odeśpisz wczorajszy wieczór.

— Trzeba korzystać z wakacji — powiedział Edek, bez pytania nalewając sobie herbaty z ojcowskiego czajnika. — Wiesz, tatek — dodał już jedząc — ta świnia Stasiek spotkał na MDM-ie jakichś swoich znajomych i poszedł z nimi na kolację, a Basię wsadził do kolejki i powiedział „do widzenia".

— To rzeczywiście ładnie — zdziwił się inżynier — widziałeś już Basię?

Edek zarumienił się.

— Jeszcze wczoraj wieczorem — powiedział — przyszła mnie przeprosić.

Inżynier nie pytał o szczegóły.

— Nie zamknąłeś wczoraj gołębi. Latały dziś od rana — powiedział.

— Właśnie. Popsuły mi się te wyloty. Zaraz się zabieram do pracy. Jak mi się te gołębie rozwłóczą, to wszystko na nic.

Inżynier zdziwił się lekko, ale już musiał się zbierać do wyjazdu.

— Słuchaj, tatek — powiedział Edek — zostaw mi arkusz albo dwa papieru do rysowania. Albo najlepiej zostaw mi klucz od szuflady z papierami. Muszę wreszcie narysować te sosny przed domem!

— Tyle razy miałeś już je rysować — z wątpliwością w głosie powiedział inżynier.

— Tak. Ale teraz muszę: obiecałem Basi.

Inżynier sięgnął po teczkę. Leżała obok syna. Edek podał mu ją i podając spojrzał ojcu w oczy.

— Coś ty taki dzisiaj? — spytał.

— Jaki mam być? — wzruszył ramionami inżynier.

Edek objął go przez plecy.

— Nie myśl o wczorajszym. Byłem głupi. Zajmę się znowu gołębiami — dodał, jakby go chciał pocieszyć — no, i muszę popracować nad rysunkiem. W ogóle życie jest piękne. Prawda, tatek?

Inżynier poczuł lekkie ukłucie po lewej stronie piersi i powiedział bez przekonania:

— Prawda, synu!

Jarosław Iwaszkiewicz

1952

DWIE RĘCE

Dwie młode dłonie. To dziewczyny piąstka
Skupiona w sobie, ogarnięta ciepłem
Przewodniej dłoni męskiej. Ręce młode,
Dojrzewające razem. W ich złączeniu
Ciał, myśli wspólność uwita, splecionа
w gorące gniazdo, gniazdo rozśpiewane:
— Razem będziemy chatą, mężem, żoną.

Dwie ręce, które odnalazły siebie,
I śpiewającym gniazdem dojrzewają:
— Razem będziemy chatą, mężem, żoną,
Dniem pracy, nocą wspólną, i porankiem,
I wieczorami, każdą doby porą.

Dwie ręce — komu zjawione na ścieżce
W wiosenny wieczór, przy zielonym polu?
Komu jak lampka różowa świetlika
Zabłysnął ognik w połączonch dłoniach?
— Razem będziemy chatą, mężem, żoną.
U nas błyszcz świetlistą zapala się barwą,
Jak wśród szałasu, z którego dom wzrośnie.

Nam — chata, izba w chacie, i ognisko.
Niosą je ręce dwie przymknięte wiernie.
Niosą ogieniek różowy wśród dłoni.
Jakby w kołysce ciepłe życiem dziecko.
— Witaj, izdebko najprostsza,
Rodzinna chato miłości w dwu dłoniach!

MACIERZYŃSTWO

Pod sercem, w jego korzeniach, jak w mroku,
Owoc nieznany. Już czuję go życiem.
Rośnie. Jak rośnie? Kto? Matka — a nie wiem.
A kiedy rośnie we mnie, drżę z obawy,
By biorąc życie ze mnie, nie wziął mroku —
Cienia, co splótł się z życia mego światłem.

Gdy jestem jeszcze ciągle nim — w kołysce
Pod moim sercem pąk maleńkiej głowy,
Zawiązek mózgu, przyszły kwiat człowieka.
Jak się rozwija? Czym będzie? Drżę z lęku,
By biorąc myśli me, nie wziął ich mroku.

Matka, znająca siebie, drżę z obawy
O jeden strumień mej myśli — ten ciemny,
Z czarnego źródła, które — wiem — jest we mnie.
Może w klateczce wiążącej się czaszki,
Jak powstającej grocie, z myśli moich
Rodzi się narośl przyszłych stalaktytów,
Rzeźbią się kształty, zarysy umysłu?
Nie wiem, co z życia mego weźmie dziecko,
I drżę z obawy, by nie wzięło mroku.

Matka, a nie wiem, jak zamknąć, przytłumić,
Jak ukryć ciemne, czające się źródło,
Niedobry strumyk myśli, czarną wilgoć,
Pleśń, co jak sepia, jak dym smolnych łuczyw
Może się wżreć i zatruć nasionka
Myśli, co w pąku dziecka mego rosną.

O strugo ciemna, jeśli czarną pianą
Chcesz skazić jego umysł, upodobnić
Do tej niegodnej skrytki mroku złego,
Wyschnij wraz ze mną, zniknij razem ze mną.
Matka wiedząca, ceną wczesnej śmierci
Okupię jasną mądrość przyszłej głowy.

Gdy jestem jeszcze ciągle nim, gdy wspólna
Krew nas ożywia, rośnie mój niepokój.
Boję się, aby drobiazg, co ma sercem
Stać się mojego dziecka, serce przyszłe,
Nie było pełnym dzieckiem mego serca.
Bo mam ją w sobie, mam tę ciemną stronę,
Mroczną połowę. Jakże ją ukryję,
Czymże zasłonię tę cząstkę sczerniałą,
Nadżartą rakiem? Jakże nie dopuszczę
Strumienia jadu w kiełkujące serce?

Ach, bez tej skazy, mam różę bogatą
Czerwienią, bielą, wonią. Rozkwitnięta
Schyla się nad tym pąkowiem, jak zdrowie,
Jak dobroć piękna i piękno dobroci.
Ale i ciernie kwitnącego serca
Mam. Może zdołam wyhodować ostry
Mur nieprzebyty, kolczastą gęstwinę,

Pancerz ochronny nad sączącym mrokiem.
Może potrafię osobiste szczęście
W tkaninę cierni, zwartą ściankę bólu
Przemienić — choćby umrzeć śmiercią wczesną,
I przez nią zbawić to serce w kołysce,
Co dzieckiem serca mojego wyrasta.

Ach, nie ofiara, pełne szczęście matki,
Jeżeli światu przyniesie człowieka
O czystym sercu i jasnym umyśle.

Stanisław Czernik

POWRÓT

Nad pustkowiem, które było moim miastem,
w niebie o świtaniu gwiazdki błysły jasne.

Każda gwiazdka nisko drży, gdzie dom był niegdyś,
aż ją gasi ranek, niczym stróż przebiegły.

Chłopka stertę chrustu dźwiga w płachcie zgrzebnej:
wokół osty świecą, jak lichtarze srebrne.

Lecz już słońce kości stare jej przygrzewa,
mgła opąda w polu, taje szron na drzewach.

Ścieżką chłopka skręca, kroki stawia szybciej,
patrzy: nauczyciel idzie — niesie skrzypce.

BALLADA O ICKU MANGERZE

W Kraśniaku na ławce, sam pod niebem gwiezdnym
leżał Icek Manger, wielki mistrz poezji.

Chociaż nocleg twardy, kości już przywykły,
z gałęzi na gałąź dwa skakały szczygły.

Sfrunął gil z topoli, szpak przywołał szpaka,
przyleciały z Gęsiej, nawet znad Pawiaka.

Uczył je poeta, krawczyk z miasta Jassy,
różne „dojny" śpiewać, także inne szpasy.

Piosnki do Warszawy przywiózł z Besarabii,
mogłyby te piosnki sięgać gwiazd bez drabin.

Ale cóż po gwiazdach, kiedy ludzie oczy
takie mają smutne na Dzikiej i Smoczej.

Gwiazdy można z Wisły łowić i przetakiem,
ale nocą księżyc krwawi nad Pawiakiem.

Cóż, że noce miękkie, rzekłbyś, aksamitne,
kiedy ktoś w nie rzucił beczki z dynamitem...

Na ławce w Kraśniaku zasnął Manger Icek,
czuwał nad nim ptak, i sanacyjny szpicel.

W KARKONOSZACH

Słońcem zalana poręba,
sosny stoją w pozłocie.
Światłem spłoszona zięba
niebieszczeje w przelocie.

A już wyfrunął cietrzew
z dna ciepłego przełęczy.
Koła światła w powietrzu
o siedmiu kolorach tęczy.

Jakbyś w nie kamień z procy
cisnął, sięgnąwszy słońca...
Stąd zieleń jaśniejsza paproci
i migotanie zaskrońca.

MOST

Śniło mi się, że się w most zamieniam,
ciało me wygięte niby przęsło
drgało, gdy na Wisłę padłem cieniem;
blask słoneczny palił mnie pod rzęsą.

Pode mną łódka przeszumiała żaglem,
człowiek szedł — skupiłem się ogromnie,
żeby czasem się nie rozgiąć nagle,
nim wyprostowany przejdzie po mnie.

Arnold Słucki

PUCH OSTU

Niech słowo jak puch ostu leci...
Kochałem kwiaty, lalki, dzieci,
Marki i grzyby, wsi i miasta,
Gwiazdy — zwierzęta — nawet chwasty.
Kochałem książki zapylone,
Usta wilgotne — morza słone,
Bursztyny złote jak dziewczyny,
Dziewczyny złote jak bursztyny.
Kochałem żabie, głupie chóry,
I niewysokie, ciche góry.
Kochałem mury wpół zwalone,
Patyną wieków uskrzydlone.
Kochałem biednych, prostych. Stroje
Ludowe, piękne. Gdy przekroję
Serce, jak rzeski miąższ cytryny,
Znajdę kącików pęk wciąż inny.
A w każdym jakieś ukochanie,
Umiłowanie, zadumanie.
Nie tyle miodu w leśnym plastrze,
Ile me serce wciąż bogatsze,
Ukochań pełnych słodkiej treści,
W sobie ukrywa, w sobie mieści.

Kto mnie tak bardzo umiłował,
I tyle sercu dał mojemu?
Żem nic nie strwonił, wszystko schował,
Jak ziarno w łono czarnoziemu.

Kto mi pozwolił szperać, szukać,
Znajdować, tracić, znów zyskiwać.
I czemu nie szła w las nauka,
I czemu kwitła co rok iwa?

A jeślim czasem coś porzucił,
O czymś zapomniał, coś utracił,
Jak chętnie po to bym powrócił.
Jak chętnie o to się wzbogacił.

Jan Sztaudynger

ANNA KOWALSKA

FRAGMENTY DZIENNIKA

Listopad 1946. Przed południem zwiedzaliśmy z Jerzym wykopaliska na Ostrowiu Tumskim. Ogromne przeżycie. Byliśmy zanurzeni w historii. Przeszłość wywołana z piasków nadodrzańskich ogarnęła nas, uchwyciła, odurzyła. Widziałam i słyszałam tamto życie. Ulicą koło młynów szczury harcowały w najlepsze. Natknęliśmy się na jakiegoś włóczęgę, któremu źle z oczu patrzyło. Nie jedliśmy obiadu. Nie chciało mi się gotować. Ciepło było jak na wiosnę. Wypiliśmy w ogrodzie herbatę i spałaszowali bochenek chleba z marmoladą ananasową, z przydziału uniwersyteckiego. Nie wiem dlaczego ananas w pierwszej chwili robi wrażenie chłodu, potem kwaskowatości a na koniec słodyczy. Przeszkadza mi nowa plomba. Kwitną fiołki i drobnokwiatowa róża koloru cynobru. Jerzy był w dobrym nastroju. Chodziliśmy po ogrodzie do późna, ażeśmy przemarzli. Jerzy twierdzi, że intelektualizm przechyla się wyraźnie ku naukom ścisłym. Podejrzewa, że cały intelektualizm narasta dopiero po epokach geniuszów. Twórczość istnieje dla kultury. Twórczość jest pionierstwem, kultura jest zorganizowana.

Potem mówił: „Dla ewangelii wiedza to faryzeusze, państwo to celnik. Lecz nasza wiedza nie jest faryzejska, nasze państwo to nie same podatki. Żeby nakarmić i żeby leczyć, mozolnie obmyślamy nasze cuda".

Mówił tak szybko i potoczyście, że z trudem mogłam iść za jego myślą. Główny wątek wywodów to rola intelektualizmu we współczesnym świecie, a raczej w państwie coś niecoś utopijnym, to jest składającym się z samych Sokratesów. Zapamiętałam zdanie: „Nie daję się uwodzić słowom. Istnieją cyfry urojone, istnieją słowa urojone, do tych należy słowo: geniusz."

1950

17.X. Młody asystent politechniki opowiadał mi o doświadczeniach objazdowej wystawy Mickiewicza na Dolnym Śląsku. Jednego z prelegentów uderzono w twarz tłukąc mu okulary, na ulicy, znienacka. W czasie odczytu jakiś pijak wstał i oświadczył, że Mickiewicz nie mógł się urodzić w Zaosiu, gdyż tam nie było akuszerki.

21.X. Wiele czasu tracę na jałowych rozmyślaniach. Przedzieram się jak przez mgłę. Dziesięć teczek a na stołach taki nieład, że nic nie mogę znaleźć. Powieść mnie interesuje tylko, gdy piszę. Zły znak. Noc z długimi, bezsennymi godzinami.

5.XI. Oto zdaje się, że koniec mojego życia upodobni się do życia moich ciotek. Same biedy w rodzinie. I jakie! Dostałam list od Ludmiły tuż przed wyjściem do szkoły przy Parkowej. Nie wiem, jakim cudem mogłam zebrać myśli, żeby mówić. Po odczycie poszłam do Żukrowskiej i wtedy się zawaliłam. Jak temu wszystkiemu podołać?

Wieczorem przyszli moi sąsiedzi. Siedzieli długo. Staszek dał mi dobry szczegół do powieści.

10.XII. Długa przerwa w pisaniu. Są rzeczy, których i tak się nie zapomni. Dziś skończyłam W i e l k ą P r ó b ę. Spakowałam i odesłałam. Wczoraj zepsuło się światło, Wawunia poszła do naszego totumfackiego hydraulika. Szli razem, kiedy przystąpił jakiś pan, prosząc, aby majster poszedł do niego. Ten odpowiedział: „Nie mogę, idę do mojej przyjaciółki, autorki". Sprawiło mi to przyjemność, że uważa mnie za przyjaciółkę.

Wczoraj na kolacji N. rozmawiał bardzo oficjalnie. Może krępowała go obecność M. Sam o sobie powiedział: „Nie mam ambicji być konsekwentnym. Dość, że robię rzeczy postępowe, jeszcze mam w nie wierzyć?!" M. powiedziała o nim, że jest jak ksiądz-ateusz. Miałam odczyt w Lidze Kobiet i w Obornikach o powieści radzieckiej. Ohydna sala. Ktoś ćwiczył na trąbie w pobliżu. Nigdy więcej Obornik. Mam zamiar zabrać się wreszcie do powieści o dzieciństwie. Po raz trzeci czy czwarty. Muszę się od tego uwolnić.

22.XII. Wczoraj w Monopolu zebranie towarzyskie literatów. Zainicjował całą tę historię W., po czym nie przyszedł. Zebranie smutniejsze od stypy. Rozmowa zdechła. Zimna czarna kawa, obrzydliwy likier i okropne ciastka. Wszyscy skrępowani. Ach, jak smutno tu.

29.XII. Wczoraj na przedstawieniu sztuki Korniejczuka z życia górników w Donbasie. Występ Kijowskiego Teatru im. Franki. Najlepsze części to lekko groteskowa sielanka. Świetna aktorka w epizodzie: ciotka z kołchozu. Publiczność — same obce twarze. Wprowadził mnie do teatru H. z województwa. Dobry, zdaje się, człowiek i zainteresowany tym, co robi. W powrotnej drodze rozmowa z szoferem. Jego wynurzenia w stylu grabarza z Szekspira.

30.XII. Szyby pokryte palmami mrozu. Słychać dudnienie głuche wozów jadących gościńcem żmigrodzkim. Rano —19°C. Wieczorem u I. Nastrój burżuazyjny i jaki! Mimo deklamacji mamy: musi się uwierzyć w komunizm.

1 9 5 1

2.I. Próbuję tłumaczyć list Cycerona. Piekielnie trudne. Rozumiem, gdy czytam, ale nie przychodzą mi na myśl odpowiedniki polskie. Powieść o dzieciństwie — bez natchnienia. Zwykła codzienna praca. Odmówiłam Bytom.

15.I. Rano wróciłam z Warszawy po sześciodniowym pobycie. Przez trzy dni pogoda była niemal wiosenna. 11-go byłam z Żukrowskim na posiedzeniu zarządu. Po sześciogodzinnych blisko obradach wróciłam do domu mając tylko jedno pragnienie: zażyć proszek od bólu głowy i położyć się. Wkładałam właśnie szlafrok, gdy zadzwonił Cz. a potem nieoczekiwanie St. Cz.

wyszedł telefonować. Rozmawiałam ze St. trochę żartobliwie, aby mu ułatwić sytuację. Biedny, nieszczęsny St. Co za delikatność uczuć, jaka trwałość uczuć. Gdy wspomina Zosię, suche łkanie go porywa. Przymyka oczy i trzęsie głową, jakby przeczył śmierci, co porwała tę, do której wrócił z tak daleka. Co za tragedia. Gdy wrócił Cz., mój biedak wyszedł. Potem przyszedł W. Było męcząco. W. ratował sytuację. Siedzieli długo, aż im po prostu powiedziałam: idźcie spać.

Nazajutrz plenum. Sala o niskim pułapie (dosłownie i przenośnie). Gorąco, brak powietrza, dym papierosów. Reakcja sali chłodna.

Szklarska Poręba, 17.I., 6 rano. Przyjechałyśmy wczoraj z Tulcią i Wawunią. Malutkie zielone sanki, zaprzężone w czarne kucyki, podjechały pod autobus. Przyjemny, może czternastoletni chłopaczek szedł z ojcem przy saniach, przysiadając się, gdy sanie zjeżdżały w dół. Kiedy zwróciłam mu uwagę, że wciąż okłada batem konia idącego po lewej stronie, obrócił na mnie oburzoną twarz. „Bo ona leń. Ma sześć lat a wciąż leń. Jak ją walę, to matka, ta z prawej, się podrywa, a ona nie. A do żłobu to pierwsza".

Nazwał Dom Literatów domem Leopolda Stefana (oto co zrobił ze Staffa). Mam pokój z werandą. Oczywiście drzwi na werandę są zastawione komodą. Trudno będzie mi żyć tu w trójkę. Właściwie już mam dość. Zaczyna wschodzić słońce. Nad szczytami pod nasuniętym wałem chmur rumieni się w szparze czerwona drzazga.

22.I. Mamy piękną zimę. Wczoraj z Żukrowskim przeszliśmy się wieczorem przy pełni księżyca. Było feerycznie. Dziś rano niebo szafirowe. Śnieg po kolana. Kierowniczka dała nam, to jest Żukrowskiemu i mnie, kancelarię, gdzie się pali w piecu. Nienajgorzej pracuję. Powoli wgryzam się w Cycerona, brak mi tylko nomenklatury prawnej. Dopisuję rozdziały do R o g a t k i.

28.I. Był N. K. Biedna ta współczesna literatura. Wielu chytrzeje lub im się wydaje, że się robią chytrzy. Mało mądrzeje...

29.I. Słońce. Siedzę na werandzie bez płaszcza. Czytam. Widok rzadkiej piękności. W nocy Tulcia kilka razy śmiała się głośno przez sen. Po prostu zaśmiewała się. Było to coś rozkosznego widzieć i słyszeć ją.

16.II. Wczoraj o 10 wieczorem wróciłyśmy ze Szklarskiej. Dom wydał mi się mały, ubogi i bardzo czysty. Nowa udręka z meldowaniem i odpisaniem dokumentów... Odsyłam podpisany kontrakt na R o g a t k ę.

18.II. Rano napisałam brulion P r z e p r o w a d z k i. Po południu przycinałam drzewa owocowe. Nie ma wapna do bielenia drzew.

19.II. O 3 po południu dzwonek, przychodzi T. zrobić ze mną wywiad. Siada i zaczyna mówić o sobie. O nim dowiedziałam się wszystkiego. Gdy wspomniałam o L i s t a c h Cycerona, powiedział: „Właśnie dostałem bardzo ładny list od T." itd. Doprowadziłam wywiad do absurdu, to jest do mówienia wyłącznie o nim.

20.II. P. cieszy się, jest w dobrym humorze tylko wtedy, gdy sądzi, że kogoś nabrał. Nawet gdy jest szczery, jest pół-szczery. Przyrodzony niejako stan to ambiwalencja myśli.

21.II. Dziś na posiedzeniu Klubu Młodych. Deszcz, błoto, zimno.

25.II. Warszawa. Pojechałam do radia. Ponieważ jeszcze nie postanowili, czy będą nadawali, odebrałam rękopis. Niech ich... byłam u J. To początek końca. Oprócz wady serca, jakieś zmiany w mózgu. Żal mi ich bardzo. Pobyt w Bydgoszczy i Toruniu...

Niedziela, 1.III. Od 9 — 1 na V zjeździe kół polonistycznych... Zjawiła się D. Nocuje w różowym pokoju. Dziwną historię opowiada o M., który pobił Z. a następnie tyle nałgał, nakrzywoprzysięgał, namęczył wszystkich i każdego z osobna, nie mogli na niego patrzeć. Zawsze wiedziałam, że to załgany do szpiku kości człowiek i fałszywy elegant. Dziś pierwszy dzień ciepły, zakwitły przelaszczki. Dziś zjawiła się Ż., pożyczyła mi 500 zł. Tyle mam kłopotów a to przez to zwlekanie wydawców. Przez trzy miesiące żadnych wpływów gotówki.

7.III. Przyjechała I. Rozmawiałyśmy prawie do czwartej rano pijąc wino i paląc niezliczoną ilość papierosów. Robiłyśmy bilans życia. Szczerość, prawie szczerość. Chwaliłyśmy się nawzajem i każda siebie. Na tym w końcu polega przeważnie przyjaźń a w każdym razie dobre stosunki towarzyskie.

17.III. Na obiedzie u Żukrowskich. Wspominali o wyjeździe z Wrocławia. Smutne to. Dopiero kiedy myślę o wyjeździe z Wrocławia na dobre, czuję, jak jestem przywiązana do tego miasta. Odebrałam film. Stamtąd do Mikulskich. Rozmawialiśmy żywo u niego w gabinecie. Coraz więcej książek, coraz mniej miejsca... Wiele o B... Starałam się go bronić. Zdaje się, że skutecznie. Miałam u nich nocować, aby omówić materiał do numeru. Piliśmy wino po kolacji, kiedy zjawił się H. z wiadomością, że dziecko zachorowało. Przyjechał taksówką, która czekała. Zastałam Tulcię rozpaloną, 38,7°, ale bystrą i żywą. Gruczoł ślinowy spuchnięty. Za radą Marysi dałyśmy jej na szyję kompres z wódki i sulfatiasol. Dziś odebrałam płaszcz. Ma on swoją historię! O szóstej wyszłam po papierosy. Po całodniowym deszczu była cisza. Z kościoła niósł się śpiew wielkiej rzeszy ludzi: zakończenie rekolekcji. Kosy, lubiące wilgoć, gwizdały z wierzchołków drzew i szczytów domów. Słodko było i smutno.

27.III. S. zatelefonował do J. „Czytelnik" nie wpisze do planu Listów Cycerona. Zbyt elitarne. Doradza może Pliniusza. Ech... Zapłacić zapłacą, ale tyle roboty na nic, bo przecież nigdy do tego nie wrócę. Dobrze, że zrobiłam tylko trzydzieści stron. Odwiedziłam S. Nieprawdopodobny świat. W osiemnastym wieku byliby zacofanymi.

3.IV. Wróciłyśmy z Warszawy. Fioletowe krokusy kwitną, ale ani forsycja, ani morela. Deszcz. Kosy gwiżdżą. To wynagradza wiele, ale przecież nie wystarcza. Tulcia i Wawunia niechętnie wracały do domu. Czułam się i często się czuję śród moich domowników, nie mówiąc bratanków, jak rząd, który nie uzyskuje wotum zaufania. A tymczasem moje sprawy finansowe i zawodowe przedstawiają się katastrofalnie.

8.IV. Dnie dość pracowite. W świecie jakby odprężenie lub pozorne odprężenie. Ów technik, który wziął przed Bożym Narodzeniem 150 zł na elektrody, dotąd się nie pokazał. Jeszcze jeden złodziej.

13.IV. Znowu kłopoty z urzędem mieszkaniowym. Mam się stawić we wtorek 16-tego o 16. Chodzi chyba o to, że to mieszkanie z przydziału uniwersyteckiego. Znowu parę dni stracę, bo wciąż o tym myślę. Wczoraj Pierzchała i Żukrowski siedzieli do 1-szej w nocy. Pierzchała świetnie opowiada tę swoją mruczankę o rodzinnych stronach.

15.IV. Wczoraj na obiedzie O. Ma dwie córki już podstarzałe, które nie mogą wyjść za mąż. Chce się przenieść do Wrocławia w nadziei, że tu łatwiej o męża. Brzmi to dziewiętnastowiecznie. Dziś znowu K. i M., zdziwaczałe rozbitki. Na szczęście rozmawiały ze sobą. Obie żyją w fantasmagoriach mimo czynnego życia, które biegnie innym torem. Wkrótce po ich odejściu przyszedł osiemnastoletni O. Ten także dziwak. Siedział dwie godziny. Pożyczyłam mu kilka książek. I tak cały dzień zmarnowany.

17.IV. Komisja z pięciu urzędników bardzo grzecznych. Prawie nic nie mówiłam. Jestem złym adwokatem swoich spraw. Wszystko w porządku, ale wyczerpało mnie to jak ciężkie przejście.

Tej wiosny przyleciało więcej mew niż kiedykolwiek. Na Odrze koło uniwersytetu biało od nich. Ludzie je karmią, latają więc bez przerwy chmarami. Wieczorem J. Z literatury dwudziestolecia wybiera jednego Gombrowicza.

30.IV. W piątek rano w województwie na posiedzeniu Tygodnia Książki.

15.V. Dziś imieniny mojej biednej Zosi. Niebawem miną trzy lata od jej śmierci. Nieszczęsny S. nie może oderwać się od jej grobu. Na imieniny Z. urządza wielką uroczystość. Przyjeżdża Ludmiła. Niosą kwiaty, wieńce, palą świece, modlą się, płaczą. Najdziwniejsza w tym rola K. Zmarłą wspomina z namiętnym religijnym liryzmem. Ocaliła dom. Cała historia jak z Rodziewiczówny. Tylko epilog będzie inny. Zmęczy się poświęceniem, bohaterstwem. Esencją bohatera jest to, że ginie. W powieści ginie w odpowiednim czasie. W życiu zostaje zgorzkniałym lub jędzą i nawet nikt się nie domyśli, jakim to on był czy była. Wczoraj wieczór w bursie dla inwalidów. Olbrzymie bloki świeżo odremontowane, duży ogród. Jest tam 450 wychowanków, od września ma być 650. Sala, w której miałam odczyt, tego dnia właśnie została oddana do użytku. Wspaniała jak teatr. Byłam oszołomiona. Mówiłam o swojej książce o inwalidach, czytałam fragmenty. Źle dobrałam. Od mojego po-

bytu w Klecinie to szalony rozwój. Na tym szczególe widać, jak się życie rozwija. Byłam na kolacji. Świetny boczek, smaczny chleb. Czysto, przyjemnie. Teraz ociemniali są razem z inwalidami. Podobno daje to dobre rezultaty... Rozmawiałam z nauczycielką. Jasne, promienne stworzenie. Wychowawca ideowiec, nowy czysty człowiek, prawdziwy, szczery... Rzetelność i dosłowność absolutna, po prostu niewiarygodna. Ale opisz to, któż uwierzy?! Zarabia 600 zł. Ma troje dzieci. Komunizm jest tu na prowincji, nie wśród pijackich cwaniaków i kawiarnianych wielmożów. Któryś z wychowanków skarżył się, że polskie książki o współczesności pisane są jak pod przymusem — nie brzmią szczerze. Wstyd słuchać. I co powiedzieć?

Przyjemny i udany wieczór był w bibliotece miejskiej przy Traugutta. Zdarzył mi się śmieszny wypadek. Myślałam, że od razu mi zapłacą. Brakowało mi pięciu groszy na bilet tramwajowy. Wstydziłam się pożyczyć. Wróciłam na piechotę, a to straszliwy kawał drogi. Poznałam jednak dzielnicę dotąd mi nieznaną i całkiem jakiś inny styl życia. Zrobiłam wreszcie korektę książki. Wyłapałam kilka błędów składni. Wprawiło mnie to w popłoch i przerażenie. Dopiero w druku błędy stają się widoczne. Moja składnia jest monotonna.

16.V. T. znowu nie dał znać, czy będę miała odczyt. Bałagan. I jakież inne maniery od czasu „Czytelnika". K. był królem elegancji. Wczoraj u fryzjera. Grzywa zrobiła się jak u lwa. Potem kupiłam flakon dla Z. Był inny, ładniejszy, ale nie miałam pieniędzy. Zresztą może bym i wybrała stosowniejszy, ale właśnie kierownik sklepu robił piekielną awanturę usługującym dziewczętom, że nie mają w rachunkach paragonu. Skąd się wzięło to dziwne na codzień słowo?... Wieczorem u M. był F., od razu powiało nudą. X. w niemożliwie seledynowej sukni z gigantyczną broszką za trzy grosze...

18.V. Zimno w duszy. I brak kawy. Przy senności, jaką powoduje tutejszy klimat, brak kawy bardzo przeszkadza w pracy. Robię jedną dziesiątą tego, co dawniej...

19.V. Wczoraj omawiałam z Ł. jej powieść. Słabiutka. Mówi, że mąż ją wyśmiewa, iż zamiast brać dodatkowe zajęcie płatne, traci czas na pisanie. Trudno mi było coś na to odpowiedzieć. Zanalizowałam z nią kilka stronic, wytykając błędy językowe, trywialność, gazeciarskie frazesy itd. Biedna kobieta. Może nie napisze dobrej książki, ale uzyska większą sprawność. Dziś rano awantura między W. a M. o jajko! Jak zawsze w takich wypadkach chodziło o wszystko.

30.V. Byłam w Bielawie z K., L. i G. w szkole K. Było jakieś 600 osób, młodzież. Trzy uczennice odczytały wiersze, zdaje się własne. Dużo włożono pracy. K. dba o młodzież. Lepiej jedzą niż w innych internatach. To prawdziwy gospodarz. Wszystkim przy nim dobrze. W internacie w W. młodzież głoduje. Tutaj dziewczęta hoże, aż się dusza raduje.

„Człowiek stworzył Boga na swoje podobieństwo. Stąd te pochwały, pochlebstwa, litanie komplementów. Rzeczy wstrętne. Dobre dla małego satra-

py, tyrańskiego burmistrza, nie dla Stwórcy. Jeśli Bóg mógłby co cenić w człowieku, to jego milczenie, nie pochwały. Zachwyt nie jest pochwałą. Milczy." A tu i wszędzie *eidolon fori.*

30.V. wieczorem. Jutro mam poprowadzić seminarium u L., o 19 przewodniczyć dyskusji TPPR o książce Pawlenki S z c z ę ś c i e. W piątek w ORZZ o literaturze w „służbie pokoju". Wczoraj był P. Przyszedł o jedenastej wieczór, siedział do 2., opowiadał o swoim kuzynie, górniku... To, czego nie wiem, jest o tyle bogatsze od tego, co wiem. Czasem jak przez szparę widzę to inne. Mam pecha, żyję i poznaję samych porządnych ludzi, a człowiek o krok ociera się o łajdaka, zbrodniarza. Daje to fałszywy obraz, myli proporcje.

1.VI. Zapomniałam zabrać ze sobą tekst odczytu. Poszło jednak dobrze. Przeważnie kolejarze. Przyjemne twarze. Skarżyli się, że C h a m za trudny.

3.VI. niedziela. A. od 10 do 3. Rozmowa o wszystkim...

8.VI. Toruń, 11 rano. Do Bydgoszczy przyjechałam we wtorek wieczór. „Pod Orłem" przenocowałam w pokoju jakiejś pani, która wyjechała na jeden dzień. Bolało mnie gardło. Rano w jadalni spotkałam Putramenta i Borowskiego. Rozmawialiśmy dwie godziny. Z Mikulskim zwiedzaliśmy Toruń.

10.VI. Wyjechałam z Torunia o 15,45. Świetny, nowiutki wagon z Pafawagu. W wagonie restauracyjnym tłok. Wypiłam herbatę i zjadłam 3 kawałki szynki. Obok młody robotnik jadł potężny kotlet wieprzowy... W najmniejszym miasteczku widać wiele nowych wózków dziecięcych. Wszyscy mają nowe letnie buty. Restauracje pełne.

18.VI. Wróciłam dziś z Warszawy. Mżył deszcz. O 6-tej rano ogród wyglądał rajsko. Ziemia buchająca kwiatami. Jaśmin, kosze peonii, róże wszystkich kolorów. Czereśnia serćówka lśniąca jakoś z chińska owocami, jakby lakierowanymi. Cudowne zapachy i mimo cieplarnianego gorąca spodem świeżość. W domu czyściutko, wszystko błyszczy. Antagonistki względnie spokojne. Mam w Wawuni świetny materiał do studium nienawiści. Ponieważ znam fakty z drugiej strony, widzę wyraźnie to wykrzywienie, jakie daje nienawiść.

Z pobytu w Warszawie najprzyjemniejsze wspomnienie to bytność na G r z e c h u. Świetnie wyreżyserowane, grane, taktowne uzupełnienie przez Kruczkowskiego. Najlepsza agitka w wielkim stylu. Na widowni napięcie. I pomyśleć, że ta rzecz czekała aż 60 lat... Ciężko mi idzie R o g a t k a. Po oświadczeniu K., że jest pisana z dystansem... A jednak wiem, że jest dobra. Niech tam.

Dziś rano, kiedy zgnębiona myślałam o tylu zagmatwanych problemach mego życia, nagle z głębi duszy wypłynęło uczucie — myśl: przecież jesteś wolna. Poczucie wolności, świeże, mocne, uszczęśliwiające. U J. coraz

bardziej się nudzę. Wybyli ze świata. Nie rozumieją nic a nic. Namaszczone moralizatorstwo. Czasem tylko coś podzwania z młodych... czasów. Na termometrze w jadalni 32°C.

20.VI. Napisałam wczoraj wstęp do Rogatki. Do 12,30 w nocy. Potem nie spałam do 4. Dziś opadł mnie smutek. Brakuje bodźca, wiary. Brzydnie literatura. Obcość świata. Tylko A. kwitnie.

22.VI. Czytam Rousseau. Teraz oceniam pisarza, który wedle swojej natury tworzy. To daje siłę, prawdę i jakby naturalną kompozycję. Ale tysiąckrotnie wolę Confessiones, które są z jednego wytopu.

Przepisałam wstęp do Rogatki. Dominuje *praeteritio*. Ta książka, która wydała mi się najłatwiejsza ze wszystkich, nagle okazuje się trudna. Trudność leży w świadomości różnych „obstat".

Nic nie mam, nic nie mam i o nic nie stoję,
Byle to, co kocham, zawsze było moje.

A tu wszystko, co kocham, stracone. Może nie wszystko. Nie bluźnijmy. Ale tyle, tyle straconego.

25.VI. Dziś wieczorem jadę do Warszawy na plenum Związku czy raczej zarządu. Przedwczoraj u Żukrowskich na kolacji. Czytał mi swoją książkę, fragmenty... We czwartek z Tulcią po pieska. Przywiozłyśmy ślicznego spaniela. Rozkoszny. Tylko sikoń przebrzydły.

30.VI. Wróciłam z Warszawy... Dziś chłodnawo. Kwitną lilie. Duża czereśnia ma już ciemne owoce. Dostałam pierwszy egzemplarz Wielkiej Próby. Ładnie wydana, wielką czcionką. Przypuszczam, że ją zdepczą, jak dwie poprzednie, jak wszystko, co napisałam. Mam zresztą do tej książki najmniej serca. Jest pisana oprócz początku „pod stołem". Taki temat zmarnować! To zgryzota.

4.VII. Cz. przyszedł z wiadomością, że zmarł tragicznie Borowski. Wprost trudno dać temu wiarę... Był W., zachłystuje się sobą... Dla mnie Wrocław dziś to już tylko „Zeszyty". Czy ktoś w przyszłości zauważy, że istniały? Czy doceni paradoksalność tego faktu?

Kończę dla radia wspomnienie o Halinie Górskiej...

B. N. He makes one feel that one is the most important person in the world — which is — I think — the essence of good breeding.

17.VII. Rytro. Pięknie tu. Dom B. drewniany, piętrowy z mansardami, cały płonie od nasturcji w zielonych, świeżo polakierowanych skrzynkach. Lubię te dobudówki. Kryty krużganek do klozetu! Ogród wypieszczony, setki malw w czterech kolorach, setki cynii. Są dwa koty. B. jest zwariowanym kociarzem. Uroczy zresztą człowiek. Dwa psy. Nastrój w domu, całe życie jak z bajki. Wesoło. Aż dziwnie. Kucharka brzydka, z ogromnymi wysta-

jącymi zębami i ekstatycznie bolesnym spojrzeniem jakiejś św. Teresy. Doskonale gotuje. Jedzenie aż pachnie od dobrego masła. O cokolwiek oko zaczepi — wspomnienia. Ale nie już tak morderczo bolesne, jak w Krakowie. Może otępiałam od tego czasu. Największą przyjemnością rozmowy z Aleksandrem. Ale i ten dom stoi na pracy, przemyślności i bohaterskiej miłości kobiet. Mężczyźni są dekoratywni. Wszystko się robi, by nie stracili „twarzy".

25.VII. Przedwczoraj po południu z Zosią do Roztoki. Zosia wywołała starą Gondkową. Patrzyłam oparłszy się o żerdki płotku na bielony domek, gdzieśmy z Jerzym mieszkali. Weranda, gdzie leżało drzewo zarobione za lekcje u leśniczego, studnia, skąd brałam wodę, wreszcie sama stara Gondkowa, tak samo gniewna na męża i syna, tak samo jęcząca. Potem poszłyśmy do doliny mysikrólików. Rozpoznawałam każde drzewo, niemal każdy kamień. Ciężko. Dostałam jedną z trzecich nagród państwowych. W domu zastałam telegramy. Dziś rozmawiałam z M. o Słowackim i o tym, że się marnujemy śród telegramów gratulacyjnych.

31.VII. Do Safony:

Okrutna to rzecz nigdy nie znaleźć się z tobą na tym samym punkcie, nie móc się spotkać, gdzie było się wczoraj, godzinę temu, przed chwilą. Zimna i onieśmielająca grzeczność ich opanowała.

X. wzbudzała litość, nigdy nie można było całkiem się od niej uwolnić.

4.VIII. Gnuśna burza co dzień teraz po południu. Wróciłam po północy od Staszków. W zupełnej ciemności. Rozmowy z uczonymi, nawet jeżeli są ożywione, jeśli się dowiaduję rzeczy nowych, strącają mnie w przygnębienie. To, co widzę, jest tylko kształtem i sumą mojej niewiedzy. Wyrabia to jakiś kompleks upośledzenia w stosunku do naukowców. Gorzej, oto sztuka staje się ubogą, niemal wstydliwą siostrą nauk. Kiedyś filozofia była sługą teologii.

A przecież... Artysta (jakżeż samo to słowo brzmi już źle) także posiada rozległą i rzetelną wiedzę — tyle, że inną. Jaki naukowiec traktuje wiedzę artysty serio? Mówi się najwyżej o talencie. Krytycy o rzemiośle. To, że się coraz powszechniej używa słowa: rzemiosło, nie jest przypadkiem.

Przez pół wieku ktoś mnie stale poucza. Chętnie się uczę i czczę moich nauczycieli, ale bardzo nie lubię być pouczana. Żenuje mnie to i wstydzi. Dobry obyczaj wymaga choćby pozorów równości.

M. K. Zupełnie przemieniła się w matronę. To już ktoś inny. Opowiedziała mi znowu o bibliotekarce. Zapomniałam w jakiej miejscowości. „Z niczego" zrobiła w swojej bibliotece centrum życia. Ludzie, przeważnie młodzież, tak dobrze się tam czują, że siedzą do późna wieczorem. Omawiają przeczytane książki, a nawet ciekawsze lekcje szkolne. Nie miała dość opału i spała w nieopalanym pokoju, paląc swoim węglem w bibliotece, aby młodzież nie marzła.

20.VIII. Sopot. Na wystawie A. Gierymskiego. To dopiero niespodzianka. Zachwyciły mnie cztery studia do altany. Najbardziej cylinder *sous le treillage*. Więcej słońca jest w czerni, niż w barwach dużej altany. Trąbki urzekające. Co odpowiadałoby w literaturze niebieskościom książki, którą trzyma Żyd stojący nad wodą? Spotkałyśmy M.

Plażowałam, kąpałam się, ale rozbolało mnie serce, musiałam przerwać. Siedzę w parku przy pięknym kwietniku, czytam, dumam, melancholizuję.

26.VIII. Niedziela. Pogoda. Morze i niebo blade, białawe. Na lipie pokazały się bukiety żółtych liści. Skończyłam Meredith a E g o i s t ę. Czytałam go w 1926 roku we Florencji. Egzemplarz z biblioteki Stanisława Brzozowskiego, który pożyczyła mi wdowa po Brzozowskim. Wtedy mi się o wiele więcej podobał. Koniec książki jak z komedyjki. *Happy end* z morałem.

7.IX. Przez sen słyszałam śpiew ptaków. Błogość niezmierzona. Jestem w domu. Wczoraj wieczorem napiłam się kawy i do północy pisałam ostatni rozdział. Po południu była O. Nieprzychylnie o niej mówią. Jest fanatyczką komunizmu. Na mnie zrobiła silne wrażenie. Tragiczne. Straciła syna. Ta śmierć wciąż żywa. Ale wygodny typ do współżycia to nie jest. Groźna i grożąca.

Długa rozmowa z Z., między innymi także o wychowaniu. Rozmowa trochę męcząca. Chwilami nie całkiem szczera. Z. jest dwoisty. Nie mogę uwierzyć, by takim był naprawdę, jakim chce się wydawać, ani też, by naprawdę tak myślał, jak myśli. Przypuszczam, że jest z nim jak z K., a mianowicie, że stara się myśleć jak mówi, wedle tego, co głosi. Narzuca sobie tok myślenia z własnych a tak licznych przemówień, aby czuć się w porządku. Jest zbyt ambitny, a raczej zbyt szanujący się, by mówić co innego niż myśli, stara się więc myśleć tak, jak mówi. Ale wyczuwa się inną naturę człowieka. Wiele kazuistyki, niemało melancholii. Dziwna mieszanina delikatności niewieściej, prawie pieściwej, a nagle przeziera co innego. Jakby zrzucał przebranie. Brutalna bestia. Triumfujący orangutan.

1.XI. Byłam z Tulcią i domownikami na cmentarzu a potem już z samą Tulcią w parku szczytnickim. Była słoneczna pogoda. Darowany dzień. Tulcia huśtała się na niskiej gałęzi buka. Właziłyśmy obie na gałęzie wiązu i jechałyśmy jak na koniu. Potem biegałyśmy nad stawem szurając po liściach. Tego dnia kościół urządził uroczystości poświęcenia Polski Sercu Jezusa. Może coś mylę. W każdym razie tłumy ludzi w kościołach. Jeszcze większe na stadionie, gdzie walczyło, zdaje się, „Dynamo". W Hali Ludowej występowało „Mazowsze". Ulice zatłoczone. Nie można było złapać taksówki, o tramwajach ani mowy. Wstąpiłyśmy do Lidki i tam do wieczora. W sobotę na imieninach u Tadeusza. Przedtem wpadł J. z prośbą o pożyczenie 600 zł. Wypisałam czek.

Miałam trzy wieczory o literaturze radzieckiej. Najlepiej był przygotowany odczyt i dyskusja w ośrodku szkolenia kadr ZSCH w Kątach wrocławskich. Dano mi pokoik czysty, ale bez światła. Dom świeżo odnowiony, piękna świetlica. Klozety potworne. Nie przestąp progu... W Oleśnicy miałam odczyt na Zamku w technikum budowlanym. Zupełnie nie zorganizowane, nie

przygotowane. Było 50 chłopaków, a jest ich tysiąc. Byłam wściekła, może dlatego dobrze mówiłam. Od rana na suchym chlebie i herbacie. Nic w ustach nie miałam do wieczora. Gdy przyszłam do bufetu na dworcu w Oleśnicy, zobaczyłam cztery bułki. Poprosiłam o wodę sodową i bułkę. Sprzedająca oświadczyła ze złością, że „właśnie robimy remanent! Zaczniemy wydawać za pół godziny". Te cztery bułki to remanent! Odeszłam z niczym. Oleśnica centrum — bardzo piękna. Trzeci odczyt w liceum dla przedszkolanek. Smród, brud, tępota. Mówiłam źle ze zdenerwowania i przygnębienia. Jedna z uczennic wykształciła, że „najbardziej lubi Robinsona Kruzoe". Jakieś trzynaście, czternaście lat.

Wiele czytam do Modrzewskiego. Poczciwy Cz. znosi mi książki. Nie mam odpowiedzi, czy PIW będzie drukował Na rogatce. Jeśli nie, znajdę się w kłopotach finansowych.

3.XI. Zabrałam się do pisania o Modrzewskim, ale jeszcze się waham, do jakiego stopnia należy tę biografię zbeletryzować. Nic nie wiadomo o dzieciństwie, prawie nic o latach krakowskich i witenberskich. Prawie żałuję, że porzuciłam mój pierwszy pomysł: bohaterowie nieznani, postacie historyczne na drugim planie. Pozwalałoby to na większą swobodę. Ale Frycz to sprawa J. Jeszcze jeden z tych wielkich, których zabito milczeniem. Los jego jest patetyczny. Ale to filozof, myśliciel, polityk. Jego prace są ważne. Nie można zmylić proporcji. Kościół, duchowieństwo w XVI wieku tak ohydne w swoim cynizmie, zaborczości, nieobywatelskości, że niewykształcony czytelnik nie uwierzy i weźmie to za „propagandę" *ad hoc* robioną.

6.XI. Piękny sen... Muszę ograniczyć palenie papierosów. Nie tylko bardzo mi szkodzi, ale i osłabia wolę! O Modrzewskim chciałabym napisać tak, aby to naprawdę zostało. Każda książka może być ostatnia. Nic, nic nie napisałam z tego, co wiem, co przeżyłam. Straszny zawód i cierpienie, że jest się tylko tym, czym się jest.

Wczoraj przeczytałam zdanie Richelieu:

Qu'on me donne six lignes écrites de la main de plus honnête homme, j'y trouverai de quoi le faire pendre.

A oto do mnie:

Stultus semper incipit vivere. Wciąż ta pewność, że życie jest przede mną.

7.XI. W mieście: szaro, buro, brudno. Puste sklepy. Puste oczy patrzą na puste sklepy. Pożółkłe, postarzałe nagle twarze. Zdziwienie, które już się niczemu nie dziwi. Z kanałów bije smród. (Opisać miasta italskie. Przez jakie miasta przejeżdżali jadąc z Krakowa do Rzymu w XVI w.?).

21.XI. Trzynaście dni w Warszawie. Podpisałam umowę na Frycza... Rozmowa z R. przypomniała mi tę Amerykankę w Luwrze, która, gdy cicerone pokazał jej martwą naturę — figi, chleb, westchnęła: „jakaż szkoda, że malarze byli tacy ubodzy".

Mali literaci lubią podawać wiele szczegółów o wielkich, a raczej wziętych. Lubią o nich mówić.

1.XII. Nieoczekiwana, niespodziewana T. Zapomniałam już, jaka to ona jest. Dziwna mieszanina mytomanii z precyzją. Czyta masami, bez przerwy pije herbatę i każe się obsługiwać. Takie zdolności i zmarnowana zupełnie. Typ z XVIII wieku. Polor, dowcip, egoizm, amoralność, ahistoryczność. Wielkie słowa i *mon cher petit moi.* Na niej się sprawdzają wszystkie tezy marksizmu. Wprost niewiarogodne.

1 9 5 2

2.I. Momenty wyboru, które decydują o przyszłej klęsce...

19.I., Szklarska Poręba. Jedenastego dostałam rano telegram, że umarł pan Stanisław. Zamyka się pewna epoka naszego życia... Tego popołudnia miałam czterogodzinną dyskusję z W.D.K. nad W i e l k ą P r ó b ą. Trzydzieści osób zabierało głos. Było 600 inwalidów. Najlepiej przygotowany i urządzony wieczór ze wszystkich, w jakich brałam udział. Miałam tremę. Odpowiadałam każdemu, jakbym z nim rozmawiała w cztery oczy. Przemawiał M. Kochany człowiek. Żałowałam, że ktoś nie stenografował mego końcowego przemówienia. Była to improwizacja. Suma szczerości i prawdy. A więc jest to możliwe. Chciałabym na zimno przeczytać to, co wtedy mówiłam. Była taka cisza i napięcie... Pięknie i niebanalnie mówili Ł., ociemniały i S. W pewnej chwili o mało się nie rozpłakałam, ale jakoś przebrnęłam. Cóż to za przeżycie. Wyjechałam po północy do Warszawy.

23.II. Stendhal: *Chacun se sacrifie à des passions, qu'il n'a pas.*

2.III. Pracuję nad Fryczem. Oto zapomniałam o świecie bożym.

5.III. ...Przed południem długa wizyta owej działaczki, wroga osobistego J. Niesłychana historia. Tematów na sto powieści. Może jest to typ infabulacyjny i amator detektyw. Ukrop entuzjazmu. A to, co pisze — papier, licha gazeta. Wielka szkoda. O opowiadaniu ostatnim W.: „Chciał pokazać, że potrafi, ale lepiej niech się bawi czym innym". Jak jej słucham, widzę Marata.

7.III. Wczoraj „czwartek — Gałczyński". Tłok nieopisany. Dziś przyszedł do mnie na obiad z wazonikiem cynerarii. Bitych pięć godzin rozmowy. O Safonie, Ajschylosie, marksizmie, cierpieniu. Mówił wiersze. Potem znowu o Bachu i Koperniku, o deantropocentryzmie. Rozstaliśmy się z trudem. Słaniałam się na nogach ze zmęczenia. Czyste szaleństwo.

9.III. Leżałam do południa drzemiąc. W nocy skończyłam pierwszy rozdział — Spotkanie Biernata z Lublina, Reja i Frycza na koronacji Bony. Rozdział miejscami dobry, ale brak opisów. O 5-tej niespodziana wizyta Andzi w żałobie. Umarł Marian w domu dla nieuleczalnie chorych. Nie widziałyśmy się kilkanaście lat. Nadszedł K. Opowiadał o szympansach i wę-

żach, co bawiło Tulcię. Utrzymuje go żona. On sprząta, gotuje. Ciekawy człowiek. Pozbawiony słuchu historycznego.

10.III. Frycz: zuchwałość myśli i szlachetna szczerość. Eirene. I Erazm, i Melanchton to eireniści. To ich łączyło. Reuchlin z Pforzheim, uczeń Ficina. Kabaliści niemieccy. Pythagoras. Ulrich von Hutten.

Léon X crut trouver dans les chef-d'oeuvres de Raphael le plus puissant argument à opposer aux hérésies de Luther. Mais quel champion de l'Evangile que ce peintre de la Sainte Vierge, amant adultère de la femme d'un boulanger. (F. de R.).

26.IV. Wczoraj czarowne popołudnie i wieczór u K. Nierealnie piękne drzewa magnoliowe. Przyjemne światło. Cisza wielkich przestrzeni w domu i dookoła domu. Pożegnalna kolacja dla W. On nieskazitelnie ubrany i nieskazitelnie milczący. H. Gaduła. Sam siebie słucha. Głupstwa gada. Anegdotami zastępuje argumentację. A ten wieczór był jak stworzony do udanej rozmowy.

Piszę Frycza w Cieśli. Widzę wyraźnie, ale piszę poniżej natchnienia. Ministerstwo odmówiło mi stypendium na Modrzewskiego. Nie mają pieniędzy, a ja mam 70 zł.

30.IV. północ. Frycz. Nienawidzę Orzechowskiego. To prototyp J. Cz.

28.V. Wróciłam wczoraj rano. Urodziny Tulci. Byłam w Berlinie na IV Kongresie Demokratycznego Związku Kobiet Niemieckich z A. M. i hutniczką formiarką. Obie bardzo ciekawe. Wiele się nauczyłam, wiele poznałam. Kongres jak kongres. Kwiaty, orgie kwiatów, mowy, delegacje, mityngi, bankiety, toasty. Urocza delegatka francuska; ta kulawa z Iranu, przejmująca. Bardzo spodobał mi się Wandel. Rozmowa z G. o tragedii — nieprawdopodobna. Nada się do Frycza. Wiele o Lutrze i reformacji. Weimar, Jena, Wartburg, Eisenach. Otrzymałam w darze płaskorzeźbę w drzewie wedle Dürera, 1514. Taniec, Wojna Chłopska. Stoi teraz na komódce. W domu pionierów w Eisenach młodziutki kierownik, uroczy. Śliczny uśmiech, spojrzenie. Chyba można temu spojrzeniu zaufać. Sam dom pionierów jak z bajki. Piszę mały reportaż, albo dam go do prasy, albo pójdzie do N o t a t e k.

29.V. S. to temat do powieści. Bohaterka pozytywna bez makijażu. Pochodzenie socjalne — idealne. W szczery, niejako przyrodzony sposób komunistka. Wąski krąg. Umysłowość dziesięcioletniej dziewczyny. Ale się uczy. Jest pracowita. Ambitna. Rzetelna. To, co opowiada o fabryce, przypomina raczej intrygi dworskie niż życie robotników z powieści socrealistycznej. O jakiejś kobiecie, od której w fabryce wiele zależy. O mężu mówi z miłością, ale tak, jak o kimś z wielkiego świata. Dobrze się ubiera. Awans społeczny na sto procent. W dobrym, najlepszym sensie. Przy całej prężności ma lęk: „świat taki trudny". Zdaje mi się, że pracuje nad siły, z ambicji. Zapadnięte ramiona. Oczy wytrzeszczone. To, co J., mój szofer-literat, mówił o swojej personalnej. Złośliwość jędzy.

Kwiecień 1954. M. pilnie czytający gazety i jak zawsze napełniony słowem drukowanym obwieścił mi z tryumfem, że „teraz pisarz także będzie miał coś do powiedzenia, że już nie będzie ilustratorem itd." — Naprawdę? — spytałam przypatrując się twarzy tego uroczystego durnia. Zamrugał niespokojnie (ma ładne rzęsy). Już węszył...

Rozmyślałam nad tym, że można by zgromadzić wcale ciekawą i pouczającą antologię (zaczynając wedle dobrego zwyczaju od starożytności) skarg na upadek literatury, na poetów nudziarzy i pochlebców dworskich. Skargi są równie stare, jak literatura, i cieszą się raczej krzepkim zdrowiem, a zdarza się nawet, że owe biadania ocaleją, a czas „wszystko burzący" rozkruszy utwory tych, co (z wielkim wrzaskiem) dowodzą bardzo „małych rzeczy". Małą rzeczą bywa zwykle charakter.

Tysiąc nieszczęść w powietrze zarażone spada:
Milczenie, niesmak, tęskność, chimery, przesada,
Żal, podejrzliwość, troski, skrzętność, przywidzenia.
I różne głupstwa, prozą i rymem marzenia.
I co tylko być może do znudzenia komu,
Szybko się rozleciało po Belindy domu.
Razem głosy ucichły, wszyscy oniemieli...

Czytam X. Najpierw: pokaz skromności, tej najpyszniejszej. Istny balet skromności. To nie ja. Mnie nie ma. Nie umiem. Po tym wstępie kilka dobrze napisanych, pożywnych banałów.

Czytam X. Samodurstwo absolutne. Łaskawe przymiotniki, niepokalana glazura stylu. Składnia elegancka. Porcelana, a w środku *loci communes.*
Rzadko zdarza się dureń w stanie czystym. Dureństwo K. jest nieskażone. Kryształ. W rozmowie z T., który obwieszczał antyschematyzm, K. wykrzyknął ze szczerą rozpaczą: „Teraz to już pójdą tylko rzeczy pisane z talentem!". Biedak! Właśnie urodziło mu się dziecko.

Nie ma dnia, żeby jakiś pomysł, sformułowanie, myśli nie urodziły się, ale nie zanotowane przepadają.

Ważne jest pierwsze zdanie. „Włos tylko dzieli fałsz od prawdy." W śpiewaniu weźmiesz za wysoko lub za nisko i trzeba zaczynać na nowo albo fałszować. Odrzuciłam kilka kart, aby to napisane zdanie nie zaciążyło. Nawet na *verso* czuję, że tam jest i wadzi.

M. To Duszeńka Czechowa, tylko że polityczna. Reaguje bezbłędnie na poglądy swoich mężów i kochanków.

Wczoraj u Heleny. Świetnie się trzyma. Co za energia. Żywość. Szczęśliwa z nich para. I to najrzadsze: interesują się każdym człowiekiem, każdym wydarzeniem. Przejmują się. Wibrują. Rozmowa z nimi jest naprawdę wymianą, nie monologami ludzi, którzy się wzajemnie nie słyszą i nie mają

wcale ochoty się słyszeć. Ileśmy się w życiu nagadali. Zawdzięczam im wiele dobrych godzin, prawie szczęśliwych godzin.

Rozmawialiśmy o tym, jak wydarzenia złośliwie ukrywają przed pisarzem tę stronę, która by go najbardziej interesowała. Jest kilka czy ileś tam wydarzeń, których nie można zapomnieć. Wracamy do nich czy one ku nam podchodzą z głębi pamięci. O niektórych opowiadamy przyjaciołom. Każdemu trochę inaczej. Z innej strony. Inne szczegóły, inne oświetlenie, zależnie, w jakim jesteśmy nastroju, kim jest słuchacz, jakie wrażenie chcemy na nim wywrzeć. Co uzyskać. Tak powstaje zbiór wątków. Skarbiec. Nieraz są to gotowe powieści. Tylko siąść i pisać. (Ta bagatela). Czasem zresztą nie jest to wydarzenie, przeżycie własne, ale zasłyszane, strzęp rozmowy, twarz, spojrzenie, widok ujrzany przelotnie z okna wagonu, który potem nawiedza z męczącą natarczywością. Nie wiadomo dlaczego właśnie ten. Nie wspominałam obrazów. Nie wiem, dlaczego jest w tym coś wstydliwego, jak dziwactwo. Zresztą w tej materii rozumiem siebie tylko, gdy milczę. Jak się tak intensywnie widzi, powinno się być malarzem. Inaczej po co ta męcząca ostrość widzenia...

Wiele o szczerości i odwadze. Ale to jeszcze nie tak. Ustaliły się pewne konwencje, w milczeniu przez wszystkich przyjęte. Nie chodzi o odwagę bohaterską ani tzw. cywilną, ale niejako westymentarną. Najodważniejszy człowiek nie przyjdzie na wieczorne przyjęcie oficjalne w płóciennym ubraniu. Nawet dziwak ubiera się przytomnie, czyli jak inni. To nie maskarada. Chociaż wszyscy są w maskach.

Pisanie o sobie wtedy jest usprawiedliwione, jeśli pragnie się, chce i potrafi przedstawić siebie — *avec le plus grand détachement possible*. Bez kumoterstwa. Oczywiście trzeba pozwolić, by i serce mówiło. Inaczej byłaby to sekcja zwłok przeszłości.

Największa trudność to powstrzymanie się od proroctw *ex eventu*, od tego wszystkiego, co stanowi wiedzę z późniejszego okresu. Choć i to prawda, że żadna asceza nie odczyni z wiedzy pochodzącej z teraźniejszości. W najbłahszym opisie jest cały autor, z doświadczeniem współczesnym i całą atmosferą współczesności. Ale maksimum dyskrecji i wstrzemięźliwości jest pożądane, jak mówi dr R. przepisując dietę.

Największą ambicją byłoby tak przedstawić bohatera, by czytelnikowi się zdawało, że lepiej zna bohatera niż autor, lepiej go rozumie i wie, jakby postąpił w każdej okoliczności. Rola czytelnika nie powinna być bierna.

Był K. Przeczytałam jego powieść. Sumiennie. Chociaż doprawdy szkoda czasu. Wynotowałam to, co najłatwiej dałoby się zmienić. Przyjął niechętnie, z obrazą. Oczekiwał jedynie pochwał.

Nieszczęsny! Istnieje termin: literatura piękna. On daje materiał do stworzenia terminu: literatura brzydka.

Nowy notes ma tak świetny papier, że mimo woli piszę starannie. Zdania są okrąglejsze, nie rzucane byle jak. Szkoda, że nie kupiłam więcej tych notesów, a dwa zmarnowałam na bibliografię.

W południe przyszedł K. Prosił, aby mu napisać podanie w sprawie tych jego staruszek, blisko stuletnich. Asystował przy obiedzie, nic nie chciał jeść. Nie cierpię tego. Biedak bardzo się posunął. To, co mi opowiadał o warunkach pracy u inwalidów, zasępiło mnie do reszty. I jego samego mi szkoda. Taki świetny organizator, prawdziwy człowiek i marnuje się. Ale nic nie da się zrobić. Szkodzą mu jego zalety, nie wady. Jak z nim rozmawiam, czuję się winna. Wyczuwam w nim dezaprobatę.

Byłam u M. Znowu inaczej umeblowane pokoje. Robi kopie obrazów. Ogromne płótna pod sufit. Pracuje od świtu do zmroku. Ledwo zaczęłyśmy na dobre rozmawiać, przyszła S. I zaraz stało się tak, jakby się skakało z kry na krę, a pod spodem topiel. Ukryta wrogość S. do mnie. Rozmowa toczyła się o prawdzie artystycznej, ale nie o to chodziło. Straszliwa jest siła ludzi słabych i ta „wyższość moralna", cholerna protekcyjność, rzekoma mądrość. Dziurki nie zrobi, a krew wypije. Podasz palec — zginąłeś.

Wieczorem Marysia przyszła prosić o „coś do czytania". W ciągu ostatnich czterech lat przeczytała z tysiąc książek. Oczywiście powieści. Kto czyta co innego?! Marysia ma dobrą pamięć. Zapamiętuje to, co jej służy za argument przeciw życiu. Mimo wszystkie jej złości mam do niej słabość. Chyba jestem jedyną osobą, która ją rozumie i w jakiś sposób kocha. Jest prawdziwa, żywa. Los ją łamał, miażdżył. Wszystko się przeciw niej obracało. Ma energię żywiołu. Dużą inteligencję wrodzoną mimo braku wykształcenia. I ta pracowitość szatańska. Cenię ją bardziej od stu wykształconych przyjaciół.

Anna Kowalska

DAWNY WIDOK

Jakbym z powiek zdejmował złoty pieniądz
(przypominam, czy zapominam?)
tamten widok,
jeszcze nie strząśnięty, zatrzymany na rzęsach,
świeci dotykalnie —

...znikły widok jesienny
upłynniony w złocie osiczyn na wietrze.

ODJECHAŁEM

Zgrzyt kół. Nie opuściła mnie, choć ją porzuciłem, ta sama ślepa ulica. Odjechałem, tj. rozwijałem ją wzdłuż, rozwijałem ją wzdłużoną w krajobrazie przezroczystym, przepuszczającym posuwające się z moim wzrokiem jej widmo...

Aż u celu odwrócił się niespodzianie kierunek; zaułek dali — odpłynął: falowało ogromne jezioro, rozlegały się szerokie pochyłości, szumiały wysokie drzewa: wytchnienie pól. U szczytu wzniósł się, jak pióropusz pejzażu, dąb.

U dołu krzyczał paw. Przechadzały się palmy: pawie drzew.

ZŁOTY OBŁOK

Pionowy, otulający słońce obłok ze złotopłynnym brzegiem, jak ze stężałą błyskawicą, spoza której błękit sieje wachlarze światłości...

— Przesuń lewą, łagodniejszą dłonią, po puszyście świetlistych okrajach, zapamiętaj obłok we wnętrzu dłoni, w dukli dotyku, uchwyć bardziej, uchwyć poza wzrokiem...

zanim zdejmiesz z palca, ofiarowując mi, wysokościomierz? pierścień?

W GÓRACH

Góry doznane, po raz pierwszy po długim ich niewidzeniu — sprawiają wrażenie katastrofy przestrzeni. Raz tylko odczułem drgnienie ziemi, żeby wiedzieć, co to jest jej trzęsienie; nagle objawione góry — są jak trzęsienie przestrzeni.

W górach przestrzeń wydaje się obluźniona, rozciągliwsza niż na nizinie. To, co bliskie — widzi się jak przez odwróconą lornetkę. Dopiero to, co dalsze, wraca do tych samych perspektywicznych wymiarów, co na nizinie.

Wzrok nieoswojony z przestrzenią górską, zdaje się nie utrwalać w niej rzeczy. Skał najrzeczywiściej raniących mi palce w uchwycie, dotykam jak przez powłokę odległości.

W górach nic z oczu nie ginie, lecz się — rozlega.

W górach i słuch, i wzrok wznoszą się poza poziom powszedni, nizinny — i w pierwszej chwili zamieniają się z sobą. Zdaje się, że się słyszy — jawniej, zwiduje się, że się widzi — ciszej...

NAD AARĄ POD BERNEM

Spoglądam — oko muska wzniesienia i pochyłości, linie opływowe nieruchomego (...pagórkami jak owcami skaczącego...) krajobrazu i ze skłonnością lotu ptaka spragnionego źródła spływa jak szybko toczącą się łzą radości — Aarą. To ona dopiero sprawia, że ten krajobraz żyje.

Dopiero tu pojąłem jedyną wśród skarg pociechę Waltera von der Vogelweide w wierszu napisanym pod koniec życia: że gdyby nie płynęły rzeki, smutek starości byłby nie do zniesienia.

SEN I PRZEBUDZENIE

Zimne światło skurczone do listka
ostatniego na brzozie
odleciało bladożółte we mgłę.

Chmurne niebo uderzyło czołem o czarnoziem,
bliska bruzda przekreśliła wszystko co odległe,
coraz bliżej do nikąd na rżyskach.

Tam, klęcząc w śnie głębokim, czołgam się do brzegu
przepaścistego ziemi i słyszę: już blisko!
szumi najdalsza rzeka! jeszcze krok — i patrzę:
zastygła — a po lodzie idzie wolno matka,
niesie cebrzyk z bielizną po praniu. Wybiera
koszulę jak najbielszą, utkaną ze śniegu
a że wie, że śmiertelną, płacze.

Patrzę na nią,
skinęła — patrzy na mnie...

Biorę ufnie, lecz giezło rozpruwa się w zamieć,
w śnieżnogwiezdną zawieję —
i mam ręce obie
w śnieżnych płatkach.

Pragnę je schwycić, nazwać, już wargi rozwieram,
lecz nie mogę wymówić słowa „śnieguwonie"
i niemieję — w śnieżnych płatkach...
...magnolii.

Głos jak brzęczenie pszczoły — to najciszej
mówi matka.
Wyciągam ręce ukwiecone do niej
i — prawie że nie słysząc — słyszę:
„Śnię ci się, bo cię boli,
że jesteś beze mnie
a ja tobie
ledwie przyśnić się mogę,
tak jak ty mnie w tym moim śnie większym,
który twój obejmie".
. . . . . .
. . . . . .
Wstaję, podnoszę obudzoną głowę
wysoko, przytomnie
ponad sen, żeby się nie piętrzył,
widzę, słyszę
następujące dane:
żelaznymi obręczami wiejskie wozy kołacące
o betonową drogę,
siwe konie,
dyszel;
fioletowy płomień
spawających szyny tramwajowe;
za warstwicami chmur, w niebie jak w sztolni
słońce
pogrzebane.

A więc prędko! Do roboty! Rytmu sercu nie zwolnić!

Julian Przyboś

ARTUR SANDAUER

ESTETA CZY SCYTA

ALBO

ROBOTNIK WYOBRAŹNI

Większość powstałych podczas pierwszej wojny światowej i tuż po niej kierunków artystycznych to ma wspólnego, że przeciwstawia biernej postawie — aktywną. Właściwa im brutalna rzeczowość ma swe źródło w świadomości, że oto świat wchodzi w okres burz i wstrząsów, którym sprosta tylko ten, kto twardy i świadomy swego celu. Nieubłagana wojna, jaką wypowiadają sentymentalizmowi i wszelkim przejawom słabeuszostwa, jest więc czymś więcej niż literacką polemiką; jest to walka, w której „człowiek epoki imperializmu" likwiduje „człowieka ery liberalnej".

Nie, jakoby sam był koniecznie imperialistą. W okresie, gdy walka klas się zaostrza, kierunki te wyrażają jedynie potrzebę, aby zająć wobec niej bardziej zdecydowane i konsekwentne stanowisko. Mogą więc z nich wyjść równie dobrze piewcy kontrrewolucji, jak i poeci proletariatu. Co ich jednak — mimo różnic ideowych — będzie łączyło, to uczulenie na nową sytuację historyczną, do której każdy ustosunkuje się po swojemu.

Jednym z epizodów owej walki „człowieka epoki imperializmu" z „człowiekiem ery liberalnej" jest u nas w okresie dwudziestolecia polemika tzw. awangardy ze „Skamandrem." Jeśli — ukształtowani w XIX-wiecznej atmosferze — poeci „Skamandra" mają jeszcze wiele młodopolskich przeżytków i nawet opiewając nową epokę, czynią to nie bez obcości czy przerażenia, to niekłamanym entuzjazmem dla wszystkiego, co nowe, tchnie awangardowa „Zwrotnica". Główny jej teoretyk, Tadeusz Peiper, usiłuje ze zmienionej sytuacji historycznej wydedukować nową poetykę. Ponieważ — rozumuje on — czynnikami decydującymi w kulturze są obecnie miasto, masa i maszyna, więc i sztuka powinna się uczyć od nich piękna. Ponieważ XIX-wieczne ideały wolności ustępują miejsca ideałom organizacji, należy dbać o jak najbardziej zwartą konstrukcję. Ponieważ epoka wymaga pośpiechu, więc poeta powinien używać skrótowych metafor. Ponieważ wreszcie technika uzależnia odległe kraje od siebie, więc rym w poezji powinien być oddalony i regularny itd.

Nie trudno dostrzec, w czym leży błędność tej dedukcji: w jej nazbyt schematycznym charakterze; przekłada ona mechanicznie cechy epoki na postulaty estetyczne. Lecz poezja nie jest zespołem chwytów i „sposobów". Jej forma wynika z warunków historycznych, ale nie da się z nich *a priori* wydedukować. Stąd sprzeczności, jakie rozsadzają poezję Peipera: głosząc w teorii utylitaryzm sztuki, w praktyce uprawia czysty estetyzm; głosząc jej umasowienie, popada w skrajne niezrozumialstwo; głosząc ekonomię środków, doprowadza w praktyce do tego, że czytelnik nad zwięzłymi jego metaforami traci więcej czasu, niż nad najbardziej rozwlekłym poematem. Aby odkryć społeczne źródło tych sprzeczności, wystarczy porównać niejednokrotne socja-

listyczne deklaracje Peipera [1] z pewną jego wypowiedzią, gdzie — jako na rzeczywistego adresata swej poezji — wskazuje na powojennego dorobkiewicza [2]. Sprzeczność między teorią a praktyką poezji Peiperowskiej odzwierciedla więc sprzeczność między dwoma rodzajami jej adresatów: między proletariatem, któremu chce służyć w teorii, a powojennym nowobogackim, na którego liczy w praktyce.

Działalność jego, która przypada głównie na lata 1922—1928, wyraża zatem to stadium w rozwoju polskich kierunków awangardowych, kiedy poprzestają one jeszcze na ogólnikowym zachwycie dla osiągnięć techniki, nie umiejąc się zdobyć na jednoznaczną ich ocenę. Jakkolwiek niezaprzeczoną zasługę Peipera-teoretyka stanowi to, że uwrażliwił publiczność na piękno techniki, to jednak na pierwsze osiągnięcia artystyczne zdobędzie się ów ruch dopiero później, po 1928 roku, kiedy sama sytuacja postawi go wobec konieczności wyboru. Wyrazem przechodzenia awangardy z pozycji „technicystycznych" na rewolucyjne będzie poezja Juliusza Wita, Lecha Piwowara, zwłaszcza zaś — Juliana Przybosia.

Duża rola, jaką w polskim ruchu awangardowym odegrali poeci pochodzenia wiejskiego (Kurek, Przyboś i in.), nie jest przypadkowa. Jakby szukając odwetu za wieki przymusowego zacofania, ci wnukowie pańszczyźnianych chłopów rzucają się z podwójną zachłannością na wszystko, co najbardziej nowoczesne: już przedwojenny — nie tak znów olśniewający w swym urbanizmie — Kraków oszałamia ich; cóż dopiero Paryż! Stąd głoszony przez awangardę postulat sztuki dynamicznej przypada do smaku najbardziej im właśnie, przedstawicielom warstwy od wieków statycznej, teraz zaś — bardziej bezkompromisowym w swej nowoczesności od mieszkańców elektrycznych stolic.

Dopiero po pewnym czasie głębsze umysły odkryją pod tą wtórną antytezą miasta i wsi inne, bardziej zasadnicze przeciwieństwo i dostrzegą w metropolii ośrodek nie tylko techniki, ale i wyzysku. Rozwój utalentowanego poety chłopskiego, rzuconego w wir powojennych, ultra-modernistycznych kierunków, da się więc ująć w pewien schemat. Można przewidzieć, że — po okresie oszołomienia urbanizmem i gwałtownej jego asymilacji — nawróci do tematyki wiejskiej, by potraktować ją nie w sielankowy, lecz w awangardowy sposób, aż wreszcie przeciwstawi własną ubogą wieś wspaniałościom wielkomiejskim i — by użyć własnych słów jednego z nich — „zważy prawdę w umęczonych rękach swojej matki" (Przyboś: Ł u k). Schemat ten sprawdza się całkowicie na przedwojennej poezji Przybosia, wyrażony nawet w jej tytułach: od naiwnie optymistycznego urbanizmu Ś r u b (1925) i O b u r ą c z (1926) poprzez nawrót do tematyki rodzimej we W g ł ą b l a s (1932) do przeciwstawienia obu kultur i porównania ich we własnym sercu — czyli do R ó w n a n i a s e r c a (1938).

Przeżycie kontrastu między wsią a miastem, między archaicznym zasto-

1 „W tym, co nazywam odległym rymem regularnym, zawarty jest mój socjalizm" („Tędy", str. 63).

2 „Ktoś, kto po długoletniej nieobecności w kraju przyjechał tu na przykład w r. 1921, musiał dostrzec natychmiast gruntowne zmiany... Każdy chciał coś robić i zarobić... Większość spekulowała walutą i akcjami... Jeden projektował biuro eksportu i importu, drugi dopiero co założył takie biuro i już uchodził za miliardera..." Ludzie ci „o niezachwaszczonych instynktach i o umysłach gruntownie wypranych w nowych strumieniach życia nie gardzą żołądkiem. Ich zdrowy śmiech oczyszcza powietrze. Ich żołądek zmienia restaurację i teatr" („Tędy", str. 115—116).

jem a nowoczesnym postępem stanowi więc u Przybosia element zasadniczy; rozwinie się ono później — jak zobaczymy — w tak typowe dla jego poezji przeciwstawienie statyki i dynamiki. Stąd też tak bardzo będzie go pociągać wszelkie pogranicze miasta i wsi: budowy, rusztowania, świeże wyręby, na których jutro legną bulwary i gdzie kombinacja wczorajszej wsi z jutrzejszym miastem tworzy całość dla wyobraźni tego chłopa-urbanisty szczególnie kuszącą (O b m u r o w a n i, W c z o r a j).

Na razie Przyboś czuje się przedstawicielem tego pokolenia chłopskiego, które uważa za swoje zadanie nowoczesną przebudowę wsi i mentalności wiejskiej. Tak właśnie określi się nieco później w programowym wierszu M y:

my niecierpliwi,
wypuszczeni z mechanicznych zasuw,
osadzeni stopami na błysku,

przeciwstawiając swoją generację zarówno archaicznym pradziadom, olbrzymom mitycznym, którzy „kiedy się zamachnęli, wirowały okolice", jak i skarlałym w pańszczyźnie ojcom, którzy „spędzili życie rozwierając i zwierając dłonie" i którzy „wszystko mieli do wymodlenia". Przeciwstawienie to w bardziej symbolicznej formie powtórzy się w późniejszym utworze N o w a r ó ż a. Porównując chłopa do drzewa wrosłego korzeniami w ojczyznę, tworzy groteskowy obraz rowerzysty, który z rozpędu wjeżdża pionowo po pniu, aż „wierzchołek wypuszcza wirujące koło". Ów wyrosły z chłopskiego pnia mechaniczny szczyt symbolizuje rolę, jaką przypisuje sobie i swojej generacji.[3]

Tylko jednak w młodzieńczych Ś r u b a c h i O b u r ą c z wyraża on te koncepcje bezpośrednio i tematycznie. Toteż żałować należy, że w powojennych wyborach zaliczył do nich wiersze późniejsze, zacierając tym samym swoją linię rozwojową. Pierwotne wydania tych tomów (wraz z pominiętymi obecnie utworami) ukazują nam znacznie wyraźniej, jak i z czego wyrosła późniejsza jego poezja.

Nic bardziej obcego młodemu Przybosiowi, niż jakikolwiek estetyzm czy eskapizm; przeciwnie, objawia się on tu jako poeta pracy, agitacyjny i użytkowy. Któż by dziś odgadł, że te oto dydaktyczne wiersze wyszły spod jego pióra?

Komenda zdobywczej woli z daleka okrzyknie gminy
Hasłem siły, rozkazem moralnej dyscypliny...
Człowiek, syzyf idei, nim w góry czynów się wgrzebie,
Nieubłaganą karnością podporządkuje siebie...

A jednak niesposób zaprzeczyć, że wiersze te — przy całej swej nieudolności — wyrażają już ten sam — czynny i organizujący — stosunek do świata, z jakiego wynikła późniejsza jego twórczość. Młody Przyboś nie zdradza bynajmniej ochoty, aby „odrywać się od rzeczywistości". Pisze poematy o elektryfikacji, o budowie mostu na Wiśle, reklamy linii lotniczych, agitki wzywające do wstępowania do LOPP. Nie trzeba zapominać, że hasła

[3] Por. również utwory Z i a r n o i G r u d k a z i e m i.

pracy organicznej itp. w owych tuż- przed- i tuż- pomajowych latach współbrzmiały z programem obozu legionowego, po którym Przyboś — sam uczestnik walk o niepodległość — spodziewał się upragnionej industrializacji.

Toteż niejeden z dzisiejszych piewców odbudowy mógłby — jakkolwiek paradoksalnie to brzmi — odnaleźć protoplastę właśnie w młodym Przybosiu; prawda, że nieświetnego.[4] Zadanie poety nowych czasów pojmuje on bowiem wówczas jeszcze nieco naiwnie. Wydaje mu się, że nowego człowieka można wyrazić przez sam dobór tematu; że chcąc wywołać wrażenie dynamizmu — wystarczy przedstawiać procesy dynamiczne; że — chcąc wywołać wrażenie mocy — wystarczy używać krzepkich słów (haratać, wtarabaniać się, gramolić itp.). Jest to jednak złudzenie. Siła poety nie leży w temacie ani w słowach, lecz w przeżyciu; można opiewać mdło eksplozję, a eksplozyjnie — rozkwitanie pączka. Ale to — zrozumie Przyboś dopiero później.

Podobnie jak w twórczości Tuwima, tak i Przybosia przełom stanowią okolice 1926 roku. Obydwaj — tak odmienni — poeci od naiwnego optymizmu twórczości młodzieńczej przechodzą wówczas do słuszniejszego, bo krytycznego, spojrzenia na rzeczywistość współczesną; od urbanizmu — do malarstwa krajobrazowego; od dynamiki w tematyce — do dynamiki w sposobie przedstawiania. Przełom to u Przybosia tym gwałtowniejszy, że — w przeciwieństwie do Tuwima — dopiero teraz zdobywa się na własny poetycki wyraz oraz — już — na ową postawę rewolucyjną, do której tamten dojrzeje dopiero w drugiej wojnie światowej.

Są to lata, kiedy — wyzwoliwszy się spod wpływów „Zwrotnicy" i jej hurra-technicyzmu — Przyboś zaczyna spoglądać na cywilizację miejską nie od strony jej pokazowej fasady, lecz jej kuchennych schodów; wyrażenie, które należy tu brać dosłownie. Bo też bohaterami jego — pisanych w 1930 roku — wierszy-grotesek[5] są domokrążcy, tragarze, grajkowie uliczni, a więc ci wszyscy ludzie, którzy poznają miasto właśnie od strony tylnych wejść, niedostępnych wind, podwórek, drażniących zapachem gotujących się obiadów. Jest to również urbanizm — tyle tylko, że — przenicowany. Stolica widziana jest tu oczyma bezdomnego łazęgi lub — bandosa. To ostatnie wyrażenie określa, być może, najtrafniej specyfikę nowego Przybosiowskiego spojrzenia na miasto: obraz chłopa zagubionego w stołecznym wirze, „trwonionego przez koła samochodów, karuzeli, katarynek" (N i e w i d z i a l n i, P o w r ó t c z y l i m a l e j ą c e g ó r y) stanowi odtąd u niego jedną ze stałych rezerw wyobrażeniowych. Że problematyka bezdomności i aklimatyzacji w mieście jest czymś głęboko osobistym, świadczy — wyjątkowy w tej optymistycznej na ogół twórczości — melancholijny liryk O p r z e c h o d n i u (1938), który

> tak smutny, że prawie nie nieszczęśliwy
> wstawia za każdą szybę niezliczonych okien miasta
> jedną jedyną fotografię:
> zdjętą troską twarz matczyną...[6]

[4] Ocena ta dotyczy w y ł ą c z n i e utworów rzeczywiście zawartych w pierwotnych wydaniach S r u b i O b u r ą c z.
[5] Drukowanych jedynie w „Twórczości" — Luty 1947.
[6] Por. również wiersze R o z r a c h u n e k i M i a s t u v o t u m.

Ten zmieniony stosunek do cywilizacji miejskiej łączy się u Przybosia z coraz bardziej krytycznym stosunkiem do polskiej rzeczywistości w ogóle, który — w latach kryzysu i bezrobocia — przerasta w postawę zdecydowanie rewolucyjną. Czując się — jako uczestnik walk o niepodległość — współodpowiedzialnym za ustrój Polski, tym boleśniej przeżywa on jego odsłaniające się faszystowskie oblicze. W Drodze powrotnej (1931) konfrontuje własną żołnierską przeszłość z obecną rolą wojska polskiego, używanego do tłumienia robotniczych manifestacji: „Ten sam karabin... strzela dziś za Ojczyznę, na której Purpuraty, Jaśni, brzuchy i zady siadły — Chłopcze, zwycięski w roku osiemnastym!" — mówi do siebie. Najnienawistniej reaguje jednak, ilekroć ofiarą sanacyjnego terroru padają chłopi. W pamiętnym roku 1934, roku głodowych buntów, powstaje Odjazd z wakacyj, w którym ten „elitarny" poeta podkreśla swój nierozerwalny związek ze wsią: „Z każdym ranem chłopskość ojca, czerwony kur, we mnie płomienniej pieje!" i „Tamten widok przestrzelonych pleców rani i bije we mnie serce buntu: pięćdziesięciokrotna śmierć zabitych w Rzeszowskiem".

Zanim jednak w Równaniu serca Przyboś wróci z ukształtowanym już ostatecznie światopoglądem do zagadnień współczesnej kultury technicznej, pierwszym jego odruchem w tym tuż-pomajowym i po-zwrotnicowym okresie będzie — cofnąć się do swych korzeni, ustalić swe punkty wyjścia, określić te przeżycia dzieciństwa, które miały dlań znaczenie przełomowe. Dwa ówczesne poematy wspomnieniowe — Ścięcie jaworu i Bogi — mają wartość nie tyle jako dzieła sztuki, co jako dokumenty, tłumaczące jego twórczość późniejszą. Znajduje w nich mianowicie wyraz to, co stanowi kamień węgielny jego światopoglądu: afirmacja istnienia, chłopska rzeczowość w ujmowaniu spraw życia i śmierci, ateizm. O cofaniu się do korzeni świadczy również przeważająca w zbiorze W głąb las (1932) tematyka wiejska. Oto po latach optymizmu, kiedy skok kraju w nowoczesną industrializację wydawał się czymś najbliższym, wraca do rodzimej wsi, aby się przekonać, że — nie zmieniło się w niej nic. „Chłop sadzi w piachu swą wolę człowieczą, wynędzniały — na nowo". Po staremu „oczom fornali błyszczy na ganku jaśniepan". Chyba tylko — jeśli wytężyć ucho w przyszłość — dosłyszeć można tupot nadciągających rebelii: oto już „każdy dom kosę na sztorc komina nasadził", dym unosi się z chałup jak „huk niewybuchły", a „z urwisk strzela bór" (Chaty). Na razie jednak — ciemno, cicho. Wiersz Pola pochyłe daje wstrząsający obraz wsi polskiej, pogrążonej w odwiecznym zastoju, gdzie „tylko koło widnokręgu się dzieje", bo „o co zaczepić tu ręce?"

Jedynym, co owemu zastojowi można przeciwstawić, jest praca, gest siewcy, który — wynędzniały — jednak „sadzi w piachu swą wolę człowieczą". Poczucie własnej siły, owa — tak charakterystyczna dla poezji Przybosia — „gigantomania" sprowadza się w ostatecznej instancji do wiary w klasę, która pracą swych dłoni przetwarza świat. „Urodzony do pługa — z nadmiaru Ziemi zostałem poetą" — pisze o sobie po latach z dumą. Postaci chłopskie są u niego zawsze mitycznie lub groteskowo wyogromnione; dziecinna jazda z ojcem na wozie urasta do demonstracji chłopskiej prapotęgi.[7] Zadaniem jego — jako syna tej klasy — będzie „pracować głębokoorną mo-

[7] „Ojciec z synem w górnej burzy przestrzeniał" (Istnieć).

wą", przeżywać świat wyobraźnią równie roboczo, jak oni przeżywali go — dłońmi. Stąd skłonność Przybosia, aby w każdym przedmiocie dostrzegać przede wszystkim pracę, jaka go wytworzyła; zamiast opisywać dom, powie, że „każda jego cegła spoczywa na wyjętej dłoni" (G m a c h y). Metodę tę zastosuje zresztą nie tylko do wytworów ludzkich, gdzie odpowiada ona rzeczywistości, ale i do przyrody, którą — w sposób fantastyczny — ujmie tak, jakby i ona była produktem człowieczej działalności.[8] Jest to tendencja, aby cofać przedmioty do ich „stadium produkcyjnego", pokazując włożoną w nie pracę; odpowiada jej tendencja odwrotna, aby każde przeżycie uzupełniać jego produktem, każdy zamiar — ziszczeniem. Czytając wiersz E c h o — „Zacięty, milczący, silny, stuknę o dąb i wywołam sioło", czujemy, że jest to — przeniesiony w sferę wyobraźni — trud chłopa, który stuka o dąb siekierą i nie wywołuje, lecz buduje sioło. W ogóle najbardziej zawiłe obrazy Przybosia rozjaśniają się, jeśli przyjąć, że traktuje on świat jako projekcję ludzkiej — najczęściej zaś własnej — osobowości, a więc tak, jak gdyby — patrząc na przedmioty — tworzył je. W ten sposób nadaje on biernemu dotychczas przeżyciu charakter aktywny, roboczy. Miłośnik retorycznych klasyfikacji mógłby to nazwać „figurą kreacyjną".[9]

W latach 1933-39 owa postawa kreacyjna przerasta u niego w odwrotność; w postawę — nazwijmy ją na razie katastroficzną. W istocie, traktując świat jako projekcję własnej osobowości, musi się — w konsekwencji — dojść do marzeń o jego zniszczeniu: władza demiurga najpełniej objawia się w apokalipsie. Ów proces psychologiczny, dokonujący się w poezji Przybosia, sprowadza się jednak w ostatecznej instancji do zachodzących w ówczesnym świecie procesów społecznych.

Pierwsze zalążki „katastroficznej" postawy stwierdzić można było u Przybosia jeszcze wcześniej: już w analizowanych C h a t a c h poeta pod pozornym zastojem wsi polskiej odkrywał — jak widzieliśmy — zaczajone potencje dynamiczne: mówił o dymie — który jest „niewybuchłym hukiem chałup", o borze „strzelającym z urwisk", o „kosach nasadzonych na sztorc kominów". W latach 1933-39 — po dojściu do władzy Hitlera — atmosfera oczekiwania na wybuch rozszerza się na całą Europę; rozszerzają się również i doświadczenia poety, który — po raz pierwszy — wyjeżdża na Zachód. Stąd zasadniczym jego obrazem staje się teraz kontrast między obecną statyką a przyszłą eksplozją. Tę figurę — można by ją nazwać „eksplozywną" — stosuje Przyboś nie tylko w utworach społecznych, ale i opisowych. W wierszu Z T a t r widzi masyw górski jako ładunek dynamitu: słychać tutaj — jak w C h a t a c h — „niewybuchły huk skał" i „gromobicie ciszy". W tytułowym R ó w n a n i u s e r c a stół „przebiera swą miarę" i „rusza jak czołg do ataku". Nawet bruk — w wierszu E i f f e l — „układa się kanonadą kamieni po jezdni". Postawę swoją, wynikłą z konkretnej sytuacji historycznej, Przyboś uogólnia zatem i rozbudowuje w światopogląd: poezja jego opisuje przedmioty jako zdarzenia, stany — jako akcję, materię — jako

[8] Stąd taki „produkcyjny" opis chmury w Z j a w i s k u w i o s e n n y m:

Jacyś cieśle przejaśnieni na wznoszonej przez się ścianie
— patrz! — podnoszą słup powietrza, by ustawić go pionowo.

[9] Tak np. o pastuszku, który — biegnąc — spostrzega potok, powie, że go „wybiegał"; o przerażeniu spadającej w przepaść taterniczki, że „uderzeniem serca obala szczyt górski"; o dziecku, które rośnie — że „zaświeca na wierzchołku głowy gwiazdę" itp.

energię, słowem, ujmuje cały świat tak, jak gdyby znajdował się w przededniu eksplozji. „Świat spełni się od razu, w błysku" — to ostatnie słowa tego zbioru.

Użyty przez nas poprzednio termin „katastrofizm" był — zaznaczyliśmy to — tymczasowy: nie łączy się on bowiem u Przybosia, jak u innych katastrofistów, z uczuciem grozy. Oczekuje on nadciągającej burzy — nieomal z radością. „Co ja wiozę przeciw wojnie w pośpiechu? Radość czy grozę?" — spyta siebie w 1939 roku. Warto zestawić go w tym względzie z innym poetą, który również odkrywał w tym okresie zatajoną pod pozornym zastojem dynamikę zjawisk: z Tuwimem. Analogia sięga tak daleko, że Tuwimowska Tragedia nad jeziorem ujmuje zastygły pejzaż skalny równie dynamicznie, jak Przyboś w wierszu Z Tatr:

Działy się tutaj olbrzymie rzeczy,
Walki natchnione, pasje szalone,
I tak zastygło od tysiącwieczy
Nie rozwiązane, nie wyrażone...
Szekspirze...
Rozwiąż tej ciszy kształty potworne
I wyzwól głazy z oków cierpienia.
Chórem tragicznym daj nową formę
Znieruchomiałej burzy milczenia.

Wyrażenie „znieruchomiała burza milczenia", które wydaje się dokładnym odpowiednikiem Przybosiowskiego „niewybuchłego huku skał", jest jednak w istocie jego przeciwieństwem. U Tuwima owa „burza" należy bowiem do przeszłości, u Przybosia jest ona sprawą jutra; pierwszy odsuwa dynamikę w pra-zdarzenie, w metafizykę, drugi oczekuje jej od przyszłości. Postawa Tuwimowska wyraża więc ideologię warstwy, która na wybuchu, a więc — w ówczesnej sytuacji — na wojnie może jedynie stracić; Przybosiowska — tej, która spodziewa się po niej wygranej. Toteż pierwszy jest autorem pacyfistycznego Wiersza do prostego człowieka, gdy drugi spodziewa się po wojnie ostatecznych i radosnych rozstrzygnięć. Jego pozorny katastrofizm wyraża zatem ideologię człowieka, który nie tylko dostrzega konieczność rozgrywki z faszyzmem, ale jej pragnie: mówią o tym zresztą wyraźnie jego wiersze polityczne (Na granicy, Na zachód i in.).

Nie w sam jednak faszyzm mierzy Równanie serca, lecz także — pośrednio — w całą cywilizację wielkokapitalistyczną. Tytuł centralnego w tomie wiersza Łuk oznacza nie tylko paryski Arc de Triomphe, lecz także łuk porównania, przerzuconego między dwoma światami. Blaskowi Paryża, obchodzącego właśnie rocznicę zwycięstwa nad Marną, przeciwstawia tu poeta tych, którzy pokrywają koszty owej świetności: własną spracowaną matkę; ubogą kwiaciarkę paryską; i wreszcie — tak uroczyście w ów dzień honorowanego — Nieznanego Żołnierza. Łuk to konflikt dwu tych przeciwstawnych światów; to dokonany między nimi wybór. W geście oficera, który — idąc na czele pochodu — salutuje szablą spoczywające pod Łukiem Triumfalnym prochy Nieznanego Żołnierza, dostrzega poeta mimowol-

ny ukłon, przesłany stojącej pod murem kwiaciarce, ukłon — całemu światu ciemiężonych.

Uczucia tego „olśnionego Zachodem turysty" są więc dziwnie dwuznaczne: składają się na nie zarówno podziw, jak gorycz i oskarżenie. „Stoję tu — pisze o Paryżu — jak głodny bezrobotny, patrzący na sypane wróblom okruchy". Pierwszym jego odruchem — wobec symbolów tej kultury, wobec Notre Dame czy Łuku Triumfalnego — jest zmierzyć się z nimi, dowieść, że to, co przywozi, nie jest niższe od tego, co widzi. Wystawiony na uroki metropolii, próbuje je zawsze odczynić, „oswoić", pognębić w wyobraźni. Wzrok jego odziera ziemię paryską z trotuaru, by dojrzeć pod nim czarną glebę (G ł ę b i e j), wielkomiejski pejzaż rozkłada automatycznie na wsiowe realia:

Dym, pęd z benzyny, nim rozwinął się, zwiądł,
Obtłuczony gradem kamienic... itd.

Słowem, pierwszy odruch jego wyobraźni wobec miasta — to zawrócić je do stadiów przyrodniczych, niejako „od-budować"; wobec techniki — odkręcić ją i „uwstecznić". Rozpoczęty opisem pędzących samochodów, wiersz M e t a stopnicwo przystaje, cofa się do „powolniejszego niż stanie, stukotu kopyt końskich", natrafia — w swej wstecznej drodze — na „głuchego wieśniaka", symbol zastoju, który „zadumał się i zaczuł w uścisku ze snopem", by wreszcie dojść do jakiegoś ruchu minus, gdzie wciąż cofające się „trumny aut spadają w poziomy, nieskończony dół". By zanegować w wyobraźni technikę, poeta zwalnia tu więc jej tempo i redukuje do zera. Gdzie indziej znów — jak np. w utworach P r ę d z e j czy E i f f e l — nasila je i potęguje, aby doprowadzić je do absurdu, do eksplozji, do świetlistego samozaprzeczenia.

Cały ten kompleks uczuciowy, gdzie motywy klasowe przeplatają się z „geograficznymi", stosunek do techniki — z oceną cywilizacji zachodniej w ogóle, nie da się na pozór określić jednoznacznie. A jednak — był ktoś, kto tego dokonał. W swoim wierszu S c y c i (1918) Błok potrafił zawrzeć w jednej formule cały ów złożony stosunek chłopskich narodów Europy Wschodniej do cywilizacji zachodnich, na który składał się wówczas i podziw dla ich wielkich osiągnięć, i gorycz wielowiekowej eksploatacji, i poczucie własnej jutrzejszej potęgi:

My pamiętamy mrok weneckich wód,
I piekło paryskiego gwaru,
I cytrynowych gajów woń i chłód,
I w mgle Kolonii chmurny zarys...

...Nie wińcie nas, gdy szkielet waszych ciał
Zachrzęści w ciężkich, czułych naszych łapach.

Jeśli nie wypowiedzi teoretyczne, to cały typ ówczesnej wyobraźni Przybosia świadczy o takim właśnie, żywiołowo wrogim, a zarazem scytyjsko zachłannym stosunku do „cywilizacji panów". Jego katastrofizm, jego anty-

urbanistyczny urbanizm ma w sobie jakiś odcień chłopskiego „luddyzmu", pogłos zeszłowiecznych rabacyj.

W tych tuż- przedwojennych latach ustala się zarówno ostateczny kształt poezji Przybosiowskiej, jak i jej pozycja w literaturze. Jej poczytność wśród młodzieży postępowej wzrasta: właściwa poecie postawa napiętego oczekiwania odpowiada epoce, która z zapartym tchem wypatruje chwili, gdy iskra dobiegnie prochów... To, że Przyboś znajduje się wówczas w nurcie najbardziej postępowym, nadaje jego wierszom niebywałą ani przedtem, ani potem nośność: zarówno Równanie serca, jak i — słabszy nieco — zbiór poematów prozą Pióro z ognia stanowią — osiągany później, lecz już nie przekroczony — szczyt poezji Przybosiowskiej.

Przykład Równania serca dowodzi, jak bardzo sztuka, aby doścignąć rzeczywistość, musi ją prześcignąć i aby przedstawić teraźniejszość, sięgnąć w przyszłość. Dotychczasowa technika Przybosia — jak już mówiliśmy — ukazywała ukryte pod statyczną powierzchnią zjawisk możliwości wybuchu. Z chwilą gdy ten nastąpił, traci ona swe uzasadnienie. Tematem zbioru Póki my żyjemy (1945) jest wojna sama, nie jej przeczucie, batalistyka, nie pre-batalistyka. Rzecz charakterystyczna! Z poetów, którzy okupację spędzili w kraju, Przyboś najmniej jest czuły na jej stronę martyrologiczną. Nieliczne wiersze na ten temat przechodzą czym prędzej nad cierpieniem — do afirmacji, do jakiejkolwiek — chociażby niewykonalnej — decyzji: „Bezbronni! Wymarzyłem dla was gwiazdę z dłoni wschodzącą: granat" albo „Zgłodniałych ogrzać i nakarmić choćby światłem jak bułką za szybą". Cierpiętnicza bierność, tak bliska np. Jastrunowi, pozostaje Przybosiowi obca. Tym, co go w wojnie pociąga, jest jej aktywna, batalistyczna strona. Najczęstszym, niemal obsesyjnym jego tematem są naloty, które — rzecz w swoim rodzaju jedyna! — przeżywa jako wyładowanie własnej siły, jako zjawisko groźne zarazem i radosne: „Żywy spod pocisków podnoszę się, drżąc z mocy. Ziemię, wplątaną w czterdzieści ekliptyk, w jednym wybuchu podrzucę". Ale i w tej — bliższej sobie — tematyce nie wyprzedza rzeczywistości; dogania ją co najwyżej. Batalistyka Póki my żyjemy grzeszy naturalizmem i opisywactwem; dawniejszy gigantyczny rozmach ustąpił miejsca retoryce. Poeta, który dawniej rzutował horyzonty, teraz nimi tylko żongluje.

Zastrzeżenia te dotyczą jednak wyłącznie ówczesnej batalistyki Przybosia, nie zaś — wierszy ściśle lirycznych. Wojna zagnała poetę do rodzinnej Gwoźnicy: były to lata gospodarowania, przymusowy Czarnolas. Praca fizyczna przeobraża gwałtownie tę poezję, która — właściwie — była ciągłym do niej dążeniem. Przybosiowski kreacjonizm, przedłużający roboczy gest w wyobraźni, znajduje teraz miarę i spełnienie w działaniu. W rodzimej wsi poeta „leczy rozłąkę ręki z sierpem", do którego czuje się urodzony. Świat staje się znowu dosłowny. „Gdy mówię, słowo w słowo wschodzi słońce" i „Dosłowną ręką zmagam się z oporem" — powiada o sobie. Ów „robotnik wyobraźni" pracuje teraz nie tylko wyobraźnią, ale i dłońmi. Znika dotychczasowy przedział między marzeniem a rzeczywistością. Poezja jego, wyrażająca teraz iście gospodarskie poczucie zapewnionego zaplecza, osiąga gdzieniegdzie niebywałą dotąd wagę wyrazu. Niewiele powstało pod okupacją

wierszy, tak nieozdobnie dojrzałych i tak — w obliczu śmierci — stoickich, jak to oto S ł o ń c e z e w z g ó r z G w o ź n i c y:

Niosłem swoją poezję jak żołnierz imię
W blaszce na piersiach przeciw kulom dwóch wojen...
W widnokręgu, który objął mnie w dzieciństwie,
Ziemia nieść mię będzie w wieczność koło słońca.

Wtedy to powstają również najszczęśliwsze wiersze, jakie Przyboś kiedykolwiek napisał: pierwsza część zbioru D o c i e b i e o m n i e. Nie dziwmy się, że zrodziły się one właśnie pod okupacją: wiemy, czym mógł być wówczas chciażby przelotny błysk słońca. Ten poeta wielkich rozmiarów staje się tu czułym miniaturzystą. Kreacyjny wysiłek, jaki czynił dawniej, aby opanować świat wyobraźnią, jest mu już niepotrzebny; zespala się z nim teraz naturalnie — przez codzienny tryb życia. W tych pełnych powietrza i zieleni obrazkach — jak na płótnach impresjonistów — przedmioty, spowinowacone światłem, rozluźniają się błogo w swych granicach. Odbywa się między nimi ciągła wymiana cech i miejsc — jak w korowodzie: „wróble podrywają cień spod stóp", „ptak odłącza od szyby gałązkę lodową i przenosi ją na wiśnię". Rozluźnia się również i sam wyraz; z twardego i tonicznego staje się łatwy i taneczny. Ten nowy „chiński" styl Przybosia trwa i tuż po okupacji. Najpiękniejszymi wśród powojennych jego wierszy są te, w których — jak we W s p o m n i e n i u, N o c y m a j o w e j, K o ł y s a n c e, D n i u p t a k ó w — wygrywa dawne swe melodie na dziecięcych cymbałkach.

Nie o wszystkich wierszach, zebranych w powojennej L i n i i p o w i e t r z n e j, da się to powiedzieć. Większość ich — to próba nawrotu do stylu przedwojennego, nawrotu, który bywa zawsze cofnięciem. Jedyną niewątpliwą inowacją jest tu pojawienie się tematyki lotniczej, szczególnie bliskiej temu poecie wielkich przestrzeni. Artystycznie jednak okres ten — spędzony przez poetę głównie w Szwajcarii — nie przynosi wiele nowego; przeciwnie akcentuje niebezpieczeństwa tej poezji, która nie umie utrzymać się na umiarkowanych wyżynach, lecz — już to daje rzeczy całkowicie odkrywcze, już to — na skutek nadmiernej kondensacji — popada w nieczytelność. Któż np. w wyrażeniu „Ziemią ornie pojętą aż tak idąc, aby tylko przekraczać widnokrąg" odszyfruje trzy równocześnie w nim zawarte i tylko przysłówkami zaznaczone myśli: 1) że poeta czuje się chłopem („pojmuje ornie ziemię"), 2) że cechuje go nadmiar aktywności wewnętrznej („aż tak idąc"), 3) co w rezultacie doprowadza do zewnętrznej bierności („tylko przekracza widnokrąg")?

Te silniej niż kiedykolwiek występujące teraz cechy sprawiają, że ów — rzeczywiście awangardowy — poeta znajduje się po wojnie nieco na uboczu. I nie w ideologii czy tematyce leży przyczyna tego osamotnienia. Przybos był od lat bliski ruchowi rewolucyjnemu; również i tematykę produkcyjną odczuwał zawsze lepiej, niż ktokolwiek: jego poetyckie listy ze Szwajcarii pytają o wydobycie węgla równie naturalnie, jak kto inny pyta o znajomych. Przyczyna izolacji tej poezji leży gdzie indziej: w tym, że wciąż jeszcze zwraca się ona do tego samego, co przed wojną, odbiorcy: do kolegi-

poety, do rewolucyjnego „awangardzisty", takiego właśnie, jakiego sylwetkę nakreślił był niegdyś w znakomitym Liście. Odbiorca taki jednak już nie istnieje. Wychodzi tu w całej ostrości na jaw sprzeczność, która — zamaskowana dawniej przez odmienną sytuację literacką — zawsze jednak leżała u dna tej poezji: sprzeczność między jej genezą a jej adresatem.

Wykazaliśmy powyżej, jak silne było zawsze u Przybosia poczucie klasowej przynależności. Błędem byłoby jednak nie dostrzegać i odwrotnej strony medalu: oto, że — będąc wyrazicielem swej klasy — nigdy nie był jej poetą; że pisał jako chłop, lecz nie dla chłopów. Zjawisko w sytuacji przedwojennej zrozumiałe: lud wiejski nie był wówczas odbiorcą poezji. Ambicją artystyczną Przybosia jest zatem wypowiadać się nie wobec chłopów, lecz wobec wąskiej warstewki znawców. Stąd sprzeczność między klasową treścią tej poezji a jej elitarną formą. Poeta czuje, że jedynie przez doskonałość czy bodaj wyrafinowanie formy może dotrzeć do obcego sobie czytelnika, że dystans klasowy między swym chłopskim bohaterem lirycznym a swym adresatem-intelektualistą musi nadrobić ceną najwyższego wysiłku. Stąd ustawiczna popisowość tej poezji, stąd potrzeba, aby każde jej słowo było niebywałe i odkrywcze.

Toteż dwa — wręcz przeciwne — sądy o Przybosiu: że jest związany ze swą klasą i że jest od niej oderwany, są równie prawdziwe; pierwszy — jeśli chodzi o temat i genezę, drugi — jeśli o adresata jego twórczości. Na pytanie: „Czym jest Przyboś? Czystym artystą czy poetą zrewolucjonizowanego chłopstwa?" albo — w paradoksalnym sformułowaniu: „Estetą czy Scytą?" jednoznacznej odpowiedzi nie ma: oba twierdzenia są słuszne — każde w innym odniesieniu.

Niewątpliwie samotnictwo Przybosia wynika z prostego faktu, że najbliżsi mu ludzie nie mogą go zrozumieć, że — uczuciowo z nimi związany — intelektualnie jest „wysferzony". Toteż poezja jego — tak aktywna w założeniach — nie pragnie wpływać bezpośrednio na działanie ludzkie. Jej twórczy gest zawisa w próżni lub raczej — w braku zewnętrznego obiektu — zwraca się ku samemu autorowi. Tym, co Przyboś konstruuje w swej poezji, są jego własne przeżycia. Nie darmo zaczął swą twórczość od zapowiedzi, że „nieubłaganą karnością podporządkuje siebie".

Specyfikę tej postawy unaoczni najlepiej — porównanie. Kiedy Majakowski opisuje Notre Dame, myśli o tym, aby ją przekształcić realnie, ot, chociażby przerobić na kino; kiedy patrzy na nią Przyboś, myśli o tym, aby ją opanować psychicznie, wznieść powtórnie w duchu:

> Wiem! Obciążone Jezusami krzyże
> Trzeba wyostrzyć w piony budowniczych drabin... itd.

Jest to różnica między aktywnością zewnętrzną a wewnętrzną. Odbija się to zresztą i w przedwojennej postawie politycznej Przybosia, który — mimo zdecydowanie rewolucyjnych przekonań — podkreśla raz po raz, że działalność praktyczna nie jest jego domeną, za jedyne swe zadanie uważając rewolucjonizowanie wyobraźni. „Ja z gniewu każdą kropką wysadzałem bramy, ty — bombą powysadzasz je z muru" — mówi do młodego rewolucjonisty. A jeszcze za okupacji: „Osobno — w walce wspólnoty biorę udział".

Tak zatem u Przybosia aktywność wewnętrzna idzie w parze z zewnętrzną biernością. Z połączenia ich wynika ów imaginacyjny kreacjonizm, ujmujący świat jako funkcję wyobraźni poety. Aby go tak przedstawić, musi on uciec się oczywiście do pewnych fikcyj. Oglądając np. przedmiot, udaje przed sobą samym, że go tworzy; jego spojrzenie zyskuje tym samym — jak już mówiliśmy — charakter pracy (Notre Dame, Nike). Zjawiska zewnętrzne przedstawia często tak, jakby działy się w jego wnętrzu i jakby granice jego osoby stanowił — widnokrąg. „Mieszkam na stałe na zewnątrz" — mówi o sobie — i „jestem nie tam, gdzie jestem, lecz tam, dokąd widzę". Samolot odrywa się u niego nie od ziemi, lecz — od rzęs. Słowem, próbuje opanować świat przez zatarcie granicy przestrzennej między sobą a nim. Kiedy indziej osiąga to samo, utrwalając jakiś przelotny moment, w którym — zamiast biernie przyjmować świat — narzucamy mu własne urojenia — obalone już w najbliższym okamgnieniu przez rzeczywistość. W utworze Tamtędy opisuje chwilę, kiedy — szukając po omacku kontaktu latarki — naciskamy omyłkowo guzik kamizelki i przez n-tą część sekundy wydaje się nam, że światło rozbłysło. Gdzie indziej — w poemacie prozą Orzeł — chwyta w locie iluzje, jakie narzucamy światu w pierwszej — niekontrolowanej jeszcze — chwili przebudzenia. Słowem, lubuje się w opisie momentów, kiedy człowiek ma przez chwilę złudzenie, że nie przyjmuje świata, lecz go tworzy.

Z tej wewnętrznie aktywnej postawy wynika poetyka Przybosia. Podziela on — ogólny w tej generacji — wstręt do lirycznego gadulstwa. Słowo jest dla niego nie tyle wyrazem uczucia, co narzędziem — imaginacyjnego — działania; skąpe i oporne, przedostaje się z trudem przez zaciśnięte wargi. „Gdybym był bardziej zaufał (poezji) — mówi Przyboś — zamilkłbym, powiedziawszy jedno jedyne słowo: »Jestem«. W najdalszej konsekwencji poezja ta znosi zatem siebie samą — na rzecz działania lub milczenia. W wypadku Przybosia ów kult małomówności ma jeszcze inne — osobiste — źródło: środowisko rodzime, gdzie ojciec synowi „starą prawdę zamilcza na ucho, co rok strząsając ziemię ze siebie z mozołem". Cóż dziwnego, że pragnie, aby każde słowo jego było nie mniej ważkie od tego wiekowego milczenia? Stąd obca mu jest zarówno wszelka wylewność uczuciowa, jak i formy, w jakich się ona przejawia: potoczysty rytm, monotonia regularnego rymu, śpiewna harmonia samogłosek: utwory jego oparte są zasadniczo na krótkich spięciach metaforycznych, na dysonansach i twardych zbitkach spółgłoskowych. Jego materię poetycką stanowi nie tyle uczucie, co akt woli. Na ogół liryk wypowiada jedno wzruszenie; Przyboś opisuje zazwyczaj konflikt dwu wzruszeń przeciwstawnych. W Łuku — jak już mówiliśmy — podziw dla Paryża walczy z miłością dla pokrzywdzonych; decyzja jest pointą. Na podobnej zasadzie opiera się większość jego wierszy. Stąd tak często powtarza się w nich słowo „rozstrzygać".

Tym tłumaczy się również Przybosiowska kompozycja. Nie polega ona — jak u Skamandrytów — na narastaniu jednego uczucia, wznoszącego się aż do końcowego krzyku, lecz na zestawieniu różnych motywów uczuciowych, niby przeciwstawnych zeznań, które ostatni wiersz — jak trybunał — splata, sumuje i wysnuwa z nich decyzję. Owym momentem rozstrzygającym jest często nie osobista wypowiedź poety, lecz jakiś zewnętrzny fakt, który

spełnia zawarte w wierszu oczekiwania, potwierdzając tym samym kreacyjną moc poety. W Łuku jest nim ów gest oficera, który salutuje symbolicznie kwiaciarkę; w Gwieździe — wschód słońca, który realizuje wyrażone poprzednio pragnienie wzlotu.

Spełnieniem jest często jakiś fantastyczny obraz, który splata wszystkie dotychczasowe elementy wiersza: opis iskrzącego się Paryża w Czterech stronach zamyka się pointą: „Czekam, kiedy wiersz zamieni się w racę". Przykłady takiej kompozycji można by mnożyć: jak „rozstrzygać", tak i „spełniać" jest jednym z najczęstszych słów u Przybosia.

Połączenie wewnętrznej aktywności z zewnętrzną biernością nadaje poezji Przybosia ów — tak dla niej charakterystyczny — nastrój napiętego oczekiwania. Czekać — to chcieć, by spełniło się coś, z czym się czynnie nie współdziała, to — samym skupieniem woli — wywoływać przyszłość. Wykazaliśmy powyżej, że sytuację swej klasy, pogrążonej w wielowiekowym zastoju, ale pełnej poczucia oczekujących ją w przyszłości zadań, uogólnił Przyboś w swej przedwojennej poezji w antytezę statyki i dynamiki, bezruchu i zdarzenia. Najdalszą jej konsekwencją jest właśnie ów nastrój oczekiwania; wyraża się w nim postawa chłopa-modernisty, nie działacza jednak, lecz właśnie poety, który wyżywa się nie w czynie, lecz w marzeniu o nim, w imaginacyjnym akcie woli.

Antyteza ta wyciska piętno i na stylu Przybosia: odpowiednikiem modernizmu jest tu neologizm. Osadzony głęboko w języku ludowym, roi się on od przysłów, porzekadeł, używanych zwrotów, których poeta zawsze nadużywa, zaszczepiając na nich jemiołę nowoczesności, podobnie jak w Nowej róży zaszczepił na drzewie — koło rowerowe. Innymi słowy, nadaje on sens aktualny i obrazowy powiedzeniom, które w ciągu wieków stały się anemiczną przenośnią. „Zmartwychwstać" — trąci dwutysiącleciem; ale powiedzieć o kimś, kto dźwiga się z pobojowiska, że „z rannych i z martwych wstaje" — znaczy nadać temu wyrażeniu przeraźliwą dosłowność. „Przychylać nieba" — nie budzi żadnego obrazu; ale powiedzieć o nadlatującym za okupcji samolocie radzieckim, że „przychyla nam nieba" — to odnowić zawarty w tym zwrocie obraz. Każde nieomal zdanie Przybosia udosłownia jakąś przenośnię, łącząc sens archaiczny z nowoczesnym, abstrakcję z konkretem: starożytni gramatycy zwali to „zeugmą". Stąd wywodzą się jego kalambury, które zawsze nawiązują do jakiejś tradycyjnej formuły: czy to gdy, zniechęcony do Warszawy, powie o jej ulicach, że są „brukowane dobrymi chęciami"; czy gdy przywita swą matkę modlitewnym: „Zdrowaś? Łąkiś pełna?"

Temu celowi służą również jego poetyckie etymologie. Zwroty w rodzaju „kos zagaił wysokopiennie", „potok toczy potoczną przenośnię" itd. imputują słowom „zagaić", „wysokopienny" czy „potoczny" fikcyjne pochodzenie od „gaju", „wysokiego pienia", „potoku", podsuwając tym samym na miejsce abstrakcji konkretny obraz i biorąc je niejako — za słowo.

Praca Przybosia nad językiem stanowi więc dokładną odwrotność Tuwimowskiej: gdy poeta Rzeczy czarnoleskiej archaizuje, to on — neologizuje. Pierwszy zakorzenia nowoczesne słowo w staropolszczyźnie, sprowadza „wiosnę" do „wieśni", „zieleń" do „zieli" itp.; drugi — przeciwnie — wywodzi ze starego pnia nowe pędy. Tamten wyraża warstwę, która

pragnie wróść w rdzeń staropolski, ten — klasę wstępującą, która chce zmodernizować swe zastygłe formy bytowania.

*

Widzimy więc, jak grubym nieporozumieniem jest dotychczasowa opinia krytyki o Przybosiu. Dostrzegła ona wyraz wojującego estetyzmu w tej wytężonej w przyszłość i roboczej poezji, której kreacjonizm wyraża jedynie tęsknotę za działaniem realnym; rzecz zresztą charakterystyczna, że znika on za okupacji, gdy okoliczności życiowe zmuszają poetę do pracy fizycznej. Zapewne, forma tej poezji bywa niełatwa; tu i ówdzie — grozi jej wysilenie, przeładowanie czy nawet pretensjonalność. Prawdziwą jednak miarę artysty dają szczytowe jego osiągnięcia; nie manowce, lecz odkrycia. Przez ćwierćwiecze Przyboś stanowił wysuniętą na niezbadane dotychczas tereny czujkę poezji polskiej: szukał.

Sądzę, że znalazł.

Artur Sandauer

JERZY WYSZOMIRSKI

Dwie wielkie podróże Czechowa

1

W r. 1884, po uzyskaniu dyplomu lekarskiego, 24-letni Antoni Czechow, szeroko już znany czytelnikom jako „Antosza Czechonte" — współpracownik pism humorystycznych, otrzymuje posadę lekarza w Zwenigorodzie pod Moskwą, w szpitalu tzw. „ziemskim", czyli wiejsko-samorządowym. Nie zrywa jeszcze z redakcją „Oskołków" („Odłamki" czy „Odpryski"), lecz w sposób zbawienny dla siebie i swej twórczości oddala się od niej i przenosi w inny świat, w inne środowisko. Poznaje przyrodę rosyjską, którą później tak pięknie będzie opisywał, zbliża się do chłopa, obserwuje życie ziemian i nauczycieli wiejskich, pojmuje, jakie powinny być obowiązki lekarza (można by rzec, że jest doktorem Judymem), styka się co krok z cierpieniem ludzkim. Pogłębia się tematyka jego opowiadań. Właśnie w tym czasie powstaje Kameleon, z kolei Złoczyńca i Kapral Priszybiejew, wreszcie Zgryzota — pierwsza jego nowela, osnuta na przeżyciach i doświadczeniach lekarza wiejskiego, przejmująca historia starego chłopa, który w mróz i śnieżycę odwozi chorą żonę do odległego o trzydzieści wiorst szpitala, a przyjeżdża tam z trupem żony i z tak odmrożonymi kończynami, że o żadnym ratunku mowy być nie może. — No, trudno — mówi obojętnie dyżurny lekarz. — Cóż robić! Masz pewnie te sześćdziesiąt lat? Swoje przeżyłeś.

Tak nadejdzie rok 1890, który zaważy bardzo na twórczości pisarza, pogłębi ją jeszcze mocniej, spotęguje jej tony społeczne, filozoficzne i humanitarne. W roku tym odbył Czechow podróż na Sachalin, ową straszliwą wyspę, która była miejscem katorgi za czasów carskich. Odbył wędrówkę dantejską przez cały Sybir i telepiąc się po bezdrożach niezmierzonych przestrzeni, mógł powtarzać za Dantem: *„Per me si va nella citta dolente... per me si va fra la perduta gente"*: „Przeze mnie droga w miasto utrapienia... przeze mnie droga w naród zatracenia".

Bo podróż ta była podówczas wyprawą na koniec świata, wymagającą olbrzymiego wysiłku woli, nerwów i zdrowia, a Czechow miał już początki gruźlicy, z czego co prawda nie zdawał sobie jeszcze sprawy. Ale już kwękał po trosze i — rzecz prosta — podróż podkopała jego zdrowie znacznie. Wielka kolej transsyberyjska nie istniała wtedy. Trzeba było jechać końmi kilka tysięcy wiorst, torem skazańców gnanych „etapem", w warunkach uciążliwych, częstokroć niebezpiecznych, zwłaszcza podczas niespodziewanych wylewów rzek. Co wpłynęło na to bohaterskie postanowienie Czechowa, które rodzinie jego i przyjaciołom wydało się po prostu niedorzeczne?

2

Tu zróbmy dygresję o listopisarstwie Czechowa, a przy tej sposobności potrąćmy o rzeczy polskie, tym bardziej że w swej podróży spotykał Polaków zesłanych tam po powstaniu styczniowym i pisze o nich z uznaniem: „Mili, gościnni, uprzejmi, nadzwyczaj delikatni ludzie".

Czechow był świetnym epistolografem. Listy jego posiadają te same przymioty stylu, co i opowiadania: zwięzłość, treściwość, celność wyrazu, żywość i codzienność języka. Jest ich siedem tomów, wydanych przez „Ogiz" (Moskwa 1948—1950). Natrafiamy w nich na niejedną uwagę, wzmiankę lub wspominek, dotyczące Polski i Polaków. Miał Czechow trochę znajomych Polaków — ot, niczym nie wyróżniających się ludzi, z takich czy owakich powodów zapędzonych w owych czasach w różne strony olbrzymiego imperium carów: jakichś dwóch braci Tyszków — Romualda i Edwarda, Alfonsa Szaniawskiego z żoną, wiolonczelistę Mariana Siemaszkę, niejakiego Skirmunta i innych. Ale, jak widać z listów, byli to dobrzy znajomi, z którymi łączyła go serdeczna zażyłość. Najmniej wybitna, lecz wspominana z wdzięcznością jest „Masza Polka", jak ją Czechow nazywa, jego gospodyni w Jałcie, już w ostatnich latach życia pisarza, kiedy to zdrowie jego, trawione przez gruźlicę, wymagało szczególnej pieczołowitości. Czechow nie może się dość nachwalić gotowania „Maszy", przyrządzającej potrawy ściśle „według polskiej książki kucharskiej". Prócz tych pomniejszych postaci zetkniemy się w listach z Polakami głośnymi: a więc z dwoma pisarzami rosyjskimi pochodzenia polskiego, bardzo popularnymi pod koniec wieku XIX — z Kazimierzem Barancewiczem i Hieronimem Jasińskim, z którymi Czechow utrzymywał bliskie stosunki, oraz z Leopoldem Sulerzyckim, znakomitym reżyserem teatru Stanisławskiego, wystawiającym sztuki Czechowa.

Niejedną też znajdziemy uwagę o naszej sztuce i literaturze, np. o Stefanie Bakałowiczu lub Henryku Siemiradzkim. Dowiemy się też, że Czechow cenił wysoce Klemensa Junoszę — właśnie jako nowelistę, jako autora realistycznych obrazków z życia polskiej wsi i dworu, tudzież Orzeszkową, do której C h a m a w przekładzie rosyjskim napisał był przedmowę sam Lew Tołstoj. Książki tych dwojga pisarzów zakupywał Czechow do biblioteki publicznej w Taganrogu, której był opiekunem. Najwięcej jednak wzmianek, krótszych i dłuższych, mamy o Sienkiewiczu — i nic dziwnego: był to podówczas najsławniejszy na obu półkulach powieściopisarz polski. Zdanie Czechowa o poszczególnych utworach Sienkiewicza jest rozmaite. Tak np., projektując podróż do Afryki, czyta z zapałem L i s t y z A f r y k i (w przekładzie W. M. Ławrowa) i zachwyca się nimi; podoba mu się B e z d o g m a t u, mimo „zbytnie filozofowanie" jej bohatera: jest to — powiada — książka zajmująca, mądra i psychologicznie głęboka. W R o d z i n i e P o ł a n i e c k i c h oddaje sprawiedliwość pięknym opisom natury, natomiast razi go mieszczański stosunek do życia niektórych bohaterów tej powieści.

3

Powyższa dygresja, jakkolwiek odbiega od tematu, czyni jednak, jak sądzę, wielkiego pisarza bliższym czytelnikowi polskiemu, a przy tym pokazuje mu próbkę tego, czym są jego listy: jaką, mówiąc pospolicie, kopalnią najrozmaitszych spraw. Toteż i podróż na Sachalin znalazła w listach swe najwierniejsze, najszczersze odbicie. Mniej więcej pięćdziesiąt listów do rodziny i do przyjaciół w tomie trzecim, zawierającym kores-

pondencję z lat 1890—1892, poświęcone jest opisowi podróży: stanowi niemal jej dziennik.

Cóż tedy wpłynęło na postanowienie Czechowa? Co go skłoniło do przedsięwzięcia trudnej „pielgrzymki"? Po prostu humanitaryzm, wrodzony mu a wzmożony studiami medycznymi, które uczyły go miłości do cierpiącego człowieka, co więcej — do wszystkiego, co żyje. Chciał napisać rozprawę naukową, ujętą ze stanowiska lekarskiego, o warunkach życia zesłańców, w szczególności przestępców kryminalnych, osiedlanych na Sachalinie zazwyczaj dożywotnio. „Sachalin — pisał w liście do A. S. Suworina na miesiąc przed wyjazdem z Moskwy — jest miejscem niesłychanych katuszy, jakie może znosić człowiek wolny a podległy przemocy. Gdybym był sentymentalny, powiedziałbym, że do takich miejsc, jak Sachalin, powinniśmy odbywać pielgrzymki niczym mahometanie do Mekki. Zgnoiliśmy na mierzwę w więzieniach miliony ludzi — bezcelowo, bez zastanowienia się, po barbarzyńsku. Tysiące ludzi, zakutych w kajdany, gnaliśmy wśród śniegów tysiące wiorst, by ginęli nędznie, dziesiątkowani chorobami i syfilisem; mnożyliśmy przestępców, zwalając winę na zapijaczonych dozorców więziennych. Cała oświecona Europa wie, że to nie dozorcy są winni, lecz my wszyscy, ale co to nas obchodzi?" Widzimy tedy, jak szlachetne pobudki powodowały pisarzem, w jakim oskarżycielskim dla systemu „priszybiejewszczyzny" zamiarze jechał, jak wreszcie chciał otworzyć oczy swemu społeczeństwu na to zło i targnąć sumienia rodaków.

Przed podróżą, z właściwą sobie rzetelnością, przeprowadził rozległe studia. „Całymi dniami — pisze — siedzę, czytam, notuję. To jakiś obłęd: mania sachalinosa..." Istotnie, przeczytał dużo rzeczy specjalnych z dziedziny etnografii, geografii i geologii Sachalinu i Syberii, zapoznał się z prawodawstwem, sądownictwem i więziennictwem, porobił notaty, ułożył szczegółowy plan wyprawy i przyszłych badań. Tak uzbrojony w gruntowną wiedzę, wyruszył z Moskwy w kwietniu r. 1890, dalekim szlakiem, którego najważniejsze etapy, odległe od siebie o setki wiorst, były następujące: Perm, Tiumeń, Tomsk, Irkuck; dalej przez Bajkał i wreszcie parowcem w dół Amuru do Nikołajewska — portu nad cieśniną Tatarską, za którą leży posępna „wyspa katuszy".

Jaka to była wędrówka, świadczą listy. „Błoto, deszcze, wichura, zimno — skarży się — a na nogach mokre «walonki». Czy rozumiecie, co to są mokre «walonki»?... Jedziemy brzegiem jeziora. Mokradła, zatopy, śnieg z błotem, zaspy. Trzeba złazić z bryki i pomagać koniom, które się zapadają. W mokrych «walonkach» brnę przez wodę". — „W jakichś zatraconych osiedlach — pisze gdzie indziej — widzę trzynastoletnie prostytutki, piętnastoletnie matki. Cerkiew i szkoła istnieją tylko na papierze. Dzieci wychowuje katorga."

Nadchodzi gwałtownie pora upałów: w dzień spiekota niemiłosierna, w nocy — parno i duszno. I mimo że już dziesięć dni płynie Czechow Amurem, pot się z niego leje jak w łaźni. Ale za to cóż za wspaniałe, pierwotne i surowe widoki natury, jaki krajobraz, jaka rozmaitość twarzy ludzkich, różnych ras i plemion, jakie typy i postaci, nie spotykane w Rosji Europejskiej!

Podróż trwała trzy miesiące. Na Sachalin przyjeżdża Czechow w pierw-

szej połowie lipca i przebywa tu także trzy miesiące. Powraca do kraju drogą morską, przez dwa oceany — Spokojny i Indyjski. Z żalem musi ominąć Japonię, w której srożyła się właśnie cholera, ale zatrzymuje się w Hong-Kongu, w Singapurze, w Kolombo na Cejlonie, po czym przez Morze Czerwone, Port Said, Konstantynopol zawija w pierwszych dniach grudnia do Odessy. A jakże z jego zdrowiem przez cały ten czas? Owszem — w jednym z ostatnich listów do matki pisze, że nieźle: czuje się zdrów, tyle tylko, że miewa „migotanie" w oku; stąd bóle głowy i pewna ociężałość. A może nie chce martwić kochającej matki? Bo zdaje się, że niewinne „migotanie", noszące w medycynie naukową nazwę *scintillatio*, coś jednak mówi, że ze zdrowiem nie wszystko było w porządku. Gruźlica kiełkowała. Bo w liście do Suworina nadmienia, że kaszle i gorączkuje wieczorami.

4

Co Czechow widział na Sachalinie? Pisze, że „wszystko, z wyjątkiem kary śmierci". Musiał widzieć dużo i napracował się niezmiernie, choćby nad statystyką zesłańców, jaką przeprowadził: zrobił własnoręcznie spisy dziesięciu tysięcy dożywotnich osiedleńców, spisy obejmujące tzw. personalia. „Przywiozłem — pisze Suworinowi — pełniutki kufer wszelakich różności katorżniczych: surowiec, który trzeba opracować. Dowiedziałem się wielu rzeczy. I teraz wiem, że Sachalin — to piekło."

Gorzkim owocem tej ofiarnej podróży stała się obszerna książka pt. Wyspa Sachalin, zdaje się, że mało u nas znana, nigdy bodaj nie tłumaczona i dopiero teraz mająca się ukazać w zbiorowym, jedenastotomowym wydaniu pism Czechowa, które przygotowuje „Czytelnik". Jest to rzecz bardzo odrębna i samoistna: odskakuje ona i od nowelistyki, i od dramatopisarstwa Czechowa, a wznosi się między nimi jak pomnik, jak słup graniczny, znaczący rozwój twórczości pisarza. Nader ścisła, rzeczowa, napęczniała treścią, pisana stylem tak lapidarnym, że niemal aż suchym, książka ta w sposób przerażający zobrazowała całokształt bytowania skazańców sachalińskich — tryb ich życia, zatrudnienia, mieszkania, gospodarkę rolną, myślistwo, rybołówstwo, rzemiosła, chałupnictwo itd. itd. Następnie stan zdrowotny i odżywianie się mieszkańców wyspy, śmiertelność panującą wśród ludności, dalej — jej obyczajowość i moralność, przestępczość, postępowanie władz, system kar więziennych i cielesnych, smutną rolę cerkwi, analfabetyzm... Krótko mówiąc, pod względem treści było to dzieło naukowo-badawcze w całym słowa znaczeniu, w formie zaś przystępne, obliczone na te szerokie masy czytelnicze, o które Czechowowi zawsze chodziło.

Nie ma potrzeby rozwodzić się nad tym, jakie doniosłe następstwa pociągnęła za sobą ta podróż dla Czechowa jako pisarza i artysty, jak rozszerzyła jego widnokręgi umysłowe, zasięg znajomości świata i ludzi, ile mu przyniosła doświadczeń i spostrzeżeń, które potem spożytkuje w swej twórczości. A ma zaledwie lat trzydzieści: jest w rozkwicie swego dojrzałego talentu. Rzecz inna, że podróż ta — jak zauważa jeden z jego biografów — napiła go goryczą na całe, jakże krótkie życie. Wnet po niej, na wiosnę roku 1891, odbył następną, w kierunku wręcz przeciwnym, na Za-

chód. Zwiedził Wiedeń, Wenecję, Bolonię, Florencję, Rzym, Neapol, Pompeję, potem południe Francji i Paryż, i przez Niemcy wrócił do kraju, każdy postój i w tej swojej podróży opisując w listach do rodzeństwa. Poznawszy w ten sposób Azję i Europę, bogaty w pomysły i zamierzenia literackie, kupuje pod Moskwą niewielki majątek Mielichowo i spędza w tej wiejskiej samotni lat siedem, od r. 1892 do 1899. Jest to najpłodniejszy i najbujniejszy okres jego twórczości. Tu powstają takie opowiadania, jak: Człowiek w futerale, Agrest, Baby, Chłopi i in., przede wszystkim zaś owa Sala Nr 6, o której 22-letni podówczas Lenin powiedział: „Przeczytałem to opowiadanie — i przejęła mię groza... miałem wrażenie, jakbym ja też był zamknięty w sali Nr 6" — ta Sala, o której krytyka radziecka mówi, iż „odegrała ona poważną rolę w sprawie psychologicznego przygotowania rewolucji". W Mielichowie spotężniał ostatecznie talent Czechowa, ukształtowały się jego poglądy na zadania i obowiązki pisarza, a wraz z tym na technikę i sztukę pisarską, na to tworzywo, jakim dla literata jest język i styl — słowem, jakbyśmy się dziś wyrazili, na rzemiosło i warsztat pisarza.

5

„In der Beschränkung zeigt sich der Meister" — powiedział Goethe. Flaubert zaś pouczał początkujących literatów jak następuje: Chcesz napisać, że pada deszcz? Pisz: pada deszcz. Ale broń Boże nie napisz: strumienie wody leją się z nieba na ziemię. Podobnie i Czechow, mistrz krótkiej, zwięzłej noweli — tej *short story*, jak ją nazywają Anglicy — najtreściwszy obok Turgieniewa z wielkich prozatorów rosyjskich. Pod tym względem jego wypowiedzi zasługują na baczną uwagę i dla niejednego piszącego mogą się stać drogowskazem (a właśnie niedawno nasz młody krytyk-marksista, Lech Budrecki, w artykule ogłoszonym w Nr 5/158 „Życia Literackiego" pt. Droga do piekieł, czyli o sztampie dotknął tych „bolączek").

Przede wszystkim — powiadał Czechow — piszmy tak, jak mówimy: prostym, potocznym językiem, w nim bowiem znajdziemy rzeczywiście skarby plastyki, barwności, obrazowości. Wszelka tak zwana „literackość" — to sztuczność i nienaturalność. Język codzienny, język ulicy, pospólstwa, chłopa i robotnika obfituje w nieprzebrane zasoby słownictwa, z których pisarz powinien czerpać nieustannie, jeżeli chce, by jego postaci były żywe i prawdziwe. I notatniki Czechowa świadczą o tym, że przysłuchiwał się on powszedniej, bieżącej mowie, gdzie mógł: na rynku, w sklepiku, w urzędzie, w wagonie trzeciej klasy — i zapisane zwroty wkładał potem żywcem w usta swych bohaterów.

Drugi obowiązek pisarza — to brać wątki wprost z życia. Pisarz musi ciągle obserwować — powiadał — nie wolno mu się ani na chwilę odrywać od rzeczywistości. To zaś, co widzi, powinien opisywać z bezwzględną prawdą i odwagą. I nie ustawać w pracy nad sobą. „Gdybym mógł żyć jeszcze ze czterdzieści lat — pisał w jednym z listów — i przez te długie lata czytać a czytać wielkich mistrzów słowa, i uczyć się, i obserwować, to może dopiero po czterdziestu latach strzeliłbym z tak potężnej armaty lite-

rackiej, że wstrząsnąłbym ziemią i niebem." Talent bowiem — twierdził — to praca mozolna i wytężona, wiedza i sumienność oraz poczucie odpowiedzialności.

A trzeci obowiązek pisarza — to jak największa treściwość, zwięzłość i celowość opowiadawcza. Na czym polega gracja i wdzięk? — pytał. — Na tym, by na jakąś czynność zużyć jak najmniej ruchów. Tej samej zasadzie powinien hołdować pisarz — strzec się jak ognia gadatliwości: jak najmniej słów, jak najwięcej treści. Co nie ma bezpośredniego związku z tematem, należy wykreślać, wyrzucać. W dobrym opowiadaniu nie może być nic zbędnego: wszystko musi być tak konieczne, nieodzowne i sprzężone ze sobą, jak m a s z y n e r i a o k r ę t o w a. To porównanie było niewątpliwie wynikiem obserwacyj, poczynionych na statku wśród długiej podróży od Sachalinu do Odessy.

Jerzy Wyszomirski

ROMAN KARST

Casus Hemingway

Ernest Hemingway otrzymał Nagrodę Nobla. Zwyciężył Halldora Laxnessa, świetnego prozaika islandzkiego, i przejął literacką pałeczkę wprost z rąk Winstona Churchilla. Premier Wielkiej Brytanii otrzymał przed rokiem nagrodę za tasiemcowe pamiętniki, które nie tyle wyróżniono za walory literackie — co do tego nikt na Zachodzie nie żywił złudzeń — ile za „pokojową tendencję". Członkom Akademii Królewskiej w Sztokholmie stary przywódca torysów wydał się gołębiem pokoju. Tym razem laureatem jest pisarz z prawdziwego zdarzenia, uważany zgodnie za wybitnego prozaika, pisarz, który zawdzięcza rozgłos nie tylko zamiłowaniu do walki byków, boksu i rybołówstwa, ale i — pióru. Hemingway jest zjawiskiem literackim, co prawda spornym i skomplikowanym, ale właśnie z tego powodu godnym polemiki.

W twórczości Hemingwaya jeden paradoks goni drugi. Jego proza, głosząca programowo antyintelektualizm, znalazła największy poklask — wśród intelektualnych sfer zachodniej Europy. Dalszy paradoks rzuca się w oczy już przy pierwszej lekturze jego utworów: witalna siła ich stylu, klarowność i zwięzłość mowy odtwarzają świat, którego istotą jest bezsens i chaos. Trzeci paradoks można ująć w formułę polityczną, a ilustruje go najlepiej powieść o wojnie domowej w Hiszpanii D l a k o g o b i j ą d z w o n y. Napisał ją ochotnik walczący po stronie republikańskiej, ale najpochlebniejszą krytykę książka miała u przeciwników hiszpańskich republikanów. Czwarty paradoks brzmi: w dziełach Hemingwaya przeważa tematyka aktualna, nie brak w nich społecznych problemów, a jednak wszystko dzieje się tam poza historią i społeczeństwem. Paradoksy te mają wspólny rodowód i wspólną cechę, która polega na tym, że nie ma w nich — nic paradoksalnego.

*

Hemingway nie brał udziału w uroczystości rozdania nagród w Sztokholmie, gdyż nie zezwoliły mu na to rany odniesione w dwukrotnej katastrofie lotniczej w Afryce. Według biografa Hemingwaya, Malcolma Cowleya, pisarz jest pokiereszowany na całym ciele, które nosi ślady wielu karkołomnych przygód. Pociągał go zawsze hazard życia, urok niebezpieczeństwa, nęciły awanturnicze wyprawy. Swoją karierę rozpoczął jako bokser, w szkolnym wieku dwa razy uciekał z domu, jego namiętnością jest dotychczas sport, rybołówstwo i łowiectwo. Przyjrzał się z bliska wszystkim wojnom naszego stulecia, był na froncie włoskim w 1919 roku, uczestniczył w walkach grecko-tureckich, do Hiszpanii zwabiły go strzały wojny domowej, w 1940 roku pisał korespondencje z frontu chińskiego, w czasie ostatniej wojny przez dwa lata uganiał się na statku za niemiecką łodzią podwodną wzdłuż brzegów Kuby, potem latał na angielskich samolotach wojennych. To zamiłowanie do przygód przekazał swoim postaciom.

Świat, w którym żyją bohaterowie Hemingwaya, przypomina tropikalną dżunglę, pełną tajemniczych niebezpieczeństw. Na każdym kroku czyha tu śmierć. W tym dzikim lesie błądzą przeważnie awanturnicy lub straceńcy szukający zapomnienia w przygodzie. Są to ludzie z reguły brutalni, surowi, którzy gardzą cudzym życiem, a nieraz i własnym. Unikają odruchów serca, uczucia wprowadzają ich w zakłopotanie. Akcja wielu nowel toczy się w środowisku sportowców, innych — w świecie przestępców, gdzie uprawia się „mokrą robotę" jako zawodowy proceder. W Mieć i nie mieć, słabej zresztą powieści, główną figurą jest przemytnik Harry Morgan, który szmugluje na motorówce kursującej między Florydą i Kubą spirytus i ludzi. W czasie jednej z wypraw Morgan dusi swojego kompana, w innej morduje czterech Kubańczyków, w końcu sam ginie od bandyckiej kuli. W powieści Fiesta (znanej także pod tytułem I słońce wschodzi) i w Mieć i nie mieć roi się od pijaków i rzezimieszków, leją się strugi krwi i alkoholu. W tym chaotycznym kosmosie rządzi gwałt i prawo pięści.

Ale i tam, gdzie akcja toczy się w „przyzwoitym" środowisku, postacie Hemingwaya nie są skłonne do subtelnych uczuć ani sentymentalnych scen. Bronią się przed nimi, uciekają od uczuć, otulają się kamienną powłoką chłodu. Sentyment przeszkadza im w walce, a co najważniejsze — mąci przeświadczenie klęski. Wielu z nich — pod tym względem ostatnie opowiadanie Stary człowiek i morze należy do wyjątków — żyje w atmosferze zagłady lub samounicestwienia. Postacie z Pożegnania z bronią, z powieści Dla kogo biją dzwony, myśliwy ze Śniegów Kilimandżaro, stary toreador z Niezwyciężonego, bokser z Fifty Grand są napiętnowani stygmatem zguby.

U żadnego ze współczesnych pisarzy Zachodu nie znajdziemy tyle trupów, co u Hemingwaya. Pejzaż jego prozy jest upiorny: martwe kobiety w deszczu, polegli żołnierze o opuchłych ciałach, zatopione parowce otoczone stosami pływających zwłok. Nawet zwierzęta: muły z połamanymi nogami, tonące w przybrzeżnych wodach Smirny, trupy końskie walające się na hiszpańskich arenach, zranione hieny, które pożerają własne wnętrzności. Niekiedy są do nich podobni i ludzie, którzy sami siebie niweczą: ogłupiali bokserzy, wyczerpani walką żołnierze, zrozpaczone lesbijki, toreadorzy o postrzępionych nerwach.

Powieści i nowele Hemingwaya odtwarzają tragizm społeczeństwa, które tych ludzi skazało na zagładę, odbierając im nadzieję. Osamotnieni, zdani na własne siły, nie poddają się losowi, lecz walczą z nim do ostatniego tchnienia. Bohater Hemingwaya ginie, ale nie kapituluje, ponosi klęskę na placu boju, który sam sobie wybiera. Obce mu jest uczucie strachu, nawet wtedy, gdy pada pod ciosami nieprzyjaciela, idzie na dno ze stoickim uporem, ze świadomością, że wytrwał do końca. Z utworów Hemingwaya da się wydedukować kodeks postępowania, obowiązujący mężczyznę, który chce zasłużyć na to miano.

Amerykański krytyk, Robert Pen Warren, nie bez racji podzielił Hemingwayowskie postacie na dwie kategorie: na „wtajemniczonych", którzy znają reguły życiowej gry i skrupulatnie ich przestrzegają, i szary tłum „niewtajemniczonych". Przepisy kodeksu nie są zawiłe i streszczają się do kilku za-

sad, które wymagają: odwagi, wewnętrznej dyscypliny i uporu. Te formuły obowiązują wszystkich wybrańców Hemingwaya.

Pisarz dostrzega zatem moralne rozprzężenie kapitalistycznej epoki, ale nie wierzy w możliwość poprawy istniejących stosunków. Nie jest moralizatorem, nie każe swoim bohaterom walczyć o humanistyczne ideały, ponieważ świat i tak jest pozbawiony sensu i logiki. Chodzi mu jedynie o to, by jego bohaterowie, skoro już mają zginąć, przebrnęli przez życie odważnie i pewnie, by zakosztowali w pełni radości i goryczy walki. Obojętny mu jest cel, do którego dążą — życie jest bowiem nonsensem — natomiast dużą wagę przykłada do przestrzegania zasad walki. Nie moralna i intelektualna treść przeżycia, lecz jego intensywność staje się sednem opisu. Stąd ów tłum postaci imponujących siłą, zdecydowaniem, brutalnością, hartem woli i wytrzymałością, a wyróżniających się trywialnością i programowym ubóstwem myśli (o wyjątkach będzie mowa później). Tutaj docieramy do źródła antyintelektualizmu pisarza. Hemingway uznaje tylko konflikty kształtowane bezpośredniością przeżycia, emocją, która wymaga najwyższego napięcia muskułów i woli, a nie myśli i wzruszeń.

Dlaczego jednak zamierzony prymitywizm Hemingwaya daleki jest od banału? Że nie leży w naturze autora, nie trzeba chyba dowodzić. Świadczą o tym epizody z Pożegnania z bronią i z Dla kogo biją dzwony, dalej rozważania o literaturze i stylu, rozsiane w Zielonych wzgórzach Afryki. Pisarz eliminuje z przeżyć swoich bohaterów motywy humanistyczne, co w dużej mierze utrudnia z nim polemikę. Dehumanizuje, jeśli tak wolno rzec, konflikt, ale nie pozbawia go dramatycznego charakteru, przez co wystrzega się banału. Tragizm konfliktu polega tu na jego łączności z dramatem naszej epoki, z okrucieństwem czasu, które nasyca atmosferę każdego epizodu. Trudno oczywiście mówić o jakiejkolwiek wychowawczej tendencji jego utworów w sensie goethowskiej „prowincji pedagogicznej", z drugiej jednak strony nie da się zaprzeczyć, że autor nie przemilcza beznadziejności życia w społeczeństwie kapitalistycznym, że nie jest jego apologetą. Hemingway ten problem udziwnia, mitologizuje i zniekształca, ale nie przechodzi nad nim do porządku dziennego.

*

Wróćmy jeszcze raz do postaci. Hemingway nazwał swoich bohaterów ludźmi „straconego pokolenia". Ta generacja nienawidzi życia i ucieka od niego, a jeśli podejmuje walkę, to zawsze z fatalistycznym przeczuciem nieuchronnej klęski i zagłady. Z niechęcią do życia nie kontrastuje pragnienie intensywnych doznań. Są one rekompensatą zawiedzionych nadziei, narkotykiem, który daje zapomnienie.

Przypomnijmy sobie trzy epizody z trzech utworów, które powstały w trzech okresach:

W noweli Obóz indiański (z pierwszego tomu nowel W naszych czasach — 1925) lekarz Adams zostaje wezwany do wijącej się w bólach porodowych Indianki. Kobieta leży w swojej chacie, nieopodal spoczywa jej mąż, ranny w nogę. Doktor Adams robi cesarskie cięcie bez narkozy i zaszywa ranę rybacką nicią. Po zabiegu kieruje spojrzenie na

legowisko męża i konstatuje, że ten nie żyje. Nie mogąc znieść bólu żony, Indianin odwrócił się do ściany i poderżnął sobie gardło.

W opowiadaniu Czyste, dobrze oświetlone miejsce (1933) zawieramy znajomość ze starym mężczyzną, który odwiedza późnym wieczorem hiszpańską kawiarenkę. Dwóch kelnerów prowadzi o nim następującą rozmowę:

„W ostatnim tygodniu trzy razy chciał odebrać sobie życie — rzekł jeden z kelnerów.

— Dlaczego?

— Rozpaczał.

— Nad czym?

— Nad niczym.

— Skąd wiesz, że to nic nie było?

— Pieniędzy ma dosyć."

Kiedy sala pustoszeje, kelner zostaje sam w lokalu. W zakończeniu noweli czytamy:

„Zgasiwszy elektryczne światło (kelner) ciągnął dalej rozmowę z samym sobą: Oczywiście, to sprawia światło, ale i pomieszczenie musi być czyste i przyjemne. Muzyki nie potrzeba. Muzyki z pewnością nie potrzeba. Nie można też stać przed barem, zachowując swoją godność, choć jest to jedyne, co można robić o tej porze. Czego właściwie się boi? Nie była to bojaźń ani strach. Była to nicość, którą znał zbyt dobrze. Wszystko było nicością i człowiek też był nicością. To właśnie i światło było wszystkim, czego potrzeba, ponadto niejaka czystość i porządek. Niektórzy żyli w tym i nigdy tego nie odczuwali, on jednak wiedział, że wszystko było *nada y pues nada y pues nada* *). Nasze nada, któreś jest w nada, nada niech będzie twoje imię i królestwo... Bądź pozdrowione nic, pełne niczego. Nicość jest z tobą. — Uśmiechał się i stał przed barem z jego lśniącą maszyną do parzenia kawy."

Wreszcie trzecia scena. W Dla kogo biją dzwony (1939) Augustino na widok nadjeżdżających czterech jeźdźców faszystowskich oblewa się potem. „Kiedy zobaczyłem tych czterech — powiada — i kiedy pomyślałem, że moglibyśmy ich zabić, byłem jak gdyby rasową klaczą, która oczekuje ogiera."

Człowiek otoczony nicością, opętany śmiercią lub pragnieniem zadawania śmierci — oto wciąż powtarzający się symbol. Jesteśmy śród ludzi rezygnacji, mało który z nich opuszcza scenę z nadzieją i wiarą, autor niechętnie użycza im łaski spokoju. Cierpią bez słowa skargi, przyjmują zgubę z determinacją, sami siebie niweczą na różne sposoby. Jeśli się porywają do walki, to jest to rewolta instynktu, buntującego się przeciw nicości i absurdowi wszechogarniającej pustki. Pełnia zmysłowego przeżycia staje się dla nich jedynym sensem istnienia.

Hemingway nie tai jednak, że owo przeżycie jest tylko przelotnym, rozpaczliwym złudzeniem. Szczęście ma u tego pisarza tragiczny kształt. Podobnie i miłość. W wielu nowelach i powieściach erotyka przeradza się w trywialny seksualizm, który ma zagłuszyć ohydę życia. Miłość traci

*) Nic i znowu nic.

swoją uczuciową treść, pozostaje wyuzdanie, podniesione do rządu magicznego kultu zmysłów. Wyjątkowo — tak mają się rzeczy w Pożegnaniu z bronią — uczucie rozkwita w prawdziwą miłość, która wzrusza i uderza swoim tragizmem. W tych wypadkach miłosne wzruszenia przybierają osobliwą postać. Nie mają przeszłości ni teraźniejszości, kochankowie są osamotnieni, skłóceni z otoczeniem i jego obyczajowością. Fryderyk i Katarzyna z Pożegnania świadomie przeciwstawiają swoją miłość światu, który jest im zupełnie obcy. Tutaj miłość staje się próbą nie zagłuszenia, lecz przezwyciężenia bezsensu życia, z którego wyrugowano uczucie i wszelki odruch serca. Tak więc pisarz reaguje dwojako na okrucieństwo swojego czasu. Raz każe swoim bohaterom doprowadzać do perfekcji zło, które ich otacza; zdają się oni wtedy mówić: jeśli życie jest nicością, to pogrążmy się w niej bez reszty, zróbmy to bez obłudy, konsekwentnie, z zachowaniem osobistej godności. Drugim razem oponuje prawdziwym uczuciem, zmierzającym ku tragicznemu finałowi.

*

W noweli Stary człowiek i morze, która opisuje niesamowity pojedynek rybaka z ogromnym miecznikiem, akcja toczy się poza czasem i przestrzenią — nigdzie. Gdyby nie wzmianka o samolocie i mistrzu gry w „baseball", można by wyobrazić sobie przygodę Santiaga w jakimkolwiek czasie po wynalezieniu harpuna. Ale i w utworach o problematyce społecznej, w których przewijają się konkretne wydarzenia polityczne i historyczne, wszystko dzieje się poza historią, w jakimś „innym wymiarze". Pożegnanie z bronią opisuje jeden z końcowych fragmentów drugiej wojny światowej, w Dla kogo biją dzwony jesteśmy wśród żołnierzy walczących o republikę hiszpańską, a przecież konkretne wypadki są tam dekoracją, którą można od biedy zastąpić innym rekwizytem bez uszczerbku dla fabuły obu powieści. Bohater pierwszej, Fryderyk, żywi — jak i inni żołnierze — niechęć do wojny, ale nie podziela ich losu. Jego życie potoczy się zupełnie odmiennym torem niż losy żołnierskiej masy. W Dla kogo biją dzwony rzecz ma się odwrotnie. Robert Jordan jest towarzyszem broni hiszpańskich antyfaszystów, ale jego postawa nie ma nic wspólnego z myślami i dążeniami republikanów. Jordan boryka się bardziej z własnymi skrupułami aniżeli z bestialstwem faszyzmu. W rezultacie Fryderyk i Jordan są samotni, odlegli o sto mil od tego, co się wokoło nich dzieje.

Fryderyk Henry zaczyna żyć pełnią wrażeń dopiero po rozłące ze swoją społecznością, od chwili dezercji do Szwajcarii. Po opuszczeniu pobitej pod Caporetto armii rozpoczyna się jego droga do prawdziwego życia — czyli do samotności. Malcolm Cowley podkreśla niemal rytualny charakter, jaki Hemingway przydaje scenie ucieczki Ferdynanda przez wezbrane wody rzeki Tagliamento. Ten „chrzest" odmienia go całkowicie, wprowadza go w nową sferę, w której jednostka czuje się wolna od społecznych więzów. Fale Tagliamento zmywają z Fryderyka dawną powłokę, na drugi brzeg wychodzi Hemingwayowski bohater już w swojej czystej, klinicznej postaci:

„Pozbyłem się po prostu — rezonuje Fryderyk — tego całego kramu. Ży-

czyłem wszystkim szczęścia. Byli tam ludzie dobrzy i dzielni, cisi i rozsądni; zasłużyli na szczęście. Ale to wszystko nic więcej mnie nie obchodziło..."

W powieści o wojnie domowej w Hiszpanii bohater nie opuszcza swoich towarzyszy broni, bo też nie zachodzi ku temu potrzeba. Robert Jordan od początku nie jest z nimi, nie łączy go z antyfaszystami wspólnota idei. Przygnała go na front hiszpański żądza przygód i można go sobie wyobrazić — sądząc z wielu opisów, nawet bez wielkiego trudu — po drugiej stronie barykady. Ta książka wyjaśnia niejeden paradoks Hemingwaya, jako że dotyka kardynalnego problemu naszej epoki. Jordan nie jest po prostu jedną z wielu postaci, które spotykamy w twórczości autora. Robert Jordan reprezentuje amerykańskiego obywatela, pisarza i myśliciela — Ernesta Hemingwaya. Hemingway-Jordan rozstrzyga tutaj spór, który rozdziera nasze stulecie. Rozstrzyga go na swój sposób, nie mówiąc „nie" ani „tak". Jordan walczy po stronie „czerwonych", ale jego opis batalistycznych epizodów i charakterystyka komunistów (których często przedstawia jako psychopatów) odbiera tej walce wszelki sens. O ile w Pożegnaniu z bronią widzieliśmy samotnika, który ucieka od ludzi, o tyle tutaj stoi przed nami samotnik, który zabłąkał się między ludzi. Hemingway potem szukał u hiszpańskich antyfaszystów usprawiedliwienia za swoją powieść. Być może książka nie odpowiada osobistym intencjom autora, samo jednak sformułowanie problematyki przylega do „schematu samotnictwa" typowego dla Hemingwayowskiej prozy. Ciekawe, że tam, gdzie pisarz usiłował dotychczas przełamać ten schemat, ponosił porażkę. Przykładem: nieudany utwór Przez rzekę i lasy.

W postaciach Hemingwaya daremnie szukamy poczucia społecznej wspólnoty, solidarności, która łączy ludzi wzgardzonych przez życie. Owszem, zespala ich pobratymstwo, ale jest to jedność tajemnego związku, który rządzi się wyjątkowymi prawami i osobliwym kodeksem postępowania. Moralne normy tego klanu nie mają konstruktywnej idei. Hemingway nie jest apostołem nowej wiary społecznej, nie chce reformować świata. Jego niechęć do kapitalistycznego społeczeństwa przeradza się w niechęć do społeczeństwa w ogóle i przybiera różne odcienie — od sceptycyzmu do nihilizmu włącznie. Już w motcie do swojej wczesnej powieści I słońce wschodzi Hemingway wyeksponował słynne wyrażenie Gertrudy Stein: *„lost generation"*. Stracone pokolenie uważa wszelką nadzieję za złudzenie. Z tej generacji autor dobiera takie postacie, które są na tyle silne, by móc żyć bez złudzeń i kłamstwa, koniecznych dla ich otoczenia.

Autor od czasu do czasu usiłuje przerwać krąg samotności, który otacza jego bohaterów i każe im uczestniczyć w troskach ludzkich. Tak dzieje się w Mieć i nie mieć i w Dla kogo biją dzwony. Dotychczas te próby nie przyniosły spodziewanych wyników. W Mieć i nie mieć przyczyna niepowodzenia leży jak na dłoni. Sednem zagadnienia jest tutaj antyteza między przemytnikiem i bogatymi przestępcami — czyli brak antytezy. Różnica między Morganem a jego przeciwnikami polega na tym, że konkurentom udają się ich wyprawy, a Morganowi powija się noga. Z powodzeniem można poprzestawiać przeciwników w konflikcie powieściowym, co nie zmieni ani o jotę problemu. Powieść jest artystycznym nieporozumieniem i nie wytrzymuje żadnego porównania z takimi utworami, jak

Pożegnanie z bronią lub nowele ze zbiorów W naszym czasie i Mężczyźni bez kobiet. Istotą treści Dla kogo biją dzwony jest — a raczej powinna być — wspólność myśli (trudno tu posłużyć się słowem „ideologia") Jordana i hiszpańskich antyfaszystów, a więc synteza. Przeradza się ona jednak w antytezę. Dwie próby przełamania „schematu samotności" — dwie porażki.

Jako artysta Hemingway zademonstrował swój kunszt nie poza granicą tego schematu, lecz w jego obrębie. Przykładem tego są dwa utwory oddzielone okresem dwudziestu pięciu lat: Pożegnanie z bronią i Stary człowiek i morze. W pierwszym wypadku bohater ucieka od społeczeństwa, ale tłem tej ucieczki jest imperialistyczna masakra wojenna. Rozwiązanie konfliktu budzi nasz sprzeciw, sam konflikt ma swoje uzasadnienie i dramatyczną konstrukcję. W opowiadaniu o starym rybaku antagonizm polega na walce człowieka z przyrodą. I Santiago należy do Hemingwayowskiego klanu samotników, ale jego wysiłkom przyświeca odwieczna chęć człowieka ujarzmienia natury. Zwycięstwo Santiaga, choć owoce tego triumfu są żadne — jest zwycięstwem myśli nad żywiołem, woli nad chaosem. W opowiadaniu, pod tym względem należy ono do wyjątków, świta promień nadziei. Kiedy po powrocie Santiaga młody chłopak, który pomaga mu w rzemiośle rybackim, odwiedza go w jego chacie, fizycznie złamany rybak ożywia się i zaczyna snuć plany nowych wypraw na morze.

*

Jeśli przyjrzymy się z bliska postaciom, które zaludniają prozę Hemingwaya, uderzą nas w nich dwie cechy: surowość i oschłość. W świecie, w którym człowiek jest zdany na własne siły, w którym musi się zdobywać wciąż na największy wysiłek woli i skrupulatnie strzec nakazów wewnętrznej dyscypliny, nie wolno się bawić w sentymenty. Ta oschłość i surowość jest zresztą często powierzchownym objawem, który ukrywa rozterkę uczuć. W dramatycznych momentach, zwłaszcza gdy ważą się losy bohatera, odczuwa on tragizm życia, cierpi i doznaje wzruszeń. Wie jednak, że nie wolno oddawać się uczuciu, że jedyną możliwością zachowania godności, jak ją pojmuje Hemingway, jest posłuszeństwo nakazom kodeksu obowiązującego samotników. Wzruszenie, współczucie występuje w utworach autora, jak to trafnie konstatuje Warren, zawsze jako minimum, nigdy jako maksimum. Ta okoliczność narzuca stylowi i językowi Hemingwaya dużą powściągliwość, rygorystyczne umiarkowanie, to, co Anglicy zwą *understatement*, a Niemcy *Untertreibung*. Ten styl jest konsekwencją konfliktu pomiędzy żywiołowym uczuciem a nieubłaganym nakazem woli. Pisarz hamuje impulsy, otacza je antyromantyczną powłoką. U źródeł tego zjawiska leży nieufność do świata, w którym słowo i kryjące się za nim pojęcie straciło swoje znaczenie i swój moralny walor. Rewolta Hemingwaya przeciwko intelektualizmowi jest między innymi rewoltą przeciwko zdewaluowanemu słowu. Przypominamy następujący fragment z Pożegnania:

„Słowa jak «uświęcony», «pełen chwały» i wyrażenie «daremnie» wprowadzały mnie zawsze w zakłopotanie. Słyszeliśmy je często — niekiedy staliśmy w deszczu prawie poza zasięgiem głosu, tak że docierały do nas tylko głuche słowa... Było wiele słów, których już w końcu nie można było po

prostu słuchać... Abstrakcyjne wyrażenia, jak «sława», «honor», «męstwo», «święty» brzmiały nieprzyzwoicie obok nazw wsi, numerów gościńców, nazw rzek, numerów pułków i dat..."

Leksykalna oszczędność i surowość Hemingwaya dostosowana jest do konstrukcji sylwetek, które w gruncie rzeczy są odmianą jednego typu charakterologicznego, o czym była mowa powyżej. Pisarz skłonny do snucia epickich motywów i do psychologicznej analizy, mógłby z tych charakterów i sytuacji wydobyć moc szczegółów układających się w wielobarwny obraz. Zainteresowania Hemingwaya idą w innym kierunku. Zależy mu przede wszystkim nie na uzyskaniu epickiego bogactwa epizodów i szerokiej skali psychologicznych odcieni, lecz na jak najpełniejszej zgodności charakteru, sytuacji i stylu i przeciwstawieniu tej artystycznie „zorganizowanej" jedności bezsensowi świata. Kunszt Hemingwaya jest sztuką redukcji, dąży do rygorystycznej „rzeczowości", do tego, by epizod nie oznaczał dla czytelnika więcej niż to „co rzeczywiście dzieje się w czasie akcji".

Stąd niemal jednostajna prostota. Podstawowym i najczęściej powtarzającym się zdaniem jest zdanie główne, zdania poboczne pojawiają się rzadko i mają prostą budowę. Ta składnia dominuje w nowelach, w powieściach sposób opisu jest bardziej liryczny, ale i tu autor posługuje się najczęściej zdaniami równorzędnymi. Tok narracji jest natury rytmicznej, nie logicznej.

W Zielonych wzgórzach Afryki autor mówi o tak zwanej wielowymiarowej prozie jako o ideale opisu: „Istnieje czwarty i piąty wymiar, który można uchwycić". Ma to być proza „jaką dotychczas nie pisano. Można nią jednak pisać bez fortelów i bez oszukaństwa". Nie wiemy, co pisarz ma na myśli przez swój czwarty i piąty wymiar. Analiza jego metody narracji wskazuje natomiast na tendencję do stopienia słowa, charakteru i sytuacji w jedną bryłę pozbawioną konwencjonalnej ornamentyki literackiej. Jest to proza, która pociąga nie swoją intelektualną atmosferą i „literackością", lecz sensualistycznym odczuciem życia. Dla przykładu: w jednej z nowel ze zbioru W naszych czasach Nick Adams wybiera się na połów ryb. Działa bardzo powoli, aby „nie stracić najmniejszego wrażenia zmysłowego". Każde drgnienie przyrody przybiera niemal charakter ceremoniału: „Konik polny wysunął głowę z butelki. Jego wąsiki poruszały się. Nick chwycił go za głowę i trzymał, przeciągając haczyk przez jego pierś i tułów. Konik polny pochwycił haczyk przednimi nóżkami i wypluł przy tym coś w rodzaju soku tytoniowego." Owady, pstrągi, fale rzeki, wiatr kołyszący trawę — to wszystko odgrywa swoją rolę w wrażeniowym mechanizmie relacji.

Reasumujemy. Hemingwaya nie pociąga wielostronność ludzkiego charakteru i losu, zawiły splot spraw społecznych, lecz intensywność odczucia, którą napawa się człowiek zbłąkany w ciemnym labiryncie współczesności. Hemingway jest lirykiem obiektywizującym ludzkie emocje, pisarzem samotności, użyczającej jego myślom schronienia przed epoką, która przejmuje go niepokojem. Tutaj tkwi klucz do jego paradoksów.

Roman Karst

ZBIGNIEW BIEŃKOWSKI

Mandaryni

Dżuma Camusa, Drogi wolności Sartre'a ukazały nam przed laty rozdarcie francuskiej inteligencji mieszczańskiej. Po wyzwoleniu, które przyniosło zwycięstwo nad faszyzmem, nie wystarczało już zaangażowanie się po stronie wolności w ogóle. Wolność dojrzewała do przymiotnika. Któraż droga wolności najszybciej wyprowadzi z tego świata koncentracyjnego, co, mimo że rozbity, stoi jeszcze za progiem każdego losu, każdego szczęścia, każdej nadziei? Dzień jutrzejszy wolności, mimo całej euforii dnia teraźniejszego, jesieni, zimy i wiosny 1944/45 roku, nim wszedł, miał już smak straconych złudzeń. Wymagał nowego wysiłku, wymagał adaptacji tych ogromnych, zrodzonych z walki zasobów nadziei do formatu nieuniknionej rzeczywistości. Po dylemacie wyboru między bohaterstwem a zdradą, życiem a śmiercią, powstał dylemat wyboru między jedną a drugą formą życia, a więc między jedną a drugą... niedoskonałością.

Początkowo i jedni, i drudzy, i ludzie Sartre'a, i ludzie Camusa rzucili się na oślep w wir zdarzeń. Aby po pierwszym niepowodzeniu powrócić do punktu wyjścia. I wtedy ludzie Camusa odmówili ponownego wyboru. Opowiedzieli się po stronie ideału przeciw rzeczywistości. Zapatrzeni w czystą, utraconą doskonałość, chociaż posiadali ją tylko w wyobrażeniu, w oślepiającą ideę teoretycznego człowieczeństwa, z najbardziej z możliwych wyniosłego punktu widzenia osądzali świat i ludzi. Służba człowiekowi w sferach idei czystej i nieskażonej dotknięciem ziemi doprowadziła ich do pojęcia świętości tak samo antyhumanistycznej, jak antyboskiej. Opowiadając się przeciwko każdej presji, gdziekolwiek biłoby jej źródło, człowiek Camusa odmówił przystosowania się do ludzkich kategorii postępowania. Swoim poświęceniem tak bardzo bezinteresownym, że aż bezużytecznym, zdobywał absurdalną rangę świętego poza niebem i poza ziemią. Z katastrofy ludzkości wyniósł wyolbrzymioną godność własną. Po co? Dalsze losy pisarskie Camusa odpowiadają na to pytanie. — By mieć prawo do ferowania wyroków na wszystko, co rzeczywiste. Bo świat jest tak kompletnie zły, że każdy czyn ludzki jest skażony, nawet dobro nie jest dobrem, a poświęcenie przejawia się jako forma występku. Taki jest sens dramatu Sprawiedliwi.

Człowiek Camusa z samego założenia ma żyć w kategoriach wyłącznie moralnych. Złudzenie. Same czyste pojęcia moralne nie istnieją. Tak samo dobro, jak i zło. Człowiek Camusa wyabstrahowany z rzeczywistości, niepokalany, nieskażony żadnym kompromisem, nieograniczony żadną formą politycznego zaangażowania jest fikcją. Nie wystarczy zaprzeć się Boga, aby świętość nabrała sensu. „Doskonałość nie istnieje pod żadną postacią". Rozdarcie Camusa, chociaż najbardziej bezcelowe z wyobrażalnych, było jednak w pierwszych latach obecnego dziesięciolecia punktem wyjścia dla wielu przedstawicieli francuskiej inteligencji mieszczańskiej.

Ludzie Sartre'a, odwrotnie niż ludzie Camusa, w zaangażowaniu widzieli rację egzystencji. Człowiek Sartre'a staje się poprzez świat, poprzez rzeczywistość, która go wyznacza i los jego razem z nim współtworzy. Dlatego

pragnąc zaangażowania jako takiego, nie dokonywali wyboru, aby nie odciąć się od innych możliwości, od innych form wolności. Jeśli konkluzją Camusa była całkowita negacja rzeczywistości, to już założeniem Sartre'a — całkowita jej afirmacja. Ludzie Sartre'a poszliby najchętniej w przyszłość wszystkimi możliwymi drogami. Nie mogąc iść wszystkimi, nie chcieli wybrać tej jednej. Mimo sprzeczności racji punkt wyjścia w stosunku do świata ludzi Sartre'a i ludzi Camusa jest niemal identyczny. Cóż z tego, że się afirmuje rzeczywistość, jeśli się nie chce brać udziału w jej tworzeniu? Lecz sprzeczność racji okazała się decydująca. Ludzie Sartre'a afirmując rzeczywistość ulegali jej presji. Pragnęli, by ona za nich dokonała wyboru.

Z pozycji Camusa nawet przez dziesięć lat niedaleko można było zajść. Jeśli złem jest wszystko, co rzeczywiste, to pozostaje tylko sfera neutralnej wyobraźni, sztuki jako sztuki (żeby nie powiedzieć dla sztuki), literatura jako ucieczka od życia. Znowu złudzenie. Są określone siły w świecie, które z neutralnej wyobraźni fabrykują zasłony dymne i trujące gazy.

Z pozycji Sartre'a ludzie uczciwie myślący wyciągnęli te konsekwencje wyboru, które im rzeczywistość narzuciła. Konsekwencje walki po tej stronie świata, gdzie człowiek staje się współtwórcą swojego losu. Sam Sartre jest przykładem tej konsekwencji. Napór rzeczywistości kazał mu nawet zrewidować te formy zaangażowania, którym uległ. Cynizm amerykańskiego imperializmu, szantaż atomowy, kazały mu ujrzeć w Partii Komunistycznej i Związku Radzieckim jedynego istniejącego sprzymierzeńca wolności. Książka o Henryku Martinie, udział w akcji obrońców pokoju — to wyraz zaangażowania Sartre'a w sposób nie ograniczający się do deklaracji tylko.

Jak doszedł do tego niełatwego dlań wyboru on, który jeszcze w latach 1947—1948 nie tylko na płaszczyźnie literatury, ale i na arenie politycznej dążył do skupienia lewicy poza Partią Komunistyczną (RDR)? Za Sartre'em jest przecież wielu. Są i pisarze także. Robert Merle na przykład, Pierre Gascar na przykład. Jakimi drogami mieszczańscy intelektualiści francuscy w ogóle przezwyciężyli uprzedzenia klasowe, by, mówiąc wstrzemięźliwie, nie unikać współpracy z Francuską Partią Komunistyczną?

Na te pytania otrzymaliśmy odpowiedź. Tę drogę, przebytą przez francuskich intelektualistów mieszczańskich w ciągu lat dziesięciu, drogę niepozbawioną zakrętów i nawrotów ukazuje nam głośna powieść Simone de Beauvoir M a n d a r y n i.

Pasjonujący dokument współczesności. Dlatego przede wszystkim, że autorka nie zaciera śladów, nie retuszuje skaz, ukazuje rozdarcie sumienia w całej dramatycznej pełni. A przy tym nie kamufluje, nie przenosi w sferę filozoficznych uogólnień tych konfliktów, które rodzą się z bezpośrednich związków z polityczną rzeczywistością. W książce Simone de Beauvoir odnajdujemy klucz do hermetycznych postaw ludzi Camusa, motywy owej świeckiej świętości, znajdujemy także klucz do „stawania się" ludzi Sartre'a. Można by nawet traktować M a n d a r y n ó w jako *roman à clefs* i pod postaciami i zdarzeniami powieściowymi z łatwością odnaleźć rzeczywistych ludzi i rzeczywiste sprawy. Nie o to jednak chodzi i nie to jest istotne. Cóż z tego, że odnaleźlibyśmy i Sartre'a, i Camusa, cóż z tego, że zidentyfikowalibyśmy na-

wet postać tak bardzo trzecioplanową, jak Smadja (Trarieux) a nazwy pism „Espoir" i „Vigilance" odczytalibyśmy bezbłędnie jako „Combat" (+ „Franc Tireur") i „Temps Modernes", a trzy litery (SRL), będące w powieści nazwą ugrupowania politycznego, odcyfrowalibyśmy jako RDR *(Rassemblement Démocratique et Révolutionnaire),* gdyby poza przetransponowanymi z życia szczegółami nie było prawdy ukazanych czasów? Nie na tej powierzchownej zgodności polega „kluczowość" powieści. Wartość Mandarynów w tym się wyraża przede wszystkim, że dają nam klucz do świadomości ideologicznej i ewolucji politycznej francuskiej inteligencji mieszczańskiej.

Powiedzmy od razu, ażeby uniknąć nieporozumień, kluczem Mandarynów nie otworzymy wszystkich drzwi. A jeszcze ściślej: pasuje tylko do zamków bardzo precyzyjnych, do tych zamków, którymi są zwykle opatrzone wieże z kości słoniowej. Simone de Beauvoir z całą świadomością odgraniczyła się tytułem od fałszywych interpretacji. Mandaryni to ci „wybrani" własnym impulsem, to intelektualiści. Literaci, dziennikarze żyjący i myślący na prawach wyjątkowych. To prawda. Reprezentują tylko siebie. Nie mają mandatu, aby przemawiać w imię klasy, a cóż dopiero społeczeństwa. Ale znów nie są tak całkowicie wyzwoleni, jak to o sobie głoszą. Stanowią tę kruchą warstewkę mieszczaństwa, na której odbijają się dramaty i konflikty całej klasy społecznej w sposób przesadny, wyolbrzymiony. Tym się różnią od swojej klasy, że są bardziej przewidujący, bardziej dalekowzroczni, ale to ich z tą klasą łączy, że nie potrafią zerwać pierścienia uprzedzeń, który zamyka ich horyzont ideologiczny. Ewolucją myślową wyprzedzają swoją klasę, ale w załamaniach są z nią solidarni. Ta pewna wyjątkowość bohaterów Simone de Beauvoir, ograniczając zakres spraw ukazanych, ogranicza także zasięg książki. To pewne. Ale zakres ukazanych spraw jest dostatecznie ważki. Jesteśmy w laboratorium myśli i wrażliwości mieszczańskiej. Ironiczny tytuł ma pomniejszyć rewelacyjność dokonanych odkryć. W tym wypadku niesłusznie. Odkrycia są bowiem istotnie rewelacyjne. — Przede wszystkim stosunek do komunizmu i Francuskiej Partii Komunistycznej.

Francuska inteligencja mieszczańska, oczywiście inteligencja radykalna, lewicowa, o takiej tu w ogóle mówimy, nie określała się chyba nigdy w sposób bezpośredni. Bezprogramowość jest jej skazą dziedziczną. Świadomość jej formowała się poprzez stosunek do krzyżowych zagadnień czasu. W swojej epoce zjawiskiem takim była sprawa Dreyfusa, w epoce nowszej — Monachium itd. Współczesnie lewica inteligencji mieszczańskiej określa się dopiero przez stosunek do komunizmu i Partii Komunistycznej. Jest to sprawa aż za dobrze znana. Przejawia się w każdej dziedzinie myśli. Literatura jest jej wymownym odbiciem. Simone de Beauvoir tę rolę Partii Komunistycznej w kształtowaniu świadomości lewicy niekomunistycznej przedstawiła we właściwych proporcjach. Nie to jest więc rewelacją. Rewelacją jest gruntowna, podstawowa, żenująca u autorki Mandarynów nieznajomość komunistów. André Wurmser ujrzał w tym istotną słabość książki. Pójdźmy dalej. Ten brak (brak istotny, zgoda) jest także kluczem do zrozumienia postawy francuskich intelektualistów. Nie chodzi już o to, czy Simone de Beauvoir zna komunistów, czy ich nie zna. Jej talent pisarski jest zbyt oczywisty, aby wątpić w umiejętność pogłębienia ukazanych postaci komu-

nistów — Lachaume'a i Lenoira. Ukazując ich tak, jak ich ukazała, Simone de Beauvoir ujawniła stosunek swojego środowiska, swojej klasy (do której przynależności nie ukrywa) do tych, co mają być jedynie taflą lustrzaną, w której to środowisko i ta klasa ujrzą własne oblicze. Ukazanie komunistów-ludzi, zróżnicowanie ich psychiki, wyobraźni, wyposażenie ich w aparaty normalnego myślenia i odczuwania zbliżyłoby ich tak dalece, że straciliby tę wartość regulatora. Ich oddziaływanie byłoby wielokierunkowe, złożone. Schematyzowaniem komunistów intelektualista mieszczański broni się przed „zarażeniem". Simone de Beauvoir schematyzując postacie komunistów rzuca ostry snop światła na cały mandarynat, na laboratorium świadomości politycznej mieszczańskiej lewicy. Podejrzewam, że ta schematyzacja jest zamierzona, że jest głęboko przemyślanym środkiem artystycznym, komponującym prawdę powieści. Bo jakżeż inaczej? Postacie mandarynów ukazane są we wszystkich możliwych pozycjach. Przy biurku, tak, w klubowych fotelach przy dyskusyjnej czarnej kawie, tak, ale także w bistro, w barze, ale także w łóżku. Simone de Beauvoir każe im nawet żyć ponad stan fizyczny, każe rozbierać się częściej, niżby chcieli. Nie bezcelowo przecież. Po to, by ukazać złożoność ich psychiki, po to, by zróżnicować ich charaktery. Jedynie komuniści są zawsze trzeźwi, a usta otwierają jedynie po to, aby się napić wody lub wyrecytować z pamięci kawałek wstępniaka z „Humanité". Byłoby naiwnością sądzić, że autorka Mandarynów nie zdaje sobie sprawy z własnej metody pisarskiej. Przecież nawet typy podejrzane, dla których ma tylko antypatię — amerykańskiego agenta Scriassine'a, kolaboracjonistę Volange'a — ukazuje w pełnym świetle. Chcąc być obiektywna ustawia ich we wszystkich sytuacjach i pozycjach. Tylko wobec komunistów jest pryncypialna, jakby na czatach. Jeden z nich, Lachaume, zanim wstąpił do Partii, był w Ruchu Oporu towarzyszem Dubreuilha i Perrona, centralnych postaci powieści, wokół których ogniskuje się cała problematyka współczesności francuskiej. I otóż Lachaume, nim wstąpił do Partii, był jak inni — żywym człowiekiem. A potem jak ręką uciął. Schemat dyscypliny partyjnej i nic więcej. Ten schemat bywa niekiedy sympatyczny, ale zawsze jest schematem tylko.

W swoim stosunku do komunistów Simone de Beauvoir ujawnia centralną słabość lewicy francuskich intelektualistów. Ujawnia w sposób szokujący nieoczekiwanie silne związki tego środowiska, głoszącego programowo swoje wyzwolenie, z całą klasą społeczną. A więc aż tak! — myślimy. Więc samoobrona przybiera formy zakłamania. Sprawa niemałej wagi: komunistów schematyzują nie tylko ich przeciwnicy. Nie tylko Scriassine i Volange. To byłoby zrozumiałe. Schematyzują ich ci, których drogi rozwojowe doprowadzą do współpracy z nimi. Gdyby nie to samookłamywanie się, Dubreuilh i Perron nie musieliby drogi nakładać. Nie musieliby tak długo wadzić się ze swoimi „ale". Wystarczyłoby, żeby w komunistach widzieli nie tylko współczynnik własnej świadomości, ale po prostu ludzi.

Dylemat nieuniknionych dróg, prowadzących do rzeczywistości politycznej, stanął przed francuskimi intelektualistami nazajutrz po wyzwoleniu. „Ruch Oporu to jedno, a polityka to drugie" — pomyśli Perron w wieczór wigilijny 1944, kiedy ostateczne zwycięstwo nad faszyzmem zostało zafiksowane przez

zatrzymanie ofensywy Rundstedta. I „to drugie" narzucało się zewsząd. Każde słowo nabierało nowego, politycznego sensu. Jak się obronić przed nacierającą rzeczywistością dnia? I czego bronić? Perron, redaktor dziennika „Espoir", który, wyprowadzony z podziemia, stał się niemal organem zwycięskiego Ruchu Oporu, stoi przed tym złożonym zagadnieniem. Czego bronić? Odpowiada: uczciwości, ideałów wspólnej walki wszystkich Francuzów z faszyzmem. Ale już zewsząd pytają go o program. Najgłośniej domagają się sprecyzowania założeń politycznych ci, którzy przeżyli całą wojnę w Stanach Zjednoczonych i teraz jak szarańcza zalali Paryż dolarami i nieokiełzaną „radością życia". To Scriassine. Dla niego „uczciwość" to słowo bez politycznego pokrycia, a ideały Ruchu Oporu to przede wszystkim tradycje współpracy z komunistami. „Musicie się odciąć od komunistów". Tej potrzeby nie rozumie Perron. Nie rozumie jej także Dubreuilh.

Dubreuilh, stary pisarz o przekonaniach radykalnie lewicowych, rozumie lepiej niż Perron sytuację i perspektywy polityczne dnia teraźniejszego. Chce uprzedzić macki wyciągające się po francuską lewicę. Chce skupić te masy, które po skompromitowaniu się SFIO (Partii Socjalistycznej) pozostały bez ośrodka ideologicznego. SRL ma być owym ośrodkiem magnetycznym. Dubreuilh grzeszy tą naiwnością intelektualistów, którzy wierzą, że ruch polityczny można stworzyć z góry, mózgowo. SRL powstaje, pozyskuje nawet Perrona, który oddaje mu do dyspozycji „Espoir". Po co? — Po to, aby stać się odskocznią do walki z Partią Komunistyczną. Mimo dobrej wiary Dubreuilha, mimo uczciwości Perrona — SRL i „Espoir" zostały zepchnięte na pozycje antykomunistyczne.

Cóż mógł stary idealista Dubreuilh, cóż mógł naiwnie uczciwy Perron przeciwko całej maszynerii intryg i prowokacji? Simone de Beauvoir ukazała maszynerię polityczną i amerykańskie tryby bez przesady, bez naciskania od razu wszystkich guzików. Ale tych kilka rozrzuconych akcentów ma wymowę może właśnie dlatego przekonującą. Bombą Hiroszimy sparaliżowali wyobraźnię, a potem pociągnięciem sznurka tu, tam, opanowali słabe mózgi i wybujałe ambicje. Do walki z komunizmem we Francji Waszyngton potrzebował lewicy mieszczańskiej. Uderzenie z prawa, z łamów „Figaro" na przykład, nie miałoby żadnego znaczenia. Dlatego SRL i „Espoir" stały się od początku obiektem starań. Nie zdawali sobie z tego sprawy ani Dubreuilh, ani Perron. To im właśnie dostarczono oszczercze materiały propagandowe, spreparowane w formie obiektywnych dokumentów, mające być rewelacyjnym obnażeniem radzieckiego ustroju. Rzucone w przeddzień wyborów do parlamentu z łamów „Espoir" i firmowane przez SRL, miały spowodować przegrupowanie francuskiej lewicy i klęskę Partii Komunistycznej. Dubreuilh przejrzał manewr Samazelle'a, Scriassine'a i agenta FBI, Peltowa. Próbował się opierać. W interesie samej lewicy nie chciał dopuścić do zerwania z Partią Komunistyczną. Wiedział, że — osamotniona — skazana jest na unicestwienie. Perron nie umiał myśleć politycznie. Nie trafiają doń słowa Lenoira: „Nikt nie chce zła dla zła; a Związek Radziecki mniej niż jakikolwiek inny ustrój. Jakże pan śmie stawiać w stan oskarżenia instytucje kraju, którego ani potrzeb, ani trudności pan nie zna? To jest niewybaczalna lekkomyślność". „Espoir" staje się trybuną antykomunizmu.

Pamiętamy te lata 1947—1948. Wtedy to Dawid Rousset i Artur Koestler wspierani przez agenta FBI, Krawczenkę, rozpoczęli z łamów pism i trybun oszczerczą kampanię antyradziecką. Nie odbiła się ona żadnym prawie echem w masach ludowych. Zbyt oczywisty, zbyt znany był nadawca. W środowisku intelektualistów jednak kampania ta pogłębiła jeszcze bardziej istniejące już rozdarcie. Przytaczam te rzeczywiste analogie wątków powieściowych nie po to, by rozszyfrować wszystkie klucze. Przytaczam je na dowód, że Simone de Beauvoir konfliktów ideologicznych swojej powieści nie spiętrza dla samej ich dramatyczności, że z materiału rzeczywistego czerpie te dane jedynie, które są jej potrzebne dla ukazania pełnego rodowodu dzisiejszych postaw bohaterów. A cały niemal rodowód jest jeszcze do ułożenia.

Upadek SRL i pogrzebanie „Espoir" to dopiero początek dramatu. W tym właśnie miejscu ludzie Camusa opowiedzieli się przeciw rzeczywistości. W tym właśnie miejscu ludzie Sartre'a dostrzegli, że zaangażowanie ma nie tylko filozoficzną głębię. Dubreuilh-Sartre jak ludzie Camusa stwierdzi, że „wszystko jest złem". Perron-Camus jak ludzie Sartre'a zapadnie się w rzeczywistość zrywając więzy miłości, przyjaźni, przekraczając normy uczciwości, by się wyzwolić od samego siebie. Spotkają się w miejscu zerowym, w tym miejscu, skąd znowu wszystkie drogi prowadzą w przyszłość. Lecz trzeba wybrać, trzeba wybrać tylko jedną z nich. Ani Dubreuilh, ani Perron nie decydują się na ten wybór.

Bo jakąż drogę wybrać, jeśli wszystko jest złem? Perron szuka ucieczki w literaturze, w czystej fikcji, gdzie szczęście będzie po prostu szczęśliwe. Lecz nie ma w sobie dość przeżytego szczęścia, aby wykrzesać cokolwiek. Na stworzenie fikcji trzeba bodaj mieć nostalgię szczęścia. A nostalgię musi nasunąć rzeczywistość. Kwadratura koła. „Dubreuilh szedł jeszcze dalej. Odrzucił nawet literaturę. I jeszcze dalej: wyrzekał się własnej egzystencji". Bo jego egzystencją były idee, czyste idee dobra i zła. Rzeczywistość je wypaczyła, skrzyżowała, odwróciła... Dubreuilh pisze essay — oskarżenie myśli i słowa, dalszy ciąg Camusowego M i t u S y z y f a.

Lecz rzeczywistość narzucała się sama, nieproszona, nieczekana. W formie nieupragnionej napewno, nieoczekiwanej, brutalnej, barbarzyńskiej. Szantaż atomowy gromadził nad światem tyle zła, że owo wyznanie, że „wszystko jest złem", nabrało nowego sensu: samoironii. Bo czymże jest to „wszystko zło", jeśli nie przyzwoleniem na wszystko, wobec tamtej grozy, wobec tamtego szaleństwa? „Najgorsze zło — powie Dubreuilh później — stało się tak bardzo groźne, że moje zastrzeżenia w stosunku do ZSRR i komunizmu wydały mi się bardzo drugorzędne".

Czym byłby komunizm, czym byłby Związek Radziecki dla tych sumień intelektualistycznych, gdyby umieli patrzeć na nie oczami nie swojej klasy! Gdyby nie widzieli samych tylko schematów odhumanizowanych przez uprzedzenie, ów klasowy instynkt samozachowawczy! Lecz w tym stanie świadomości zbliżenie do Partii Komunistycznej i komunizmu odbyć się mogło jedynie poprzez wyrzeczenie, poprzez zaprzeczenie całej własnej przeszłości. Simone de Beauvoir tylko te możliwości ukazuje, lecz i one mają rozległe perspektywy.

Dla tych, którzy umieją uczciwie myśleć, którzy chcą myśleć uczciwie,

nawet — jeśli trzeba — przeciwko sobie, rzeczywistość jest argumentem ostatecznym. Pragnęli innego świata, świata na miarę własnych pragnień, lecz czy dlatego mają zamykać oczy na świat, który istnieje? Czy mają prawo w imię teoretycznej, niemożliwej doskonałości potępiać jedyne możliwe i w imię idei człowieczeństwa odwracać się od człowieka?

Dubreuilh przeżył dramat ludzi Camusa do końca. Zszedł ze wzniesionego całym swoim przeszłym życiem cokołu wyolbrzymionej godności własnej i wierności sobie. Jak Sartre, jak ludzie Sartre'a wolał raczej wybrać przeciwko sobie, byle nie przeciw rzeczywistości.

W oczach Perrona — Dubreuilh „przeciwstawiał staremu humanizmowi, który był jego humanizmem, humanizm nowy, bardziej realny, bardziej pesymistyczny...; pokazywał gestem zwycięzcy, że w nim zawarła się jedyna moralność odpowiadająca dzisiejszym stosunkom między ludźmi; ale żeby ją przyjąć, należało tyle rzeczy wyrzucić za burtę, że już sam nie był zdolny tego uczynić. Zdumienie ogarniało na widok Dubreuilha głoszącego tę prawdę, której nie mógł uznać za swoją: oznaczało to, że uważał się sam za umarłego..."

Lecz potrzeba przeciwstawienia się temu „najgorszemu złu" była potężniejsza niż ta śmierć nawet. Dubreuilh przeciwko sobie uwierzył w człowieka, w tego człowieka, którego nie był jeszcze w stanie zrozumieć. Ale wystarczyła mu wiara, że w rękach tego człowieka jest ocalenie ludzkości. Zaangażował się w konkretną walkę i stał się cząstką tego świata, którego bronił.

„— Jednej rzeczy nie rozumiem — powie Perron do Dubreuilha — w zeszłym roku mówił pan, że nie jest w stanie strawić tego, co pan nazywał «nowym humanizmem», a dziś idzie pan ręka w rękę z komunistami. Więc to, co pana raziło wtedy, już dziś pana nie razi?

— Wie pan, ten humanizm jest właśnie wyrazem dzisiejszego świata. Nie można go odrzucić, tak jak nie można odrzucić świata. Można się dąsać, nic więcej".

Akceptacja nowego humanizmu przez Dubreuilha wymagała wyrzeczenia się przeszłości. Poprzez śmierć idei dawnego siebie Dubreuilh wywalczył sobie prawo do życia. Perron nie miał tyle do zaprzeczenia. Nie hodował w sobie swojej przeszłości i nie ją musiał przezwyciężać. Lecz był w sytuacji innej, może gorszej. Zatracił w ogóle świadomość związku swojego losu ze światem ludzi. „Niegdyś wierzył, że szczęście jest jakąś formą posiadania świata: kiedy ono jest raczej formą obrony przed światem..." Aż spostrzegł, że broniąc się przed światem, nie przed jakimś nieokreślonym światem się broni, ale przed światem „najgorszym ze złych". Ohydne represje kolonializmu francuskiego na Madagaskarze, proces w Tananarywie kazały mu określić wyraźnie tę stronę świata, która mu zagrażała. Od tego określenia był tylko krok do zaangażowania się w pełni. Perron „dąsał się" jeszcze. Miał jeszcze bardziej schematyczne wyobrażenie o Partii Komunistycznej i komunizmie niż Dubreuilh. Schematami tymi obudował sam swój widnokrąg polityczny. Nie mógł zrozumieć, dlaczego komuniści po opublikowaniu w „Espoir" artykułu przeciwko Związkowi Radzieckiemu uznali go za wroga, jeżeli on „mimo to" za ich wroga się nie uważał. Powinni przecież myśleć o nim jego myślami o sobie. Lecz mimo to wszystko Perron także na pytanie

Dubreuilha: „Jest pan chyba przekonany, że pomiędzy Związkiem Radzieckim i Ameryką trzeba wybrać Związek Radziecki" — odpowiada: „Oczywiście".

Nie ma dzisiaj innej drogi przed intelektulistą francuskim, jeśli chce być w zgodzie ze swoim sumieniem. Ta jedyna droga jest nieunikniona dla ludzi uczciwie myślących. Simone de Beauvoir ukazała również inne nieuniknione drogi. Poszli nimi kolaboracjoniści, agenci amerykańscy, słabe charaktery i równie słabe głowy. Droga wiodąca w przyszłość wymaga siły i uczciwości. Szkoda, że silni zostali w powieści ukazani tylko z daleka. Lecz pamiętajmy, że książka została poświęcona mandarynom, a siła nie jest ich mocną stroną.

Czyżby jednak byli skazani na bezsilność, a w konsekwencji na wymarcie? Simone de Beauvoir ukazując odrodzenie się Dubreuilha i Perrona odcięła się od owej czarnej, pesymistycznej literatury Zachodu, będącej wyrazem śmiertelnego lęku przed dniem jutrzejszym świata. Więcej: przezwyciężyła ten lęk, który był motywacją jej własnej dotychczasowej twórczości. Przezwyciężyła, tak, bo nie przekreśliła jednym pociągnięciem pióra swojej egzystencjalistycznej przeszłości. Ukazała, że istnieje wyjście na świat nawet z pozycji zdawałoby się najbardziej bezwyjściowej. Znalazła tę drogę, wąską jeszcze, niewydeptaną, nieprzydatną do śmiałego marszu w przyszłość. Idzie już nią Dubreuilh, wchodzi na nią Perron. Wyszli z oblężonego świata, uratowali się z rozbicia. Widzą, że nie idą ślepą uliczką, że droga ich ma słuszny kierunek. Dlaczego brak im tej euforii, która towarzyszy ocaleniu? Dlaczego idą tą drogą, która prowadzi w przyszłość, bez radości i entuzajzmu, jakie daje przekonanie o słuszności dokonanego wyboru? To zrozumiałe, że oglądają się za siebie. Zostawili przecież wiele. Zostawili sprawy, którym poświęcali myśli i serca, zostawili dużą część samych siebie. Oderwali się od przeszłości, ale na głosy stamtąd nie są głusi. Te głosy ich nie odwołają, nie zawrócą, to pewne, ale nie pomagają im stawiać pierwszych kroków. Wyzbyli się lęku, ale brak im jeszcze tej odwagi, którą daje świadomość celu. Znają kierunek tej drogi, drogi w przyszłość przecież, ale nie mają jasnej świadomości celu. Wybrali nowy humanizm „bardziej realistyczny i bardziej pesymistyczny" od tego, który nazywają jeszcze swoim „dawnym humanizmem". Wybór nieodwołalny narzuciła im rzeczywistość.

Już w tym określeniu nowego humanizmu, który przecież aprobują, o który będą walczyć, zawiera się ich stanowisko. „Bardziej pesymistyczny". bo nie ogarnęli jego perspektyw, bo zaaprobowali go jako ratunek przed zagładą, ale nie jako cel i sens życia.

Na drodze do nowego humanizmu czeka ich jeszcze wielki wysiłek. Chodzi nie tylko o oderwanie się od kompleksów przeszłości i nieoglądanie się za siebie. To stanie się samo wtedy, kiedy ujrzą jasną ideę jutra i kiedy wypełni im ta idea wszystkie horyzonty. Ale to zależy przede wszystkim od nich samych. Od tego, by potrafili przedrzeć się przez schematy, które sami sobie stworzyli.

Określając nowy humanizm jako „bardziej pesymistyczny" widzą go poprzez relikty swoich dawnych, zastarzałych uprzedzeń, poprzez instynkt samozachowawczy tych, od których odeszli. Muszą ujrzeć ideę jutra, której

zbawczy sens zaaprobowali, wyjętą ze schematów wczorajszych. Muszą ją ujrzeć żywą w ludziach, którzy ją realizują i o nią walczą.

Simone de Beauvoir nie ukazała w komunistach prawdziwych, pełnych ludzi. Patrzyła na nich oczami swojego środowiska, oczami Dubreuilha i Perrona. Ta nieznajomość, ta niechęć do poznania źródła siły n o w e g o jest źródłem bezsilności mandarynów. Na nowej obranej przez nich drodze czekają ich więc odkrycia. Sprawdzą własnym życiem, że nowy humanizm nie jest bynajmniej „bardziej pesymistyczny" od dawnego, że jego realizm rodzi się z wiary w przyszłość i ukochania życia. Wagę i skalę czekających ich odkryć Simone de Beauvoir ukazała. Ostatnie słowa książki otwierają te rozległe pespektywy, które oczekują każdego, kto się ocalił przed rozbiciem: „Albo ginie się w obojętności, albo świat się odradza; ja nie zginęłam. A skoro serce moje bić nie przestaje, to trzeba, aby biło dla jakiejś sprawy..." Simone de Beauvoir sprawę tę nazwała.

Zbigniew Bieńkowski

SEWERYN POLLAK

Uwagi o poezji rosyjskiej w Polsce

Od romantyków do „Skamandra"

W tak zwanym „Table Talku", notatniku zdań i aforyzmów, Puszkin w 1830 roku zapisał: „Tłumacze to konie pocztowe oświecenia". Zdanie to na owe czasy nowe i odkrywcze wymaga jednak dzisiaj uzupełnienia. Oczywiście, podstawową rolą tłumacza jest uprzystępnienie swemu narodowi godnych uwagi dzieł obcego piśmiennictwa. Niemniej rola jego jest znacznie szersza, bowiem już sam dobór dzieł przezeń tłumaczonych, sfera jego zainteresowań osobistych wyraża nie tylko jego stosunek do literatury, ale do tego wszystkiego, czego literatura jest nadbudową — do spraw społecznych. Same tłumaczenia, ich dobór — w pewnych warunkach mogą stanowić jak gdyby zwierciadło ustawicznej walki pomiędzy tym, co nowe, żywe, postępowe, a tym, co kryje w sobie elementy reakcji społecznej, zastoju myśli. Wbrew ogólnie przyjętym mniemaniom tłumacz, a zwłaszcza tłumacz poezji, bo o sprawach przekładu poetyckiego przede wszystkim będę mówił w tym szkicu, nie jest maszyną do beznamiętnego przenoszenia myśli z jednego języka na drugi. Tłumacz nie może być „letnim", ma on swoje zamiłowania i swoje niechęci, i już z tego względu, przyswajając literaturze ojczystej te a nie inne utwory obce, pomimo woli nawet odciskając na nich piętno swej indywidualności staje się ważnym czynnikiem w ogólnej polityce kulturalnej, więcej, bo tym, który odzwierciedla ściśle określone tendencje społeczne swego czasu.

Dzieje przekładów poezji rosyjskiej w Polsce stanowią niejako obraz panujących w środowisku literackim zainteresowań piśmiennictwem rosyjskim, a sam ich dobór świadczy o tych tendencjach, do wspólnoty z którymi poczuwały się pewne odłamy tego środowiska. Już w pierwszym dwudziestoleciu XIX wieku po raz pierwszy w Polsce zaczynają się pojawiać nieliczne jeszcze i nieśmiałe próby tłumaczeń wierszy rosyjskich, bynajmniej zresztą nie rewolucyjnych — sentymentalnych wierszy Gniedicza, Karamzina, ód Dzierżawina. Wspomnę tu przy okazji o przekładzie wiersza Nieledyńskiego-Mieleckiego: „Przestań, strumyku mruczenia...", dokonanym przez Stanisława Trembeckiego. Warto zaznaczyć, że Nieledyński, uważany w swoim czasie za „rosyjskiego Anakreonta", podobnie jak jego polski tłumacz, Trembecki, obracał się w sferach dworskich i uprawiał poezję salonową i pseudoludową. Nic więc dziwnego, że właśnie ten poeta przypadł Trembeckiemu do gustu. Jeśli chodzi o Dzierżawina, to liczne przekłady jego utworów pojawiają się w Wilnie po roku 1820, zapewne pod wpływem profesora literatury rosyjskiej, Jana Łobojki. Tłumaczył go najwięcej znany podówczas wierszopis, Wincenty Kiszka-Zgierski. Dla nas interesujące jest, że Mickiewicz w swoich wykładach literatury słowiańskiej wiele uwagi poświęcił odzie B ó g, która widocznie miała wielkie w Polsce powodzenie, jeśli od 1815 r. pojawiło się aż 9 jej przekładów. Są to wszystko próby pogłębienia panujących podówczas w literaturze prądów literackich. Tłumaczenia niejednokrotnie wnosiły do literatury rodzimej nowe elementy, poruszając bliskie ówczesnym poetom struny uczuciowe.

Gdy w lutowym numerze „Dziennika Wileńskiego" z 1822 r. obok pierwodru-

ku Świtezianki Mickiewicza znajdujemy przekład sentymentalnego wiersza Karamzina Do słowika, podpisany nieznanym nam dziś nazwiskiem Mikołaja Trussowa, to wiersz ten nie uderza nas niczym obcym. Niewątpliwie wzruszenia nad Karpińskim podyktowały nieznanemu tłumaczowi wileńskiemu o niepolskim nazwisku tok rytmiczny i melodykę przekładu wiersza Karamzina, wywodzące się z najbardziej istotnych tradycji języka polskiego. Gdy Karpiński powiada:

...Dokąd, rzecze, popędliwa,
Zapędzasz się śmierci chciwa?
Że nad te słońca promienie
Przekładasz grobowe cienie?

to jakby echo wtórzy mu tłumacz Karamzina:

Ach! ja wspomniałem w tej dobie
Miłego, co leży w grobie,
Którego z przyjaźni łona
Wydarła śmierć niewzruszona.

Kiedy Brodziński we własnym wierszu Do moich piosenek pisze:

Kwiatek zakończy swój dzionek,
Co dziewic czoło obwodzi,
Skończy swe lato skowronek,
Co oraczom pracę słodzi.

to rozwinięcie tej myśli, naturalne jej uzupełnienie znajduje w wierszu Gniedicza, który przekłada:

O, żałosny obrazie! Tak się wydziera
Kwitnąca młodość od nas,
Szczęśliwy, kto się życiem nacieszy,
W jego bystrolotnym czasie.

Wspólny styl epoki każe szukać poecie podobnych obrazów i podobnych sformułowań w poezji innego narodu, określa charakter jego zainteresowań i wpływa na to, że tłumacz zaciera nawet cechy odrębności pomiędzy swoją poezją a poezją przezeń tłumaczoną. Ale również wydarzenia polityczne już wówczas mają olbrzymi wpływ na dobór utworów tłumaczonych. Nie zawsze zresztą tłumacz uświadamia sobie, co go skłania do przełożenia tego a nie innego wiersza. Michał Grabowski w liście do Bohdana Zaleskiego z grudnia 1825 r. pisze przesyłając mu swój przekład wiersza Puszkina z albumu Eupraksji Wulf: „W ostatnim numerze, który do nas doszedł, «Moskiewskiego Telegrafu», tj. na miesiąc ...bri 1825, znalazłem kilka wierszów A. Puszkina, napisanych do albumu, pełnych łagodnej melancholii i tego nie wiem, co mi się zawsze podoba; umieszczam tu ci razem z przekładem polskim..." Cóż się tak podoba Michałowi Grabowskiemu pod koniec roku 1825?

Jeśli cię nadzieje zwiodą
Ni się troskaj, ni narzekaj;
Dzień żałoby przyjm z pogodą,
Dzień wesela przyjdzie — czekaj!

Żyjemy kosztem przeszłości,
Czas obecny smutny wszędzie;
Nic tu długo nie zagości
A co przejdzie, miłym będzie.

Niewątpliwie ten krótki wierszyk powstał na tle pogłębiającego się w ostatnich latach panowania Aleksandra I nastroju przygnębienia i oczekiwania jakichś radykalnych zmian. Wydaje się, że jest on jednym z pośrednich dowodów pewnego oderwania Puszkina od planów powstania, konkretyzowanych już w tym czasie przez dekabrystów. A przecież wiemy, jak bardzo starali się spiskowcy uchronić Puszkina od bezpośredniego udziału w akcji spiskowej. Ale nawet i wtedy Puszkin znajduje w sobie uczucia optymizmu, i mówi, że „serce żyje przyszłością".

Michała Grabowskiego trudno podejrzewać o jakieś radykalne poglądy i jeśli w kilkanaście lat później pisze on, że „...przemysł gospodarski nie jest w rze-

czy samej czym innym, tylko sztuką godziwym lub niegodziwym sposobem wymożenia na biednym kmieciu więcej dni roboczych, z oczywistym jego zniszczeniem, a bez korzyści dla nas samych" — to jest tylko jeszcze jednym z dowodów, że warunki społeczne dojrzały do zmiany i że nastrój niezadowolenia nurtował podówczas bardzo już głęboko. Oczywiście, sprawy nie należy upraszczać — i to „nie wiem", i owa „łagodna melancholia", która tak się podoba Grabowskiemu w Puszkinie, jest w rzeczywistości romantycznym smutkiem, pewną konwencją literacką, ale przecież wiadomo, że tak zwany „duch czasu" ma zawsze swoje głębokie uzasadnienie społeczne.

Dążenie do wyszukania w dorobku poezji rosyjskiej utworów, które by zasilały główny nurt rozwoju poezji narodowej, niewątpliwie wynikało z głębokiego poczucia, że literatura rosyjska, że rosyjscy pisarze nic nie mieli wspólnego z wynaradawiającą polityką rządu carskiego i że tendencje tej literatury zgodne były z istotą naszego ruchu narodowego i kulturalnego. Zdaje się, że odnalezienie zasady, na jakiej odbywała się ta — mówiąc naszym dzisiejszym językiem — wymiana kulturalna, jest co najmniej równie ważne, jak często cytowane przez nas bezpośrednie deklaracje przyjaźni pisarzy polskich z rosyjskimi. Zdaje się również, że poza osobistymi przyjaznymi stosunkami Mickiewicza z Puszkinem to właśnie było jedną z najistotniejszych przyczyn, że Mickiewicz tłumaczył Puszkina, a Puszkin — utwory Mickiewicza. O tym wszystkim wielokrotnie u nas mówiono, ale poprzestawano tylko na stwierdzeniu faktu osobistej przyjaźni, w tym jedynie widząc pobudkę do tłumaczenia i nie wyciągając wniosków szerszych. A tymczasem to oddziaływanie da się prześledzić nie tylko na licznych przekładach z Mickiewicza, ale i na tłumaczeniach rosyjskich innych jeszcze poetów polskich. Nie będę więc tu wspominał o tłumaczeniach poezji Mickiewicza tej miary choćby, jak Kozłow, Küchelbecker i inni. Ciekawsze jest raczej, że na przykład Lermontow, który zapewne nie znał języka polskiego, sięgał do Sonetów krymskich, aby odnaleźć w nich te wątki uczuciowe, które, zgodne w jakiś sposób z jego twórczością, wzbogacały ją o nowe elementy. Oddając na ogół wiernie treść Widoku gór ze stepów Kozłowa rezygnuje z formy sonetu, którego ścisłe rygory nie pozwoliłyby mu na właściwszą jego twórczości romantyczną amplifikację uczuciową i obrazową. Gdy Mickiewicz mówił:

Czy Diwy z ćwierci lądu dźwignęli te mury,
Aby gwiazd karawanę nie puszczać ze wschodu?

Ale wróćmy do czasów wcześniejszych. Rylejew, który jeszcze w swoich szkolnych czasach przekłada Sofiówkę Trembeckiego, a w 1822 roku tłumaczy Dumę o kniaziu Glińskim Niemcewicza oraz Lilie i Świteziankę Mickiewicza (pełny tekst tego przekładu został ogłoszony w I tomie publikacji Diekabristy — litieratory, wyd. przez Akademię Nauk ZSRR w roku 1954), w pełni uświadamiał sobie znaczenie wzajemnego oddziaływania kultur narodowych na rozwój poezji i myśli społecznej. W liście do Niemcewicza, przesyłając mu tłumaczenie Dumy o kniaziu Glińskim, pisał: „Płody geniuszów są własnością łączącą wszystkich, ja natomiast mam odwagę zapewnić szanownego Nestora literatury polskiej, że i na brzegach Newy młode w królestwie nauki pokolenie z zachwytem roz-

koszuje się słodkimi dźwiękami liry sarmackiej i umie cenić przyjaciół wielkiego Waszyngtona."

Myśl tę rozwija w odsyłaczu wstępnym do Dumy o Glińskim, gdzie mówi: „Jest to nieudane naśladownictwo bardziej aniżeli przekład ślicznej Dumy Juliana Niemcewicza. Gliński ze względu na okazany wpływ na sprawy Rosji i Polski, zarówno należy do historii obydwóch państw. Zdrada narodowa i fatalny koniec nad wyraz jest pouczający. To właśnie pobudziło mnie do tego, bym dołączył ten utwór Niemcewicza do własnych Dum, które opracowuję wybierając dla nich tematy historyczne z historii ojczystej."

Nie będziemy się tu wdawali w ocenę, czy rację ma Rylejew, przez skromność nazywając swój przekład Dumy o Glińskim nieudanym naśladownictwem. Ważniejsze są tu wnioski natury ogólnej. Marian Toporowski w przedmowie do swej bibliografii Puszkin w Polsce, wyliczając około dwustu tłumaczeń Puszkina w wieku XIX, mówi słusznie: „...w tych przekładach wnikliwy czytelnik odkryje swoisty urok zmiennych gustów epoki. W perspektywie bowiem historycznej problem przekładu nie jest zagadnieniem wyłącznie formalnym". Niemniej nie tylko nie rozwija szerzej tej myśli, lecz zdaje się nie dostrzegać głębszych przyczyn, które sprawiły, że w tym czasie wielu tłumaczy — mniej lub bardziej utalentowanych — przekładając Puszkina pomimo woli upodobniało jego poezję do znanych przykładów poezji rodzimej. Zjawisko to Toporowski uważa wyłącznie za objaw nieudolności, pisząc dalej: „Spróbujmy przeczytać Rusałkę Rypińskiego (1827), gdzie — w naiwności ducha tłumacza — «śliczniuchna a blada» dziewica «milczkiem siada u brzegu». Trudno powstrzymać uśmiech wobec takich niespodzianek — dodaje autor — ale nawet formalistę rozbroi całość przekładu, który zachowując duży stopień wierności, tak bardzo przypomina swoim słownictwem, budową zdań i obrazowaniem koloryt Świtezianki." Pomińmy tu zagadnienie wartości poetyckiej wielu z tych przekładów, ważniejsze jest uchwycenie ogólnego ich tonu i ogólnej tendencji. Wszakże w ówczesnej, trudnej sytuacji politycznej dążenie do włączenia rosyjskich utworów w zasób poezji narodowej jest bądź co bądź charakterystyczne i godne podkreślenia. Zjawisko „upodabniania", które występuje zarówno w przekładach tłumaczy znakomitych, jak i pośledniejszych, jest wyrazem chęci zachowania w ten czy inny sposób pojętej wierności ideologicznej. Różnica jest tylko ta, że wybitny poeta, tłumacząc, bardziej nadaje utworowi znamiona własnego stylu, pośledniejszy stosuje się do ogólnego stylu i zakresu pojęć swojej epoki. Zależnie od siły talentu tłumacza utwór tłumaczony oscyluje między dwoma biegunami — przekładu i adaptacji, gdzie ścisłej granicy nie podobna określić. Przypomnijmy sobie przekłady Mickiewicza z Goethego. Piosenki Mignony, co do której nikt nie zaprzeczy, że na zawsze weszła do skarbnicy arcydzieł poezji polskiej, nie możemy nazwać w naszym dzisiejszym pojęciu przekładem, a utwór, który nawet nie zachował tytułu oryginału, uważamy za genialną adaptację.

Inne były poglądy na przekład i na jego rolę poetów wieku XIX — i my dzisiaj, uzbrojeni nie tylko w naszą wiedzę filologiczną, ale i w dialektyczne rozumienie historii kultury, nie możemy odmówić im swoistej racji. Wiemy, że poeci pierwszej połowy XIX wieku, zdając sobie doskonale sprawę z różnic praktycznych w stosowaniu wiersza sylabicznego, sylabotonicznego i tonicznego, mieli wielkie poczucie natu-

ralnego toku językowego. W recenzji o polskich przekładach z Dmitriewa i Puszkina Mickiewicz mówiąc o apologach Dmitriewa podkreśla, że: „Cała zaleta wspomnianych apologów... polega na wielkiej czystości języka, prostocie i czystości wyrażeń tudzież doskonałym mechanizmie wierszowania. O pięknych tworach w tym rodzaju można by mówić to, co Francuzi za cechę doskonałości wszystkich dzieł poetyckich uważać chcieli: *C'est beau comme de la prose*. Jakoż podobne wiersze są właśnie najpiękniejszą prozą do miar poetyckich nagiętą". Niewątpliwie Mickiewicz miał na myśli to właśnie, co my dzisiaj nazywamy naturalnym tokiem językowym. Dopiero Młoda Polska z właściwą jej powierzchownością w rozumieniu zagadnień kultury zaczęła interpretować wierność przekładu jako obowiązek ścisłego odwzorowywania siatki rytmicznej wiersza. Ale do tych spraw powrócimy później. W epoce romantyzmu tylko bardzo nieliczni i raczej nieudolni tłumacze usiłowali trzymać się ściśle metrum oryginału, przy czym tłumaczenia ich właśnie dlatego bynajmniej nie brzmiały *comme de la prose*.

W pracy pt. Z zagadnień teorii przekładu poetyckiego cytowałem już kiedyś zdanie Kornieja Czukowskiego, który mówi, że tłumacz „właściwie tłumaczy sam siebie, to znaczy odzwierciedla w swoim przekładzie własne oblicze społeczne". Słuszność tej tezy da się najbardziej wyraziście udowodnić na przykładach praktyki tłumaczeniowej poetów w drugiej połowie XIX wieku. Niezmiernie charakterystyczna jest pod tym względem działalność przekładowa Syrokomli.

Sam Syrokomla jako poeta jest w swoich sądach społecznych dość połowiczny, niezdecydowany, bo i jakże mógłby być innym drobny szlachcic, wyzuty co prawda z roli, lecz żyjący z dzierżaw, podtrzymujący tradycje szlacheckie, przez lata całe nie wychylający nosa poza granice swojej guberni. Autor Dęboroga i Lalki, tłumacz Eklezjasty i Niekrasowa nie był konsekwentny ani w swoich poglądach społecznych, ani też w swoich gustach literackich. Niemniej, na tle swego środowiska wyróżnia się demokratyzmem poglądów i dużym jak na swoje warunki życiowe oczytaniem. Utarło się twierdzenie, że Syrokomla jest reprezentantem drobnej, deklasującej się warstwy szlacheckiej na Wileńszczyźnie i że poglądy jego są dość ograniczone wąskim horyzontem myślowym tej klasy społecznej. Ale z tej „szufladki" raz po raz wygląda człowiek myślący znacznie szerzej, umiejący zdać sobie sprawę ze swej pozycji społecznej, człowiek, któremu jedynie warunki życiowe nie pozwoliły rozwinąć swego talentu. Syrokomla rozumie odrębność swojej pozycji. Jakże przekonywająco dla nas dzisiaj brzmią słowa z jego odpowiedzi recenzentom Janka Cmentarnika:

Oni by radzi widzieć w pieśni mojej
Piękną sielankę do pańskich pokoi,
By ją wyzłocić, wyszyć na kobiercu,
A u nas ciężkie westchnienie na sercu.
Och! trudno spełnić, czego oni życzą:
Wolno nam płakać, byle malowniczo,
Wolno się smucić i uderzać głową,
Wolno rozpaczać rozpaczą książkową...
Ej! to być musi i piękniej, i milej;
Lecz nas po książkach czytać nie uczyli.
Uczucia nasze — przebaczcie nam za to —

Muszą wyglądać dziko, chropowato,
Gdy oko płacze, kiedy pierś zastęknie,
My nie potrafim ułożyć się pięknie:
Inaczej kwilim, gdy nam ciężka socha,
Inaczej z piórkiem na karcie się szlocha.

Te zdania, uderzające szczerością i prostotą i piękne w swej dojrzałości artystycznej, nie weszły nawet do zasobu dzieł Syrokomli. Zostały one, jak podaje Wincenty Korotyński, odtworzone z pamięci przez A. Walickiego. Zbyt duży był nacisk moralny zacofanego środowiska drobnomieszczańskiego, aby Syrokomla odważył się wypowiedzieć je głośno za życia. A jest to przecież jeden z najodważniejszych programów literackich, jaki został wypowiedziany w tym czasie w Polsce. Brzmią w nim podobne tony, co w wierszu Romana Zmorskiego *Do młodego poety*.

I tu wyjaśnia się zagadnienie doboru przekładów Syrokomli. To, czego poeta z różnych względów nie mógł czy nie chciał, a może nawet nie umiał wypowiedzieć sam, znajdował w utworach swoich współczesnych. Na Wileńszczyźnie w latach międzypowstaniowych Syrokomla nie znalazł oparcia kulturalnego i społecznego dla swych postępowych poglądów, dla swej muzy szarpiącej się w okowach parafiańszczyzny. Bliżsi mu byli niejednokrotnie w swej poezji „obywatelskiej" Rylejew, Niekrasow, Kuroczkin i Beranger niż niektórzy jego przyjaciele literaccy — Wincenty Pol czy Kornel Ujejski. W nich Syrokomla odnajduje swoje niesprecyzowane często dążenia, oni dopowiadają to, czego nie wypowiedział we własnej poezji. Poeta-tłumacz rozszerza w ten sposób skalę swoich tonów, przekład dla niego staje się jak gdyby pomostem, przerzuconym pomiędzy dwoma środowiskami, z których jedno, mniej dojrzałe, może wiele zyskać z doświadczeń drugiego. Nie chcę tu bynajmniej twierdzić, że rozwój społeczno-ekonomiczny Wileńszczyzny tak bardzo różnił się od rozwoju — powiedzmy — guberni smoleńskiej, niemniej na pewno ruch społeczny i kulturalny, którego reprezentantem był Niekrasow, nie miał jeszcze podówczas równie silnego odpowiednika na Litwie. A przecież program literacki Syrokomli, wyłożony chociażby w cytowanym powyżej fragmencie, niezależnie od tego, czy był przez Syrokomlę realizowany w pełni czy nie, jest właśnie podówczas programem postępowego pisarstwa, zarówno w Polsce, jak i w Rosji.

A więc znowu wracamy do sprawy włączania w zasób kultury narodowej tych utworów, które ją mają wzbogacić. W przypadku jednakże Syrokomli zagadnienie to pogłębia się przez prekursorstwo już nie tylko artystyczne, lecz i społeczne. W polskiej literaturze pięknej połowy XIX wieku idee demokratyczne — reprezentowane w Rosji przez Niekrasowa i jego współbojowników — nie zostały w równym stopniu rozwinięte i pogłębione. Wpłynęła na to niewątpliwie wyjątkowa sytuacja polityczna, w której zacierała się ostrość walki społecznej. Stąd te liczne niekonsekwencje, stąd lubowanie się w tradycji szlacheckiej, stąd też tony religijne, choćby nawet w poezji Syrokomli, tony, które nie zawsze oznaczają uczucia religijne, lecz w swoisty sposób pojęte przywiązanie do tradycji narodowej.

Tłumaczenia Syrokomli wnoszą do poezji polskiej te elementy demokratyczne, a często i rewolucyjne, które przewijają się w niej co prawda, nie uzyskują jednak takiej ostrości jak u poetów przez Syrokomlę tłumaczonych.

Właśnie fakt, że tłumaczenia są dla Syrokomli wyrazem jego poszukiwań ideowych i programowych w poezji, określa jego metodę tłumaczeniową. Syrokomla stara się o maksymalną wierność ideologiczną. Zarówno w tłumaczeniu *Wojnarowskiego* Rylejewa czy też w *Na Wołdze* Niekrasowa nie ma ani jednej linijki zniekształconej pod względem wyrazu treściowego, ani jednego wtrętu obcych

oryginałowi realiów. A jednocześnie z tendencji do przyswajania kulturze narodowej utworów poetyckich, które by ją rozwijały, wynika dążenie tłumacza, aby przelewać ich treść w formę poetycką zgodną z naturalnym tokiem języka polskiego, z tradycyjnymi formami poezji polskiej.

Jedno jeszcze trzeba dodać w związku z tłumaczeniami Syrokomli. Jeżeli powstanie listopadowe w małym stopniu wpłynęło na zmniejszenie się ilości przekładów z poetów rosyjskich, gdyż tłumacze doskonale umieli rozróżniać istotne tendencje literatury rosyjskiej od polityki rządu carskiego, to już pod koniec szóstego dziesięciolecia sytuacja zmienia się zasadniczo i liczba tłumaczeń znacznie maleje. Syrokomla tłumaczy prawie aż do śmierci, to znaczy do 1862 r. — on jeden z niewielu nadal zachował umiejętność oddzielania zupełnie różnych zjawisk: społeczno-kulturalnych i politycznych, umiejętność rozróżniania w tym samym narodzie wrogów politycznych od sprzymierzeńców.

Powstanie 1863 roku stanowi punkt graniczny w historii tłumaczeń poezji rosyjskiej. Charakterystyczne jest, że przez całe dziesięciolecie nie tłumaczono nawet Puszkina. W bibliografii Puszkinowskiej widzimy lukę obejmującą lata 1860—1871. Jest to luka ze wszech miar zrozumiała i nie wymagająca wyjaśnień.

Nowe pokolenie tłumaczy już zupełnie inaczej podchodzi do materiału poetyckiego, inaczej pojmuje swą rolę. Poeci dawnego pokolenia, jak Antoni Kolankowski, który w dwóch swoich zbiorkach poezji, wydanych w latach 1870—1875, drukuje przekłady z Puszkina, Lermontowa i Niekrasowa, jak Gustaw Czernicki, tłumacz Lermontowa, zachowują jeszcze to, cośmy nazwali wiernością ideologiczną; Kolankowski wiernie tłumaczy Z a g o n i e z ż ę t y Niekrasowa, co daje wyraźne świadectwo jego postawy społecznej. Na ogół tłumaczenia ograniczają się albo do przedruków rzeczy dawnych, jak na przykład drugie wydanie T ł u m a c z e ń Odyńca z r. 1874 czy też A n t o l o g i a o b c a Bełzy z r. 1882, albo też poeci przekładając stosują inne kryteria zarówno doboru, jak i metody tłumaczeniowej. Na czym to polega? W pierwszym dwudziestoleciu po powstaniu styczniowym zarysowała się nie tylko różnica w sytuacji społecznej i ekonomicznej pomiędzy Rosją a Królestwem, ale i różnica w świadomości społeczeństwa; niesłychanie ważną rolę odegrała tu sprawa narodowościowa, sprawa niepodległości Polski. Jak wiemy, skomplikowała ona rozwój naszych stosunków społecznych, a zwłaszcza mocno odbiła się na całej nadbudowie, na literaturze i stosunkach kulturalnych.

Tłumacze okresu popowstaniowego niełatwe mają zadanie, gdy przystępują do przekładania poezji rosyjskiej. Oczywiście najchętniej tłumaczą klasyków: Żukowskiego, Puszkina, Lermontowa. Z poetów współczesnych wybierają twórców najbardziej postępowych, a więc znowu Niekrasowa, Pleszczejewa, Kuroczkina, takich poetów, których postawa wobec sprawy polskiej nie pozostawia żadnych wątpliwości. Niemniej, właśnie ze względu na owe coraz silniej występujące różnice ideologiczno-kulturalne, utwory wspomnianych poetów w ówczesnych tłumaczeniach polskich nabierają nieco innego zabarwienia. Nie jest to zafałszowanie świadome. Te różnice w tonacji i często nawet w akcencie politycznym są wynikiem różnic ideologicznych, innej postawy tłumacza. Mówiłem o tym dość obszernie w szkicu Z z a g a d n i e ń t e o r i i p r z e k ł a d u p o e t y c k i e g o opierając się na przekładzie jednego z najwybitniejszych tłumaczy tego okresu, Wiktora Gomulickiego, jako tłumacza

Niekrasowa. Powiem więc tylko krótko, że w charakterystycznym dla tej postawy przekładzie K o l e i ż e l a z n e j wbrew intencjom oryginału występują u Gomulickiego, zamiast tonów buntowniczych, radykalnych, elementy filantropii i solidaryzmu klasowego, który się wyraża w „poddaniu" woli bożej, o czym — rzecz jasna — u Niekrasowa mowy nie ma i być nie może. We wspomnianym artykule podawałem przykłady, więc ich tu nie będę powtarzał. Zresztą, nawiasem mówiąc, podobne tendencje występują u Gomulickiego przy przekładach z Wiktora Hugo. Z całej ostrej w akcentach buntu społecznego twórczości poetyckiej Wiktora Hugo Gomulicki wybiera przede wszystkim wiersze o charakterze filantropijno-religijnym. Ten moment jest probierzem zapatrywań społecznych tłumacza, który, jeśli nawet zachowuje wierność w stosunku do tekstu, jest to wierność pozorna, gdyż jednostronny wybór ukazuje tłumaczonego poetę w fałszywym świetle.

Przy tym wszystkim w ostatnim ćwierćwieczu XIX stulecia powstaje sporo bardzo pięknych i wiernych przekładów, zwłaszcza z klasyków poezji rosyjskiej. Gomulicki, gruntownie przemyślawszy zagadnienie strofy onieginowskiej, tłumaczy scenę pojedynku — jest to niewątpliwie jeden z najlepszych fragmentów O n i e g i n a, jaki aż do naszych czasów ukazał się w języku polskim. Unikając jakiegokolwiek formalistycznego podejścia, Gomulicki pierwszy zdołał w jakiś sposób przystosować strofę onieginowską do wymogów naturalnego toku języka polskiego, nie zatracając bynajmniej jej odrębności i uroków. I — rzecz dziwna — przekład sceny pojedynku w przeciwieństwie do tłumaczeń z Niekrasowa jest dokładny, oddaje zarówno treść, jak i romantyczny charakter oryginału, jest plastyczny, narysowany ołówkiem pewnym a śmiałym. Rzecz dziwna — ale tylko na pozór. Gomulicki jest świetnym przykładem, jak wielkie znaczenie ma dla tłumacza właściwy dobór autora i tekstu, jak tłumaczowi nie wolno przekładać wszystkich i wszystkiego. *Traduttore* staje się *tradittore* w bardzo określonych przypadkach. Zdrada artystyczna (oczywiście zakładając, że bierzemy pod uwagę tłumacza na wysokim poziomie) jest zawsze efektem wtórnym, świadczy bowiem o obcości ideologicznej. Tłumacz nie zdradza na ogół swoich przyjaciół, nie zdradza ludzi mu bliskich, lecz tych jedynie, których ideologia i estetyka są mu obce. Oczywiście nie chciałbym, aby to twierdzenie miało być potraktowane jako rodzaj papierka lakmusowego dla badania ideologii tłumacza, w praktyce bowiem te sprawy komplikuje wiele innych ubocznych czynników. Można na przykład, znając oryginalną twórczość Gomulickiego, znaleźć w niej pewne elementy, które poetę zbliżają do Niekrasowa i niewątpliwie one właśnie wpłynęły na wybór tłumaczeń. Niemniej różnice są bardzo poważne i dlatego Gomulicki, który dał nam ciekawy i wierny przekład sceny pojedynku, nie sprostał rewolucyjnej, buntowniczej muzie Niekrasowa, choć nie zawiodło go pióro, gdy miał do czynienia z tekstem romantycznym, gdzie nie wchodziły bezpośrednio w grę sprawy ideologii.

Nie kusząc się tutaj o przedstawienie historii przekładów polskich z poezji rosyjskiej i poprzestając jedynie na zobrazowaniu głównych tendencji rozwojowych, nie analizuję, oczywiście, twórczości całej plejady bardziej czy mniej utalentowanych tłumaczy z tego okresu, niemniej wymienić tu muszę takie przynajmniej nazwiska, jak Michał Czernicki, Antoni Kolankowski, Michał Koroway-Metelicki, Adam Pług czy też Władysław Bełza. Ci ostatni, a zwłaszcza Władysław Bełza, wyróżniają się

dużą sprawnością techniczną, nie tylko zresztą sprawnością, bo często i rzeczywistym talentem. Weźmy na przykład Bełzę: jego przekład E c h a Puszkina jest, jak na owe czasy, znakomitym osiągnięciem w dziedzinie tłumaczeń poetyckich. Bełza, dając wiersz potoczysty, dobrze osadzony w polszczyźnie, potrafił przekazać nam nie tylko treść, ale i wiele uroków tego króciutkiego liryku:

Czy wyje zwierz w zapadłym lesie,
Czy rogi grzmią, czy burza rwie się,
Czy dziewic śpiew słychać zza gór:
Dźwięki najcichsze
W odgłosie twym znajdują wtór,
I odzew w wichrze!

Piorunom — odgłos ślesz ty w dal,
Poświstom burzy, grzmotom fal,
Pastuszkom fletni zwracasz głos,
Co z rosą leci!
Bez echa sam. — Nie takiż los
I wasz? — poeci!

W okresie pozytywizmu uwaga poetów skierowana jest głównie na dobór wierszy pod względem treści, a zagadnienia wyrazu artystycznego odgrywają dla tłumaczy rolę podrzędną. Dlatego też tam, gdzie tłumacze napotykają na jakieś trudności w transpozycji elementów formalnych, bez wahania potrafią zmienić rytm, sposób obrazowania, a nawet wkładać w wiersz własne, dydaktycznym celom odpowiadające treści. Ale obok tego już pod koniec XIX wieku, pod wpływem nowych prądów estetycznych na Zachodzie, rodzi się inny stosunek do sztuki tłumaczenia poezji. Już w 1884 roku Edward Porębowicz, omawiając przekłady Koźmiana z Szekspira, stawia sztuce tłumaczenia poezji następujący postulat: „Przekład powinien być transkrypcją, niech w nim będą te same, na jotę nie zmienione tony, a w uchu słuchacza wywoła się to samo następstwo i sumę wrażeń; jak w muzyce — zmienia się tylko klucz, utwór się nie zmienia. Ideał przekładu nie polega więc na tym, aby wyraz zastępować wyrazem, ale wrażenie wrażeniem."

A więc nie chodzi tu już ani o treść, ani o realia, ani tym bardziej o jakiekolwiek względy ideologiczne. Ostateczny wyraz tym poglądom, którymi się kieruje później cała generacja poetów Młodej Polski, da Miriam. W przedmowie do zbioru U p o e t ów mówi on, że tłumacząc liczył się tylko z pięknem utworu. O swojej książce powiada: „Chce ona nie pouczać o rozwojach, wpływach i tym podobnych w dziejach twórczości poetyckiej drugorzędnych rzeczach, lecz podać czytelnikowi szereg utworów, z których niejeden duszę mu uraduje, rozświeci, rozszerzy... Gdyby nie względy wydawnicze, niezależne ode mnie, rad usunąłbym w książce nazwisko swoje i nazwiska tłumaczonych poetów, aby pozostała rzecz sama: poezja. Ta — choćby była bezimienną i bezdatową — *ajoy for ever*." Ta programowa wrażeniowość, ten ahistorycyzm, więcej — bo pozaczasowość, ów wyraźnie podkreślony idealistyczny stosunek do poezji jako do wcielenia jakiegoś nieuchwytnego, abstrakcyjnego piękna, znalazły, rzecz prosta, odbicie w samej praktyce tłumaczeniowej. Poglądy te będą pokutowały u nas bardzo długo, ostatnie ich echo zabrzmi w książce Stefana Szumana, który jeszcze w 1948 r. mówi o przekazaniu „idei, ducha, erosu i demona oryginału". Ale pomińmy „demonologię" Szumana, chwilowo chciałbym raczej zwrócić uwagę na podejście formalne, bardzo istotne dla wyznawców tego typu przekładu.

Ta kategoria tłumaczy, traktując utwór poetycki wyłącznie jako bodziec wzruszeń estetycznych, odznacza się niesłychaną starannością w przekazywaniu

formalnych cech utworu poetyckiego. Wynika to z przeświadczenia o samoistnej wartości słowa poetyckiego, o wzruszeniowych walorach dźwięku. Władysław Chodasiewicz, recenzent Tuwimowskiego przekładu Jeźdźca Miedzianego w „Wiadomościach Literackich", pisze w ten sposób: „Dźwięk wiersza genetycznie związany jest z sensem w sposób nierozerwalny. Zniszczenie lub wypaczenie dźwiękowych właściwości wiersza równa się zniszczeniu jego sensu... razem ze znaczeniowym upodobnieniem do oryginału tłumacz musi osiągnąć takież upodobnienie dźwiękowe... wartość uczuciowa dźwięków i połączeń dźwiękowych, ściśle związana ze znaczeniem wierszy, a nieraz wprost rządząca myślą poety (podkr. moje), wcale nie jest jednakowa w różnych językach. To samo połączenie dźwiękowe działa w zupełnie odmienny sposób na wrażliwość przedstawicieli różnych narodowości."

Zdawałoby się, że konsekwencja wymagałaby, żeby przy takim założeniu, dochodząc w ostatecznym wyniku rozumowania do stanowiska jakiejś abstrakcyjnej autonomii poezji każdego narodu, uznać tłumaczenie poezji za rzecz niecsiągalną. Do tego też wniosku dochodzi Chodasiewicz we wspomnianym artykule, pisząc: „Przekład poetycki, jak powiedziałem, nie da się obronić sposobem teoretycznym". A dalej: „Wszelka próba przekładu poetyckiego jest próbą dokonania cudu". Za taki „cud", nawiasem mówiąc, Chodasiewicz uważa Tuwimowski przekład Jeźdźca Miedzianego. W poszukiwaniu praktycznego rozwiązania autor artykułu, zdając sobie sprawę z niekonsekwencji metody formalnej, której teoretycy, jak np. w Rosji Briusow, żądają, aby przekład powtarzał wszystkie zewnętrzne cechy oryginału, jego osobliwości metryczne, stroficzne, charakter rymów itp., proponuje, ażeby tłumacz odnosił się do nich w sposób jak najmniej rygorystyczny i uwzględniał przy pracy tłumaczeniowej właściwości rodzimego języka i rodzimej wersyfikacji. Niezależnie od przesłanek, jakimi kieruje się Chodasiewicz w swojej krytyce metody formalnej, dochodzi on do słusznych wniosków, choć zdanie jego jest w tym czasie dość odosobnione.

Pierwszą wersję swojego tłumaczenia Eugeniusza Oniegina Leo Belmont ukończył w 1902 r. Nie znam tej wersji ani też fragmentów, które były uprzednio drukowane w petersburskim „Kraju". Wedle zapewnienia Lednickiego z przedmowy do wydania z r. 1925 pierwszy tekst przekładu Belmonta różni się znacznie od następnej redakcji, w której poprawki szły w kierunku większej zgodności z oryginałem. Nie będę tu analizował przekładu Belmonta, chcę tylko zwrócić uwagę, że praca ta jest pierwszą na wielką skalę próbą tłumaczenia poematu rosyjskiego metodą formalną. Ostatnio, w związku z ukazaniem się wielkich fragmentów Oniegina w przekładzie Tuwima oraz z przekładem całego poematu, dokonanym przez Ważyka inną metodą, gdzie tłumacz położył główny nacisk na zachowanie wierności, na ścisłe przekazanie realiów poematu, powstało na marginesie dyskusji zagadnienie naszego obecnego ustosunkowania się do przekładu Belmonta: czy jest to do tej pory przekład żywy, czy też stanowi jedynie pozycję historyczną. Sam fakt podjęcia na nowo tłumaczenia przez dwóch współczesnych tłumaczy, reprezentujących nawiasem mówiąc dwa przeciwstawne podejścia do zagadnienia przekładu poetyckiego, w pewnej mierze przesądza sprawę. Niewątpliwie grzech pierworodny mechanicznego, formalnego traktowania przekładu zaciążył w ogromnym stopniu na czytelności Belmontowskiego Oniegina. Tłu-

macz zresztą zdawał sobie z tego sprawę, kiedy już w przedmowie do pierwszego wydania uskarża się na ubóstwo polskich rymów męskich. Jednakże nieprzekraczalny próg, jakim było dla Belmonta zagadnienie rymu, nie pozwolił mu na wykorzystanie płodnych doświadczeń jego poprzedników — Pługa i Gomulickiego. Do dowolności, jakie w związku z tym musiał Belmont wprowadzać, dołączyło się piętno młodopolszczyzny, które niewątpliwie daje się odczuć w przekładzie poematu. Jednak pomimo wszystko musimy uznać wielką rolę, jaką ten przekład spełnił. Przez całe pół stulecia tłumaczenie Belmonta było jedynym polskim tekstem wielkiego poematu; tysiące czytelników docierały przezeń do Puszkinowskiego słowa, na nim opierały swoją wiedzę o poezji Puszkina. Pomimo wszystkich skażeń są tu całe strofy, które dziś jeszcze odczuwamy w sposób żywy i bezpośredni. Nowe przekłady O n i e g i n a, konieczne już dzisiaj, nie przekreślają historycznej, pionierskiej pracy Belmonta.

Celowo zatrzymałem się dłużej przy omawianiu źródeł metody formalnej w przekładach, gdyż wpłynęła ona nie tylko na tłumaczenia Belmonta, ale przetrwawszy okres osłabienia nurtu tłumaczeniowego, które istniało aż do trzeciego dziesięciolecia naszego wieku, odrodziła się, z pewnymi, oczywiście, modyfikacjami, w praktyce tłumaczeniowej przede wszystkim poetów „Skamandra" i odgrywała poważną rolę aż do roku 1945. Ale i w tej metodzie przejawiają się zasadnicze różnice postaw pomiędzy poetami Młodej Polski i tłumaczami z okresu dwudziestolecia. Charakterystyczne są pod tym względem przekłady z rosyjskiego Miriama. Maria Szurek-Wisti, autorka pracy pt. M i r i a m – t ł u m a c z, wydanej w r. 1937, mówiąc o przekładach Miriama z rosyjskiego, podkreśla, że „kunsztowność i artyzm metryczny dominuje (w nich) nad staraniem o wierność szczegółów oryginału". Badaczki twórczości przekładowej Miriama, podzielającej zresztą jego gusty, nie razi niesłychana dowolność jego tłumaczeń, w których Miriam zaciera wszelkie realia o charakterze społecznym. Weźmy choćby cytowane przez nią dwa przekłady wiersza: O c h, ż e b y t a k W o ł g a m a t k a Aleksego Tołstoja, dokonane przez Miriama i Tuwima. Nie mówiąc już o tym, że Miriam opuszcza całe linijki, które nie odpowadają jego założeniom estetycznym, przekład tego drobnego wiersza określa postawę społeczną tłumacza, który poświęca istotę wiersza na rzecz swych artystycznych zamiłowań. Zdanie Tołstoja *„Da kaby prikaznych po boku da k'czortu"*, które Tuwim dokładnie tłumaczy: „żeby tak czynowników pod żebra i do diabła", Miriam transponuje: „i by krzywe sądy raz porwały czarty" — odbierając tekstowi całą ostrość i drapieżność. Przy tego rodzaju interpretacji mniejszej już wagi nabierają manieryzmy Miriama, jak np.: „By nikt wódki wodą nie kręcił na nico", co ma znaczyć mówiąc konkretnymi słowami Tuwima: „Żeby w sztofie mniej wody, a więcej wódki". Manieryzmy te utrudniają czytanie wiersza, ale przynajmniej nie fałszują go ideologicznie. Takich młodopolskich manieryzmów w przekładach Miriama jest mnóstwo. Lermontowa K o g d a w o ł n u j e t s i a ż e ł t i e j u s z c z a j a n i w a Miriam tłumaczy: „Kiedy faluje wkrąg złociściejąca niwa". W tej samej strofie mamy „wiatrzane tchnienia" i „przerozkoszny cień", a więc cały popis młodopolskiej frazeologii, który dzisiaj ogromnie utrudnia czytanie przekładów tego tłumacza. Na tle tym dziwne się wydaje twierdzenie Szurek-Wisti — że powrócę na chwilę lę do tłumaczenia wiersza Tołstoja — „przyswojenie Miriama, wierne w tonie

i piękne, przewyższa równoległy przekład Tuwima (noszący ślady wpływu Miriamowego)". Trudno mi się tu wdawać w dokładną analizę porównawczą obu przekładów, ale proszę wierzyć mi na słowo, że o żadnych „wpływach" mowy tu być nie może, są to jedynie urojenia bezkrytycznej entuzjastki Miriama.

W okresie Młodej Polski jedną jeszcze należy zanotować interesującą, a bardzo rzadką dzisiaj pozycję bibliograficzną, jaką jest tomik wierszy Nadsona w przekładzie Mariusza Zaruskiego. Tomik ten wydany został w Archangielsku w roku 1897. Data jest niezmiernie charakterystyczna, świadczy ona o tym, że w poszukiwaniu wzorców dla poezji, która w późniejszych latach przybrała formy symbolizmu, poezji będącej reakcją na tendencje pozytywistyczne, zwracano się u nas nie tylko w stronę Zachodu, że wzorcem owym mogła być dla niektórych wątła, sentymentalna poezja „presymbolisty" Nadsona. Tomik nienajgorszych zresztą przekładów Zaruskiego dziwne przy tym przeżył koleje, gdyż zaczęto się nim powtórnie interesować w dwadzieścia kilka lat po wydaniu, gdy o bezpośrednich wpływach Nadsona nie mogło być już mowy, a popularność w Polsce, dzięki przekładom poetów „Skamandra", zaczęli zdobywać tacy koryfeusze symbolizmu rosyjskiego, jak Balmont, Briusow czy Aleksander Błok.

W 1921 roku, kiedy pojawił się zbiór Miriama U p o e t ó w, który był, jak wyraża się sprawozdawca „Skamandra", ji (chyba Jarosław Iwaszkiewicz), „już tylko zsumowaniem zasług Miriama", ukazał się również tomik przekładów Juliana Tuwima z liryków Balmonta i Briusowa. Tomik ten jest punktem zwrotnym w dziejach przekładu z poezji rosyjskiej. Nie tylko po raz pierwszy znakomity poeta dał nam stosunkowo duży wybór pięknych wierszy rosyjskich, nie tylko uczynił z przekładu programowo niejako jedną z nie najmniej ważnych kart swojej wielostronnej twórczości. Zajęcie się twórczością poetów rosyjskich tego typu, co Balmont i Briusow, które świadczyło o powinowactwach poetyckich, świadomie i programowo przenoszonych na grunt polski, mówiło jednocześnie o nawrocie płodnej tradycji pierwszej połowy XIX wieku, tradycji włączania utworów tłumaczonych w zasób poezji własnego kraju, aby stały się one bodźcem dla twórczości rodzimej. Oczywiście wiąże się to z faktem, że zarówno romantyzm, jak i symbolizm były prądami w swoim rodzaju uniwersalnymi, obejmującymi szerszy zasięg pojęć i uczuć. Pomimo że symbolizm w Polsce przybrał nieco inny charakter, że z chwilą wejścia „Skamandra" na arenę poetycką można jedynie mówić o przenoszeniu na grunt polski pewnych tylko jego elementów (nie darmo przecież skamandryci wyraźnie odcinali się od wpływów Młodej Polski i przeciwstawiali się jej) — niemniej elementy rosyjskiego symbolizmu długo jeszcze będą w tej lub innej postaci przewijały się przez twórczość przede wszystkim Tuwima, a częściowo Iwaszkiewicza.

Ale jeśli mowa o Tuwimie, to w najwcześniejszych jego przekładach widać wyraźne krzyżowanie się dwóch tendencji. Kilkanaście zdań wcześniej miałem za złe Szurek-Wisti, gdy pomawiała Tuwima o uleganie wpływom Miriama przy tłumaczeniu wiersza Aleksego Tołstoja. Tuwim w przekładzie tym nie dlatego nie uległ wpływom Miriama, że obca mu była estetyka Miriamowska, lecz dlatego, że nie mógł przecież z gruntu obcego poetyce symbolicznej Tołstoja przebrać w cudzy strój. Jeśli chodzi o Balmonta czy Briusowa, których tłumaczył we wczesnym okresie swojej twórczości, nie ustrzegł się sztucznego narzucenia tym poetom

językowego spadku Młodej Polski. Stąd w ówczesnych tłumaczeniach Tuwima znajdujemy takie strofy:

Sierp księżyca z góry śle
Na te wody blaski swe.
Cicha świetlność płynie z gwiazd:
Aniołowych oczu zwiast.

Stąd takie wyrażenia, jak „w modrej ciszy niebnej", „przeczucie nocnej mroczy", „bezgranicza, bezkrańce" itp. Nowy program sztuki, która „ochotnie schodziła na ulicę i z lubością dotykała stopami wielkomiejskiego bruku", wymagał innego języka, choć, jak zapewniał Nowaczyński... „pastele Iwaszkiewicza czy transkrypcje Rimbauda lub Briusowa" nie znajdą poklasku tłumu, a ich autorzy „usłyszą z przerażeniem krzęk szkła ze szyb tłuczonych kamieniami z bruku".

Wbrew temu wszystkiemu, co skamandryci wnosili nowego do poezji oryginalnej, ich zależność od przeszłości najbardziej może ujawniła się w doborze przekładów. Mowa tu oczywiście o pierwszych latach działalności twórczej poetów „Skamandra". Charakterystyczne pod tym względem jest słowo wstępne do pierwszej w Polsce antologii N o w a p o e z j a r o s y j s k a, wydanej w roku 1923. Czytamy tam takie na przykład zdania o poetach rosyjskich: „W utworach tych poetów obok wielu niewątpliwych dziwactw bije przeczysty strumień wiekuistego piękna ujętego w nowe, nieskończenie rozmaite kształty i formy." A dalej: „Nikt nie będzie żałował tych kilku chwil, jakie spędzi, pochyliwszy się nad srebrnopiennym i rwącym, a miejscami przedziwnie spokojnym i smutnym strumieniem ich poezji." O jakich tu poetach mowa? O Briusowie, Balmoncie, Biełym, Sołogubie, Błoku, o Achmatowej i Marynie Cwietajewej. Z poetów młodszych, niesymbolistów, mamy jedynie wiersze wczesnego Jesienina i jeden wiersz Majakowskiego — L e w ą m a r s z. Oczywiście, nie dajmy się złudzić. Poszukiwanie poezji „wiekuistego piękna" ma w antologii N o w a p o e z j a r o s y j s k a nieco inny charakter, niż miałoby u przedstawicieli Młodej Polski. Ta młodopolska frazeologia, przejęta od poprzedników, pozwalała jednak tłumaczom dawać, obok łzawego, sentymentalnego wierszyka bojowego już w tym czasie futurysty, Wasilia Kamieńskiego — D w u n a s t u Błoka i L e w ą m a r s z Majakowskiego. Trudno to nawet nazwać pomieszaniem pojęć — jest to stopniowe, trudne przenikanie nowej poezji i wypieranie przez nią elementów jeszcze w tej epoce nie śmiesznego mieszczańskiego *fin de siècle'u*. Nie zapominajmy, że i w Związku Radzieckim Błok w równym stopniu zażywał podówczas sławy jako autor śpiewanych powszechnie romansów oraz jako autor T a ń c a ś m i e r c i, D w u n a s t u i S c y t ó w, że w cztery lata po Rewolucji Październikowej elementy mieszczańskiej estetyki były jeszcze bardzo żywe. Dopiero wejście do poezji Majakowskiego i Jesienina odmieni w latach dwudziestych dobór polskich przekładów z poezji rosyjskiej.

Seweryn Pollak

JULIUSZ W. GOMULICKI

Dwa nieznane listy Lenartowicza

Przypadająca w tym roku setna rocznica zgonu Adama Mickiewicza przybliży nam nareszcie datę ostatecznego zakończenia pełnej edycji jego listów, których pierwsze dwa tomy — w znakomitym opracowaniu prof. Stanisława Pigonia — ukazały się jeszcze w r. 1953 i 1954.

Pełne wydanie listów Słowackiego — po raz pierwszy w dziejach jego twórczości wyindeksowane! — posiadamy już od r. 1952.

Wielbiciele i badacze Norwida posiadają już od r. 1937 duży (846 pozycji) zbiór jego listów, który ciągle jeszcze jest uzupełniany, tak że w chwili obecnej owe „ekstrawaganty" listowe liczą już ponad pięćdziesiąt pozycji i domagają się szybkiego włączenia do nowej edycji listów wszystkich „do dziś odszukanych".

Epistolariusz literacki Goszczyńskiego ukazał się w r. 1937; Zaleskiego już w latach 1900—1904; Krasińskiego — dotychczas kilkanaście tomów — w latach 1861—1938.

Wydaje się, że to dużo, ale to tylko złudzenie. Nie posiadamy jeszcze (mówię tu tylko o poetach z okresu romantyzmu) zebranych pod jedną okładką listów Stefana Witwickiego, Antoniego Edwarda Odyńca, Wincentego Pola, Konstantego Gaszyńskiego, Tomasza Augusta Olizarowskiego, Karola Balińskiego, Ryszarda Berwińskiego, Karola Brzozowskiego, Romana Zmorskiego, Kornela Ujejskiego, Władysława Syrokomli, Włodzimierza Wolskiego, Felicjana Faleńskiego, Henryka Jabłońskiego czy Leonarda Sowińskiego.

A przecież korespondencje literackie to najcenniejsze chyba dokumenty źródłowe, jakie możemy znaleźć do wyjaśnienia drogi życiowej i drogi twórczej poszczególnego pisarza oraz do oświetlenia jakiejś epoki piśmiennictwa narodowego. Ba! — nawet do napisania powieści biograficznej poświęconej któremuś z naszych nieśmiertelnych...

Jedną z najważniejszych takich zaległości wydawniczych w dziedzinie romantycznej epistolografii literackiej stanowi bez wątpienia brak na półkach bibliotecznych i księgarskich korespondencji Teofila Lenartowicza, który w ciągu swojej półwiecznej przeszło działalności pisarskiej nakreślił parę tysięcy listów, zamykając w nich nie tylko olbrzymią ilość interesujących wiadomości, dotyczących życia i twórczości współczesnych mu pisarzy polskich, ale również bezcenny komentarz do własnej biografii literackiej.

Około stu jego listów doczekało się co prawda publikacji — cóż jednak po ich publikacji, skoro trzeba je odszukiwać co najmniej w dwudziestu kilku rozmaitych, a czasem i trudno dostępnych, czasopismach i wydawnictwach książkowych. Około tysiąca jego listów zebrał niestrudzony biograf tego poety, Henryk Biegeleisen — cóż jednak z tego, że zebrał, skoro je ostatecznie odumarł, ogłaszając drukiem zaledwie kilkanaście, a z treści kilkudziesięciu innych przytaczając jedynie poszczególne, często zaledwie parowierszowe, urywki!

Sygnalizując tutaj potrzebę jak najrychlejszego zebrania i ogłoszenia

drukiem korespondencji literackiej „lirnika mazowieckiego", dorzucam równocześnie do zbioru jego listów drukowanych dwie pozycje dotychczas nie opublikowane, a zasługujące na uwagę badaczów i miłośników literatury polskiej.

Pierwszy z tych listów, znany już Biegeleisenowi, który zacytował nawet z niego parę urywków, został skierowany przez poetę do Tekli Zmorskiej (zm. 1898), w parę miesięcy po zgonie jej małżonka, Romana, jednego z najwybitniejszych przedstawicieli tzw. „Cyganerii Warszawskiej". Poza interesującymi szczegółami odnoszącymi się do samego Lenartowicza oraz do Zmorskiego, przynosi on arcyciekawą wypowiedź autora o współczesnym światku literackim, a przede wszystkim o współczesnej krytyce polskiej, oraz o wymaganiach, jakie Lenartowicz stawiał w stosunku do pisujących wówczas poetów.

List ten przedrukowuję na podstawie odpisu, jaki otrzymałem w swoim czasie od Stefana Dembego, nie żyjącego już pierwszego dyrektora Biblioteki Narodowej. Autograf tego listu znajdował się kiedyś w posiadaniu siostrzeńca Lenartowicza, Stanisława Leszczyńskiego, jednakże nie udało mi się odnaleźć go w tej części zbiorów Leszczyńskiego, którą ofiarował on przed laty warszawskiej Bibliotece Publicznej (obecnie Bibliotece m. st. Waszawy). Pewnie przepadł w r. 1944.

Drugi list — skierowany do mało znanej dramatopisarki polskiej, Elżbiety (Elizy) Bośniackiej (1837—1904), pisującej pod pseudonimem Julian Moers z Poradowa — przedrukowuję na podstawie odpisu, jakiego dokonałem przed wojną z nie istniejącego już dzisiaj autografu Lenartowicza, znajdującego się od r. 1935 do 1939 w zbiorach Biblioteki Narodowej (Księga wpływów, poz. 563/35), w teczce z korespondencją Elizy i Zygmunta Bośniackich, ofiarowaną Bibliotece przez wspomnianego już dyr. Stefana Dembego.

List ten — zawierający interesujące wiadomości o zakulisowych stosunkach panujących w bolońskiej Akademii Historii Literatury Polskiej i Słowiańskiej im. Adama Mickiewicza *(Accademia Adamo Mickiewicz di Storia e Letteratura Polacca e Slava)* — jest zupełnie bodaj nieznany, z wyjątkiem jednej jego linijki (cytatu z listu Cypriana Norwida), którą dyrektor Demby powtórzył Boyowi-Żeleńskiemu i którą ten ostatni opublikował — niestety, z kilkoma błędami — w swoim artykule D r o g i g e n i u s z u, przedrukowanym później w B r ą z o w n i k a c h (1929), a po ostatniej wojnie w zbiorze jego szkiców O M i c k i e w i c z u („Czytelnik", 1949, str. 167, w nocie pod tekstem).

[1]

DO TEKLI ZMORSKIEJ

[San Terenzo] 17 czerwca [1867]

Droga przyjaciółko!

Zmiłuj się, nie zważaj na to, co psy szczekają; łajdaków głosy czyż cię mogą co obchodzić? — a gdybyż na to uważać, co bydlęctwo polskie wyrzygiwa co dzień i czym obrzuca najpoczciwszych ludzi, to by przyszło, nie czekając lat późniejszych życia, dzieckiem jeszcze, jak się tylko ma rozezna-

nie złego od dobrego, gardło sobie poderżnąć. Społeczeństwo nasze, w mniejszej części, dzięki Bogu, ale właśnie w tej, z którą się stykamy, jest to — jak tu Włochy nazywają — bestialska *ciurmaglia*, tałatajstwo kosookie, które wszystko razi i które, głupie jak nie ma stworzeń na świecie, prócz chyba bawołu, ma ozór chropawy, którym nos sobie liże i bliźnich drapie. Znam tych bestiów — od Żydów uczonych, jezuitów, aż do ostatniego; znam ich i wiem, czego zdolni, ale mnie to obchodzi tyle, kiedy na mnie szczekają, co spory — dajmy na to — w Chinach warszawskich o literę jotę.

Nie słuchaj albo, jeśli obronić się nie możesz, to myśl znowu, że pochwała takich bestii byłaby podobną goryczą jak ich szczeki — nie pamiętam, gdzie czytałem te cztery wiersze, ale wiem, że mają prawdę za sobą:

Opinia mówisz?... tam ona rządzi,
Gdzie sprawiedliwość i cnota sądzi.
Lecz gdzie się brudne błoto zostało,
Tam zła opinia — dobremu chwałą.

Łajdaków nigdzie nie braknie, ale takiego wyboru jak u nas, to poszukać; szczęściem, powtarzam, że większość narodu jest poczciwa, serdeczna i gotowa do ofiar, jak tego codzienne mamy dowody: inaczej umierać by przyszło bez nadziei dla tego kraju.

W moim namiocie nędznym [1], bo nie w domu, smutek aż do kości — samotność i ból. Żona [2] mi choruje od dwóch lat na piersiową chorobę, która rozwijać się poczęła przeszłej jesieni i dziś już jest tak, że jej długiej egzystencji wróżyć nie można. Doktorzy agzaminowali piersi i powiedzieli mi wyraźnie, że jest źle; kaszle wciąż i chudnie coraz bardziej, i siły traci, i poty ją oblewają, słowem że jest choroba, a nie niedomaganie. Pracować nie może, wygód potrzebuje, a tu znikąd grosza jednego; sprzedałem dwa tomiki moich prac [3] za 1500 fr., to właśnie tyle, co na pół roku życia potrzeba na dwoje chorych, a co dalej będzie, nie wiem, nie pytam, ręką sobie, jak Turek lecący w ogień, oczy zasłaniając; nic nie mam — przyjaciela żadnego nigdzie, protektora żadnego, do kraju drogi zamknięte, w Galicji i w Księstwie za pisma nie płacą; biorą, to prawda, ale nie płacą.

Do tego ze zdrowiem jestem tak, że w zimie nieustające febry żółciowe, utrata głosu zupełna, bezsenność, stan najopłakańszy, sił żadnych; w lecie lepiej, ale niewiele: chodzić nie mogę, kaszlę także i nie gadam. Ach! droga przyjaciółko, co za miłe życie i do tego dodaj, że ci się żona chmurzy wciąż, jako chora, i nie gada także po całych dniach, i pomyśl, czy lepiej jestem od ciebie.

Nieszczęście, jakie spotkało Romana, kiedy mu jego prace, jego najpiękniejsze kwiaty duszy, bestia moskiewska popaliła, wtrąciło go w rozpacz [4]. Piszę o nim, a za parę dni wyślę do Lwowa, więc w ciągu 15 dni będziesz miała numer ze wspomnieniem o poczciwym Romanie [5]. Sprawiedliwości dziś się nie wymaga od literatów, widząc, jacy są. Kraków, Lwów, Poznań, Warszawa — z małymi wyjątkami jurgieltniki albo buta w butach i bez butów; niech ich diabli wezmą! Krytycy — szpiegowie moskiewscy w Warszawie [6]; zakrystiany wściekłe w Poznaniu, a we Lwowie, ach, we Lwowie,

est głupi a pyszny rodzaj samochwałów: Wydział Towarzystwa Wzajemnej Admiracji. Piszą o wszystkim, tylko nie o tym, co potrzeba: o poezjach Romana ani słowa; o Norwidzie nic, cicho [7] — jak tylko co znaczniejszego, bądź zdrów, czekaj przyszłego wieku!

Za to za dwieście lat poeci dzisiejsi polscy dostaną *accessit* i promocje do chwały od jakiegoś krytyka, na którego przeżuwający oczy przewrócą i będą słuchać, i będą jeść spokojnie, i znowu będą jeść.

Monopol sławy dziś przyznają jedynie hrabiemu Krasińskiemu i Słowackiemu, zacnym zresztą obywatelom, ale którzy od pieśni zwycięskiej dalekimi są jeszcze [8]. Roman ją przeczuwał w Siedmiu wodzach i sam zaczął nucić, ale mu życia nie stało [9]; roboty drugich są bezwiedne: nie wiedzą, gdzie idą i czego chcą, biją się, patrioci są, ale nie z wnętrzności ludu idą i dlatego przejdą... będą zaćmieni kiedyś.

Cyprian Norwid, żeby nie dziwactwo stylu, miałby poczucie prawdy [10] — ale dość! — oto powtarzam, od czego zacząłem. Zmiłuj się — na bestie nie zważaj, na serce przyjaciela licz i bądź przekonaną, że cię cenię wysoko; na drugim świecie, gdzie fałszu nie będzie, przekonasz się, jak się zobaczymy.

Żona moja dziękuje ci za współczucie; pisząc, nie wspominaj nic o jej chorobie —

Twój przyjaciel
T.

List ten, błagam cię, spal zaraz!
San Terenzo all mare
per Flor. — Sarzana — Lerici.

[2]

DO ELŻBIETY BOŚNIACKIEJ

Proszę to zachować
przy sobie.

Fl[orencja] Środa [lipiec 1879]
Corso V. Emanuelle 16.

Najczcigodniejsza Pani!

Pisze mi Wł. Mickiewicz [11], że pan Santagata [12] odwoływał się do niego, co zrobić z prośbą jakiegoś szlachcica, który pragnie, ażeby portret jego był tu reprodukowany we Włoszech w stroju polskim, takim, w jakim się prezentował na dworze Cesarza Austriackiego; domyślam się, że ów szlachcic jest to wariat Sozański [13]. Mickiewicz na zapytanie odpowiedział mu, że we wszystkich takich razach radzi mu odnosić się do mnie [14]; kiedy wszakże z powodów mnie nie wiadomych pan Santagata zrywa ze mną stosunki, warto by, ażeby Najczcigodniejsza Pani napisała do Bolonii [15], ażeby nie kompromitował Akademii tego rodzaju reprodukcjami i żeby podobnych wariatów sam, bez odwoływania się do kogo bądź, jak należy odprawiał.

Odczyty w Bolonii [16] dalsze nie wiem, czy mi mieć wypada; intrygi jakieś Polaczków musiały i tu nadziałać na poczciwego, ale nie znającego naszych miłości polskich Włocha, a zatem dajmy pokój, zostawmy pole zdolniejszym i gorliwszym patriotom.

W Polsce już ściągają składki; oto wyjątek z listu:

„Wiemy, że p. Santagata zbiera składki; wiemy z pism publicznych, że zamyślacie wydawać jakieś *Revue* — prosimy o wiadomość, jaki kierunek i czy nie w dwóch językach, polskim i włoskim, będzie redagowany?"

— rozpisuję się więc, a tymczasem dołki kopią jeden pod drugim: jakie to nasze.

Kulczycki w sprawie swojej zdaje się na sąd mój, Ujejskiego, Hausnera i Wolskiego.[17]

Oczywiście, że będę go bronił, choćby dlatego, że jest mi nieprzychylnym; jak gotów jestem bronić każdego z moich wrogów osobistych.

Z Paryża odebrałem następne słowa:

„Dziecko jesteś, ale maluteczkie, utrzymując, że Adam Mickiewicz był patriotą."

Cyprian Norwid [18].

Z Galicji: szpieg jesteś, utrzymując, iż Klaczko [19] należy do polskich pisarzy i nie wymieniając Szmidta, Kalickiego, Kubala (! — J. W. G.), Gumplowicza i tylu innych.[20]

Otóż i tyle mam napisać Najczcigodniejszej Pani, z dodatkiem wierszy Goszczyńskiego:

Dalej, serce, dziel biesiadę,
Dziel ją, rade czy nierade!

— uciszmy się, zatnijmy usta, załóżmy ręce i w szarym kącie zasiadłszy nad szklanką piwa, puśćmy cugle wyobraźni; niech leci na pola dalekie, na góry nieznane, niech ściga cienie poległych rycerzy i piękności niewidzianych uschłe podnosi i ożywia kwiaty!

Bądź, bądź ze mną, iskro święta! mój kraju rodzinny, dobranoc!

Całuję rączki Pani. Konsyliarza Szanownego [21] i pannę Alojzę najserdeczniej pozdrawiam.

T. Lenartowicz

W tej chwili p. Wołyński [22] przysyła mi długi list do niego pisany p. S. Agata o chęci rozmówienia się ze mną w ważnej sprawie, razem z p. Wołyńskim; pisze także, iż ma zamiar robić wizyty p. hr. Kulczyckiemu w Rzymie, p. Lévy [23] etc.; i owszem, niech się naradza — co do mnie, ja dla bardzo prostej przyczyny, tj. braku grosza, podróży robić nie mogę; siedzę więc we Florencji jeszcze dni kilka, po czym jadę w góry [24], skąd do Najłaskawszej Pani napiszę; udział mój uważam za niepotrzebny: można poświęcić głupią miłość własną dla świętej sprawy, ale nie aż do tego stopnia, żeby dawać pozory pakowania się do niej *par force*, a dopóki w tym przekonaniu zostaje czcigodny prezes Akademii i traktuje *per fas et*

nefas, należy mi trzymać się z daleka: uporne unikanie korespondencji ze mną nie może być bez przyczyny.

Cieszę się z postępu Akademii, ale przypominam słowa starego Hesioda: „do zacnej pracy czystych rąk potrzeba" — intryga i fanfaronada popsuje wszystko w zarodzie.

Do 27 jestem we Florencji; potem jadę do St. Marcello.

PRZYPISY

[1] Poeta myśli tutaj o letnim mieszkaniu w San Terenzo koło Lerici, nad Morzem Liguryjskim, gdzie pojechał wraz z żoną na wiosnę 1867 r. Lenartowiczowie przebywali tam jeszcze w sierpniu.

[2] Zofia z Szymanowskich Lenartowiczowa (1825—1870), artystka-malarka, młodsza (przyrodnia) siostra Celiny Adamowej Mickiewiczowej, poślubiona Lenartowiczowi we Florencji w r. 1861. Owa piersiowa choroba Lenartowiczowej, na którą zresztą zapadła dużo wcześniej niż w r. 1865, to — gruźlica.

[3] Mowa tu najpewniej o dwóch zbiorach wierszy sprzedanych wydawcy lwowskiemu, F. H. Richterowi: Ze starych zbroic oraz Album włoskie. Obydwa zbiory, wykończone w r. 1868, ukazały się dopiero pod koniec 1869 r., z datą 1870.

[4] Roman Zmorski (1822—1867) był uczestnikiem głośnego sprzysiężenia młodzieży warszawskiej i łukowskiej, na którego czele stał młody słuchacz warszawskich Kursów Prawnych, bohaterski Levittoux. W związku z wykryciem tego sprzysiężenia na początku 1841 r., Zmorski był aresztowany, ale wkrótce potem wypuszczony na wolność i skazany jedynie na dozór policyjny (informację tę zawdzięczam uprzejmości mgra Janusza Berghausena). Wtedy to właśnie, podczas śledztwa policyjnego, musiano zniszczyć Zmorskiemu jego *juvenilia* poetyckie, a nie w r. 1843, jak pisałem w Księdze wierszy polskich XIX w.

[5] O tym artykule nekrologicznym wspominał już Lenartowicz w poprzednim liście do Zmorskiej, cytowanym przez Biegeleisena (Lirnik mazowiecki, Kraków 1913, s. 229): „Potrzebowałbym wiedzieć, co zostawił po sobie w manuskryptach; wiem, że pisał Masława i że go skończył. Czy to jest?... W tych dniach napiszę artykuł, ale nie do «Dziennika Poznańskiego», gdzie pan Żychliński pismom moim obywatelstwa odmawia. Wydrukuję w «Tygodniku Literackim» lwowskim, a Kornela Ujejskiego poproszę, żeby tego dopilnował."

[6] Lenartowicz myśli tu, zdaje się, o Fryderyku Henryku Lewestamie (1817—1878), czołowym wówczas warszawskim krytyku literackim, o którym Felicjan Faleński pisał w swoich wspomnieniach, że „pokątne załatwiając zlecenia, z gadzinowych funduszów płatny, broił (...) bezkarnie i nie było tak brudnej sprawki, w której by ręki po łokieć nie umaczał".

[7] Mowa tu o zbiorowym wydaniu Poezji Romana Zmorskiego, wydrukowanym w Lipsku u Brockhausa w r. 1866 („Biblioteka Pisarzy Polskich", t. XXXVI), oraz o takimż wydaniu Poezji Norwida, wydrukowanym nakładem Brockhausa pod koniec 1862 r. („Bibl. Pisarzy Pol.", t. XXI).

[8] Ta ujemna ocena twórczości Krasińskiego i Słowackiego — zadziwiająca, jeśli chodzi o tego ostatniego, i źle świadcząca o przenikliwości i smaku artystycznym Lenartowicza — wielokrotnie powtarza się w jego korespondencji. „Adam to prawdziwie jedyny wieszcz — pisze w innym liście do Zmorskiej — bo Juliusz i Zygmunt to dzieciaki drobne przy nim. On pierwszy okrawywał drogi, a oni dalejże za nim w też tropy. Ażeby nie sądzono, że w ślad jego lecą, więc Zygmunt pańską się otoczył, a Juliusz demokratyczną pychą" (Biegeleisen, s. 218).

[9] Mowa o poemacie Zmorskiego Wieża siedmiu wodzów (Poznań 1850), osnutym na tle starożytnego podania ludowego. Lenartowicz ogłosił ocenę tego poematu we lwowskim „Dzienniku Literackim" 1857, nr. 132, a pisząc do Zmorskiej o nagrobnym pomniku Romana, radził wyryć na granitowej tablicy następujący napis: „Z wierzchołka wieży siedmiu wodzów gwieździstej patrzę — czekam chwili" (Biegeleisen, s. 229). W wierszu Wawel poświęcił też Zmorskiemu cały ustęp, zaczynający się od słów: „Ludowej pieśni na ojców łanie — Tyś kiedyś szukał, bracie Romanie" („Ruch Literacki", 1875, nr 1).

[10] Stosunek Lenartowicza do Norwida był zawsze bardzo skomplikowany, oscylując pomiędzy uwielbieniem a jakąś zawistną wzgardą. Oskarżenie o dziwaczność powtórzył jeszcze raz w r. 1883, w liście do Kazimierza Wittego. „Norwid (...) filozofię swojego pomysłu (...) w najniezrozumialszej formie i zaniedbanym (! — JWG) wierszem począł w formie poematów pisać; nie oceniony, bo są tam pod dziwactwem formy głębokie i piękne myśli". On sam Norwidowej poezji zupełnie zresztą nie rozumiał, co najlepiej widać z jego syntetycznej charakterystyki Norwida, którą zawarł w wykładach bolońskich: „Cyprian Norwid — mówił w nich — ukazuje się jak zjawisko obce wypadkom; głęboki, rozważny; wszystkie jego utwory mają za cel analizę uczuć i myśli ludzkich i poszukiwanie w nich rezultatu harmonizującego z wiarą chrześcijańską" (cytuję wg artykułu dra Sasa: O charakterze polsko-słowiańskiej poezji. Odczyty T. Lenartowicza na Wszechnicy Bolońskiej, „Przewodnik Naukowy i Literacki", 1887, t. II, s. 915).

[11] Władysław Mickiewicz (1838—1926), syn Adama, literat i publicysta stale mieszkający w Paryżu; tu wspomniany jako członek-korespondent Akademii Bolońskiej. Lenartowicza łączyły z nim węzły powinowactwa, ponieważ matka Władysława była przyrodnią siostrą Zofii Lenartowiczowej, małżonki poety.

[12] Dominik Santagata (ur. 1812), profesor chemii organicznej na uniwersytecie w Bolonii oraz główny organizator i prezes Akademii Bolońskiej. Santagata słuchał paryskich wykładów Mickiewicza, a w r. 1848 spotkał się z nim ponownie w Bolonii. Lenartowicz darzył go w późniejszych latach wielką przyjaźnią, wyrażając się o nim, że to „polska dusza poczciwa, acz we włoskim ciele". Mawiał też o profesorze, że „zacny to człowiek, ale trochę nieporadny" (Biegeleisen, s. 242).

[13] Antoni Sozański (1823—1894), historyk i publicysta; bojowy antyklerykał. Tłumacz pism Macchiavellego na język polski.

[14] Lenartowicz był również członkiem-korespondentem Akademii, a jako człowiek „miejscowy" mógł oczywiście lepiej poradzić Santagacie aniżeli oddalony od tych spraw Mickiewicz.

[15] Bośniacka miała liczne stosunki we włoskich sferach artystycznych i naukowych, a z Santagatą dobrze się znała, ponieważ była także członkiem-korespondentem Akademii (pod imieniem: Giuliano Mörs de Poradova).

[16] Lenartowicz w dniu 8 czerwca 1879 r. wygłosił w Bolonii, w sali Liceo Musicale Rossini, wykład w języku włoskim poświęcony Adamowi Mickiewiczowi, a przede wszystkim jego pismom politycznym, jego patriotyzmowi oraz jego poglądom na sprawę polską. Przemówienie poety — wygłoszone w ramach prac Akademii — zostało przedrukowane nazajutrz w „Gazetta d'Italia" (nr 159), a później podane w streszczeniu przez różne czasopisma polskie. Wykład Lenartowicza stał się zaczątkiem całego cyklu jego późniejszych prelekcji, poświęconych Mickiewiczowi oraz literaturze polskiej i słowiańskiej, a wygłaszanych w Bolonii: najpierw w Akademii, a później na uniwerstytecie tamtejszym, w którym poeta otrzymał tytuł profesora. Wykłady te ciągnęły się do r. 1886 i zostały streszczone w książce Lenartowicza Sul carattere della poesia polono-slava (Firenze 1886).

[17] Władysław Kulczycki (1834—1895), poeta i publicysta, tłumacz poetów włoskich na język polski (pseudonim: Cezary Polewka); ok. 1860 r. osiadł w Rzymie, zajmując się badaniem historii stosunków polsko-włoskich oraz pisaniem korespondencji z Włoch do czasopism galicyjskich. Kornel Ujejski (1823—1897), wybitny poeta zamieszkały w Galicji. Otto Hausner (1825—1890), polityk i ekonomista galicyjski; z zamiłowania badacz sztuki włoskiej. Ludwik Wolski, adwokat i publicysta galicyjski, parający się również poezją; przeciwnik ideowy partii „Stańczyków". Wszyscy czterej byli członkami Akademii Adama Mickiewicza; ponadto trzej ostatni — posłami galicyjskimi do parlamentu wiedeńskiego (do nich to właśnie studenci uniwersytetu w Bolonii skierowali w r. 1878 uroczystą odezwę z projektem założenia Akademii Mickiewicza).

[18] Nie wiadomo, czy Lenartowicz ściśle tutaj odtworzył wypowiedź Norwida, czy też streścił ją po prostu własnymi słowami i podał tylko jako konkluzję wypływającą z całego listu przyjaciela, stylizując ją paralelicznie do następnego zdania. Boy-Żeleński, który o tej wypowiedzi Norwida dowiedział się od Stefana Dembego, traktował ją jako ślad tych antymickiewiczowskich nastrojów, które utrzymywały się na emigracji w związku z sympatiami Mickiewicza dla „przyjaciół-Moskali" oraz z jego słynną przedmową do drugiego wydania Wallenroda (w dwutomowym wydaniu Poezji, Petersburg 1829). Wydaje się jednak, że Norwid myślał tu raczej o Mickiewiczowym Składzie zasad

z r. 1848, któremu przeciwstawił się natychmiast na słynnym sejmiku emigranckim w Rzymie i którego ocenę zawarł w znanym liście do gen. Skrzyneckiego (Listy, t. I, s. 42—44). Gwałtowność wystąpienia Norwida w liście do Lenartowicza można wytłumaczyć wielkim podrażnieniem nerwowym poety, który został niedawno zmuszony ciężkimi warunkami życiowymi do zamieszkania w przytułku i którego raziły ciągłe, często bezkrytyczne, hołdy oddawane tylko jednemu (choć naprawdę wielkiemu) poecie, podczas gdy inni znakomici i zasłużeni pisarze nie mogli się doczekać od społeczeństwa ani jednego słowa uznania czy współczucia. „Jak i co to było za uznanie, którym onego czasu Mickiewicz otoczony był — pisał Norwid w parę miesięcy później do Bronisława Zaleskiego — to o tym dziś mało kto wie, a pochodziło to, jak do dziś i zawsze u Polaków, z tej przyczyny, iż nikogo nigdy nie oceniali i nie cenili — nigdy! — zawsze: albo lekceważyli, albo bałwochwalili (...)" (Listy, t. II, s. 407). List Norwida do Lenartowicza był oczywiście związany z jego czerwcowym odczytem w Bolonii.

[19] Julian Klaczko (1825—1906), reakcyjny krytyk literacki i publicysta, pochodzenia żydowskiego, w owym czasie pisujący już prawie wyłącznie po francusku (stąd ów atak nieznanego korespondenta Lenartowicza). Lenartowicz wymienił jego nazwisko w swoim wykładzie o Mickiewiczu. Ta wzmianka rozdrażniła również Władysława Mickiewicza, który w liście do Lenartowicza z 8 lipca 1879 r. zaatakował Klaczkę, utrzymując, że to fałszywa wielkość, na której z czasem dopiero poznają się jej obecni wyznawcy.

[20] Henryk Schmidt (1817—1883), historyk galicyjski, o przekonaniach demokratyczno-burżuazyjnych; autor pracy, w której domagał się bezwarunkowego uprawnienia Żydów. Bernard Kalicki (zm. 1884), historyk i publicysta lwowski, urzędnik Wydziału Krajowego, gdzie był zaufanym Sapiehy. Ludwik Kubala (1838—1918), historyk lwowski znany wówczas jako autor dużej monografii o Stanisławie Orzechowskim. Ludwik Gumplowicz (1838—1909), wybitny socjolog polski, pochodzenia żydowskiego, pisujący głównie po niemiecku, w owym czasie docent nauk o państwie na uniwersytecie w Gracu.

[21] Prawdopodobnie mowa o mężu adresatki — Zygmuncie Bośniackim.

[22] Artur Wołyński (1844—1893), badacz dziejów nauki polskiej i publicysta, założyciel Muzeum im. Kopernika przy uniwersytecie rzymskim; od r. 1864 stale mieszkający we Włoszech; członek-korespondent Akademii Mickiewicza. Wołyński chwalił początkowo bolońskie wykłady Lenartowicza, później jednak — pragnąc zająć profesorskie stanowisko poety — zaczął je gwałtownie krytykować, podkopując autorytet Lenartowicza u Polonii włoskiej i u władz uniwersyteckich. „Wołyński na literaturze nie bardzo się zna — pisał Lenartowicz w r. 1880 do Mieczysława Darowskiego — uczony jest, ale do tego trzeba być i trochę estetykiem, żeby coś powiedzieć" (Biegeleisen, s. 239).

[23] Armand Lévy, publicysta francuski; ogromny wielbiciel Adama Mickiewicza, któremu wielokrotnie sekretarzował, towarzyszył w podróży do Konstantynopola i przywiózł jego ciało do Paryża. Po zgonie poety Lévy zasłużył się jako niezmordowany propagator jego twórczości wśród obcych; z tego też powodu powołany na członka-korespondenta Akademii Bolońskiej. W r. 1879 przebywał w Rzymie, gdzie był m. in. jednym z organizatorów manifestacji ku czci Mickiewicza urządzonej na Kapitolu w dniu 26 listopada tegoż roku.

[24] Mianowicie w Apeniny, do San Marcello, w którym często przebywał podczas miesięcy letnich. W r. 1879 opuścił tę miejscowość dopiero po 24 sierpnia.

Podał do druku i opracował
Juliusz W. Gomulicki

PRZYPOMNIANY ROMANTYK*)

Tak się złożyło, że pierwszym krajowym poetą romantycznym, którego pisma wydano w Polsce Ludowej w nowym, starannym wyborze, opatrzonym nie tylko obfitymi komentarzami, ale również — w formie wstępu — pierwszym właściwie syntetycznym studium o autorze, jest jeden z długiego szeregu naszych dziewiętnastowiecznych *poètes maudits*, pisarz, o którym Sienkiewicz wyraził się kiedyś, że „przeżył własną sławę" i o którym dowiadywaliśmy się przez ostatnie czterdzieści lat prawie wyłącznie z podręczników literatury albo z niewielu ogłoszonych w tym czasie antologii poetyckich.

Nie było to bynajmniej przypadkiem. Berwiński (1819—1879) — o którym każdy uczeń dowie się dzisiaj z podręcznika Kazimierza Wyki, że był to „najwybitniejszy poeta w Poznańskiem, a zarazem najbardziej radykalny poeta w całej literaturze krajowej" — wydobyty został z krzywdzącego zapomnienia, dzięki planowym wysiłkom naszej powojennej kadry polonistycznej, jako świetny pisarz postępowy, sojusznik ideowy dzisiejszych poetów polskich oraz pełen zapału bojownik, walczący o te same, co i oni, idee społeczne i polityczne.

Różnorodna twórczość Berwińskiego — obejmująca, poza utworami poetyckimi, prozę artystyczną, publicystyczną i naukową — zainteresuje dzisiaj każdego pisarza i historyka, każdego miłośnika literatury i badacza polskiej postępowej myśli społecznej. Na czoło tej twórczości wysuwa się namiętna i nasycona postępowymi ideami liryka rewolucyjna — nie zawsze oczywiście jednolita i nie zawsze utrzymana na najwyższym poziomie ideowym i artystycznym — ale do dzisiaj żywa i do dzisiaj wzruszająca żarem myśli i prawdą przedstawianych obrazów. Najpiękniejsze pozycje tej liryki znajdziemy teraz w wyborze pism Berwińskiego opracowanym przez Marię Janion, a wydanym przed kilkunastu miesiącami staraniem Państwowego Instytutu Wydawniczego.

Jeśli chodzi o dotychczasowe wydania Berwińskiego, to mieliśmy ich dwa. Pierwsze, opracowane przez Eustachego Czekalskiego, ukazało się w dwóch niewielkich tomikach jeszcze w r. 1914 (R. W. Berwiński, Wybór pism, „Muzy"). Drugie, przygotowane przez Natalię Obrębską, już w Polsce Ludowej, w r. 1948 (S. Goszczyński, R. Berwiński, Wybór pism rewolucyjnych, „Książka i Wiedza"). Wybór Czekalskiego objął nie tylko poezje, ale i prozę artystyczną (Kojata, Bogunka na Gople, O dwunastu rozbójnikach), był jednak tak bardzo pokiereszowany przez ówczesną cenzurę carską, że w żadnym wypadku nie mógł rzetelnie zobrazować różnorodnej i skomplikowanej twórczości wielkopolskiego poety. Wybór Obrębskiej był znowu tak nikły pod względem objętości (tylko 6 utworów poetyckich, częściowo we fragmentach) i tak powierzchownie opracowany, że im mniej powie się o nim teraz, tym lepiej dla jego wydawców.

Tę rażącą lukę edytorską, która uniemożliwiała spopularyzowanie twórczości Berwińskiego, a równocześnie utrudniała związane z nią specjalistyczne badania naukowe, można było zlikwidować dzisiaj w dwojaki sposób. Albo przez wydanie popularnego wyboru jego najlepszych pism literackich, a więc najpiękniejszych i najbardziej postępowych

*) RYSZARD BERWIŃSKI: Księga życia i śmierci. (Wybór pism). Opracowała Maria Janion. Warszawa 1954, PIW; str. 425.

poezji oraz powieści ludowych, opatrzonych łatwym wstępem i licznymi objaśnieniami (B o g u n k ę należałoby jednak przedrukować w nim bez erudycyjnych objaśnień autorskich). Albo też przez staranne, naukowe wydanie jego w s z y s t k i c h poezji, powieści, artykułów i listów prywatnych, uzupełnionych ponadto jego ważnym wstępem do S t u d i ó w n a d l i t e r a t u r ą l u d o w ą oraz zaopatrzonych w obszerną przedmowę, wyczerpującą bibliografię B e r w i n s c i a n ó w oraz obfity komentarz. Słówko „albo" sygnalizuje tutaj tylko ewentualną kolejność takich wydań, boć chyba nie ma najmniejszej wątpliwości, że powinny ukazać się — obydwa.

Obecna edytorka wybrała drogę pośrednią.

Opracowany przez nią wybór objął co prawda tylko połowę (mniej więcej) wierszy Berwińskiego i tylko jedną trzecią jego opowieści prozą, ale w zamian za to został poszerzony o trzy artykuły publicystyczne, cztery listy, a nawet o trzy odezwy poznańskiego Komitetu Narodowego z r. 1848, na których figuruje podpis poety (a więc można mniemać, że był ich współautorem).

Pisma samego Berwińskiego zostały poprzedzone obszernym (68 stronic petitu), monograficznie potraktowanym wstępem edytorki, która — opierając się na własnych badaniach źródłowych — nakreśliła krótki życiorys poety, omówiła jego stosunek do ówczesnej problematyki literackiej i społeczno-politycznej oraz poddała gruntownej analizie kilkanaście jego utworów. Ważne te wywody, osadzone we właściwym kontekście historycznym, uzupełniła ponadto szczegółowym omówieniem kilku podstawowych zagadnień ówczesnej literatury krajowej (ludowość, słowianofilstwo, realizm, epigonizm) oraz ówczesnej myśli społecznej (rewolucyjny demokratyzm), co z kolei pozwoliło jej na dokładniejszą i pełniejszą niż kiedykolwiek przedtem charakerystykę twórczości Berwińskiego oraz na stwierdzenie, że jest on „jednym z najwybitniejszych literackich reprezentantów obozu rewolucyjnej demokracji w Polsce", a także, iż „jego trudna droga twórcza (...) odzwierciedla wszystkie charakterystyczne dla literatury krajowej okresu międzypowstaniowego etapy rozwoju ideowego i artystycznego w postępowym nurcie poezji polskiej". Dodajmy jeszcze, że owo wstępne studium zostało napisane z wielką erudycją oraz że w niektórych swoich partiach przynosi ono wiele cennych stwierdzeń i ustaleń historyczno-literackich, ważnych dla naszej wiedzy o polskim piśmiennictwie romantycznym (choćby np. uwagi o postępowym nurcie romantycznego słowianofilstwa).

Pomimo tych niewątpliwych zalet wstępu, który należy traktować jako pracę pod wielu względami pionierską — a więc zasługującą na specjalne uznanie — trzeba bezstronnie stwierdzić, że niektóre jego partie budzą zdecydowane zastrzeżenia oraz że posiada on wiele poważniejszych luk, co powoduje z kolei częściowe zamazanie przedstawionej w nim sylwetki Berwińskiego, a także wyraźne osłabienie pewnych wywodów autorki.

Zarzuty, które tu można wysunąć, da się sprowadzić do kilku zasadniczych punktów: 1) zbyt powierzchowne omówienie wczesnej młodości Berwińskiego (wpływy rodzinne i towarzyskie, stosunki z Morawskim i Raczyńskim) oraz ważnego okresu przejściowego: 1849—1855; 2) częste nieuwzględnianie chronologii omawianych wierszy, co w wielu wypadkach spowodowało błędne przedstawienie rozwoju ideologicznego poety; 3) mało precyzyjna interpretacja niektórych utworów Berwińskiego, odbijająca się później na charakterystyce całej jego twórczości; 4) zbyt pobieżne

potraktowanie regresu ideologicznego poety, a przede wszystkim przyczyn tego regresu oraz jego objawów w twórczości literackiej i naukowej Berwińskiego; 5) niedostateczne uwzględnienie wpływów literackich, jakim ulegał Berwiński przy pisaniu utworów zawartych w tomiku brukselskim (nie chodzi tutaj o wpływy formalno-literackie, ale o ideowo-literackie); 6) zbyt marginesowe omówienie artyzmu Berwińskiego oraz zagadnień związanych z jego stylem i językiem, co wielokrotnie doprowadziło do sądów nieumotywowanych, a nawet zupełnie niesłusznych.

Reasumując powyższe zarzuty trzeba wyraźnie zaznaczyć, że autorka wstępu, konsekwentnie dążąc do ukazania możliwie wielostronnej postępowości Berwińskiego oraz drogi, jaka zaprowadziła go na pozycje rewolucyjnego demokratyzmu, przejaskrawiała nieraz albo wyolbrzymiała rzeczywistą wymowę jego niektórych wypowiedzi literackich, a równocześnie pomijała milczeniem albo lekceważyła wypowiedzi sprzeczne ze swoją tezą, prześlizgując się w ten sposób po bardziej drażliwych punktach, a o rozmaitych wstecznych tendencjach występujących czasami w poezji Berwińskiego wyrażając się, że były one „przejściowe" lub zasadniczo „obce" jego twórczości, albo też — że zostały przez niego „przezwyciężone".

Nie szukając daleko, zatrzymajmy się przy dwóch takich poważniejszych nieporozumieniach interpretacyjnych, związanych z problemem „ateizmu" Berwińskiego oraz z problemem jego stosunku uczuciowego do historycznej przeszłości Rzeczypospolitej szlacheckiej.

Jeśli chodzi o rzekomy ateizm Berwińskiego, to jest on dla Marii Janion faktem oczywistym i zupełnie bezspornym. „Ateistyczne utwory Berwińskiego — pisze ona we wstępie (str. 56) — reprezentują gałąź poezji niezwykle samodzielną, oryginalną, zupełnie niemal nową w dziejach polskiego romantyzmu. Poeta potrafił w nich nie tylko ujawnić bez reszty reakcyjną rolę Kościoła i kleru, wzniósł się także do propagandy ateizmu jako postawy filozoficznej; wiernie odzwierciedlił zatem stanowisko rewolucyjnych demokratów."

Czy nie jest to po prostu nieporozumienie, wynikające z faktu wzięcia za dobrą monetę ciemnych i wieloznacznych deklaracji, które Berwiński złożył w słynnym poemacie Ostatnia spowiedź w starym kościele (1841), a którym ostatecznie zaprzeczył całą swoją późniejszą twórczością literacką? Zgoda bowiem, że był libertynem (Jawnogrzesznica, Don Juan poznański), antyklerykałem (W Częstochowie, Ubogim w duchu, Ostatnia spowiedź) i półagnostykiem (Ostatnia spowiedź), a nawet, że zaczął się skłaniać w stronę filozofii materialistycznej, ale od tego wszystkiego do zdecydowanego ateizmu, a zwłaszcza do ateizmu propagowanego jako postawa filozoficzna, droga jeszcze bardzo daleka!

Dodajmy wreszcie, że jeżeli Maria Janion użyła tutaj terminu „ateizm" w jakimś jego węższym znaczeniu (np. niewiary w religię objawioną, w nieśmiertelność duszy itp.), to i tak niesposób zgodzić się na sformułowane przez nią twierdzenie, jakoby Berwiński całkowicie zerwał — już w okresie pisania Ostatniej spowiedzi — ze światopoglądem fideistycznym. Cytuję dosłownie ze str. 55: „(...) niezbędnym warunkiem osiągnięcia tak rewolucyjnego stanowiska ideowego było radykalne wytrzebienie wszelkich elementów mistycyzmu, ostateczne zerwanie ze światopoglądem fideistycznym. Berwiński dokonał także tego kroku; dlatego poezja jego stanowi również

cenny dokument polskiej postępowej myśli filozoficznej."

Dla obalenia tego twierdzenia wystarczy po prostu przytoczyć parę dat pierwodruków Berwińskiego. Wspomniana tu Ostatnia spowiedź była po raz pierwszy drukowana w pierwszej redakcji w r. 1841, a później, razem z dwoma innymi najmocniejszymi wierszami antyklerykalnymi Berwińskiego (W Częstochowie oraz Ubogim w duchu), jeszcze latem 1843 roku. Otóż już w kilka miesięcy po ogłoszeniu tych utworów, napisanych oczywiście wcześniej, poeta opublikował mistyczno - fideistyczny wiersz Przesilenie dnia z nocą („Dwutygodnik Literacki" 1844, t. I, nr 8), będący wyraźnym echem tzw. „adwentyzmu", a w dziesięć lat później — podobny do niego, ale jeszcze bardziej fideistyczny i jeszcze bardziej oddalony od postępowej ideologii społecznej, wiersz Wielkanoc (Pokłosie. Zbieranka dla sierot, Poznań 1854), w którym, pomiędzy ciągle powtarzanymi wywodami o „duchu Bożym", „słowie Bożym", „Bożych obietnicach" i „Zmartwychwstaniu", napotykamy prawie na identyczne ślady mistycznego adwentyzmu:

Stara starych Piastów matka
Wyczekuje, aż anieli
Zwiastować jej przyjdą w bieli
I powiedzą, jak Elżbiecie,
Że narodzi późne dziecię,
Co prostować będzie drogi
Przed Pańskimi Zbawcy nogi!

Czy w obliczu takich (i innych) utworów Berwińskiego mamy prawo mówić o „radykalnym wytrzebieniu" przez niego „wszelkich elementów mistycyzmu" albo też o jego „ostatecznym zerwaniu ze światopoglądem fideistycznym"?

Podobnie przedstawia się sprawa z uczuciowym stosunkiem poety do tradycji związanych z dawną wielkością i potęgą upadłej Rzeczypospolitej. „(...) Mamiła go jeszcze, jak wielu ideologów okresu upadku niezależności narodowej — pisze Maria Janion o Berwińskim — historyczna przeszłość szlacheckiej Rzeczypospolitej, jej potęga i wielkość, złuda jej rzekomej sprawiedliwości dla wszystkich. Tendencje podobne doszły do głosu, między innymi, w słabym utworze Berwińskiego, zatytułowanym Wawel i Kraków, lecz zostały bardzo szybko i radykalnie przez poetę przezwyciężone" (str. 48).

Pomijając już takie szczegóły, że wspomniany utwór nie zasługuje chyba na przylepioną mu przy sposobności etykietkę „słaby" oraz że nie ma w nim ani słowa na temat rzekomej „sprawiedliwości" dawnej Rzeczypospolitej, trzeba znowu zakwestionować zdanie autorki, jakoby podobne tendencje (pozytywny stosunek uczuciowy poety do tradycji o potędze i świetności dawnego niepodległego państwa polskiego, boć o to głównie chodzi we wzmiankowanym wierszu) zostały przez Berwińskiego szybko i radykalnie przezwyciężone. Gdzie są na to dowody? Toć przecież nawet w tak rewolucyjnym utworze, jak Mogiła Kościuszki, w którym Berwiński w najbardziej zdecydowany sposób potępił całą klasę szlachecką, ginący naród polski został nazwany „potężnym, olbrzymim, zuchwałym"; w wierszu Pogrobowiec poeta zazdrościł starcowi pamiętającemu dawną Rzeczpospolitą, że ten „swobodą przywykł się rozpierać — we własnym domu"; w wierszu Majówka przypominał „stare cnoty" upadłej ojczyzny, a w słynnej Dumie polskiej żołnierza wojsk tureckich, napisanej w r. 1864, zwracał się z zapytaniem do porzuconej ziemi

ojczystej, „pod którą prochy wielkich ojców drzemią". Czyżby zresztą poetę kompromitowała ta miłość dla minionej świetności narodowej? Przecież w okresie utraty bytu państwowego pamięć o dawnej potędze upadłej ojczyzny mogła stanowić ważną siłę napędową ruchów narodowo-wyzwoleńczych!

Usiłowania Marii Janion, pragnącej udowodnić, że Berwiński był rzeczywiście zdecydowanym ateuszem, są z góry skazane na niepowodzenie, ale przynajmniej zrozumiałe. Usiłowania jej mające na celu ukrycie prawdziwego stosunku poety do dawnej świetności narodowej (w jego pojęciu: niepodległość, potęga, męstwo dawnych Polaków — w oderwaniu od znanej mu i potępianej przezeń niesprawiedliwości społecznej, zbrodni szlachty itd.) są nie tylko bezowocne, ale chyba w ogóle niezrozumiałe.

Wszystkie te zastrzeżenia i uwagi polemiczne służą zresztą jednemu właściwie celowi: pragnieniu większego uściślenia i uprawdopodobnienia charakterystyki tego wybitnego i w ogromnej większości swoich utworów naprawdę postępowego poety, którego rozwój ideologiczny przebiegał jednak nie tak prosto i harmonijnie, jak to wyłożyła nam Maria Janion i w którego twórczości napotykamy na liczne i skomplikowane antynomie, nie dające się pominąć milczeniem ani zaklajstrować naciągniętą interpretacją. Gdybyśmy mogli ograniczyć dorobek literacki Berwińskiego do kilkunastu wybranych utworów, a jego biografię do lat 1842—1848, to oczywiście moglibyśmy wówczas scharakteryzować tego poetę przy pomocy najwyższych kryteriów postępowości. Gdy tak jednakże nie jest — musimy włączyć do opracowywanej charakterystyki wiele elementów mniej pożądanych i znacznie osłabiających ogólną ocenę Berwińskiego-działacza i Berwińskiego-poety, ale za to wyraźnie wzmacniających stopień jej prawdopodobieństwa.

Czyż zresztą te antynomie Berwińskiego nie pomagają nam zrozumieć jego późniejszej „apostazji", o której autorka wstępu lakonicznie pisze na str. 69? Czyż nie rzucają światła na ten zadziwiający regres ideologiczny poety, widoczny przede wszystkim w jego odmiennym poglądzie na wartość i rolę ludu, który początkowo uważał za nosiciela samodzielnej kultury i jedynego reprezentanta prawdziwego patriotyzmu, a o którym wyraził się po latach, że będzie on zawsze takim, jakim zechcą go widzieć rządy krajowe, duchowieństwo i szlachta! Jaka szkoda, że nie znajdujemy odpowiedniej cytaty ze S t u d i ó w we wstępie Marii Janion. Taka cytata lepiej by może zobrazowała przełom ideowy Berwińskiego aniżeli wiele stronic specjalnie napisanych wywodów krytycznych...

Skoro jesteśmy przy zagadnieniu ludowym w twórczości Berwińskiego, dodajmy na marginesie, że interesującą zapowiedzią jego przyszłej krytyki mas ludowych oraz ich bierności i niesamodzielności jest fragment dramatyczny W a r s z a w a. We wstępie do obecnego wyboru powiedziano co prawda, że w W a r s z a w i e „ostrze krytyki zostało skierowane głównie przeciwko poniżającemu serwilizmowi szlachty", ale bliższe przyjrzenie się temu obrazkowi przekonywa, że owa satyra antyszlachecka stanowi w nim wyodrębnioną dygresję polityczną, którą można doskonale usunąć z kontekstu, nie czyniąc większej szkody ogólnej strukturze dramatycznej. Właściwym przedmiotem ataku poety są więc — o dziwo! — wielkomiejskie masy ludowe — plebs („motłoch odarty"), rzemieślnicy (majstrowie i czeladnicy), uzależnieni pod względem gospodarczym od zamówień rządowych, oraz oportunistycznie nastawiona gwardia

narodowa. Im to właśnie zarzuca poeta bierność i brak odwagi w obliczu hańbiącego ich godność ludzką nieprzyjaciela („Lud się rozchodzi w milczeniu"; „Był ów Gesler despota, była i niewiasta. — Było nawet i dziecię, lecz nie było Tella").

Wiemy ze źródeł historycznych, że Berwiński zmienił to dziwne antyludowe nastawienie w r. 1848 (on to przecież na Kongresie Wrocławskim wzywał do wojny ludowej, „sławiąc zachowanie się w Poznańskiem ludu prostego"), ale już samo istnienie w r. 1844 takiego obrazka jak W a r s z a w a staje się w pewnej mierze kluczem do tajemnicy przyszłej apostazji poety.

Przejdźmy jednakże do samego wyboru jego pism literackich.

Mniej więcej połowę tego wyboru zajmują utwory poetyckie, ułożone w tej samej kolejności, w jakiej występują w dwóch tomikach zbiorku poznańsko-brukselskiego (1844): K s i ę g a ś w i a t ł a i z ł u d z e ń (osiem utworów ze składających ją szesnastu), D o n J u a n p o z n a ń s k i, P a r a b a z a d o D o n J u a n a p o z n a ń s k i e g o, K s i ę g a ż y c i a i ś m i e r c i (trzynaście utworów z osiemnastu) oraz O s t a t n i a s p o w i e d ź w s t a r y m k o ś c i e l e. Po tym ostatnim utworze edytorka umieściła jeszcze trzy „wiersze luźne", wydobyte spoza wzmiankowanego zbiorku (wierszy takich znamy dzisiaj kilkanaście) a potrzebne jej do zilustrowania pewnych partii studium wstępnego.

Otóż, nie mając ani jednego zastrzeżenia w stosunku do wierszy wybranych przez edytorkę, chciałbym się upomnieć jeszcze o siedem innych utworów Berwińskiego, których brak daje się wyraźnie odczuwać i przy czytaniu samego wyboru, i nawet przy czytaniu wstępu — tak ważne są bowiem dla pełnego zrozumienia twórczości tego poety oraz dla prześledzenia jego regresu ideologicznego, zbyt powierzchownie — jak już wspomniałem — omówionego we wstępie.

Oto tytuły owych utworów: z K s i ę g i ś w i a t ł a i z ł u d z e ń — W s t ę p i k o n i e c (piękny wiersz, stanowiący autorski komentarz do tego całego cyklu) oraz wiersz D o*** (bodaj pierwszy, aluzyjny ślad podjęcia przez poetę tematyki patriotycznej); z K s i ę g i ż y c i a i ś m i e r c i — W a w e l i K r a k ó w (gniewna satyra polityczna wymierzona przeciwko Rzeczypospolitej Krakowskiej), Z y g m u n t (manifestacyjna pochwała wolności) oraz N a w y s o k o ś c i T a t r ó w (potępienie pychy i obojętności na cierpienia ludu); z wierszy luźnych — W i e l k a n o c (ważne świadectwo ideologicznego regresu poety) oraz D l a j e d y n e j s i o s t r y p r z y w y j e ź d z i e w ś w i a t (wymowna autocharakterystyka Berwińskiego, mająca paralelę w przedrukowanym w wyborze wierszu C z a j l d - H a r o l d o w s k a i m n i e d z i ś f a l a).

Dlaczego wymienione tu wiersze nie weszły do obecnego wyboru? Mam wrażenie, że można tu mówić co najmniej o trzech powodach opuszczenia, którymi były: albo zlekceważenie ich walorów ideowych czy artystycznych (W s t ę p i k o n i e c, D o***, Z y g m u n t, D l a m o j e j s i o s t r y), albo potępienie ich wstecznej wymowy ideowej (W a w e l i K r a k ó w, W i e l k a n o c), albo wreszcie błędne zrozumienie utworu i stąd jego fałszywa interpretacja, powodująca pozostawienie go poza zbiorem (N a w y s o k o ś c i T a t r ó w).

Zatrzymajmy się na chwilę przy wierszu N a w y s o k o ś c i T a t r ó w, o którym edytorka napisała ze zgorszeniem, że „był to jedyny utwór poety, który zasłużył na uwagę redaktorów

tradycyjnych antologii" i który nazwała „epigońskim", ale także — „zupełnie (...) wyjątkowym w twórczości Berwińskiego". Jego główną winą są, według jej wywodów, obciążenia romantycznego „buntarstwa", sprowadzające za sobą „poczucie osamotnienia w walce wyzwoleńczej, rzekome wzloty niezależnego indywidualizmu, dumne wyosobnienie się «człowieka wyższego», szkodliwą wiarę w nieograniczone możliwości odizolowanej jednostki" (str. 49).

Zacytujemy pierwszą zwrotkę tego ciekawego wiersza:

Ja król — na tronie mych ojczystych gór,
Ja król — i ziemi, i wichrów, i chmur!

Spojrzę — pode mną, w obłącz rozesłana,
Ziemia pokorne ugina kolana;
Pasmem gór dłonie żebrzące podnosi,
Litości woła i o wolność prosi.
Daremnie, ziemio! — płaczem nie podołasz,
Nigdy się łzami szczęścia nie dowołasz!
Ja król — brzęk kajdan, płacz całego świata
Do majestatu mego nie dolata!

Zwrotka następna służy tylko rozwinięciu tego początkowego obrazu, przedstawiającego zadowoloną z siebie pychę królewską, która nie dba ani o błagania cierpiących, ani o groźby buntujących się poddanych. Trochę odmienną wymowę mają dwie pozostałe zwrotki, w których pokazany tu „król" zapewnia o swoim bezpieczeństwie wśród mas wiernego wojska oraz o swojej niewrażliwości na pochlebstwa dworaków.

A teraz: czy możemy posądzać Berwińskiego po prostu o u t o ż s a m i e n i e się z owym nieludzkim i pysznym „królem", nieczułym ani na brzęk kajdan, ani na płacz całego świata? Byłoby to przecież nonsensem! Istota tego utworu polega na czym innym: oto poeta, który znalazł się przypadkiem na szczycie jakiejś wysokiej góry albo w y o b r a z i ł sobie, że tam się znalazł, w y o b r a ż a sobie z kolei podobną — symbolicznie — sytuację udzielnego monarchy oraz jego reakcje na różne zachowania się jego poddanych, usymbolizowanych tutaj ziemią, chmurami, skałami, lasami, strumieniami itd. Podobną interpretację usprawiedliwia m. in. interesujący ustęp z prologu do B o g u n k i: „Góry podnoszące ku niebu ośnieżone czoła, których nigdy stopa ludzka nie zdeptała, podobne są dumie, która ucieka w obłoki, a u stóp swoich zostawia cierpienia, łzy i niedolę...", usprawiedliwiają również pewne inne utwory poetyckie, a przede wszystkim znany na pewno Berwińskiemu wiersz Herwegha A u f d e m B e r g e (S t r o p h e n a u s d e r F r e m d e, I, 1839), w którym niemiecki poeta, czujący się w górach jak pod królewskim baldachimem, wyraża swoją tęsknotę do pozostawionego na dole świata oraz swoje współczucie dla cierpiącej ludzkości. Temu właśnie naturalnemu uczuciu poety przeciwstawił Berwiński wręcz odmienne a również naturalne uczucia owego niby-króla. Słowa skierowane przez tego króla do cierpiącego ludu: „Nigdy się łzami szczęścia nie dowołasz", antycypują jak gdyby jeden z najlepszych i najgłośniejszych utworów Berwińskiego — pobudkę rewolucyjną M a r s z w p r z y s z ł o ś ć.

Skoro mówimy o M a r s z u, to ciekawe byłoby ustalenie, kiedy ten wspaniały, groźny utwór został napisany. W obecnym wyborze nie znajdujemy na to odpowiedzi, możemy jednak prawie na pewno postawić tu przybliżoną datę: 1843 lub 1844. Jeżeli było to pod koniec 1843 lub w 1844, to na-

tchnieniem do napisania tego Marsz u były może dla Berwińskiego rozmowy i dysputy z przebywającym wówczas w Poznaniu Edwardem Dembowskim i jego żoną, Anielą. Jeżeli powstał zaś w 1843 (przed jesienią), to musimy się ograniczyć w swoich domysłach do ewentualnych wzorów literackich, które mogły zaważyć na genezie i kształcie artystycznym tego utworu. Wskażę tu przykładowo na słynną Herweghowską Pieśń nienawiści (Das Lied vom Hasse, 1841), którą Berwiński mógł poznać podczas swojego pobytu w Berlinie, co jest tym prawdopodobniejsze zresztą, że i w innych jego wierszach z tego samego okresu (W Częstochowie, 1843) zauważono — prawie natychmiast po wydrukowaniu — wyraźne wpływy tego niemieckiego poety.

Domyślam się również, że Marsz w przyszłość był — obok Prawd żywotnych Kamieńskiego — tym właśnie utworem literackim, który tak bardzo przeraził Krasińskiego i podyktował mu słynny ustęp Psalmu miłości („Hajdamackie rzućcie noże!"), odepchnięty później i wyszydzony genialnym piórem Juliusza Słowackiego. Czy jednak sam Słowacki znał ów Marsz Berwińskiego? Wątpiącym przypomnę tutaj zapomiane świadectwo Aleksandra Niewiarowskiego, który żył blisko ze Słowackim w r. 1847: „Dla prac młodych pisarzy (...) okazywał się pobłażliwym (..) a pieśń Ryszarda Berwińskiego Za czerwone morze... (Marsz w przyszłość) nazwał genialnym utworem". O tym, że znał ją Krasiński, nie możemy chyba wątpić, wszak bruksel'ski tomik Poezji, w którym po raz pierwszy została wydrukowana, wyszedł w tym samym czasie i w tej samej drukarni, co nabyty przez niego tomik Prawd żywotnych (1844), a echa lektury tego tomiku odezwały się u Krasińskiego w pamiętnym roku 1846. „Czy śni ci się po nocach ta tłuszcza Rusinów — pisał przerażony do Małachowskiego 18 marca 1846 r. — te przeklęte hufce bezbożnego, zwierzęcego ludu, przechadzające się po Halickiej ziemi z łupami zdartymi z nas! O, mieli co opiewać poznańscy poeci! mieli co wynosić pod obłoki—cnoty ludowe, świętość ludową, poczciwość ludową, sprawiedliwość ludową, zapał ludowy do wielkich rzeczy, sens niezawodny ludowy, tak niezawodny jak papieża!" Ci „poznańscy poeci" to przede wszystkim oczywiście Berwiński, a obok niego może Dahlmann, może Ehrenberg (jako drukujący w poznańskim „Tygodniku Literackim"), może także Roman Zmorski, którego wiersze również były drukowane w czasopismach poznańskich.

Herwegh, Słowacki, Krasiński — ileż wielkich nazwisk poetyckich wiąże się z twórczością tego zapomnianego wielkopolskiego pisarza! Dodajmy tu jeszcze nazwisko młodziutkiego Norwida, którego juvenilia poetyckie (1840—42) wpłynęły w pewnej mierze na twórczość Berwińskiego i który sam był z kolei pilnym czytelnikiem ogłaszanych wówczas powieści ludowych swego poznańskiego kolegi. Ślad takiej twórczej lektury pozostał u Norwida w wierszu Pismo (1841), w którym realistycznie scharakteryzował prostą a głęboką mądrość ludu polskiego:

Dzielny olbrzym! W siermiędze,
z promienistym czołem,
Szorstkimi słowy nuci za karczemnym
stołem —
Nie rozbełta się w piśmie, słowo zna
jak krople
Krwi własnej, w której stoku, jak
bogunki w Gople,
Pluskają hoże pieśni.

Najznakomitszym cyklem poetyckim Berwińskiego jest oczywiście — jak słu-

sznie podkreśla to Maria Janion — Księga życia i śmierci, zawierająca takie szczytowe osiągnięcia jego liryki rewolucyjnej, jak Marsz w przyszłość, W Częstochowie, Ubogim w duchu czy też druga redakcja Myszej wieży; ale i w pierwszym cyklu (Księga światła i złudzeń), zawierającym przeważnie lirykę erotyczną, znajdziemy kilka prawdziwych klejnotów poetyckich, że wymienię tu choćby takie wiersze, jak Moja gwiazda, Błogosławieństwo, Wspomnienia, Ostatni Romeo. Prawie wszystkie wiersze tego cyklu zostały interesująco i wnikliwie omówione we wstępnym studium Marii Janion, która trafnie wskazała ich osobliwości poetyckie, oddzielając wiersze epigońskie od oryginalnych i wskazując liczne powiązania tych utworów z ówczesną poezją romantyczną (przed- i polistopadową). Na marginesie jej wywodów chciałbym dopisać kilka słów o zgrabnym wierszu Jawnogrzesznica, który w interpretacji Marii Janion stał się ni mniej ni więcej tylko „buntowniczym manifestem dumnego piękna człowieka", który (wiersz) sygnalizuje „narodziny poety-ateisty, śmiało przeciwstawiającego się krępowaniu życia ludzkiego przez Kościół" i którego najistotniejszym elementem ma być „bezlitosne wykpienie dewocyjnej obłudy" itd. itd. (str. 28—29). Całą tę arcywzniosłą, filozoficzną i socjologiczną charakterystykę uważam za jedno wielkie nieporozumienie. Nie dopatrujmy się głębi filozoficznych w typowo naśladowczym, barokowym madrygale, który wywodzi się w prostej linii od Gongory, Marina i naszego Jana Andrzeja Morsztyna, a także od Petrarki, który nie na próżno został powołany przez poetę we włoskim epigrafie tego wiersza, będącego kunsztownym żartem poetyckim, a nie „manifestem wyzwolenia się z religijnych przesądów nienawiści do ludzkiego ciała"! U tych również poetów znajdziemy wzory poszczególnych obrazów i porównań Berwińskiego, który zaczerpnął je być może z publikowanych właśnie w owych latach (1836—1844) poezji Morsztyna albo ze znanych sobie oryginałów włoskich (Petrarki i Marina). Z tego również źródła wypływa owo rzekome oryginalne „odwrócenie sensu popularnej kościelnej metaforyki i obyczajowości" („siostra w Chrystusie" i jej „spowiednik"). Kto nie wierzy, niech zajrzy do powołanych autorów, a choćby i do poniżej zacytowanej strofy Morsztyna, która stanowi pointę jego wiersza Do Heleny:

Co mąk być może, co męki i kary,
Wszystkiego w sercach czynisz nam ponowę,
Skąd widząc taką katownię z tej miary,
Słusznie cię krzyżem, krzyżem mym nazowę.
Ach, jeśli tak jest, niechże mię przybiją
Na ten krzyż mocnym gwoździem na pasyją.

Podobnie powierzchowne i fałszywe interpretacje spotykamy również w niektórych sądach edytorki o stylu i języku utworów poetyckich Berwińskiego, a zwłaszcza o ich formie wierszowej.

Najbardziej rażącym błędem w tej dziedzinie, którego można było — przy głębszym zastanowieniu się — uniknąć, to mocno naciągnięte wywody o formie wierszowej Don Juana poznańskiego, który został napisany, jak wiadomo, czterowierszową zwrotką o układzie rymów *abab*, złożoną z przeplatających się dziesięcio- i ośmiozgłoskowców (10:8:10:8). „Wersyfikacyjna forma Don Juana poznańskiego — pisze Maria

Janion — podkreśla wyraźnie parodystyczny *genre* poematu. Strofka utworu to m. in. strofka sielanki Karpińskiego — obrazującej pozorne dramaty Filona i Laury, w czasach współczesnych Berwińskiemu przysłowiowej już i żartobliwie traktowanej pary sentymentalnych kochanków. Strofa ta w podstawowym wątku fabularnym Don Juana poznańskiego stanowi ironiczny wtór, podkreślający konwencjonalizm i płaskość miłosnej gry bohaterów, zaś w partiach dygresji politycznych ów piosenkowy metr służy przez kontrast uwydatnieniu sarkazmu poety" (str. 33).

Otóż ów „piosenkowy metr", nazwany przez Ważyka „przeplatanką Trembeckiego", ale stosowany jeszcze wcześniej przez Adama Naruszewicza, był przez sto kilkadziesiąt lat ulubionym metrem wielu poetów polskich, którzy używali go w swoich, bynajmniej nie piosenkowych, wierszach — filozoficznych, społecznych, religijnych, sentymentalnych, erotycznych itd. itd., nie podejrzewając ani przez chwilę, że podkreślają wówczas „konwencjonalizm" przedstawianych treści albo też uwydatniają swój „sarkazm".

Naruszewicz pisał tym metrem swoją ciężkawą Pochwałę cnoty:

Grubsza ślepota na tego pada,
Kto nigdy nie widział cienia.
Z tęższym grom hukiem w pieskliwym siada
Uchu, gdy bez doświadczenia.

Trembecki opiewał za pomocą tego metra potęgę rozumu ludzkiego.

Choć się natura troistym grodzi
Ze stali murów opasem,
Rozum człowieczy wszędy przechodzi,
Niezłomny pracą i czasem.

Takim samym wreszcie metrem pisał Mickiewicz Alpuharę, Dudarza, Majtka i Świteziankę. Tę właśnie Świteziankę, której pewne motywy sparafrazował Berwiński w swoim Żeglarzu, powtarzając w nim metr pierwowzoru, a później przenosząc ów metr do poematu o Don Juanie poznańskim. Tę samą strofę spotykamy również w innych wierszach Berwińskiego: Na przesileniu dnia z nocą (tu jednak wiersze nieparzyste mają spadek męski) oraz Powrót z pielgrzymki. Weźmy z tego ostatniego utworu ustęp o niewątpliwej wymowie politycznej:

Co znaczą łuny?... To nasze sioła
Nocnym płonące pożogiem!
A ta krew?... Słyszysz, jak ta krew woła:
„Zemsta nam, zemsta nad wrogiem!"

— a przekonamy się dostatecznie wyraźnie, że nie widać w nim ani śladu autorskiego sarkazmu, pomimo zastosowanego tutaj metru Laury i Filona. Ale bo też źródłem owego sarkazmu w Don Juanie nie była bynajmniej przypadkowa forma wierszowa tego poematu, ale jego indywidualna treść oraz wyrażone w nim poglądy i uczucia autora. A to chyba ogromna i zasadnicza różnica!

Podobny błąd popełnił w swoim czasie prof. Łoś, który nieopatrznie zawierzył domysłom Przesmyckiego o genezie poemaciku Norwida Polka, a potem — przyjąwszy za nim, że ten piękny utwór został napisany na Oceanie Atlantyckim — dosłuchał się w pieśni drugiego harfiarza „wiecznie zmiennej jednostajności fal morza, z szumem przewalających się na płaskim piaszczystym wybrzeżu"!!

Przechodząc z kolei do przedrukowanych w wyborze dwóch opowieści ludowych (Bogunka na Gople, Mądry Maciś) należy wyrazić żal, że edytorka nie włączyła do niego barwnej poetyckiej „bajędy" O

dwunastu rozbójnikach, ustępującej co prawda Mądremu Maciosiowi pod względem wierności zapisu folklorystycznego, ale za to oryginalniejszej od niego, stojącej wyżej pod względem artystycznym i opatrzonej interesującą wypowiedzią poety o kulturze ludowej. Na marginesie Maciosia chciałbym jeszcze zaznaczyć, że bynajmniej nie podzielam entuzjazmu edytorki w stosunku do tego niedorajdy, który rzekomo — jak napisała we wstępie — „okazał się w końcu mądrzejszy od wszystkich mędrków". Moim zdaniem jego końcowe powodzenie jest wyłącznie dziełem szczęśliwego przypadku, a fakt, że sprytniejsi od niego bracia kupili sobie za uzyskane pieniądze dom, a jego zbyli tylko błazeńską (na wsi) odzieżą, świadczy, że i to powodzenie skończyło się dla Maciosia przysłowiową gruszką na wierzbie.

O pięknej Bogunce na Gople — którą warto byłoby wydać w jakiejś oddzielnej, specjalnie skomentowanej i zilustrowanej książeczce — można pisać całe rozprawy. Wiele ciekawych uwag poczyniła też na jej temat edytorka, szkoda tylko, że za mało zajęła się samą formą literacką tej opowieści oraz rolą, jaką odegrała one we współczesnym piśmiennictwie romantycznym (Magnuszewski, Norwid itd.).

Pokaźny tom wyboru kończy się przedrukiem jednego felietonu Berwińskiego z jego cyklu Listów z narodowej pielgrzymki, dwóch artykułów w obronie Edwarda Dembowskiego przed atakami reakcji poznańskiej oraz czterech listów prywatnych (1848—1855).

Po tekście następują w książce przypisy (50 str.), zwięźle zredagowane i ograniczone właściwie do objaśnienia rzadkich wyrazów i mniej znanych realiów oraz do podania adresu bibliograficznego niektórych utworów Berwińskiego. Najcenniejszą ich częścią są bez wątpienia przypisy bibliograficzne do dzieł literackich i naukowych zacytowanych lub powołanych z tytułu przez poetę, opracowane z niezwykłą sumiennością przez Zofię Lewinównę. Mało znam prac tego rodzaju, które mogłyby się poszczycić tak wyczerpującymi i dokładnymi objaśnieniami.

J. W. Gomulicki

MINIATURY SZANIAWSKIEGO

Humoreski Jerzego Szaniawskiego, znane jako Opowieści profesora Tutki*), ukazywały się w różnych pismach, najczęściej w „Przekroju". Powstawały jako rzeczy ulotne — zapewne autor nie myślał ich obejmować jednolitym planem kompozycyjnym. I oto, rzecz ciekawa — krótciutkie te utwory, zebrane w tomie, wyglądają jak rozdziały głęboko przemyślanej opowieści. Każdy z nich ma swoją konstrukcję, swoje znaczenie i swój morał; ale zebrane razem tworzą żywy organizm, jak komórki składające się na istotę wyższego rzędu.

Łączą je nie tylko osoby bohaterów, choć i one mają tu artystyczne znaczenie. W każdej z opowieści zajmuje miejsce centralne profesor Tutka z nieodzownym melonikiem, który ma także swoją dickensowską historię. Ale dokoła Tutki, dyskutując z nim lub wsłuchując się w jego opowieści, siedzą i inni stali bywalcy Opowieści: sędzia, rejent, mecenas itd.; ci ostatni — to goście przelotni. Czasem (np. w opowieści Śnieg przeszłoroczny) jedno skromnie wtrącone zdanie charakteryzuje któregoś z uczestników owych sympozjonów filozoficznych. Sędzia prosi na przykład profesora Tutkę,

*) Jerzy Szaniawski: Profesor Tutka. Wydawnictwo Literackie, Kraków; str. 218.

by mu coś opowiedział o swych wojennych przeżyciach więziennych; Tutka tego uczynić nie chce, charakteryzując równocześnie swój stosunek do słów patetycznych. A potem z łagodną franc'owską ironią zwraca się do tamtego: „Panie sędzio, niech pan już zje tego ptysia z kremem, którego miał pan jeść podczas mego opowiadania o przeżyciach więziennych."

Sędzia nie jest ani głupcem, ani pospolitym kołtunem. I on, i jego koledzy bywają w tych Opowieściach przedstawicielami typowego myślenia „niesprawdzonego", apriorycznego, a więc powierzchownego. Tutka, który lubi milczeć — jest jednak raz po raz jakby prowokowany przez tamtych do zabierania głosu. Sam o sobie mówi żartobliwie, że jakikolwiek się temat poruszy w towarzystwie — nasuwa mu to na pamięć jakieś konkretne wydarzenie z jego własnego życia. Tłumaczy się to naturalną skłonnością umysłu do inteligentnie nieufnego przyglądania się twierdzeniom utartym; do ich przymierzania, zestawiania ze światem doznań rzeczywistych, sprawdzonych doświadczeniami.

Konfrontacje przybierają czasem formę przekornego żartu, np. gdy „prof. Tutka daje przykład opowiadania pogodnego". Ale i w tym wypadku żart ma swoje głębsze myślowe znaczenie: okazuje się, że sztuczny optymizm można osiągnąć tylko przez mechaniczne eliminowanie faktów niewygodnych. Równie kpiarską metodę stosuje bohater Szaniawskiego wobec hasła „sztuka dla sztuki": daje przykład działania, które może być uważane za całkowicie bezużyteczne, a zarazem znajduje się na granicy absolutnego maniactwa. Są i takie opowiadania, gdzie żartobliwa metoda narracyjna prof. Tutki ukazuje jeden i ten sam fakt w kilku oświetleniach, pomagając nam w lepszym, subtelniejszym, bardziej finezyjnym przenikaniu zjawisk (Uprzejmość i hipokryzja, Profesor Tutka wyjaśnia sens tajemniczego rysunku i inne). Są żartobliwe zestawienia myślenia precyzyjnego i niedokładnego (Przeczucie profesora Tutki, z niespodziewaną pointą zawierającą kwintesencję treści). Są wreszcie i bezpośrednie ataki na twarde życie „twierdzeń utartych". Zawiera je na przykład opowieść pt. Profesor Tutka o kozacach w Pacanowie czy humoreska Złote myśli.

Pisząc recenzję tej uroczej książki przerwałem na chwilę pracę dla sprawdzenia jakiejś cytaty. Przy sposobności wpadł mi w rękę numer „Życia Literackiego" z 30 stycznia, zawierający inteligentny i godny uwagi artykuł Lecha Budreckiego Droga do piekieł, czyli o sztampie. Autor omawia tu dylemat współczesnej naszej prozy, która chcąc ominąć Scyllę wieloznaczności pojęciowej — wpada w utarty i wytarty banał stylistyczny. Są jednak drogi ratunku, a jedną z nich jest „asceza stylu", której przykład stanowią wedle Budreckiego „świetne opowiadania profesora Tutki".

Krytyk ma całkowitą rację. Trzeba tu jednak dodać, że owa „asceza stylu", rzeczowość i wspaniała prostota są u Szaniawskiego także i rezultatem innych tendencji. W Pożegnaniu profesora Tutki wyznaje, że „chociaż nie wszystko, co ludziom opowiem, będzie zrozumiałe", to jednak dba on o to „by przynajmniej trzy czwarte w moim opowiadaniu było przystępne. To wystarczy, aby nie stracić ze słuchaczami kontaktu". A cóż z ową pozostałą „jedną czwartą"? Daje ona czytelnikowi radosny trud pokonywania trudności, podobny do tego, którego doznają uczestnicy wypraw wysokogórskich. I chociaż sam Tutka (a może i wraz z nim

Szaniawski) z pewną szczyptą autoironii mówi o owych „trzech czwartych", pozwalających na utrzymanie kontaktu — myślę, że nie jest to metoda godna lekceważenia. Dzięki zdolnościom i skłonnościom popularyzatorskim umie autor Profesora Tutki zachęcić czytelnika do podjęcia śmiałych wypraw intelektualnych, których by w innych warunkach może wcale nie podejmował. I to może tłumaczy też tajemnicę stylu Szaniawskiego tylko częściowego, tak „ascetycznego" i rzeczowego, jak to zjawisko określa Lech Budrecki.

Wydaje mi się, że Opowieści profesora Tutki wystarczyłyby do stworzenia samoistnej i dobrze skonstruowanej książki. Należy się szczera wdzięczność za jej opublikowanie krakowskiemu Wydawnictwu Literackiemu i Janowi Błońskiemu jako redaktorowi. Dobrze też, iż dodano — jakby w epilogu — słuchowisko Zegarek, znane sprzed wojny, pamiętne udziałem Jaracza, kilkakrotnie ostatnio wznawiane przez radio, a nigdy jeszcze nie drukowane. Słuchowisko to swym sensem myślowym, swą artystyczną strukturą dobrze harmonizuje z Opowieściami profesora Tutki. Wydaje mi się natomiast, że niesłusznie dodano do tej książki cztery nowele z wydanego w roku 1928 i dziś całkowicie wyczerpanego tomu Ługarze „Pod Złotą Kotwicą". Oczywiście nie dlatego, by te nowele nie zasługiwały na wznowienie. Wprost przeciwnie! Należałoby je wydać jak najprędzej — tyle w nich wdzięku, mądrości, świeżości myślowej. Chodzi tylko o to, że z całości obejmującej 15 opowieści wyrwano dość dowolnie cztery tylko rzeczy, psując architektonikę i rytm całości, ograniczając możność poznania reszty. Czy nie lepiej było po prostu wznowić uroczy zbiór dawnych nowel nie szatkując ich, nie różnicując? Rzeczy takie, jak Klerycy, Słońce w pudełeczku, Jak zegary, Kubek, a szczególnie Uśmiechnięte siostry zasługiwałyby w równej mierze na reedycję, jak uwzględnione w omawianym tomie: Ługarze, Ogród na wydmie, Przygoda odmłodzonych i Lunapark. W lutowym numerze „Tworczości", nie mając jeszcze w rękach obecnie wydanej książki, starałem się wykazać wartość tych tak niesłusznie pominiętych opowieści.

Tutka rozchodzi się bardzo szybko. Podobno w wielu księgarniach jest już wyczerpany, chociaż, gdy piszę te słowa, upłynęły dopiero dwa tygodnie od pojawienia się książki. Miejmy nadzieję, że w następnym wydaniu otrzymamy kompletny już wybór przedwojennych nowel Szaniawskiego. Jestem też przekonany, że zapowiedziana publikacja utworów teatralnych obejmie wszystkie zachowane sztuki jednego z najświetniejszych, najbardziej precyzyjnych i najbardziej interesujących naszych dramaturgów.

Wojciech Natanson

PODRÓŻ W NIEZNANE

A: Podróż na Zachód*) została przegapiona przez naszą opinię kulturalną. Skwitowano ją kilkoma uprzejmymi recenzjami. Trochę chwalono, trochę ganiono; uskarżano się na niski nakład...

B: ...który później przecież wydawnictwo podwyższyło. Jeśli zaś krytycy rzeczywiście się zgapili, to publiczność odpłaciła Kałużyńskiemu z nawiązką. Po Rynku w Krakowie biegały w dniu ukazania się książki stadka (nie tylko snobów), szukając od księgarni do księ-

*) ZYGMUNT KAŁUŻYŃSKI: Podróż na Zachód „Czytelnik"; Warszawa 1953, str. 347.

garni owych kilkudziesięciu egzemplarzy, przypadających na drugi po Warszawie ośrodek kulturalny w Polsce. I jeśli w pismach książka przeszła blado, to tym gorętsze były dyskusje prywatne.

A: Ale czego w Podróży szukano! „Kulturalne panie" czytały ją zapewne z wypiekami na twarzy. Literatura i pisarze są dziś główną pożywką snobizmu — od czasu, gdy zniknęły z prasy finansowo-matrymonialne tarapaty Czetwertyńskich i Potockich... A cóż dopiero, gdy mowa o Sartrze! Sade, Greco i życie seksualne „samca ludzkiego" ze Stanów połączyły się w przedziwny coctail, wyciśnięty z zakazanych owoców. Podróż na Zachód byłaby dla wielu książką pięciolecia, gdyby jeszcze dołączano doń flakonik paryskich perfum.

B: Autor nie zawsze odpowiada za swoich czytelników. Nasze życie kulturalne nie ma ani blasku, ani smaku. Decyduje się na zebraniach, nie w kawiarniach. W urzędach, nie w pracowniach. Trudno się złościć, że czytelnika cieszy bardziej anegdotka niż przemówienie. A w Paryżu — od dziesiątków lat węzłowej stacji kultury Zachodu — wszystkiego może zabraknąć, tylko nie anegdoty, plotki, żartu. Że Paryż jest współczesną Aleksandrią — to inna sprawa. Kałużyński o niej nie zapomniał. Jeśli zaś przy sposobności zabawił rozgorączkowanego czytelnika setkami zdarzeń i zdarzonek, myśli i myślątek... nie widzę tu nic złego.

A: Nie mam (tymczasem) żalu do Kałużyńskiego, mam pretensję do jego czytelników. I do owych idealnych czytelników-krytyków. Wszyscy wpadli w sidła snobizmu. Zmyliła ich dymna zasłona „kulturalnego gadulstwa". Tymczasem Podróż na Zachód jest wielką konfrontacją. Konfrontacją naszej myśli artystycznej z problematyką kulturalną Zachodu. Kałużyński stanął dzielnie w szranki — wygrał, przegrał? Czas by się nad tym zastanowić!

B: Dyskusja w próżni. Kto potrafi przeprowadzić z Kałużyńskim dyskusję interpretacyjną? Brak faktów! Kto przeczytał te pięćdziesiąt książek, bez których ani rusz? Przed wojną nasza literatura zatruta była małpiarstwem. Dziś grozi jej naiwna zaściankowość. Powiecie, że kapitalizm i tak runie, grzebiąc pod swoimi gruzami aleksandryjskich intelektualistów? Runie. Ale sztuka Zachodu rodzi się nie tylko z szatańskich machinacji dolara, lecz także z istotnych potrzeb i tradycji tamtych społeczeństw. Mamy nadzieję, że bliski jest czas, w którym kultura stanie się znów na całym świecie — jedna. Ale nie określą jej bez reszty Fast i Aragon, tak jak naszej powojennej literatury nie określili bez reszty Broniewski i Kruczkowski. Chociaż wskazywali właściwą drogę! Chociaż byli pionierami! Był u nas spór o nurty: czy tylko Broniewski, Pasternak, Wygodzki warci są pamięci. Oczywiście, że nie tylko oni. A Staff, Dąbrowska, Słonimski? Tam będzie to samo! Połowa dwudziestego wieku naznaczy kulturę Zachodu niezmazywalnym piętnem. Widzenie świata, jakie się ukształtuje w literaturze Zachodu — także ze współczesnych doświadczeń — będzie i dla nas ciekawe. Mimo że te doświadczenia są bardzo bolesne! A więc — widzenie świata, które wniesie, nie będzie kopią naszego. Będzie może nawet — świeższe. Kto wie? Dlatego nie wolno nam z Zachodem gubić kontaktu. Nie mówiąc już o tym, że mamy tam wielu świadomych, półświadomych, nieświadomych — sprzymierzeńców. I o tym, że przeciwników, choćby bezapelacyjnych, też trzeba znać...

A: Bardzo słusznie. Co nie przeszkadza, że o Zachodzie nic (prawie)

nie wiemy. Że — gorzej — wielu przestał on w ogóle interesować. Że — najgorzej — stał się obiektem mętnych marzeń, głupawego snobizmu, połączonego zresztą z zupełnym niezrozumieniem jego istotnej (godnej uwagi i polemiki) problematyki intelektualnej i artystycznej. Dowód? Nikt z recenzentów Kałużyńskiego nie orientował się na tyle w materiale jego książki, aby móc sprostować kopy błędów, jakie popełnił! Mało wiem, jak (prawie) wszyscy, o sztuce Zachodu. Ale gdy tylko Kałużyński mówił o czymś, co przypadkiem znałem, wpadałem na pomyłkę, błąd, uproszczenie!

B: Pośpiech obserwacji skazuje na nieuchronne niedokładności.

A: Do pewnych granic. Pomyłki bibliograficzne łatwo wybaczyć, choć przykro spotkać aż trzy na jednej stronie (67): Zamek Kafki nie ukazał się w Polsce przed wojną (tylko — Proces), Staff wydał nie wybór pism, a Dziennik uwodziciela Kierkegaarda, wydawnictwo Benedyktynów nazywa się nie „Editions de Fontenelle", a „Editions Fontaine" *). Pomyłki informacyjne zaczynają niepokoić. Niekiedy wynikają z nadmiernego „zadufania": zbyt Kałużyński ufa swej zręczności... 25 linijek wystarcza mu na wykład filozofii egzystencjalizmu i to razem z krytyką, zarówno marksistowską, jak katolicką. Oczywiście nic nie można z tej sałatki zrozumieć. Wniosek — co najmniej niebezpieczny: istotę filozofii Sartre'a widzi Kałużyński w „niechęci do decyzji i wyboru". Prawdą jest, że egzystencjalizm przechodził rozmaite wahania polityczne. Ale czystą blagą, jakoby jego moralność sprowadzała się do uprawiania własnego ogródka. Przeciwnie: Sartre i jego uczniowie uważają, że całe życie ludzkie polega na wolnym wyborze, jest nieustającym wyborem; wybieramy co chwila; żyjąc, zarazem wybieramy. Filozofia tu niepotrzebna: wystarczy przeczytać uważnie Le diable et le Bon Dieu, sztukę, o której zresztą Kałużyński wspomina. Inna rzecz, że u Sartre'a wybór nie ma żadnej racji metafizycznej, oprócz tej, która zawiera się w samej wolności (upraszczając nieco: wszystko, co jest naprawdę wolne, jest dobre). Może więc niechęć do wyboru jest cechą egzystencjalistów, ale w każdym razie nie — egzystencjalizmu... Prostować, zastrzegać się, cieniować można tak w nieskończoność; przejdę więc raz jeszcze do porządku. Ale drażnią już jaskrawe zniekształcenia myśli przeciwników: tania erystyka...

B: Proszę o dowody.

A: Choćby takie pół zdania: Kałużyński ironicznie zauważa, że Sartre ma „drobne zastrzeżenia" wobec Baudelaire'a. Tymczasem — Baudelaire, pokaźna, blisko dwustustronicowa książka, jest pełnym niechęci atakiem na poetę, w którego losie widzi Sartre wprost symbol ucieczki przed własnym losem, tchórzliwej rezygnacji z własnej wolności itd. Gdzie indziej: trzy kolejne streszczenia są trzema kolejnymi zniekształceniami. Idzie o sens kilku dramatów. Niepotrzebne usta Beauvoir: „W oblężonym mieście średniowiecznym mają być zgładzone dzieci, kobiety, wszyscy bezsilni, aby umożliwić dalszy opór, oczywiście niedorzeczny" — i tyle. To według Kałużyńskiego. A naprawdę: dowódcy, widząc niedostatek żywności, postanawiają wypędzić z miasta owych bezsilnych — gwałtem. Bunt, załamanie obrony. Co zrobić? Odwołać się do bohaterstwa „niepotrzebnych ust": aby owi zbędni, sami, w pełni wolności, zgodzili się na śmierć dla dobra miasta. Sprawiedliwi Camusa. Kałużyński: „Oglądamy (tu) zamachow-

*) Fontenelle, pisarz francuski, urodzony w Rouen, bratanek Corneille'a (1657 — 1757) — wg. „Petit Larousse Illustré".

ców, zabijających cara bombą — morderstwo bezcelowe wobec ich dezorientacji ideowej". (Przede wszystkim nie chodzi tu wcale o cara). Sprawozdawca podsuwa, że dla Camusa czyn terrorystów jest bezsensowny, absurdalny. Tymczasem jest przeciwnie: losy „sprawiedliwych" mają udowodnić, że morderstwo polityczne dozwolone jest tylko wtedy, gdy za śmierć tyrana płaci swym życiem morderca*). A więc — Kałużyński uważa, że Camus się myli. Bardzo być może. Ale po co nam wmawia, że Camus sam uważa czyn „sprawiedliwych" za absurd? Le Diable et le Bon Dieu Sartre'a: „Renesansowy kondotier w czasie wojen religijnych w Niemczech na próżno próbuje czynić dobro — każdy jego gest zmienia się w zbrodnię i bohater postanawia zaniechać prób ulepszenia świata — «być tym, czym jestem, bez Boga i diabła: złym, bezwzględnym, silnym człowiekiem».". Cytat przeczy streszczeniu. Bohater staje poza Bogiem i diabłem; poza tradycyjnym dobrem i złem, poza moralnością religijną jego nowa etyka będzie etyką bezwzględnej wolności — a nie, jak podsuwa Kałużyński, etyką dowolnej (i dozwolonej) zbrodni.

B: Problem leży gdzie indziej: czy nieścisłości Kałużyńskiego wpływają na ogólny tok rozumowania i polemiki?

A: Jeszcze jak! Przykładem twórczość Claudela. Marksiście nie może się ona podobać, zapewne. Ale obowiązkiem krytyka jest walczyć z Claudelem rzeczywistym, nie urojonym. Urojonym — dla wygody polemisty. Kałużyński wymyślił sobie Claudela-erotomana: „Krzyż skojarzył (mu) się z boleścią, jakiej doznał, gdy go amantka porzuciła". Sprowadził jego twórczość (ilościowo bardzo pokaźną) do religijno-erotycznych komplikacji, gigantycznej kaplicy-buduaru. Dlaczego? Bo widział dwie jego sztuki o erotycznej problematyce. A reszta? Zwiastowanie, Zakładnik, Krzysztof Kolumb? Kilkadziesiąt dramatów, komedii, przekładów tragików greckich, cyklów wierszy, essayów? Przy sposobności — groteskowe bzdury, porównywanie Claudela z Barbey d'Aurevilly (trudno nietrafniej), z... „twórczością" Sacher-Masocha („...innego znakomitego zboczeńca"). Kałużyński nie próbuje nawet uchwycić *idées-forces* „dionizyjskiego katolicyzmu" Claudela. Skacze od Sacher-Masocha do Nietzschego, pieczętuje zaś swój melanż określeniem „faszyzm" *), na zakończenie zaś dodaje od wszelkiego wypadku, że Claudela nie interesowały zagadnienia polityczne. A ktoś, kto nie zna wprawdzie dobrze twórczości francuskiego poety, ale zadał sobie trud przeczytania pierwszej lepszej historii literatury, zauważa skromnie, że świat poetycki Claudela ukształtował się całkowicie w latach 1902—1910, co każe wątpić w faszyzm pisarza, nie wykluczając jednak — jego reakcyjności...

B: Kapituluję — w tej bitwie. Wojnę postaram się jeszcze wygrać. Bo wszystkie nieścisłości, o jakich mowa, wzięte są z dwu zaledwie szkiców. Tymczasem essaye teatralne, plastyczne...

A: ...nie starczy mi tu na dyskusję ani erudycji, ani miejsca. Ale powiązanie Jouveta z niemiecką „neue Sachligkeit", określenie Corota jako „pilnego, ale wtórnego jako artysta obserwatora rzeczywistości z połowy XIX wieku", uznanie 80-letniego katolika Rouaulta za malarza bliskiego egzystencjalizmowi, mówi samo za siebie...

*) por. rozdział Les meurtriers délicats w książce Camusa L'homme révolté.

*) Określeniem tym zresztą Kałużyński szafuje z niezwykłą hojnością.

B: ...nie można też zapomnieć o świetnych szkicach obyczajowych Kałużyńskiego. Rzecz ciekawa: w mało którym kraju zaszły po wojnie tak gwałtowne zmiany obyczajowe jak w Polsce. A mało gdzie tak nic nie umiano o owych zmianach napisać! — Pojęcie essayu obyczajowego jest u nas właściwie nieznane. Kałużyński pokazuje, czym może być „wielki" reportaż-essay. Relacja łączy się tam z rozumowaniem, precyzja osobiście widzianego z oryginalnością osobiście przemyślanego. „Epoka erotyzmu naukowego", mieszczańska mitologia i kontrmitologia śmierci, życie teatralne Paryża (które przecie w połowie tylko należy do sztuki, w połowie zaś — do obyczaju) — tu Kałużyński objawia zmysł obserwacyjny, bogactwo erudycji, zrozumienie mechanizmów społecznych. Powiecie, że pisze o rzeczach znanych? Oczywiście. Ale kto je przed nim opisał? Przynajmniej — równie wyczerpująco? Podróż na Zachód zamyka w formuły to, co jest atmosferą. Wielu ją czuje, nie każdy potrafi wytłumaczyć. Tam Kałużyński naprawdę pomaga zrozumieć Zachód. Uwierzytelnia także to, co czytelnik poznaje gdzie indziej w formie czasem niedorzecznej lub nie budzącej zaufania. Może się nawet zdawać, że Kałużyński sztukę widzi przez obyczaj. Tak, jak w pewnych latach Boy. Mniej interesuje go dzieło sztuki, bardziej bezpośredni (choćby „powierzchowny", obyczajowy) obraz życia, jakie się w nim przegląda. Przykładem rozprawka o Davidzie. Badanie dzieła zajmuje tam mniej miejsca niż analiza gustów, zmiany w recepcji Davida, informacje obyczajowe. I nic dziwnego, że ów (bardzo interesujący) szkic niezbyt przekonuje: nie wpływa bowiem na próbę oka... Ale właśnie w essayach obyczajowych bezceremonialne traktowanie literatury nie razi. Tam bowiem jest ona tylko elementem, tylko ilustracją. Nie myśl jej twórców jest ważna, lecz atmosfera, w której powstała, sposób, w jaki ją przyjmuje społeczeństwo. I przynajmniej tam łatwo Kałużyńskiemu wybaczyć uproszczenia...

A: Obyczajowość jest „płynniejsza" od sztuki. Dowolności Kałużyńskiego trudniej tu dostrzec.

B: To są złośliwości. Chciałbym usłyszeć spór bardziej zasadniczy — spór o interpretację.

A: Z czego składają się szkice Kałużyńskiego? Z oczywistych (przed lekturą nawet) wniosków i nielojalnych dowodów. Wnioski? Elementarne określenia polityczne. Dowody? Zniekształcone streszczenia, dowolnie zestawione fakty. Ale jest coś jeszcze: zasłona dymna. Setki anegdot, zdarzeń, myśli, zmieszanych w efektowny — tak, bardzo efektowny! — fajerwerk.

B: A więc — walka z essayem?

A: Gadulstwo i fumizm nie są essayem. Bogactwo erudycji, swoboda kompozycji, elegancja elipsy intelektualnej muszą służyć logice. Choćby — ukrytej. Jak zabiera się Kałużyński np. do egzystencjalizmu? Najpierw mówi o jego tradycjach, później o wpływie, jaki wywarł na poszczególne sztuki. Samego zjawiska nie tknął prawie wcale. I znalazł sobie łatwy wykręt — wrzucił do worka z etykietką „egzystencjalizm" pół twórczości francuskiej po wojnie (i przed): Carnégo i Rouaulta, Burauda *) i Dunoyer de Segonzaca **)! Kałużyński nie ma

*) Jeśli Buraud (mało znany zresztą essayista) jest egzystencjalistą, to Juliette Greco jest filozofem.

**) Przy sposobności proszę o wytłumaczenie mi następującego zdania: „Nie opuszczając ram estetyki surrealistycznej, malarstwo najnowsze ma zmierzać ku realizmowi — i dlatego z zainteresowaniem przyjęto zorganizowane w maju i czerwcu 1948 roku wystawy Dunoyer de Segonzaca i Zuzanny Valadon". Obawiam się, że Kałużyński nigdy w życiu nie widział nawet reprodukcji Segonzaca czy Valadon: zdanie powyższe nie ma w ogóle sensu.

przede wszystkim jasnego pojęcia prądu kulturalnego: zmiany mody równają się dlań zmianom prądu. Dla niego surrealizm to coś równoważnego barokowi, egzystencjalizm — romantyzmowi (str. 47). Tym bardziej — nie wie, jak zakreślić granice kierunku literackiego. Dlatego ciągle mówi naokoło, obok. Raz — o Kafce i Sade, raz — o atmosferze intelektualnej Paryża, raz — o artystycznej cyganerii, raz — o kolejnych zainteresowaniach plastycznych...

B: Ależ to właśnie było zadaniem Kałużyńskiego. Cytuję: „Jak powinien postąpić badacz-marksista: czy wszcząć dyskusję z autorami, których rozważania nie wychodzą na podwórko Sorbony, czy pominąwszy tych odseparowanych od świata pseudofilozoficznych szaradzistów zająć się raczej czytanymi szeroko romansami egzystencjalistycznymi". Czyli — dyskutować filozoficznie, czy — odsłonić „modę literacką, określaną jako egzystencjalizm, która wydała wiele charakterystycznych poematów, powieści, filmów, gdzie poglądy pierwotne tej szkoły zostały zniekształcone do niepoznania"? Kałużyński wybiera drugie — i jest w swym prawie.

A: Łatwo i na to znaleźć odpowiedź. Pomijam już, że Kałużyński uważa za rzecz niemarksistowską zajmowanie się krytyką... filozofii, choćby filozofii „szaradzistów". (Na szczęście istnieją jeszcze inni, prócz apodyktycznego Kałużyńskiego, marksiści. Idą wzorem Lenina, zajmującego się w swoim czasie krytyką również „pseudofilozoficznych szaradzistów", empiriokrytycystów, i to krytyką merytoryczną, nie insynuacyjną, jaką uprawia nasz autor). Otóż, bez wątpienia, Kałużyński ma prawo nazwać egzystencjalizmem całą awangardę intelektualno-artystyczną Paryża po wojnie. Ale nie ma prawa obciążać odpowiedzialnością za młodzieńców z Saint-Germain itd. Sartre'a, Camusa*), Heideggera i Kierkegaarda — osobiście i bezpośrednio. Postępuje bowiem wtedy tak, jak gdybym postępował ja obwiniając Kałużyńskiego o to, że w jego książce snobi i idioci szukają zachodnich smaczków. Kałużyński nie polemizuje, lecz dyskwalifikuje. Nie przyjdzie mu na myśl podjąć argumentów przeciwnika. Po co? Można go przecież potępić za to, że jego znajomy rozkoszuje się na przykład kroniką kryminalną w gazecie. Kałużyński rozumuje jak pewien francuski minister spraw wewnętrznych, który po głośnym procesie wołał o zamknięcie knajp w Saint-Germain, „siedzibie intelektualnych i erotycznych zboczeńców". Była już zresztą mowa, że argumentacja seksualna nie jest Kałużyńskiemu obca...

B: Możliwe, że Kałużyński nie zawsze bywa lojalny. Pewne jest natomiast, że jego przeciwnik wygłasza teraz nie polemikę, lecz pamflet.

A: Oczywiście. Ale Kałużyński do tego wręcz prowokuje. Podróż na Zachód cechuje prawdziwie szeroki zakres problematyki. Nie potrafię prostować i dyskutować o wszystkim, choć nie tylko w dwu szkicach, którymi się głównie zajmuję, widzę nieścisłe informacje i więcej niż ryzykowne konstrukcje myślowe.

B: Kałużyński nie porywał się jednak na opis całości życia kulturalnego Francji, a tym bardziej całego Zachodu...

A: Nie idzie o to, aby powiedzieć wszystko, lecz aby powiedzieć to, co dla danego tematu najważniejsze. Najlepszym dowodem powierzchowności wniosków Podróży na Zachód

*) Camus zresztą nie uważa się za egzystencjalistę i ściśle mówiąc, nim nie był ani jest. Bliski był tylko egzystencjalizmowi kierunek jego poszukiwań intelektualnych. Rola Camusa została tu zresztą dziwnie pominięta.

są losy dwu ludzi, których Kałużyński uznał za symbole marszu mieszczańskiej kultury Francji do faszyzmu. Sartre'a *), który w chwili druku książki wstąpił do ruchu obrońców pokoju, i Mauriaca, którego wówczas wypraszano z reakcyjnego „Figaro" za walkę z kolonializmem i brutalne ataki na rząd Laniela — „dyktaturę o głowie wołu"... Jeszcze jedno. Podróż na Zachód mogła naprawdę stać się bardzo ważną książką. Mogła stać się literackim dowodem, że mamy rację. Tymczasem tak się nie stało. Efekt Podróży może być nawet odwrotny. Kiedy bokser używa nieczystych ciosów, usuwa się go z ringu. Co gorsze jednak — widzowie nabierają przekonania, że jest od przeciwnika słabszy. Podróż na Zachód, uchylając się od rzeczowej polemiki, dowodzi — paradoksalnie — niezwalczonego kompleksu niższości wobec Zachodu. Dlatego zapewne Kałużyński wszystko, co tylko mógł, dyskwalifikował. Tak np. zmasakrował O'Henry'ego, amerykańskiego pisarza, który w Związku Radzieckim zasłużył sobie na przeszło dwa miliony nakładu! Streszczam swoje wnioski wyraźnie, aby Kałużyński (ciętości jego pióra składam chętnie hołd i cieszę się, że umie je wykorzystać w słusznej sprawie, jak np. w polemice z Lasotą), nie pojął mych intencji tak, jak zrozumiał sens dramatów, o których była mowa. Mianowicie: 1) uważam, że powinniśmy walczyć z tym, co na Zachodzie jest obce i wrogie; 2) uważam, że powinniśmy walczyć z Zachodem uczciwą bronią, nie insynuacjami, lecz argumentami; 3) uważam, że Kałużyński wykręcił się od lojalnej polemiki, zniekształcając myśli swych przeciwników (patrz przykłady) i winiąc ich za winy niepopełnione (patrz przykłady); 4) uważam, że jest to dowód intelektualnego strachu przed Zachodem i — paradoksalne — nadmiernego nim zafascynowania; 5) uważam, że Podróż na Zachód, pomijając partie czysto obyczajowe, może wywrzeć szkodliwy wpływ, ucząc nielojalności myślowej i opisując urojone, zniekształcone dla wygody zjawiska.

B: Czuję się w obowiązku przerwać tę filipikę. Kałużyński otworzył okno, które trzeba było otworzyć. Zobaczył za nim bardzo dziwny, ruchliwy i niepokojący światek. Trochę przerażony, trochę zafascynowany, chciał o nim powiedzieć najwięcej, nie dbając dostatecznie o jakość argumentów. Podróż na Zachód może być tylko początkiem polemiki, o której była mowa. Niesposób było Kałużyńskiemu oczyścić od razu stajni Augiasza. Nikt do nikogo nie może mieć pretensji, że nie jest Herkulesem. Jeślibym ze swej strony miał zgłaszać zastrzeżenia do Podróży na Zachód, zgłosiłbym inne. Kałużyński zdemonizował trochę Zachód. Nie składa się on tylko z Fastów i Millerów, świętych i szatanów. Kałużyński skłonny był czasem zapominać o owej części sztuki Zachodu, która, nie będąc bynajmniej jednoznacznie postępowa, szuka jednak kontaktu z istotnymi dążeniami społeczeństw i historii. Ani Picasso, ani Faulkner, ani Honegger nie zginą w historii kultury. O tym już dzisiaj wszyscy doskonale wiemy. Prawdopodobnie nie zginą także Sartre, Hemingway, Braque. Od nich prawdopodobnie można się także czegoś nauczyć, przynajmniej zaś — trzeba ich wciągać do rachunku. I oni czy ich następcy nie patrzą na Wschód bez nadziei, przynajmniej zaś — bez odrobiny dobrej

*) Jak jednak można mówić o Sartrze, nie wspominając o Drogach wolności, jego największej powieści? Analiza Dróg, w których całe partie są postępowe i słuszne, inne zaś — zupełnie nam obce, jest mocno skomplikowana, i Kałużyński wolał udać, że nic o tej książce nie słyszał.

woli. Oby Kałużyński o nich nie zapomniał, nie zapomniał o trosce, z jaką musimy notować wszystko, co mówi choćby cząstkę prawdy, wszystko, co może być w przyszłości użyteczne. Bo na dalszy ciąg — precyzyjniejszy jeśli możliwe*) — jego essayów czekamy z niecierpliwością.

A: Oby też zaryzykował prawdziwą wojną intelektualną, przed którą, ku żalowi (i współwinie) nas wszystkich, uciekł...

B: Raczej — nie w pełni sprostał.

Jan Błoński

Z PAMIĘTNIKÓW

Wspomnienia, pamiętniki stają się dzisiaj nie tylko modne, lecz także — jak się okazuje z zainteresowania nimi — nieodzownie związane z naszym bieżącym życiem, a tym bardziej jeśli są to wspomnienia z teraźniejszości, jak dowcipnie nazwał swój ostatni cykl publikowanych opowiadań Kazimierz Brandys. Ta „moda" na nie, od pewnego czasu coraz bardziej się potęgująca, spowodowana niejako zapotrzebowaniem społecznym, nie ma — na szczęście! — charakteru doraźnej akcyjności, przed czym zawsze trzeba się bronić, taki bowiem wniosek nasuwałaby obchodzona rocznica dziesięciolecia. Myślę jednak, że pamiętnikarstwo jest najbardziej popularnym sposobem wyrażenia prawdy naszego czasu, nim przyjdą powieści, które staną się naszym odpowiednikiem Drogi przez mękę, a więc szerokim i pełnym obrazem przemian. Popularność tego typu literatury wyraża się w tym, że jest ona dostępna dla każdego, kto potrafi pisać (co oczywiście nie wystarcza) i kto także ma coś do powiedzenia. Utwór oparty na fikcji — jak przekonaliśmy się na podstawie literatury minionego pięciolecia — częstokroć nie zadowala, gdyż niesie on mimo wszystko jakieś ubóstwo o świecie, niewspółmierne z naszymi doświadczenia, których potwierdzeniem staje się niejednokrotnie pamiętnik. Sądzę, że właśnie tym powodował się Lucjan Rudnicki, pisząc Stare i nowe, przy czym forma pamiętnika podniosła urok tej książki. Sądzę, że tym też powodował się Igor Newerly, opatrując pierwotnie opowieść o Szczęsnym tytułem Pamiętnika i od koncepcji fikcyjnego pamiętnika tę opowieść zaczynając. „Tak oto został sam budulec: — wzmiankuje na wstępie autor jakby chciał nas utwierdzić o prawdziwości wydarzeń, które podaje — pokaźny brulion, stron 53, pożółkłe druki jako załączniki i luźne kartki notatek z ustnych jego uzupełnień". Forma pamiętnika, w pierwszej wersji Pamiątki szerzej stosowana, pozwoliła Newerlemu na pewne dygresje i sięgnięcie w przyszłość.

Ten natłok wrażeń, jaki przeżywamy, powinien znajdować swe ujście w pamiętnikarstwie. Ma ono swoje dobre i złe strony, lecz wartości zawsze w takim wypadku górują nad brakami. Dlatego też każdy pamiętnik witać będziemy z zainteresowaniem, oczywiście z tym zastrzeżeniem, że jest to dzieło liiterackie, nie zaś poszerzona ankieta personalna.

Pamiętniki Opolan* są dziełem o nieprzemijającej wartości poznawczej, a zarazem udanym eksperymentem ukazania wycinka dziejów po-

*) Obrońca przyznaje tu choć częściowo rację prokuratorowi. Nie ma doprawdy innego wyjścia. Oskarżyciel powiedział mu bowiem w przerwie, że dysponuje jeszcze kilkakrotnie większą ilością świadków obciążających, to znaczy — mnóstwem nieścisłości i dowolności Kałużyńskiego. W razie wznowienia procesu mogą być one okazane sądowi.

* Pamiętniki Opolan. Wydawnictwo Literackie. Kraków. Redaktor Ryszard Hajduk. Wstęp Edmunda Osmańczyka, posłowie Ryszarda Hajduka. Str. 556.

przez losy poszczególnych ludzi. Bowiem całość tych Pamiętników ogarnia dość spory zasięg czasowy, poczynając od końca XIX wieku, i przynosi cały szereg nieznanych nam szczegółów z kart naszej historii. Nie waham się użyć nawet słów brzmiących nieco patetycznie, lecz — tak jest! Te Pamiętniki wprowadzają nas — w sposób, rzecz jasna, nieusystematyzowany — w historię Opolszczyzny widzianą nie poprzez dokumenty, lecz oczyma żywych ludzi, którzy tę historię tworzyli. Piękny język, żywość i niezdawkowość sytuacji a jednocześnie jakaś surowa ocena życia przez ludzi walczących — oto z grubsza biorąc walory tej książki. Kim są ci pamiętnikarze? Jest ich dwudziestu dziewięciu, część ich znamy z pracy społecznej, jak np. Mrochenia, Wegnerową, Słowika czy Zięcia, część z prac literackich, jak Jakuba Kanię, Rafała Urbana, znanego miczurinowca, czy młodego poetę Adolfa Niedworoka, część wreszcie, jak np. Smolkę, z pracy w dziedzinie teatralnej. Cóż ich jednak wszystkich wiąże? Zapewne, że rejon kulturalny i walka o wyzwolenie narodowe i społeczne. Najgłębiej jednak łączy te pamiętniki wspólny ton. Są one jak najbardziej ludowe w dosłownym tego słowa znaczeniu. Pisane przez chłopów i robotników lub inteligentów z ich grona się wywodzących, mają wspólny klimat moralny.

Trudno tu któryś z pamiętników wyróżnić. Ich wielka zaleta (sądzę, że jest to zasługa redaktora tych Pamiętników — Ryszarda Hajduka) tkwi w doborze, na ogół nie powtarzają się one, będąc przy tym ciekawymi, ba, nawet pasjonującymi dokumentami zarówno obyczajowymi, jak i walki politycznej. Nie ma w nich „nędzologii" przedwojennych Pamiętników chłopów, które w dużej mierze przez podobieństwo opisywanych warunków stawały się monotonne. Przeciwnie — cechą Pamiętników Opolan jest różnorodność. Np. Paulina Nieszpór pisze z wielkim poczuciem humoru Opolskie wspominki — jest to autobiografia, podana w olbrzymim skrócie, przeciętnej Opolanki. Szymon Koszyk i Rafał Urban kreślą obrazy swej młodości, zawierające ciekawy zarys stosunków obyczajowych, natomiast Jan Mrocheń zajmuje się głównie ukazaniem walki klasowej w oparciu o KPD i dość licznego udziału w niej Polaków. Sporo miejsca w pamiętnikach zajmuje okres lat 1933 — 1939, kiedy hitlerowcy usiłowali złamać polskość tych ziem przy absolutnej prawie bierności w tej sprawie rządów sanacyjnych. Jan Łangowski, jedyny nie-Opolanin, związany jednak mocno z Opolszczyzną jako działacz, podaje np. fakt nacisku hitlerowskiego aparatu administracyjnego i demaskuje jego praktyki germanizatorskie. „Na łączną liczbę 132 urodzeń w tym miesiącu (sierpień 1938 — przyp. mój) doliczyłem się 36 wypadków nadania imion germańskich dzieciom z rodzin noszących nazwiska wyraźnie polskie... Można więc na przykładzie jednego miesiąca wywnioskować, że w ciągu jednego roku zaszło ponad 400 wypadków formalnej germanizacji drogą dobrowolnego i przymusowego nadania imion niemieckich w obrębie tylko Urzędu Stanu Cywilnego w Opolu". Ten fragment pamiętnika jest nie tylko stwierdzeniem istniejącego stanu rzeczy, lecz — jak sądzę — powinien być przemyślany przez władze opolskie celem wyciągnięcia zeń wniosków.

„Rozczytywać się będziecie w tych Pamiętnikach nie raz — stwierdza w swej trafnie zatytułowanej przedmowie Mocno ciekawe i mocno piękne Edmund Jan Osmańczyk —

więc nie mam zamiaru tu ich streszczać, ani kolejno każdego omawiać". Cytując to zdanie z przedmowy pragnę je uznać za własne. Sądzę jednak, że należy się bić, aby te Pamiętniki zostały udostępnione jak najszerszym masom czytelniczym i słusznie też „Nowa Kultura" domagała się, by weszły one w skład „Złotej Biblioteki". Zasługują na to! Oby nie spotkał ich los Pamiętników chłopów, które stały się cennym wprawdzie, lecz niedostępnym dokumentem, miast żywą tradycją literacką.

Na ten zarzut ktoś może odpowiedzieć — nieprawda, Pamiętniki chłopów ukazały się niedawno („Książka i Wiedza"), są więc na rynku i są dostępne. Owszem, ale otrzymaliśmy strzępy tych pamiętników. Plaga ilustratorstwa jest niełatwa do zwalczenia, w praktyce wydawniczej nazywa się to „zwróceniem uwagi na zagadnienia najistotniejsze", tymczasem... Co byśmy jednak powiedzieli, gdyby nam jakieś wydawnictwo zareprodukowało słynny obraz The potato eaters (Zjadacze kartofli) Van Gogha, pochodzący z roku 1885, nie w całości, lecz w wycinku przedstawiającym wyłącznie... kartofle, ich ilość i kształt. Nazwalibyśmy takiego wydawcę barbarzyńcą, gdyż z takiej reprodukcji nikt nie odniesie korzyści. Tymczasem Pamiętniki chłopów, jakie ukazały się ostatnio w wyborze, dają na ogół tylko wycinki obrazów warunków bytowania i to pojmowanych w dodatku w jak najciaśniejszym zakresie, potęgując tym niepotrzebnie, osławioną „nędzologię" polską. A przecież wymowa Pamiętników chłopów działa nie tylko dzięki zawartym w nich materiałom, lecz także dzięki temu, że był to wielki dokument literacki dwudziestolecia. Trzeba się więc sprzeciwiać wszelkiemu „obcinaniu" dzieł literackich i „przykrawywaniu" ich do fałszywie pojmowanych koncepcji politycznych. Wycinki takie nikogo nie przekonają, tworzą przecież obraz zniekształcony. Natomiast należy „Książkę i Wiedzę" pochwalić za to, że tknęła w ogóle Pamiętniki chłopów. Przecież one dawno powinny wejść w skład jakiegoś naszego zbioru książek o dwudziestoleciu, cóż prostszego, jak nie wydać tych paru tomów (pamiętniki te można „rozparcelować" i powiązać w pewne całości). Tak udostępnione będą prawdziwą lekturą, a nie tylko „ilustracją" czasów, które minęły.

Inny, zupełnie inny charakter mają wspomnienia, zebrane w tomie pt. Warszawa naszej młodości*

Są one: 1) zbiorem doskonałych anegdot, w czym szczególnie celują: Jerzy Leszczyński, Henryk Małkowski, Antoni Słonimski i Jerzy Zaruba; 2) obrazem życia stolicy, przy czym każdy z autorów dokłada się w swoisty sposób do tego obrazu; 3) wyrazem sentymentu, jakim każdy warszawiak (pojęcie bardzo względne!) obdarza swoje miasto i 4) dokumentem historycznym lub raczej jakimś przyczynkiem do historii miasta, które zmieniło na skutek wojny i zachodzących przemian swój kształt. Ze wspomnień narasta barwna panorama jak z obrazów Canaletta i podobnie do Pamiętników Opolan (mimo wszelkie i oczywiste różnice), dzięki umiejętnemu zredagowaniu tomu — uzyskujemy obraz całości. A przecież nie było to takie łatwe — „...następ-

* „Iskry", 1954. Wspomnienia. Heleny Boguszewskiej, Marii Dąbrowskiej, Jerzego Leszczyńskiego, Henryka Małkowskiego, Zofii Nałkowskiej, Tadeusza Radwańskiego, Antoniego Słonimskiego, Jerzego Szaniawskiego i Jerzego Zaruby. Ilustrowali: Władysław Daszewski, Andrzej Jurkiewicz. Mieczysław Piotrowski, Jerzy Srokowski i Jerzy Zaruba. Opracowanie graficzne całości Marka Rudnickiego. Redaktor tomu. Adam Mauersberger.

ny dom tej ulicy, którego też nie ma, jest trudniejszy. Jest czymś rozdzierającym serce. Trzeba mocniej zacisnąć powieki, by go ujrzeć, by go wydźwignąć ze straszliwego niebytu. Nie tylko go nie ma. Na jego miejsce właśnie są teraz te niskie, drewniane baraki, jest jakiś parkan..." — pisze Zofia Nałkowska o trudnościach w odtwarzaniu tego, co było, zatartego w naszej pamięci. Warszawa, miasto, które się tak zmienia, jest wdzięcznym obiektem wspomnień, to prawda, lecz jakże niełatwo wydrzeć je z siebie, skoro nowy kształt, jaki napotykamy co dzień, przeczy tamtym — starym. Trzeba nielada pamięci, aby to wszystko zróżnicować, aby z właściwym czasem i miejscem powiązać realia tych wspomnień.

Jaka była Warszawa tamtych lat? „Chodząc po tej biednej Warszawie, sponiewieranej przez niedolę albo obce natchnienie carskiej władzy, żywiłam myśli burzące w stosunku do mej stolicy i w myślach całą ją przebudowywałam ani śniąc o tym, nieszczęsna, że cena nowej, pięknie przebudowanej Warszawy będzie tragiczną katastrofą" — podaje Maria Dąbrowska. Wspomnienia znakomitej pisarki dotyczy lat 1905 i następnych, podobnie jak i Tadeusza Radwańskiego. Związaniu Warszawy z teatrem, jego roli w tym mieście poświęcone są wspomnienia Jerzego Leszczyńskiego, Henryka Małkowskiego i Jerzego Szaniawskiego. Przepisałbym je jako lekturę obowiązkową dyrektorom teatrów warszawskich, nawet nie pytając, gdzie podzieli tę piękną tradycję, kiedy teatr był ośrodkiem zainteresowania inteligencji. Antoni Słonimski kreśli obraz swego dzieciństwa i lat młodości, zaś Jerzy Zaruba w lwiej części swoje wspomnienia poświęca „cyganerii" warszawskiej sprzed I wojny światowej. Helena Boguszewska, autorka tak warszawskiej książki, jak Czekamy na życie, daje parę luźno powiązanych z sobą impresji.

W sumie pozycja interesująca, należąca do tego typu książek, które czyta się jednym tchem, i myślę, że równie trudno się oderwać od niej, co od Psa Baskervillów. Różnica m. in. jest taka, że Psa na pewno dostać łatwiej (może się łudzę, bo nakład był tylko 50 tys.), jeśli więc kto będzie miał pretensje do niżej podpisanego, że omawia książki, których nie ma w księgarniach, niech wie, że to nie jego wina, lecz — jak zwykle zresztą — wydawnictwa.

Czekamy teraz na drugie wydanie Warszawy naszej młodości, jak też i czekamy na drugi jej tom. Pisarza udana próba zachęca do następnych!

Lesław Bartelski

POWIEŚĆ, NOWELA, REPORTAŻ

1

Data druku — lipiec 1954 — dostatecznie wyjaśnia pomysł wydawniczy. W dwu tomach zgromadzono opowiadania kilkunastu pisarzy; zakres pierwszej z tak powstałych książek jest ograniczony wyłącznie współczesnością tematyki, o bardziej specyficznym charakterze drugiej — informuje podtytuł[1]. Może właśnie, między innymi, dzięki większej rozmaitości — lepiej wypadł Dzień dzisiejszy.

Bezsprzecznie najdonioślejszym zjawiskiem literackim jest wśród tych

[1] Kazimierz Brandys, Marian Brandys, Jerzy Broszkiewicz, Maria Dąbrowska, Jarosław Iwaszkiewicz, Tadeusz Konwicki, Jerzy Putrament: Dzień dzisiejszy; „Czytelnik", Warszawa, 1954, str. 327. Kornel Filipowicz, Roman Hussarski, Jan Jaźwiec, Jan Kurczab, Tadeusz Kwiatkowski, Hanna Mortkowicz-Olczakowa, Stefan Otwinowski: Młodość miasta, Opowiadania o Nowej Hucie; „Czytelnik", Warszawa, 1954, str. 309.

utworów Trzecia jesień. Wcale nie dlatego, iżby Dąbrowska powiedziała tu coś, czego byśmy nie znali z pięknych kart jej dawnej twórczości; przeciwnie — z powodzeniem przylegałoby do opowiadania motto zaczerpnięte z rozmyślań Dionizego w Ludziach stamtąd: „Choćbyś nie miał z czym wyjść przeciw swemu nieszczęściu, wynijdź z niczym, z samą tylko śmiałością i z samym sercem człowieczym", a stary Łohojski również jest zdania, że — jak czytaliśmy na którejś stronie Nocy i dni — „...niczego na świecie nie można przyrównać do radości płynącej z pracy, która się toczy po myśli". A więc? — Sądzę, że znaczenie Trzeciej jesieni polega przede wszystkim na odświeżeniu poprzez realia „dnia dzisiejszego" mało efektownych, lecz niezmiennie mądrych prawd, które zawiera całe pisarstwo autorki. Że zasługą Trzeciej jesieni jest literacka rehabilitacja spraw jedynie z pozoru drugorzędnych, ileż razy świadomie lub choćby mimo woli lekceważonych; że utwór replikuje, wyzywa tych wszystkich, którym się wydaje, iż problemy ludzkie da się bezbłędnie podzielić na „wielkie" tudzież „małe". To wszystko decyduje o społecznej przydatności opowiadania. Czy trzeba dodawać, że funkcja ta byłaby nie do pomyślenia, gdyby utwór nie był aż tak jak jest przekonywający artystycznie? Wprawdzie idea zawsze ta sama — konsekwentnie snuje się ona przez wszystko, co wyszło spod pióra Dąbrowskiej— ale postaci oraz ich świat, opowiedziane z wybornie głębokim oddechem epickim, są coraz to inne, żyją, istnieją naprawdę, toteż nie są nam obojętne.

Ze zgoła odmiennych powodów budzi zainteresowanie Ucieczka Felka Okonia. Uwagę pochłania w tym wypadku zagadnienie autorskiej ewolucji. Iwaszkiewiczowski świat fikcji nie uległ zresztą zmianie (Felek dość blisko jest spowinowacony z Wackiem, bohaterem Starej cegielni); zastanawia fakt o wiele bardziej istotny: pisarz postąpił na przekór swym upodobaniom. W jednym z przeuroczych Listów do Felicji zwierza się Eleuter, że w literaturze „...bardziej ceni niepokój niż jasność światów rozwiązanych matematycznie". Kiedy indziej — mówiąc o twórczości Zofii Nałkowskiej — wyznał Iwaszkiewicz swój zachwyt dla Niecierpliwych, powieści — jak słusznie powiada — „niezwykłej, zadziwiającej, wypaczonej w swych założeniach, wydziwaczonej w swych formach, ale fascynującej". Lecz słowa te — zrozumiałe u autora Młyna nad Utratą i Słońca w kuchni — sąsiadują z uwagą nader znamienną: „Niestety dla mojego gustu nie mogę znaleźć teoretycznych uzasadnień." Mamy więc oto jedną przesłankę. Niech będzie wolno przedłużyć dygresję o jeden jeszcze cytat, a znajdzie się przesłanka następna. Korespondował mianowicie Eleuter z Felicją i O polskiej tradycji literackiej. Punktem wyjścia było Z minionych dni Daniłowskiego, punktem dojścia — już wówczas! — przekonanie, że „...w nawoływaniach o zachowanie ciągłości w naszej tradycji literackiej trzeba bardzo wyraźnie określać, o jaką tradycję chodzi. Na pewno nie o tradycję Ignasia, który najlepsze zdolności skierował na śmiertelne szukanie nieistniejącego kwiatu paproci". — Ucieczka Felka Okonia jest tedy próbą praktycznego, pisarskiego wyciągnięcia wniosków z przemyśleń.

Próbą ważną dla twórczości Iwaszkiewicza, aczkolwiek — chybioną. Bo przecież udatność poszczególnych fragmentów opowiadania (śliczny zwłaszcza epizod z Jadwigą) czy nowa kolekcja niezrównanych metafor i porównań — to powody do częściowej zaledwie sa-

tysfakcji z lektury. Duże, owszem, napięcie emocjonalne Ucieczka Felka Okonia zawdzięcza dynamice akcji, w której po trosze gubi się niepokojący prymitywizm wiązań. Gdyby nie to, że Felek jest głuptasek (*nb.* bardzo miły, co usprawiedliwia autorską doń sympatię) i gdyby nie ustawiczne szczęśliwe zbiegi okoliczności, życzliwie mu przez pisarza podsuwane — fabuła musiałaby się urwać w momencie najmniej zamierzonym. Mówią naszemu bohaterowi na każdym kroku: zawróć, zostań, nie ma sensu uciekać z Polski — on sam wreszcie podobnie uważa; ale nie, uparł się, że musi, że koniecznie, że to jedyne wyjście (sprytniejszy „zadekowałby się" gdzie bądź, ot, właśnie w Szczecinie) — no i doczekał się. Przepraszam, niczego się nie doczekał, wszystko mu się jak najlepiej powiodło: autor wykaraskał go z najgorszej opresji. Zapewne, Felek niejedno zrozumiał. Miejmy nadzieję, że nieco zmądrzał.

Inną wersję motywu ucieczki znajdziemy u Tadeusza Konwickiego (opowiadanie pt. Powrót). Wyzwolenie zastało Bolka w Niemczech. Osierocony podczas wojny, nie spieszy się do Polski — wrócił dopiero w roku 1947. Przez dwa lata zakosztował stosunkowo łatwego życia w ówczesnym rozgardiaszu, toteż niesporo nawyka do warunków normalnej, codziennej pracy. Jest zdolny i pomysłowy, młodzieńczo przekorny i ambitny. Nie dowierza — lub raczej nie chce się dać przekonać — iż w kraju jest dobrze, a będzie coraz lepiej. Postanawia zmykać tam, skąd wrócił. Rozmyśla się w ostatniej chwili, po drodze. — Koncepcja utworu szczerze się podoba; motywacja psychologiczna na ogół niezła, miejscami zupełnie dobra. Czyta się gdzieś „poza" tekstem, że pomysł opowiadania był lepszy niż jego realizacja. Nie mówię tego z intencją zarzutu; tym bardziej że pisarz ten — co już jest widoczne — rozwija własne środki wyrazu. Umie kształtować konstrukcję dla swoich zamiarów (może nawet zbyt wiele strzępienia czasu akcji w Powrocie), odznacza się wrażliwą obserwacją zmysłową, więc — chociaż próby zmierzające ku temu, by krajobraz spełniał rolę czynnego tła, nie zawsze się Konwickiemu udają — sporo tu kart naprawdę ładnych. Razi natomiast nadużywanie kontrastów w charakterystyce postaci, jako przykry wtręt odczuwa się czysto powierzchowne a niewybredne metody indywidualizowania bohaterów. Wolałbym też, aby narracje Michasia i Bolka — dla kondensacji stylizowane — zrelacjonował był autor, zamiast podawać je w mowie niezależnej.

Odmowa Jerzego Putramenta — rzecz z pogranicza literatury i socjologii — posługuje się wątłą akcją, stanowiącą pretekst do zamaszystej charakterystyki nastrojów i stosunków zaraz po wojnie — już to na wsi, już to w młodym aparacie rządowym. Na tym tle rozgrywa się „nieantagonistyczny" konflikt między ojcem i synem — reprezentantami dwóch pokoleń ludzi partyjnych. Utwór dyskursywny. Tragizm sytuacji uwypuklony dyskretną, przejmującą pointą.

Za nieporozumienie uważam anegdotę Mariana Brandysa. Kolega Borowczyk — tytułowy bahater tego maleńkiego studium charakterologicznego — mimo wszystkie swe pozy i ekstrawagancje, jest od razu postacią sympatyczną. Już kiedy w oflagu, na ankietę „dlaczego musimy zwyciężyć w tej wojnie?" odpowiada: „... żeby ludzi już nigdy więcej nie karmiono zupą z brukwi" — wiemy, że to jeden z tych, których się określa potocznie: morowy facet. Tymczasem autor usiłuje nam wmówić coś wręcz przeciwnego, aż do chwili, gdy sam uczyni to wątpliwe odkrycie. A poza tym: czy jeśli ktoś jest

ponury" — to koniecznie „jak noc" i koro „skwaśniały" — to nieodzownie jak ocet"?

Jerzy Broszkiewicz zamieścił w omówionym tomie cykl dziesięciu O p o w i a d a ń l i r y c z n y c h. Niby kronika filmowa utrwalają one najroz-maitsze sytuacje rzekomo podpatrzone w okresie dziesięciolecia Polski Ludowej. Przekrój problemów i problemiów. Nie tylko liryczny — straszliwie przeliryczniony. Dobry jedynie C h o p i n.

O utworze Kazimierza Brandysa — W p o s z u k i w a n i u t e m a t ó w — mówię na końcu, ponieważ nie jest to opowiadanie, lecz reportaż. Interesujący reportaż literacki. Narrator miał możność obserwować partyjną konferencję przed II Zjazdem w mieście P. Obserwacje te — porządnie, systematycznie zapisane — ilustrują typowość wielu aktualnych zjawisk; wśród tych spostrzeżeń jeden szczególny incydent raz jeszcze dowodzi, że prawda o człowieku — słowa „podsumowania" autorskiego — „...nie zawsze jest prosto i łatwo dostępna i nigdy nie można powiedzieć, że zbyt wielu ludzi wysłuchano, ażeby do niej dotrzeć".

Siedem opowiadań o Nowej Hucie starano się ułożyć wydawniczo w jakąś logiczną całostkę. Tom M ł o d o ś ć m i a s t a zaczyna się C h a t ą p r z y t o r z e Jaźwieca — gdzie początek wielkiej budowy jest finałem fabuły, ostatni zaś „rozdział" — Z a p l e c z e Otwinowskiego ma pono być spojrzeniem na kombinat z perspektywy inteligenta zamieszkałego w Krakowie.

Wymienionemu już utworowi Jaźwiea patronuje M a t k a Gorkiego, chociaż temat obrany samodzielnie. Wybór trafny. Dylemat krzywdy indywidualnej tam, gdzie w grę wchodzą względy społeczne. Literacki poziom więcej niż średni.

Opowiadanie Tadeusza Kwiatkowskiego o chuliganach nowohuckich (W e s o ł e m i a s t e c z k o) jest przedziwnie nudne. I żeby przynajmniej można to było zwalić na karb moralizatorstwa. Nic podobnego! Bohaterowie wyprawiają, co im się żywnie podoba; Kwiatkowski nie ingeruje, poprzestaje na beznamiętnym opisie. Do tego stopnia, że ironii tytułu należy się zaledwie domyślać.

Kornela Filipowicza U c i e c z k a d o N o w e j H u t y to przede wszystkim kilkadziesiąt stron kulturalnej prozy — Nowa Huta trochę „na przyczepkę". Kapitalnie narysowane sylwetki spekulantów z Bezdna; stamtąd właśnie rejteruje bohater właściwy — Stefek — gdy sobie uświadamia beznadziejność egzystencji parobka młynarskiego. Nie udała się Filipowiczowi przedsiębiorcza Anna, która chłopca ściąga pod Kraków; nic poza autorskim zapewnieniem nie wskazuje na to, że ona również tak niedawno opuściła Bezdno, gdzie jej rodzeństwo ma „trzy morgi piachu": typ raczej drobnomieszczański.

Wbrew podtytułowi (brzmi on: O p o w i a d a n i a d o w ó d c y) — utwór Romana Hussarskiego o kilku chłopcach z pracującej w Nowej Hucie ochotniczej brygady SP — „Narcyz" — daje wielce nieprzekonywający obraz życia obozowego. Te wieczne pogaduszki, które nie mają nic wspólnego z językiem „służbowym", te propozycje stania „za karę" na warcie (!), te niesubordynacje obracane nieledwie w żart — wszystko razem musi budzić zastrzeżenia. Całe opowiadanie mocno się rozłazi, nie ratują sprawy partie napisane z talentem. Wytknąć trzeba niepotrzebne namaszczenie stylu: u Hussarskiego czasem się „kroczy" zamiast „iść", trzeba „rzec" — nie „powiedzieć", kiedy ktoś ma na coś ochotę — mówi, że tego „pragnie".

Dwa spośród opowiadań poświęcone

są amatorskiemu teatrowi w Nowej Hucie, co więcej — do obu wybrano za oś konstrukcyjną Poemat pedagogiczny Makarenki. — Z dużym zacięciem wywiązał się z postawionego sobie zadania Jan Kurczab (Medalionik i gitara). Potrafi z werwą opowiadać o aktorstwie, pewną ręką kreśli postaci, dobrze sobie radzi z psychologicznym różnicowaniem bohaterów. Nie boi się ostrych spięć sytuacyjnych. Szkoda więc, że poniósł go patos i na koniec wszystko powygładzał. Jeszcze jedno: ważna widać dla autora, bo wybita w tytule, symbolika — niesmaczna. Hanna Mortkowicz-Olczakowa ustami jednego z bohaterów swej Nauczycielki przypomina Siłaczkę; pan ów twierdzi co prawda, że czasy takich heroin „minęły już chyba bezpowrotnie" — autorka jednak jest najwyraźniej odmiennego zdania i *(mutatis mutandis)* ma słuszność. Napisała o tym pożyteczną czytankę z podwójnie pomyślnym i podwójnie banalnym zakończeniem.

Zaplecze wreszcie Otwinowskiego — zgrabnie napisane dywagacje — nie robi wrażenia samodzielnego utworu, z którego coś ma wynikać, ale raczej pierwszego rozdziału jakiejś powieści.

2

Nie tylko alfabetyczny porządek nazwisk autorów skłania sprawozdawcę, by z trzech przydzielonych mu książek, wydanych przez „Iskry" [2] na pierwszym miejscu postawić tom Bogusława Kuczyńskiego.

Hiszpaneczka — druga w ubiegłym roku (O powrót Barabaszów ukazało się wcześniej, nakładem „Czytelnika") książka opowiadań tego autora — beletryzuje tematykę, które dostarczają sądy dla nieletnich przestępców i zajmuje się sprawami tak zwanej „trudnej" młodzieży. Adresowana jest nie tyle do rówieśników bohaterów, co do ich rodziców oraz opiekunów. Może stać się dla nich ważną lekturę. Stawia tezę (nie nową, ale wyrażaną oryginalnie), że nie ma złych dzieci, są tylko wadliwe sposoby wychowywania, niedostateczna troskliwość, małe zrozumienie zawiłości psychiki młodzieży, są na koniec trudne warunki życiowe. To nic, że autor trochę sobie ułatwił zadanie koncentrując zainteresowania na wypadkach mimowolnej lub pierwszej w życiu kolizji z prawem, a nieco na uboczu zostawiając jednostki bardziej zdeprawowane; ważne jest, że szuka i znajduje wiele pierwiastków dobra, uczciwości moralnego wyczucia wśród ludzi rzekomo straconych, że wskazuje środki którymi zaradza się potencjonalnemu złu.

Bohaterka utworu tytułowego (jej środowisko żywo nam przypomina dom Amelki w Dziewczętach z Nowolipek) pozna gorzki smak nieuczciwości wskutek nadmiernej — choć przecież zrozumiałej — chęci „wyżycia się"; Czesław (Pozaremanentowa kura) z pobudek bardzo szlachetnych pozwala sobie na udział w szajce złodziejskiej i na drobniutki rabunek; afera Fujareczki z CDT dowodnie ilustruje dziecinną nierozmyślność wobec pokusy.

Kuczyński biegle cieniuje swój styl. Czy to będzie obraz charakteryzujący życie i zwyczaje, które panują w świecie dobrze znanym autorowi Starych ludzi; czy „wielce romantyczna opowieść" o przestępcy-czułym opiekunie sierot; czy — świadomie monotonny, a jednak nie nużący, pełen ekspresji — zapis przewodu sądowego; czy (nawet w nieudanym ostatecznie Zaczaro-

[2] Bogusław Kuczyński: Hiszpaneczka; Warszawa, 1954, str. 153. Janusz Meissner: Na skrzydłach burzy; Warszawa, 1954, str. 203. Jakub Opoczyński: Niezwykła jesień; Warszawa, 1954, str. 143.

wanym kręgu) próba wniknięcia w psychikę dziecka uwikłanego w dwa światy rodziców (akcja zadzierzgnięta wyjątkowo nieprawdopodobnie) — sztuka pisarska nie zawodzi. Dobrze się stało, że Kuczyński wrócił do czynnego życia literackiego. Miałbym do autora jedną, poniekąd osobistą prośbę. Niech przyszli jego bohaterowie noszą mniej osobliwe nazwiska: Angelis, Blańkień, Cyruń, Nieryś, Przytysz, Samszczyk... — jak na jeden raz, trudna do zapamiętania lista.

Książka Janusza Meissnera ułożona jest w ten sposób, że prosi się o gratulacje z okazji dwudziestopięciolecia twórczości tego poczytnego autora. Ale składać je — byłoby nietaktem, gdyż pierwsza zamieszczona w tomie nowela, oznaczona datą 1930, jest o dobrych kilka lat starsza od pisarskiego debiutu. Więc lepiej pomówmy o samym wyborze lotniczych opowiadań. Wydaje mi się, że nie jest on najlepszy: ilościowo wypada na niekorzyść przedwojennego i wojennego dorobku, jakościowo — na odwrót. Umiejętnie opowiedziana, zajmująca przygoda, przygoda za cenę dużego ryzyka — tak właśnie określiłbym wartość literacką tego, co pisze Meissner. Utwory dawniejsze na tym poprzestają, chociaż nie wprost, mają one wyraźne kontury treściowe. Toteż natrętny autorski komentarz w nowelach o tematyce współczesnej, próby jednoznacznego legitymowania bohaterów oraz ich poczynań — po prostu drażnią. Mocno wątpię, czy organizacja ZMP ma coś przeciwko ustanawianiu rekordów sportowych, gdyby nawet nie przynosiły one „praktycznego pożytku" (Ponad falami Bałtyku), więc zrozumieć nie mogę, dlaczego Meissner doczepia motywy, których i tak wypadnie mu poniechać. Dobre znowu opowiadanie o pokojowych zasługach lotnictwa radzieckiego do znudzenia powtarza motyw tytułu (Na Tajmyrze umiera człowiek). Jest również przykrym obowiązkiem recenzenta ostrzec, że Meissner sam siebie powiela: proszę porównać Na skrzydłach burzy oraz Ponad falami Bałtyku.

Jak Meissner w powietrzu i na wodzie — Opoczyński urok życia widzi w kopalni węgla. Kto raz go zakosztował — odejść, zapomnieć, zrezygnować nie może. Powieść Niezwykła jesień — o ile nie mylą katalogi biblioteczne, debiut — za przedmiot opowiadania wybiera życie ochotniczej brygady młodzieżowej, która się zaciąga i przygotowuje do służby górniczej w Wałbrzychu. Rzecz napisana nie bez talentu; intryga prowadzona równo, spokojnie, prawie wszystko raz powiedziane — znajduje swe uzasadnienie, utwór daje obraz rzeczywistości, którą autor przedstawia. Całość — mimo liczne perypetie — jakoś za układna.

3

Stanisław Zieliński napisał książkę[3], która mogłaby się nazywać: dla każdego coś ciekawego. Podtytuł zbyt skromny — to nie kartki z podróży, to gruby notes reportera, gdzie zapisano wszystko i jeszcze sporo ponadto z tego, co autor zaobserwował oraz czego dowiedział się podczas miesięcznej wycieczki do ZSRR. Był jedynym polskim literatem, wchodzącym w skład delegacji zaproszonej przez Wszechzwiązkową Centralną Radę Związków Zawodowych na uroczystości XXXVI rocznicy Rewolucji. Zwiedził Moskwę, Mińsk, Kijów i Krym.

Bardzo, ale to bardzo wiele szczegółów z najrozmaitszych dziedzin. Autor potrafi korzystać nie tylko ze spo-

[3] Stanisław Zieliński: Czerwone i złote. Kartki z podróży; „Czytelnik", Warszawa, 1954, str. 268.

strzeżeń własnych; skrzętnie gromadzi wiadomości uzyskane od swych kolegów — rezultat ich zainteresowań i specjalności. Drugą warstwę książki stanowi spora garść faktów dotyczących stosunków w Polsce Ludowej; Zieliński nie marnował wielu godzin spędzonych w pociągu: przeprowadził kilka zajmujących „wywiadów" z towarzyszami podróży. — Jest i warstwa trzecia — to delikatne, ale stanowcze aluzje do tych spraw, które należy u nas zmienić na wzór zwiedzanego kraju: kwestie takie, jak wychowanie społeczeństwa, punktualność, czystość w miejscach publicznych, poziom propagandy...

Czerwone i żółte ma duże wartości publicystyczne. Bliższym sercu autora fragmentom książki przydano niebrzydką oprawę literacką.

Andrzej Biernacki

T E A T R

PLANY REPERTUAROWE I PLANY WYDAWNICZE

Sytuacja jest nieco dziwna. Gdzieś jakieś ogniwo pękło czy też może nigdy nie zatroszczono się, aby w ogóle istniało. Spróbujmy przynajmniej wskazać na jego brak. I niech to będzie ze strony pisma literackiego aktem „dobrej usługi" w stosunku do teatrów.

Były na Radzie Kultury referaty i dyskusje poświęcone sprawom repertuaru teatralnego, były artykuły w pismach omawiające zarówno najbliższe, jak i „perspektywiczne" plany repertuarowe, były krytyki, utyskiwania i obiecujące zapowiedzi rozszerzenia, wzbogacenia repertuaru. Nie zrobiono tylko — jak się zdaje — dotychczas ze strony teatrów jednej bardzo prostej rzeczy: nie zainteresowano się w sposób zasadniczy, co dzieje się w instytucjach planujących wydawanie literatury dramatycznej, nie próbowano nawiązać żadnej współpracy z wydawnictwami.

Czy to rzeczywiście tak bardzo ważne? Wydaje nam się, że bardzo. Dowodzą tego ogłaszane w rozmaitych „zapowiedziach" i „wywiadach" zamiary repertuarowe poszczególnych teatrów. Zamiary te — zgodnie z wynikiem szerokiej dyskucji — śmielej powinny sięgnąć zarówno do pozycji obcych w dziedzinie dramatu współczesnego, jak i do wielkich — rozszerzających wykształcenie widza — dzieł dramatu klasycznego wszystkich narodów bogatych w najżywotniejsze tradycje.

Ze sprawą na pozór trudniejszą — z repertuarem współczesnym — jakoś teatry dają sobie radę. W zapowiedziach pojawiły się już nowe ciekawe pozycje i nowe nazwiska autorów. Jest rzeczą co najmniej dziwną, że sprawa repertuaru klasycznego wygląda w dalszym ciągu aż tak słabo, rozwija się aż tak trwożliwie. Bo cóż — według ogłoszonych zapowiedzi — zobaczy publiczność polska w roku 1955 na scenach kilkudziesięciu teatrów istniejących w kraju? Ile w planach repertuarowych mamy wielkich dzieł klasyków obcych — obok (bądź to realnych, bądź mglistych) zamiarów wystawienia Dziadów, Kordiana, Nieboskiej komedii czy Wesela? Czasopismo „Teatr" w numerze styczniowym zaspokoiła naszą ciekawość: pięć dramatów Szekspira — Romeo i Julia, Makbet, Król Lear, Otello, Hamlet; dwa dramaty Schillera — Zbójcy i Wilhelm Tell; jeden

dramat Tołstoja — Zmartwychwstanie. Ponadto mamy zobaczyć jeszcze tylko Teatr Klary Gazul Mérimée'go, Chattertona Alfreda de Vigny, Agrafkę Antiera, Męża idealnego Wilde'a, Peer Gynta Ibsena, no i wreszcie Lizystratę Arystofanesa. To wszystko. A choćby znalazło się jeszcze kilka pozycji nie ogłoszonych — jest to chyba i tak zastraszająco niewiele.

Sytuacja rzeczywiście nieco dziwna. Bo dzieje się to w okresie tak bujnego mnożenia się nowych przekładów w dziedzinie klasyki, tak kolosalnego wysiłku wydawnictw w kierunku rozpowszechnienia skarbów kultury ludzkiej, takich ambicji i takich plonów, jakich dotychczas historia nasza nie znała. I nowe, i stare przekłady w dziesiątkach tytułów pojawiają się na półkach księgarskich. Czytelnik polski dostaje dziś do ręki wiele dzieł — także i dzieł dramatycznych — jakich nigdy dotąd w swoim języku przeczytać nie mógł. Ukazują się w nowych przekładach perły dramatycznej literatury — i czytają je wszyscy (bo każdy nakład rozchodzi się błyskawicznie), oprócz — jak się wydaje —ludzi planujących repertuary teatrów.

Ciekawi jesteśmy, ilu np. kierowników literackich w naszych teatrach nawiązało stały kontakt z redakcjami wydawnictw, aby być *au courant* nie tylko tego, co świeżo znalazło się już na półkach księgarskich, ale przede wszystkim tego, co jest w planie wydawniczym najbliższego roku, a zatem jest już przygotowane do druku, jest przez tłumacza już napisane?

Oto pobieżnie wynotowana przez nas garść przekładów nowych, które bądź to ukazały się już w książkach, bądź to są już w drukarni, bądź to znajdują się w stadium opracowań redakcyjnych i na warsztatach tłumaczy:

Z klasyki rosyjskiej cała Trylogia Suchowo-Kobylina, Śmierć Pazuchina Szczedrina-Sałtykowa, Hiszpanie oraz Maskarada Lermontowa, Płody edukacji, Żywy trup, Potęga ciemnoty Tołstoja, Ostrowskiego — prócz granych już sztuk takich jak Panna bez posagu czy Talenty i wielbiciele — jeszcze Ostatnia ofiara i Małżeństwo Bieługina, ponadto w pełnym wyborze dramaty Czechowa.

Szekspirem zajęło się na nowo wielu tłumaczy. Aż po dwa nowe przekłady mają Hamlet, Otello, Romeo i Julia. Ukazały się też lub ukażą w nowych przekładach Henryk IV — cz. I, Ryszard III, Kupiec wenecki, Sen nocy letniej, Tymon Ateńczyk, Juliusz Cezar, Wesołe kumoszki, Koriolan, Burza, Wieczór trzech króli, Jak wam się podoba, Miarka za miarkę, Król Lear, Makbet.

Pojawi się wkrótce Jarmark św. Bartłomieja Ben Jonsona. Wychodzą poprawione przekłady utworów Shawa. Ukaże się wybór komedii Oskara Wilde'a, nie mówiąc już o wyborze dramatów Byrona.

Z przekładów klasyki niemieckiej ukazały się już lub ukażą: Goethego Faust, Torquato Tasso, Współwinni, Götz von Berlichingen, Egmont, Schillera Don Karlos, Dymitr, Wilhelm Tell, Kleista Książę Homburga, Lessinga Minna von Barnhelm, Büchnera Danton, Woyzek.

Przygotowuje się obszerny wybór dramatów Ibsena. Z klasyki francuskiej ukazały się lub się ukażą nowe przekłady Wiktora Hugo: Hernani, Ruy Blas, Marion Delorme, Torquemada, Król się bawi, Mérimée'go: Teatr Klary Gazul,

(przygotowywany na jednej ze scen). Ma ukazać się wybór komedii Musseta i wiele innych pozycji.

Z wielkiej klasyki hiszpańskiej pojawiają się kolejno przede wszystkim zaniedbane u nas przekłady Lope de Vegi: Dziewczyna z dzbankiem, Młyn, Wędka Feniksany, Pies ogrodnika, Kochać nie wiedząc kogo.

Stara Grecja też nie jest zapomniana. Obok Antygony Sofoklesa wychodzi wybór komedii Arystofanesa i osobno jego Ptaki oraz Żaby w nowych przekładach.

Odsłaniamy tu — z pamięci odtworzony — skrawek działalności jednego tylko wydawnictwa. A już widać, w jak nieznacznej mierze korzystają z tej działalności teatry. Dodać należy, że wydawnictwa znajdują się jeszcze w okresie wydawania podstawowych pozycji. Plan wydawniczy dotyczący lat następnych — i przegląd warsztatów naszych tłumaczy pozwoliłyby już teraz dołączyć tu bardzo wiele imion autorskich i konkretnych tytułów.

Właśnie dlatego zainteresowanie się teatrów ruchem wydawniczym staje się teraz sprawą tak ważną i pilną. Brak tu stałego kontaktu, brak współpracy, brak koordynacji. A chodzi w rezultacie o pomoc wzajemną. Więc nie tylko o niewątpliwe korzyści teatrów wynikające z planowania repertuarów na podstawie planów wydawnictw, nowych prac i zamierzeń przekładowych. Także odpowiednie sugestie ze strony teatrów — w konkretny sposób kierowane pod adresem wydawnictw — mogłyby na pewno korzystnie wpływać na plany wydawnicze i korygować ich chaotyczność. Czekamy na to.

P. S. — W ostatniej chwili dowiadujemy się o zamierzeniach nowego kierownictwa Teatru Polskiego i Kameralnego. Jeszcze w tym roku ma pojawić się na scenie Miesiąc na wsi Turgieniewa i Lorenzaccio Musseta. W planach dalszych lat jest Szekspir, Lope de Vega, Tołstoj. Jednak zasadnicze zagadnienia pozostały oczywiście w pełni aktualne.

Juliusz Żuławski

NA WIDNOKRĘGU

NA WARSZTATACH PISARZY RADZIECKICH

Prasa radziecka przynosi wiele ciekawych materiałów o zamierzeniach twórczych pisarzy i planach pism literackich.

Jeden z najstarszych prozaików rosyjskich, Fiodor Gładkow, pracuje nad czwartym (i ostatnim) tomem autobiograficznej epopei (Opowieść o dzieciństwie, Wolnica, Ciężki czas — Lichaja godina). Nową książkę, której akcja toczy się na przełomie XIX i XX wieku, pisarz zamierza ukończyć jeszcze w roku bieżącym. Gładkow zapowiada wprowadzenie wielu nowych postaci — z klasy robotniczej i inteligencji — w opisywanym okresie, poprzedzającym narastanie fali rewolucyjnej.

Konstanty Paustowski zakończył dalszy tom powieści autobiograficznej (pierwszy znany jest pt. Dalekie lata). Tom ten nosi tytuł — Niespokojna młodość; ukaże się on na łamach miesięcznika „Nowyj Mir" i w wydaniu książkowym.

Wielu prozaików pracuje nad tematyką rewolucji 1905 — 1907 r. Autor Iskier, M. Sokołow, pracuje obecnie nad dalszym ciągiem swej powieści,

którą zamierza skończyć jeszcze w tym roku. Na 50-lecie rewolucji 1905—1907 Sokołow napisał sztukę opartą na motywach Iskier. Olga Forsz przygotowuje nowe opracowanie sztuki o rewolucji 1905 r. pt. Kamo.

W. Katajew kończy nową powieść, stanowiącą dalszy ciąg Samotnego białego żagla. Nowa powieść Katajewa, której fragmenty drukowane były z końcem ub. r. na łamach „Litieraturnej Gaziety" i w tygodniku „Ogoniok", opisuje wypadki lat 1910—1911.

Okres narastania fali rewolucyjnej przed pierwszą wojną światową opisuje również autor Sewastopola, S. Siergiejew-Censki, w zamierzonej wielotomowej epopei Przeobrażenie Rosji (lata 1913—1929). Pierwszy tom epopei nosi tytuł Przeobrażenie człowieka. Siergiejew-Censki pracuje jednocześnie nad drugim tomem pt. Precz z wojną! (o rewolucji lutowej 1917 r.). Rewolucji Październikowej i początkom wojny domowej autor ten poświęci następny tom cyklu. Ostatni tom epopei pt. Tworzenie nowego życia obejmie już pierwsze lata budownictwa socjalistycznego.

O ludziach, którzy wykuli zwycięstwo Wielkiego Października na Ukrainie, pisze nową powieść autor Rady Perejesławskiej, N. Rybak. Drugi tom powieści z dziejów rewolucji i wojny domowej na Ukrainie pt. Artem Garmasz pisze A. Gołowko.

Autor powieści o Abaju, kazachski pisarz M. Auezow, przystąpił do czterotomowego cyklu powieściowego z dziejów Kazachstanu po Rewolucji Październikowej: pracę nad brulionem pierwszego tomu, poświęconego pierwszym latom porewolucyjnym, Auezow zamierza zakończyć w roku bieżącym.

Poeta litewski, A. Wencłowa, pracuje nad powieścią z dziejów walk narodu litewskiego o władzę radziecką. Pisarka łotewska, A. Sakse, kończy drugi tom Iskier w nocy, powieści o rewolucjonistach łotewskich.

Najważniejszym i głównym tematem prozy jest jednakże współczesność radziecka. Przegląd twórczych zamierzeń i wypowiedzi pisarzy radzieckich na ten temat rozpocznę od wiadomości, że już wkrótce miesięcznik „Oktiabr'" rozpocznie druk II tomu Zoranego ugoru Michała Szołochowa. D. Granin, autor Drugiego wariantu i opublikowanej w roku ubiegłym w miesięczniku „Zwiezda" powieści o nowatorach produkcji Poszukiwacze — przygotowuje tę powieść do wydania książkowego.

Autor powieści Daleko od Moswy, W. Ażajew, ma gotowy brulion powieści o ludziach radzieckich, walczących o zagospodarowanie na Dalekiej Północy ziemi skutej w ciągu całego roku lodem. Tytuł powieści — Wieczne zamarzanie. Jednocześnie pisze Ażajew Środek życia — powieść o współczesnej Moskwie i jej mieszkańcach. W. Kawierin pracuje nad trzecim tomem trylogii Otwarta księga (t. I — Otwarta księga, t. II — Doktor Własienkowa). Urywek tej powieści wydrukowała niedawno „Litieraturnaja Gazieta".

M. Bubiennow przerwał w ubiegłym roku pracę nad III tomem Białej brzozy i całkowicie poświęcił się problemowi zagospodarowania odłogów na Ałtaju. Owocem pobytu pisarza na Ałtaju będzie powieść Orli step, którą autor zamierza zakończyć w połowie bieżącego roku.

A. Koptiajewa pracuje nad trzecim tomem trylogii o chirurgu Arżanowie (t. I — Iwan Iwanowicz, t. II — Przyjaźń). Przyjaźń drukował w ubiegłym roku „Nowyj Mir";

wkrótce ukaże się w wydaniu książkowym.

Autor Syna rybaka, łotewski pisarz W. Łacis, ostatnio przerobił napisaną przed laty powieść Stare gniazdo marynarskie; nowa redakcja książki ukaże się w bieżącym roku pt. Rodzina Zitar.

Tematyka walki z faszyzmem w okresie Wielkiej Wojny Narodowej, walki o pokój w latach powojennych zajmuje wiele miejsca w planach pisarzy. Konstanty Simonow pracuje nad drugim tomem powieści Towarzysze broni, opisującej walkę narodu radzieckiego z faszyzmem japońskim i niemieckim (poza tym — Simonow ostatnio publikuje dużo wierszy). L. Sobolew zakończył opowieść Zielony promień (miesięcznik „Oktiabr'" nr 11 i 12 z ub. r.) — o bohaterstwie marynarki radzieckiej w czasie Wojny Narodowej. Obecnie Sobolew pisze nowy cykl opowiadań morskich: Opowiadania kapitana Kidriagi. A. Pierwiencew pisze Marynarzy, powieść z życia marynarzy radzieckich w okresie powojennym: dwie pierwsze części powieści były opublikowane w r. 1953, obecnie autor pracuje nad jej ostatnimi trzema częściami. Jednocześnie Pierwiencew pisze scenariusz filmowy o bohaterze wojny domowej, Koczubeju. N. Czukowski przygotowuje do druku w wydaniu książkowym powieść o bohaterskich lotnikach z okresu blokady Leningradu — Bałtyckie niebo, opublikowaną przed paroma miesiącami w czasopiśmie „Znamia". Jednocześnie pisze Czukowski opowieść o marynarzach floty bałtyckiej.

W. Popow ukończył drugi tom powieści z czasów Wojny Narodowej Stal i szlaka: tom otrzymał tytuł — Popłynęła stal (fragmenty opublikował w ub. r. tygodnik „Ogoniok").

Pisarzy radzieckich żywo interesuje narodowo-wyzwoleńcza walka narodów Azji. Powieściopisarz uzbecki, Ajbek, zakończył niedawno Opowieść pakistańską — o życiu i walce ludzi pracy w Pakistanie. Roman Kim, autor opublikowanej niedawno powieści Dziewczę z Hiroszimy, pisze obecnie nową powieść o Korei; utwór ten będzie ujęty w formę notatek dwóch uczestników wojny koreańskiej: chińskiego studenta i — amerykańskiego generała. Powieść obrazuje zupełne fiasko amerykańskich awantur wojennych w Azji Wschodniej.

Przy okazji pragnę poinformować czytelników, że w noworocznej ankiecie „Litieraturnej Gaziety" wziął też udział Nazym Hikmet. „Piszę — oświadczył Hikmet — nową sztukę o losie prostego człowieka w świecie kapitalistycznym; pracuję także nad powieścią, w której zamierzam pokazać wpływ Rewolucji Październikowej na turecki ruch narodowo-wyzwoleńczy. Piszę wiersze."

Parę słów o planach twórczych autorów piszących dla młodzieży, których *nota bene* wypowiedziało się zaledwie kilku. Autor Ulicy młodszego syna, L. Kassil, powrócił ostatnio do tematyki sportowej. Po napisaniu w roku ubiegłym scenariusza komedii sportowej pt. Kryształowy puchar, Kassil pracuje nad nową powieścią o przygodach sportowych; zamierza gruntownie przerobić swoją dawno wydaną powieść Bramkarz republiki. Autor trylogii Stara twierdza, M. Bielajew, zakończył (wraz z N. Blejmanem) scenariusz filmu sensacyjnego Niespokojna młodość. M. Nosow, autor popularnego Witi Malejewa, zamierza napisać powieść fantastyczno-naukową z dziedziny żeglugi rakietowej i telemechaniki. Gdy już mowa o literaturze beletrystycznej i popularno-naukowej,

warto wspomnieć o autorze książki Nad mapą Ojczyzny, M. Michajłowie, który pisze reportaż z podróży samolotem na Biegun Północny — do stacji naukowo-badawczych na dryfujących krach lodowych. O. Pisarzewski zakończył biograficzną książkę o wybitnym geochemiku Fersmanie.

Dla dzieci opowieść Jak byłam malutka napisała poetka Wiera Inber. Uzbecki pisarz Ajbek pracuje nad poematem dla dzieci pt. Mój dziadek. S. Marszak zakończył niedawno cykl wierszy dla dzieci — Czego boi się Pietia. Poza tym Marszak pisze (dla dorosłych!) cykl wierszy Czasy i ludzie, wiersze i epigramaty satyryczne, dużo przekłada z poezji obcej. S. Michałkow z końcem ubiegłego roku opublikował dalsze wierszowane dzieje popularnego Wujka Stiopy — Wujek Stiopa milicjantem. Michałkow pisze obecnie jednoaktowe komedie satyryczne oraz bajki.

Z kolei przechodzę do zamierzeń twórczych innych poetów. I. Sjelwiński sięgnął do dalekiej przeszłości: poeta kończy pracę nad cyklem dwudziestu pięciu — opartych na starodawnych bylinach — pieśni o legendarnym bohaterze narodowym, Ilji Muromcu. A. Prokofjew zakończył i oddał do druku zbiorek wierszy Zarzecze i poemat Młodość; obecnie pracuje nad cyklem wierszy o Dalekiej Północy — U wrót oceanu. M. Tichonow pracuje nad zbiorkiem wierszy i opowiadań z podróży do Chin.

Wiersze o Chinach i Iranie zapowiada tadżycki poeta, M. Tursun-zade, który kończy też pracę nad większym poematem Hasan-arbakesz. Wiersze o tematyce chińskiej zamierza napisać poeta litewski, A. Wencłowa. Wiersze o zeszłorocznych wypadkach w Iranie, o przyjaźni narodów walczących o pokój — zapowiada poeta M. Łachuti (Irańczyk, który od r. 1922 przebywa w ZSRR; pisze po persku). Pracuje on też nad Opowieścią o moim życiu, pisaną prozą.

Wiersze poświęcone krajom demokracji ludowej pisze gruziński poeta, G. Leonidze, który pracuje ponadto nad poematem Młodość. M. Asiejew pisze poemat z czasów Wielkiej Wojny Narodowej Wielkie wydarzenia. A. Jaszyn, autor poematu Alena Fomina, pracuje nad cyklem wierszy, zatytułowanym Świeży chleb; będą to wrażenia z pobytu poety na zagospodarowanych ugorach Kraju Ałtajskiego. Jaszyn przystępuje do pierwszego większego utworu prozaicznego: ma to być opowieść z dziejów kolektywizacji wsi.

W. Ługowskoj pracuje nad poematem Kursanci i wierszami lirycznymi. M. G. U. (skrót Państwowego Uniwersytetu Moskiewskiego) — to tytuł poematu poety i satyryka, S. Wasiliewa. M. Dorizo zakończył pracę nad poematem o miłości, zamierza też napisać wierszowaną sztukę liryczną o radzieckiej młodzieży robotniczej. Ukraiński poeta, L. Pierwomajski, niedawno zakończył poemat Mój ojciec, poświęcony problemom etyczno-moralnym.

O swoich zamierzeniach twórczych opowiedzieli czytelnikom „Litieraturnej Gaziety" niektórzy dramatopisarze. Autor cieszącej się dużym powodzeniem sztuki Lata wędrówek i sztuki Domek na przedmieściu, A. Arbuzow, pisze obecnie nowy dramat psychologiczny. A. Sztejn zakończył w roku ubiegłym sztukę pt. Sprawa personalna, obecnie pracuje nad filmową przeróbką swojej sztuki Prolog (o rewolucji 1905 roku). Estoński dramaturg, A. Jakobson, kończy nową sztukę z okresu powstawania Ra-

dzieckiej Estonii w r. 1940. Tytuł sztuki — Ruszyły lody. Ukraiński komediopisarz W. Minko (autor cieszącej się powodzeniem komedii Bez wymieniania nazwisk) napisał nową komedię — Milczenie wzbronione.

Miłośników sztuk B. Ławreniewa zainteresuje zapewne wiadomość, że po wystawieniu sztuki Lermontow dramaturg ten przystąpił do pisania powieści o radzieckich marynarzach i ich czynach w okresie Wielkiej Wojny Narodowej. Nie mniej ciekawa jest wypowiedź autorki Męstwa, Dni naszego życia i innych powieści, W. Kietlińskiej, iż próbuje swoich sił na polu dramaturgii, napisała bowiem komedię z życia młodzieży; w najbliższej przyszłości przystępuje jednak do pracy nad nową powieścią.

W noworocznej ankiecie „Litieraturnej Gaziety" wzięli również udział badacze literatury. I tak W. Jermiłow pracuje nad ciekawym tematem: Gorki a Dostojewski. W. Piercew zakończył drugi tom monografii o Majakowskim (lata 1917—1924); obecnie pracuje nad trzecim tomem — o okresie największego rozkwitu i dojrzałości twórczej w życiu wielkiego poety oraz o sporach wokół spuścizny poetyckiej po Majakowskim (10-lecie 1925 — 1935).

K. Czukowski pisze Wspomnienia — o wielkich pisarzach i artystach, a także pracuje nad studium Czechow i jego kunszt pisarski. B. Mejłach zamierza wydać cykl essayów z dziedziny estetyki — o zasadach realizmu, o wzajemnej współzależności elementów ideowości i obrazowości w twórczości pisarskiej. D. Błagoj pisze drugi tom monografii o Puszkinie, również I. Nowikow nadal pracuje nad powieścią o Puszkinie. Nowikow poza tym pisze studium o Czechowie i o wczesnej twórczości Lwa Tołstoja.

W związku z zamierzeniami i planami twórczymi pisarzy warto zaznaczyć, że w opublikowanym w listopadzie ub. r. na łamach „Litieraturnej Gazety" wywiadzie — wiceminister kultury ZSRR, A. Nazarow, zapowiedział dalszy wzrost ogólnego nakładu literatury pięknej. W r. 1953 czytelnicy radzieccy otrzymali 231 milionów egzemplarzy książek (pięciokrotnie więcej niż w roku 1940) *); tegoroczny łączny nakład literatury pięknej będzie znacznie wyższy.

Książek pisarzy zagranicznych — klasyków i współczesnych — w jednym tylko Państwowym Wydawnictwie Literatury Pięknej (Goslitizdat) wyjdzie w br. przeszło 100 tytułów — o łącznym nakładzie 12,8 mil. egz. Wśród tych książek znajdzie się wybór poezji Mickiewicza i pierwsze tomy pięciotomowego wydania utworów zebranych Prusa.

Józef Spinc

O PROZIE BERNARDA KELLERMANNA

W roku 1904 Bernard Kellermann opublikował powieść Yester i Li, która dwudziestopięcioletniemu pisarzowi zyskała natychmiast rozgłos w całych Niemczech. Znacznym powodzeniem cieszyła się także następna jego powieść Ingeborga (1906).

Niewiele dzieje się w tych pierwszych książkach Kellermanna. Autora nie interesują czyny bohaterów, lecz przede wszystkim ich wzruszenia, nastroje i intymne przeżycia wewnętrzne. Są to ludzie samotni, łagodni i częstokroć me-

*) Według prowizorycznych obliczeń w roku ubiegłym nakład ten wzrósł do 235 milionów egzemplarzy.

lancholijni, którzy uciekają od rzeczywistości i znajdują schronienie w baśniowym świecie uczuć i marzeń. W owym świecie żyją cnotliwi kochankowie Yester i Li, których śnieżnobiały domek stoi w lasku białych brzóz, otoczony hiacyntami, kwitnącymi przez cały rok. Dzieje tej uroczej pary opowiada subtelnej Biance pewien marzycielski poeta. Gdy ją wreszcie pożegna i Bianka opuści go wsiadając do dalekobieżnego pociągu (jest mimo wszystko wiek XX!), tor kolejowy usłany będzie najpiękniejszymi różami...

Kellermann przenosi nas w tych utworach w świat pełen cudownej harmonii, piękny, czysty i szlachetny, ale nie istniejący nigdzie świat złudzeń. Pierwsze jego książki mieszczaństwo niemieckie witało z zachwytem, widziało w nich bowiem odtrutkę na ponurą rzeczywistość, ukazaną we wstrząsających dramatach młodego Hauptmanna, w powieściach satyrycznych Henryka Manna i utworach innych realistów niemieckich.

Dzisiaj, z perspektywy pół wieku, rozumiemy doskonale, że pierwsze książki przyszłego autora 9 Listopada były — w pewnej mierze — także wyrazem niezadowolenia z ponurej szarzyzny w państwie wilhelmińskim. Kellermann nie mógł się jeszcze zdobyć na krytykę otaczającego go świata, ale odgradzał się od niego, szukając schronienia w romantycznej iluzji i sielankowej krainie fantastyki. Oczywiście, był to naiwny bunt młodzieńczy, był to protest nieświadomy i mglisty. Zanotujmy jednak, że Kellermann, pisarz uczciwy i wrażliwy na krzywdę ludzką, nigdy nie był apologetą społeczeństwa burżuazyjnego.

Te pierwsze książki, które autor później nazwał „powieściami lirycznymi", wykazują jednocześnie duże zdolności narracyjne. Giętkie pióro Kellermanna triumfuje zwłaszcza wówczas, gdy pisarz odzwierciedla intymne doznania zakochanych, proza jego nabiera szczególnego blasku w częstych opisach natury, gdy roztacza przed czytelnikiem malowane przeważnie w pastelowych barwach obrazy lasu czy morza, gdy odtwarza piękno zorzy czy zmierzchu lub smutek jesiennego nastroju. Styl pisarza jest wprawdzie niekiedy przesadnie wysubtelniony, niekiedy razi manierą tu i ówdzie przypominającą naszą Młodą Polskę, ale zarazem językowi temu, zdumiewającemu oryginalnymi przenośniami, trudno odmówić swoistego czaru i poetyckiego wdzięku.

Kellermann nie wytrwał jednak długo w świecie idylli, okupionej oddaleniem od społecznych spraw epoki. Rzeczywistość, która w pierwszych książkach pisarza wyzierała jedynie poprzez niektóre opisy, domagała się swoich praw. W Głupcu (1909), historii tragicznej miłości ubogiego mężczyzny do samolubnej arystokratki, autor zbliżył się do problematyki społecznej. Akcja następnej powieści Morze (1910) toczy się wśród bretońskich rybaków. Także ten utwór przepojony jest przebrzmiałą, liryczno-romantyczną uczuciowością, ale nie może ujść uwagi bacznego czytelnika, że sylwetki rybaków, wytrwale walczących z rozszalałym żywiołem morza, świadczą o dążeniu pisarza do realizmu. Decydujący w twórczości Kellermanna zwrot nastąpił w trzy lata później. W roku 1913 ukazała się powieść Tunel, która miała w krótkim czasie rozsławić nazwisko autora już nie tylko w Niemczech, ale i poza ich granicami.

Ówczesna krytyka literacka widziała w Tunelu przede wszystkim zręcznie skonstruowaną powieść „sensacyjną". Oryginalny, bardzo efektowny wątek fabularny i doskonałe opanowanie techniki powieściopisarskiej — oto, jak sądzono, jedyna tajemnica sukcesu tej książki, o której akademiccy rze-

czoznawcy tak chętnie wypowiadali się z uśmieszkiem lekceważenia. Przepowiadano, że utwór ten, który zjawił się jak meteor na firmamencie, szybko zniknie i pójdzie w zapomnienie. Stało się jednak inaczej.

Powodzenie Tunelu — przełożonego na dwadzieścia pięć języków i kilkakrotnie sfilmowanego — wzrastało nieustannie z roku na rok. Gdy bowiem nikogo już nie wzrusza miłosna historia pięknej Ingeborgi, nago pląsającej w słońcem zalanym lesie — losy dzielnego inżyniera Mac Allena, uporczywie realizującego gigantyczny projekt tunelu, wciąż jeszcze wzbudzają żywe zainteresowanie.

Pozornie jest to powieść utopijna, sięgająca w jakąś bliżej nieokreśloną przyszłość. W rzeczywistości charakter utopijny ma jedynie pomysł fabularny — budowa tunelu łączącego pod Oceanem Atlantyckim wschodnią półkulę z zachodnią. Malując natomiast poszczególne postacie i obrazując konflikty związane z budową tego tunelu — pisarz ukazuje ludzi i stosunki typowe dla okresu, w którym powstała książka. W charakterystykach osób działających odbija się ostra i celna krytyka świata kapitalistycznego, a stosunek pracodawców do zatrudnionych przy budowie tunelu robotników uzmysławia wyzysk mas ludowych. Jest jeszcze w tej powieści świat kapitalistyczny potężny i pozornie trwały, ale instynkt pisarski Kellermanna wyczuwa wewnętrzne sprzeczności, nieuchronnie skazujące świat ten na zagładę. Kapitalistom autor przeciwstawia ludzi twórczej pracy, a bohaterem swej powieści czyni przedstawiciela ludu amerykańskiego. Długoletnia walka inżyniera Mac Allena z monopolistami urasta w Tunelu do miary wielkiego symbolu; podstawowe cechy tej walki charakteryzują bowiem antagonizm między pracą a kapitałem.

W powieści tej po raz pierwszy zajaśniał w pełni talent pisarza. Wizerunki licznych postaci (zwłaszcza mężczyzn, których sylwetki Kellermann z reguły rysuje mocniej i trafniej) świadczą — mimo widocznego niekiedy braku konsekwencji psychologicznej — o pisarstwie realistycznym w całym tego słowa znaczeniu. Toteż gdy pierwsze powieści Kellermanna zaspokoiły gusty mieszczaństwa i dość szybko zblakły, Tunel przemówił i nadal przemawia do najszerszych rzesz czytelników.

Kellermann był pisarzem wyrozumiałym dla ludzkiego nieszczęścia i ludzkich słabości. Zawsze i wszędzie szukał człowieka, do którego podchodził z ogromną miłością, niekiedy nawet z nadmierną pobłażliwością. Gdy w Tunelu pojawiają się ostre kontury, gdy sprzeczności społeczeństwa burżauzyjnego uzewnętrzniają się we wstrząsających scenach pełnych dramatycznych spięć, gdy autor posługuje się barwami mocnymi i zdecydowanymi, a nawet jaskrawymi — wszystko to dzieje się jakby wbrew jego woli. Życie kierujące piórem pisarza zmusiło go do zastąpienia śnieżnobiałego domku w brzozowym gaju — gabinetami amerykańskich byznesmenów, zacisznego lasu Ingeborgi — gwarem nowoczesnego miasta i hałasem potężnej budowy, do zastąpienia wyimaginowanych postaci — ludźmi z krwi i kości.

Tunel jest ponad wszelką wątpliwość powieścią oskarżycielską, celnie uderzającą w wielką burżuazję, ale nie wyszedł spod pióra pisarza świadomie zwalczającego ustrój krzywdy i wyzysku. Gdy w rok po ukazaniu się tej powieści wybuchła pierwsza wojna światowa, Kellermann, daleki od zagadnień politycznych, nie rozumiał jej prawdziwego charakteru. Przebywając jako korespondent jednego z dzienników berlińskich na froncie niemiecko-francuskim pisywał reportaże, które w

pierwszym okresie nie były pozbawione akcentów nacjonalistycznych.

Ale straszliwa prawda wojny otworzyła pisarzowi oczy na tych, którzy sprawowali władzę w jego ojczyźnie. Pierwotny entuzjazm ustąpił miejsca rozczarowaniu i rozgoryczeniu, rosło oburzenie Kellermanna, które niebawem miało się przemienić w gniew. Ale nie tylko to. Odgłosy salw „Aurory" dotarły do Niemiec i wywarły bezpośredni wpływ na poglądy autora Tunelu. Choć Kellermann jeszcze nie ogarniał tego, co działo się na wschodzie Europy, to jednak trafnie przeczuwał, że rodzi się tam nowy świat. — To wszystko miało wkrótce znaleźć odbicie w powieści 9 Listopada, która ukazała się w roku 1920 i jest znamiennym dokumentem przełomu i świadomości pisarza.

W napisanej ćwierć wieku później przedmowie do tej książki Kellermann stwierdził: „...chciałem przede wszystkim napiętnować militaryzm..., chciałem z całą bezwzględnością zerwać maskę z oblicza budzącej zgrozę mentalności klas panujących". — Istotnie: 9 Listopada jest powieścią przede wszystkim oskarżycielską i demaskatorską, której ostrze krytyczne skierowane jest przeciwko arystokracji niemieckiej, a w szczególności przeciwko pruskiej kaście oficerskiej. Pisarz atakuje jawnie, i z rozgoryczeniem i gniewem demaskuje tryb życia „wyższych sfer" i bezlitośnie obnaża amoralność i obłudę tego środowiska. Szczegółowe opisy przyjęć u bogatej arystokratki, pani von Dönhoff, i wystawnych obiadów w ekskluzywnej restauracji na Unter den Linden skontrastowane są z wstrząsającymi obrazami nędzy i głodu mas ludowych w ostatnim roku wojny. To przeciwstawienie jest wynikiem świadomego założenia ideowo-artystycznego i przewija się przez całą powieść niby motyw przewodni.

W wizerunku generała von Hecht-Babenberga Kellermann wyraził całą swoją nienawiść do pruskich junkrów i militarystów. Sumienie uczciwego obywatela i instynkt utalentowanego realisty nakazały mu z siłą i pasją napiętnować generała, który „nie miał zwyczaju patrzeć na swoich bliźnich", ale jednocześnie autor potrafił opanować swój temperament pisarski i nie uległ pokusie przerysowania i przejaskrawienia czołowej postaci 9 Listopada.

Generał jest wcieleniem brutalności, pychy, bezduszności, żądzy władzy, tępoty, pogardy dla ludu, próżności, jest fanatykiem ślepego posłuszeństwa i bezwzględnej karności — uosabia więc cechy charakterystyczne dla klasy, którą reprezentuje. Hecht-Babenberg jednakże nie jest świadomym złoczyńcą i Kellermann nie waha się przed tym, by tu i ówdzie — zwłaszcza gdy pokazuje samotność starego generała — wzbudzić nieomal współczucie czytelnika. Zwiększa to prawdopodobieństwo życiowe centralnej postaci 9 Listopada i bynajmniej nie osłabia jej jednoznacznej, oskarżycielskiej wymowy, a nawet jeszcze ją pogłębia i rozszerza. Rozumiemy bowiem, że autor, piętnując swego bohatera, nie tyle oskarża jego, ile przede wszystkim środowisko i ustrój, który wytworzył i wychował Hecht-Babenberga i jemu podobnych.

Ale 9 Listopada — to nie tylko oskarżenie klas rządzących. Kellermann pragnie także wskazać, z której strony można i trzeba spodziewać się lepszej przyszłości. Wypada jednak stwierdzić, że krytyka świata wilhelmińskiego, tak mocno i trafnie wyrażona w wielu scenach 9 Listopada, nie znalazła poparcia w pozytywnej, realnej doktrynie społecznej. Próba uosobienia niemieckich sił rewolucyjnych w postaci studenta i żołnierza Ackermanna zawiodła i wyraźnie ujawniła granice

możliwości twórczych Kellermanna, wytyczone przez jego mieszczańskie poglądy.

Zapatrywania Ackermanna, w których nie brak sprzeczności i niejasności, odzwierciedlają dość wiernie ówczesne poglądy samego autora.

Ackermann gwałtownie potępia imperializm: „Mocarstwa europejskie doprowadziły rabunek do gigantycznych rozmiarów. W oparciu o swoje armie i floty plądrowały ziemię, zmieniały w niewolników wszystkie narody świata: żółte, brązowe, czarne, aby na koniec, nieufne i chciwe, rzucić się na siebie nawzajem. Biała rasa... niszczyła inne rasy..., zmieniała w niewolników własne narody. W szkołach, koszarach, kościołach i fabrykach wychowywała posłusznych najemników". — Ackermann wierzy, że w przyszłości „żaden człowiek nie będzie ciemiężcą innego człowieka, żaden naród nie będzie ciemiężcą innego narodu, czas niewolnictwa skończy się raz na zawsze..., a ziemia zamieni się w ogród".

Wizja „zbliżającego się królestwa człowieka na ziemi — królestwa rozumu, sprawiedliwości, godności i piękna" oparta jest na przeświadczeniu, „że światem kierują boskie idee", na wierze „w dobroć i czystość człowieka..., w jego święte przeznaczenie i boską duszę." Szczęście ludzkości na ziemi chce Ackermann zapewnić nie przez obalenie istniejącego systemu społecznego, lecz przez wprowadzenie w życie haseł pacyfistycznych, utworzenie mistycznej wspólnoty narodów i urzeczywistnienie ideałów chrześcijaństwa.

Ale zarazem tenże Ackermann czerpie podniętę do swej walki ze zwycięstwa rosyjskiego proletariatu. Choć jest — podobnie jak sam autor powieści — daleki od zrozumienia istoty Rewolucji Październikowej, to jednak przeczuwa jej historyczne znaczenie. Patrząc na czerwony sztandar powiewający na gmachu ambasady młodej Republiki Radzieckiej Ackermann „z płomieniem wiary w oczach" wypowiada słowa: „Światło ze Wschodu. Jutrzenka". — A w jednym z końcowych rozdziałów powieści czytamy: „Jak ognisty jęzor płonie nowe słońce na ziemi. Wzeszło w dalekiej Rosji, zroszonej krwią i łzami. Przekroczyło Wisłę. Przekroczy i Ren. I Kanał przekroczy... Po tamtej stronie Atlantyku wyłoni się z morza... I spośród fal Oceanu Spokojnego wzejdzie pewnego dnia, tam gdzie mieszkają żółte ludy. Nowe słońce pochłonie okrutnych i zuchwałych, którzy kierują losami narodów".

Z biegiem lat Kellermann odrzucił hasła metafizyczne, które głosi Ackermann, i zastąpił je propozycjami konkretnych i radykalnych reform społeczno-gospodarczych. Do końca swego życia pozostał wierny przyjaźni dla Związku Radzieckiego, której, jako jeden z pierwszych pisarzy niemieckich, dał wyraz w powieści 9 Listopada.

Brak jasnej, sprecyzowanej koncepcji ideowej i chęć pogodzenia różnorodnych, a nawet sprzecznych ze sobą myśli musiały oczywiście w sposób decydujący zaważyć na postaci Ackermanna. Kellermann pewną i niezawodną ręką rysuje realistyczne wizerunki generała Hecht-Babenberga i ludzi z jego świata, artystyczno-ideowa celowość i konieczność poszczególnych scen czy postaci nigdy w tych częściach książki nie wzbudzają wątpliwości. Inaczej, gdy pojawia się Ackermann. Zamglona sylwetka tajemniczego żołnierza w szerokim płaszczu rozsadza jakby realistyczne ramy powieści. Generałowi i ludziom jego otoczenia pisarz każe mówić ich codziennym językiem, komentarz autorski jest wówczas rzeczowy, zwięzły i treściwy. Wypowiedzi Ackermanna natomiast są pełne emfazy i patetycznej retoryki. Zadziwiają w nich dość liczne pustobrzmiące okrzyki i beztreściwe

zwroty frazeologiczne. Towarzyszące wyznaniom i deklaracjom Ackermanna komentarze autora rozpływają się w mglistych wywodach, w mętnym wielosłowiu.

Chcąc postaci żołnierza-rewolucjonisty nadać kształt jak najbardziej porywający, Kellermann uciekł się do środków obcych jego realistycznej sztuce. W niektórych scenach powieści widać wpływ ekspresjonizmu i innych schyłkowych kierunków, tak modnych w literaturze niemieckiej owych lat. Ulegając tym wpływom (od których się zresztą szybko uwolnił) i poddając się tu i ówdzie irracjonalnym nastrojom — pisarz nie mógł stworzyć postaci prawdziwej, która by ujarzmiła naszą wyobraźnię. Toteż Ackermann nie jest żywym człowiekiem, ale co najwyżej symbolem, w którym autor pragnął zawrzeć swoje najszlachetniejsze dążenia i marzenia.

Gdy Kellermann odchodzi od realizmu typowych dla określonego środowiska postaci — powstają fragmenty słabe i utrudniające dzisiejszemu czytelnikowi lekturę tej powieści. Na szczęście fragmentów tych jest niewiele — zasadniczy trzon utworu jest głęboko osadzony w rzeczywistości społecznej epoki, znakomita większość postaci wyróżnia się plastyką rysunku. Zarazem w 9 Listopada poznajemy Kellermanna jako mistrza kompozycji powieściowej.

W tradycyjnej powieści niemieckiej akcja płynie spokojnym nurtem, narracja jest powolna i niekiedy rozlewna, bogate i częstokroć drobiazgowe opisy przeplatane są dużymi dialogami lub monologami wewnętrznymi. Tradycji tej odpowiada epika Arnolda Zweiga, w pewnej mierze również Tomasza Manna. Kellermann natomiast już w Tunelu obiera kompozycję powieściową, powstałą jakby pod wpływem sztuki filmowej. Unikając szczegółowych opisów, dłuższych wywodów czy dyskusji, autor rozwija akcję bogatą w wydarzenia zewnętrzne, ukazane przy pomocy obrazów szybko zmieniających się i mocno skontrastowanych.

W 9 Listopada konstrukcję tę, stosowaną w jeszcze silniejszej mierze, uzupełnia swoista technika przypominająca fotomontaż. Pisarz zestawiając wydarzenia rozgrywające się w dwóch różnych miejscach odzwierciedla je nie w dwóch kolejnych scenach, lecz synchronizuje w jednej. Gdy np. obserwujemy generała Hecht-Babenberga spożywającego obfity obiad w wytwornej restauracji berlińskiej, jesteśmy zarazem świadkami rozpaczliwej walki prostego żołnierza Hanuschke, który miał nieszczęście wpaść przez omyłkę do gabinetu generała i został za to karnie odesłany na front. W chwili gdy Hecht-Babenberg rozkoszuje się znakomitymi potrawami, Hanuschke usiłuje ocalić swe życie przed bombami i granatami. — Technikę takich wymownych i sugestywnych fakto- czy fotomontaży, która zresztą później znalazła wielu naśladowców, Kellermann stosował bodajże jako pierwszy w historii literatury niemieckiej.

9 Listopada kończy się śmiercią Hecht-Babenberga. Ale ta symboliczna scena była nie tyle stwierdzeniem faktu historyczno-społecznego, ile wyrazem najgłębszego życzenia autora. Pisarz zdawał sobie sprawę z tego, że siły, które rządziły w Niemczech cesarskich, były nadal groźne dla narodu niemieckiego. Toteż Hecht-Babenbergowi, widzącemu załamanie się armii kajzerowskiej, każe wypowiedzieć znamienne słowa: „A więc nie! Nie tym razem! Zwińmy sztandary — do następnego razu! Krwawszego i straszniejszego niż ta wojna..." — W ćwierć wieku później Kellermann zmuszony był stwierdzić: „Naród niemiecki puścił mimo uszu przeraźliwe napomnienie i ostrzeżenie..."

9 Listopada, w którym autor tak namiętnie ostrzega przed niemieckim militaryzmem i tak gorąco domaga się pokoju między narodami, jest w naszych czasach powieścią, wciąż jeszcze w pełni aktualną.

Marceli Ranicki

METAMORFOZA RUSSELA

W ostatnim numerze „The Marxist Quaterly" Peter Fryer omawia książkę Bertranda Russela poświęconą zagadnieniu moralności — Human Society in Ethics and Politics (Społeczeństwo ludzkie w etyce i polityce).

Sądzimy, że czytelnika naszego zainteresuje stanowisko w tak zasadniczej sprawie jednego z najwybitniejszych przedstawicieli burżuazyjnej myśli filozoficznej. Droga życiowa Bertranda Russela, niegdyś sztandarowego filozofa liberalnych intelektualistów, znana jest wszystkim. Doprowadziła go ona kilka lat temu do napisania cyklu artykułów o konieczności zrzucenia bomby atomowej na Moskwę. Niedawno usłyszeliśmy o nim znowu. Było to z okazji przemówienia, jakie sędziwy filozof wygłosił na Boże Narodzenie przez rozgłośnię B.B.C. Tym razem mówił inaczej. Nawoływał i ostrzegał. „Mówię po prostu jako istota ludzka, jako przedstawiciel gatunku, którego istnieniu grozi niebezpieczeństwo... Mamy dziś do wyboru jedną z dwu możliwych alternatyw: unicestwienie ludzkości lub uniknięcie wojny..." Pomijając już bardzo znamienny fakt, że w czasie dzielącym jedno oświadczenie od drugiego przeciwnik, tak beztrosko przeznaczony na zagładę, okazał się równorzędnym partnerem, interesuje nas głębsza strona tej metamorfozy. Sprawa wojny to nie tylko kwestia politycznej arytmetyki — to sprawa sumienia. Inaczej patrzy na nią mąż stanu, inaczej moralista. Dlatego warto zapoznać się z systemem wartości moralnych, jakie współczesna filozofia zachodnia stara się zbudować w obliczu własnej klęski.

Burżuazja, która zdradziła swą rewolucyjną przeszłość, musiała również zrezygnować ze swoich dawnych kryteriów moralnych. Cóż można bowiem powiedzieć o moralności klasy, która obraca w perzynę wioski malajskie, zapędza dziesiątki tysięcy mieszkańców Kenii do obozów koncentracyjnych, oblewa płonącą naftą koreańskie kobiety i dzieci?

W Human Society in Ethics and Politics Bertrand Russel usiłuje wykoncypować jakiś rodzaj systemu etycznego dla społeczeństwa, w którym żyje, w szczególności zaś zastosować pewnego rodzaju etykę w dziedzinie polityki. Mimo jednak rozpaczliwych wysiłków, aby poglądowi swemu nadać pozory humanitaryzmu, nie potrafi ukryć indywidualistycznej pogardy dla zwykłych ludzi. W tytule książki widnieje wprawdzie słowo „społeczeństwo", lecz Russel czuje się znacznie lepiej używając deprecjonującego terminu „stado". To, że nie spotykamy wcale określeń „grupa społeczna", „klasa" czy „naród", wyjaśnia wiele.

Według Russela polityczne systemy opierają się na współdziałaniu w obrębie „stada" i wrogości wobec innego „stada". „Stado" częstokroć jest wrogie również wobec ludzi o szerszych horyzontach, ludzi, którzy są twórcami piękna.

Większość ludzi, zdaniem Russela, za mało obarczona jest pracą, skutkiem czego nadmiar niewyładowanych sił fizycznych prowadzi ich do szukania podniet, awantur, wojny. „Na Trafalgar Square gromadzi się tłum ludzi, aby wiwatować z okazji oświadczenia,

w którym rząd wydaje na nich wyrok śmierci; łatwo byłoby temu zapobiec, gdyby ludzie ci musieli tego dnia przejść 25 mil" — pisze. W następnym zresztą zdaniu oświadcza, że przetrwanie ludzkiej rasy jest „rzeczą być może niepożądaną". I przy końcu: „Niekiedy, w chwilach przerażenia, odczuwałem pokusę wątpliwości, czy należy życzyć sobie, aby taka istota jak człowiek istniała dalej."

Ten pesymistyczny pogląd jest nieuniknionym wynikiem abstrakcyjnego i mechanicznego stosunku Russela do historii. Jego zdaniem, od czasów wspólnoty pierwotnej (której zresztą przypisuje wojowniczość nie potwierdzaną przez archeologów i antropologów) natura ludzka zachowała te same agresywne instynkty, prowadzące do wojen. Ekonomiczne przyczyny wojen kapitalistycznych wcale dla niego nie istnieją, nie chce dostrzec rozwoju społecznego i praw tym rozwojem rządzących. Przedmiotem jego zainteresowania jest człowiek — „mieszanina złego i dobrego", nigdy zaś realny człowiek, rezultat określonych warunków i sprzeczności, poprzez które dokonuje się postęp.

Russel rozważa bardzo modne zagadnienie: „Czy wiedza może być etyczna?" Otóż, według tzw. lewego skrzydła szkoły pozytywistycznej, zasady etyki nic w gruncie rzeczy nie znaczą. Sądy o tym, co jest „dobre" lub „złe", „słuszne" lub „niesłuszne" wyrażają jedynie osobiste skłonności tego, kto je wypowiada. Russel chce zerwać z tego rodzaju analizą ocen moralnych i ustalić na nowo racjonalny system etyki. Proponując zastąpienie terminu „dobro" przez „nieprzemijającą wartość" i używanie terminu „bezwartościowy" zamiast „zły", szuka powrotu do starego systemu moralnego utylitaryzmu, pierwszego radykalnego poglądu racjonalistycznego, którego twórcą był Jeremy Bentham. Tej odświeżonej wersji utylitaryzmu poświęcona jest pierwsza część książki. W części drugiej, zatytułowanej Konflikt namiętności, Russel stara się zastosować ten system w dziedzinie polityki. Rezultatem jest niesamowity mętlik. Z góry przyjęty punkt widzenia uniemożliwia Russelowi jakiekolwiek naukowe zrozumienie zagadnień politycznych obecnej doby. Przedmiotem jego zainteresowania jest nie społeczeństwo ludzkie, ale indywidualni członkowie „stada", bezsilni w szponach potężnych, irracjonalnych pragnień, pożerani przez destruktywne namiętności, żądzę władzy, wzajemną rywalizację, nienawiść. W ciągu stuleci świat nie uległ żadnej poprawie. „Nauka historii, począwszy od budowy piramid aż do obecnych dni, nie budzi otuchy w żadnej istocie ludzkiej." Pragnienia ludzkie nie mogą być nigdy spełnione, ludzie bowiem są z natury namiętni, uparci, chciwi i agresywni. Nawet pogoń za wiedzą i postępy techniki wypływają z żądzy władzy. Ludzie są próżni. Boją się i nienawidzą tych spoza „stada". I co najgorsze — odczuwają „prawdziwą przyjemność na widok cierpienia".

Tu Russel powtarza wywody współczesnej psychologii o ludzkich impulsach i kontrolowaniu ich przez intelekt. Tak czy inaczej muszą być określone jakieś środki, aby impulsy dawały człowiekowi możliwie jak największą przyjemność, nie czyniąc równocześnie szkody innych ludziom. Wprawdzie konflikty żądzy nie dadzą się nigdy usunąć całkowicie, można jednak wpłynąć, aby rywalizacja i inne impulsy przybierały formy mniej niszczycielskie. W przeciwnym wypadku los rodzaju ludzkiego jest przesądzony.

Wyjaśnianie ludzkiego postępowania działaniem impulsów jest wsteczne i sprzeczne z nauką. Nic dziwnego, że

na tej podstawie nie można zbudować systemu etyki społecznej. Po 200 stronach słownej akrobatyki Russel dochodzi do stwierdzenia, że zachwalane przez niego środki lecznicze są zbyt słabe, aby zmniejszyć nienawiść i nieufność i zapewnić stały pokój.

Na zakończenie Russel oświadcza, że mimo wszystko wierzy w lepszą przyszłość rodu ludzkiego i jego rozwój, który może nastąpić w ciągu następnego tysiąclecia po „obecnej beznadziejnej epoce". Jest coś żałosnego w postawie tego filozofa, zespolonego światopoglądowo ze społeczeństwem burżuazyjnym, które w młodości zwalczał, snującego świetlane wizje świata, w którym ludzie będą rozwijali „swoje dobroczynne zdolności bez żadnych ograniczeń". Ponieważ wizje te są oderwane od całej jego filozofii, ponieważ nie ma pojęcia, w jaki sposób świat ten można osiągnąć. „Uważam wiarę marksistowską za najbardziej odpychającą ze wszystkich innych, przyjętych przez cywilizowane narody" — oświadcza. Nigdzie jednak nie daje nic prócz fantastycznie zdeformowanej relacji marksizmu, któremu imputuje pogląd, że „nienawiść zawsze była i będzie napędową siłą spraw ludzkich", i że „walka na śmierć i życie między kapitalizmem a komunizmem została wyznaczona przez ślepe siły ekonomicznego determinizmu".

Mimo pesymistycznych założeń książki pewne przebłyski ukazują szczeliny w konsekwentnym dotychczas murze negacji. Wyrazem ich było również jego ostatnie wystąpienie. Russel odbija w jakiś sposób zmienione nastroje polityczne. Człowiek, który powiedział: „Albo musimy rozpocząć wojnę z Rosją, zanim będzie miała bombę atomową, albo będziemy musieli upaść i pozwolić, aby ona nami zawładnęła" — teraz najwidoczniej skłania się do koncepcji pokojowego współistnienia. Może sprawiły to radzieckie odkrycia w dziedzinie energii atomowej. W każdym razie mówi o możliwości odprężenia i chciałby podżegaczy wojennych wrzucić do sadzawki z mechanicznymi rekinami!

Po drugie Russel przeciwstawia się tym, którzy z etyki czynią przedmiot bogobojnych kazań. Jako racjonalista odrzuca pojęcie „grzechu", chce dojść do naukowego poglądu na moralność. Sęk w tym, że jego postawa jest całkowicie nienaukowa. Stąd patetyczne wysiłki, zmierzające do rehabilitacji etyki burżuazyjnej, przypominają raczej popis akrobatyczny.

ab

O LUDOWYM BOHATERZE BEZ SKAZY

Książka młodego pisarza Allemanna *) to świetna literacko i jedna z najbardziej poruszających lewicowych powieści francuskich, jakie czytałem w ostatnich latach. Jest to nowość z ostatnich miesięcy. Określając rzecz ściśle, nie jest to powieść, lecz poetycki epos prozą z bardzo wyraźnymi pokrewieństwami, a nawet nawiązaniami do Rabelais'ego. Akcję książki stanowi wędrówka narratora — młodego górnika, po ośrodkach niebywale zacofanego zagłębia węglowego — Cevennes — w południowej Francji. Narrator wędruje tropem legendy Wielkiego Zapaty. Zapata jest postacią jak najżywszą w wyobraźni górników, okazuje się jednak nieuchwytny w sensie fizycznym, żyje jako marzenie i jako treść walki górników. Zapata uosabia górniczą wolność: jest świetnym robotnikiem, chytry — umie zwieść kapitalistycznych nadzorców, jest wielkoduszny — pomaga innym, jest mądrym kierownikiem

* Marcel Allemann: Les prouesses extraordinaires du Grand Zapata — wyd. Gallimard, 1954.

politycznym — organizuje strajki i układa warunki dla dyrekcji kopalni. Krąży po zagłębiu; zwalczany i zwalniany z pracy, uzyskuje ją gdzie indziej — ceniony jest przez pracodawców za swą sprawność , niezbędny jest jak sama klasa robotnicza. Jego „prouesses" opiewają piosenki, jego zjawienie się poprzedza często rysunek gołębia na ścianie korytarza węglowego. Narratora, jest nim naiwny chłopiec, pociąga zrazu anegdotyczna strona historii Zapaty — jego siła, jego podstępy, zwycięstwa. Szuka Zapaty — osoby, Zapaty — górnika barczystego i uśmiechniętego. Z czasem pojmuje on, że Zapata to bardziej fakt społeczny niż indywiduum, że Zapata to powszechne nadzieje, powszechna wola ludu.

Masa robotnicza w zagłębiu Cevennes składa się z najbiedniejszych i najmniej przygotowanych do walki ludzi: z Algerczyków, z Hiszpanów i z wykolejeńców różnych warstw — są wśród nich zapewne i Polacy, gdyż jedna z cytowanych piosenek mówi o „Polsce nad Odrą i Nysą". Rzeczy i sprawy, o których w książce mowa, widziane są oczyma tych ludzi, poprzez ich spontaniczne wyobrażenia — naiwne pod względem intelektualnym, pełne zaś napięcia moralnego i uczuciowego. Poetyka opowieści jest pod tym względem bardzo jednolita, komentarza autorskiego niemal się nie spotyka, komentarze narratora trzymają się ogólnego stylu. To nadaje książce charakter quasi-poetycki i silną metaforyczność. Pokrewieństwo z Rabelais'em, jak już mówiłem, narzuca się.

Jest to jednak pokrewieństwo nie wymyślne, lecz naturalne. Rozumiem przez to, że Allemann analizuje w sposób literacki zasoby rzeczywistej wyobraźni ludowej (żywej, pełnej temperamentu ludzi Południa).

Na tle literatury francuskiej ostatnich dziesięcioleci książka Allemanna wydaje się zjawiskiem dość wyjątkowym. W prozie o orientacji lewicowej utrzymuje się konwencja powieściowa dość tradycyjna. Gdyby zaś próbować zestawień z budową alegoryczną, częstszą wśród pisarzy o innym światopoglądzie, popadlibyśmy w skojarzenie na wskroś formalistyczne. Allemann posługuje się bowiem alegorią inaczej. Wychodzi od opisu realistycznego; alegoria ma tu być niczym więcej jak tworem wyobraźni realistycznych bohaterów. Nadludzki Zapata jest niemożliwy w fizycznym wcieleniu, ale też autor używa go tylko po to, aby zbadać na sposób poetycki zawartość serc i umysłów jak najbardziej rzeczywistych postaci swej opowieści. Co więcej, sam nam o tym mówi. Cała legenda nie wydaje się przy tym tworem autorskim całkowicie arbitralnym, ma na sobie piętno autentycznych „gadek", bufonad ludowych. Musiała wiele z nich wchłonąć. Treść zaś ideologiczna utworu jest rewelacyjna. Nie wiadomo mi nic o tym, czy autor ulega czyimś wpływom literackim, wiem natomiast, że ma lat bodaj 27, że zdążył walczyć w Ruchu Oporu, odsiedzieć Dachau i przepracować czas dłuższy w kopalniach węgla.

Książka jest bardzo mocno nasycona językiem ludowym. Język to w znacznych partiach dialogowych niepoprawny, zgodnie z daleko posuniętym rozszczepieniem współczesnej francuszczyzny na *langue docte* i *langue populaire* (której szczególnym przykładem jest *argot* paryski). Ten język ludowy obfituje (podobnie jak polski „wiech") w spontanicznie tworzone epitety, w barwne nowotwory itp. Do tego dochodzą słowa arabskie, hiszpańskie oraz elementy pierwotnego, miejscowego dialektu (języka prowansalskiego). I to zresztą przypomina wielojęzyczne tyrady u Rabelais'go.

Nie ukrywam też, że raczej zgadywałem niż rozumiałem wiele utworów z

langue populaire. Myślę, że jednak Francuz potrafi to natychmiast odcyfrować. Wiele słów arabskich jest we Francji zrozumiałych na skutek ich spopularyzowania w żargonie wojskowym (np. *tubib*-lekarz, *caid*-człowiek, któremu się dobrze wiedzie, wiele wyzwisk i słów „nieprzyzwoitych"). Tekst francusko-gwarowo-hiszpański (tak według legendy przemawia Zapata) jest również zrozumiały i pełen swoistego wdzięku.

Zasób anegdot, przezwisk, groteskowe widzenie inżynierów i dyrektorów, bajczarstwo pół serio, pół żartem, prymitywne piosenki, elementy folkloru afrykańskiego, wszystko to pełne autentyzmu, dalej dynamika i nastrój zmagań, przenikające sugestywnie wszystkie dziedziny życia — czynią z tych metafor i alegorii dzieło przenikliwego realizmu. Podstawą realizmu jest tu osadzenie fabuły w realiach geograficzno-ustrojowo-historycznych. Wiadomo, gdzie to się dzieje, wiadomo, że w dobie po II wojnie światowej, w dobie walki o pokój, w czasach, kiedy Francją rządzi koalicja: radykałowie-socjaliści-katolicy. Kompromitowani ludzie — dyrektor, generał atlantycki, szef policji, mer, ksiądz — są niemal zmitologizowani (zgodnie z regułami naiwnie uogólniającej wyobraźni ludowej), ale w którymś miejscu akcji każdy z nich tkwi konkretnie w rzeczywistości.

Niebezpieczeństwa pracy, brutalność stosunków z pracodawcami, nędza osiedli, zwięźle kreślone, wzruszające charaktery górników — wszystko to składa się na świat konkretny, tak bardzo namacalny, że niemal uciskający czytelnika. Zdarzenia — mimo nałożonych na nie funkcji metaforycznych — wzięte są z życia: jest strajk, jest katastrofa w kopalni. Główne odstępstwa od realizmu opisu podane są jako relacja relacji — nie chcą być niczym więcej niż na przykład wstawką humoru parodystycznego, posługującego się fantazją. (Historia dyrektora-chciwca, któremu wyrosły zęby w odbytnicy. Tak był chciwy!) Wyjątkiem od tej zasady jest poświadczona obecnością narratora scena krótkotrwałego zmartwychwstania w noc świętej Barbary górników, którzy zginęli w kopalni. Osobiście rozumiem tę wstrząsającą scenę jako zupełnie wierne przeniesienie legendy górniczej, która z tego „apelu zmarłych" czyni symbol oskarżenia.

Legendarny Zapata ma być bohaterem z krwi i kości, dlatego też jego historia znajduje fizyczny kres. W ostatnich rozdziałach książki opowiada się o towarzyszu umierającym na pylicę. Jego śmierć po uczcie wydanej dla przyjaciół za pieniądze zaoszczędzone w śmiertelnym trudzie („pijcie moją krew i moje płuca" — mówi do nich, a oni piją wtedy ze spokojem jak swoje) — jego śmierć zbiegiem okoliczności oddaje usługę w strategii toczącego się strajku. W zamieszaniu, które powstaje w czasie pogrzebu (zamieszaniu błogosławionym dla strajkujących — dezorganizującym policję) ciało zmarłego ginie bez śladu. Krótko zaś przedtem rozchodzi się niesprawdzona pogłoska, że zmarły to Zapata. Legenda o Zapacie żywym i obecnym znajduje dla siebie w ten sposób dalszy pokarm. Zapata uzyskuje niemal cechę nieśmiertelności: wielka metafora książki zmierza do konkluzji o zawsze czynnym duchu bojowości. Jeśliby komuś przeszkadzał ten element „zbawicielski" w książce Allemanna — pewne analogie z mitami religijnymi — przypomnę, że podobne pierwiastki zawierał (zbliżony zresztą w poetyce ogólnej) film Cud w Mediolanie (miał coś z tych cech bohater główny — Totó). Cała ta sprawa wyjaśni się, jeśli będziemy pamiętać o owym pryzmacie naiwnej wyobraźni.

W całej książce anonimem pozostaje partia komunistyczna, anonimem jest też organizacja związkowa, mimo że opisuje się komitety strajkowe. Przy tym nie ma wątpliwości co do charakteru siły organizującej walkę robotników. Siła ta manifestuje się gołąbkiem rysowanym na ścianie. Kompromitowani są natomiast nie tylko radykałowie, ale i socjaliści (pośrednio może nawet Jaurès — w każdym z miasteczek górniczych jedna nędzna ulica nosi jego imię i to niewątpliwie za sprawą administracji państwowej). Dlaczego autor utrzymał tę anonimowość? Może dlatego, że chciał aluzyjnością podbić czytelników niechętnych? Może chciał walkę komunizm-kapitalizm (to ostatnie słowo też nie pada w żadnej postaci) sprowadzić tym wyraźniej w głąb wyobraźni i serca, w dziedzinę odruchów i marzeń, które nie posługują się nazwami bądź co bądź uczonymi — abstrakcyjnymi? Może po prostu słowa na „izm" nie pasują do poetyki utworu — naiwnej, metaforycznej? Allemann tropi legendę, w czytelnym odsyłaczu umieszcza zaś siłę, która tę legendę zrodziła.

Tak czy owak dla czytelnika, który rozumie książkę, sprawa jest niewątpliwa: Zapata jest bohaterem rewolucyjnym, jego wyznawcy są uświadomioną częścią proletariatu, za nimi stoi partia.

W dobie naszych ostatnio toczonych dyskusji o bohaterze pozytywnym książka Allemanna uprzytamnia na żywym i przekonującym przykładzie pewne prawdy, które miałem już okazję brać ongiś w obronę.

Wszystkim, którzy chcieli widzieć współczesnego bohatera ludowego bez żadnej ludzkiej skazy i ułomności, jako człowieka idealnego, można odpowiedzieć powołując się na Wielkiego Zapatę, że bohater taki możliwy jest tylko w legendzie. Allemann stworzył dzieło wolne od sztuczności, przeciwnie — realistyczne i wzruszające, gdyż umiał odnaleźć wątki półpodaniowe, powstające w zetknięciu naiwnej jeszcze świadomości z wielką ideą społecznej wolności, podsycaną i ujętą w rygory działania przez partię. Ponad wiernymi opisami miejsc, ponad relacją zdarzeń owa legenda o bohaterze tworzy przejmujący i porywający obraz prawdziwych uczuć, wiary, obraz przeczutej przyszłości. Poetycki takt autora zaoszczędza nam fałszów dosłownej inkarnacji herosa. Cała nasza dwudziestowieczna wiedza o psychice ludzkiej i o mechanizmach społecznych nie jest niczym zaniepokojona. Tym mocniej natomiast wyziera spoza metafory jedyny spiżowy bohater, który ostaje się wobec analizy historycznej — natchniony słusznością masowy ruch społeczny, nosiciel wartości obiektywnych: wolności i braterstwa.

Marcin Czerwiński

K O R E S P O N D E N C J A

Do

Ob. Naczelnego Redaktora miesięcznika „Twórczość"

W nr 12-ym „Twórczości" z grudnia 1954 r. ob. Roman Zimand zamieścił przypisek do swego artykułu pt. „Brązoburca", w którym — powołując się na informacje otrzymane od ob. R. Kalety z wrocławskiej placówki IBL oraz od ob. Wilamowskiej — oświadcza, iż w zamku pod Leskiem znajdował się rękopis biskupa Krasickiego, zawierający „skandaliczną kronikę życia" X. B. W.

Będąc w możności sprawę tę wyświetlić, proszę uprzejmie o zamieszczenie mego

wyjaśnienia w „Twórczości" — tym bardziej iż „sensacyjna" treść przypisku ob. Zimanda jest nie źródłowa i nie odpowiada prawdzie, a informacje adiunkta Kalety polegały na nieporozumieniu.

W latach 1932/33 p. Wilamowska usiłowała wraz ze mną odcyfrować pamiętniki bratanka a zarazem imiennika X. B. W. — Ignacego Krasickiego — po którym pozostały liczne notatki i zapiski głównie z jego podróży po Europie.

Materiały te, stanowiące część archiwum leskiego, były zawsze dostępne dla tych wszystkich, którzy tymi sprawami się interesowali.

Dodać należy, iż archiwum leskie było fachowo skatalogowane, a obecnie w całości wraz z przedwojennym katalogiem znajduje się w Archiwum Państwowym w Krakowie, ul. Gertrudy 2. Łatwo więc sprawdzić, że tajemniczy manuskrypt X.B.W. nigdy nie istniał!

Ludwik Bernacki przy okazji zbierania materiałów do monografii biskupa Krasickiego przewertował całe archiwum leskie — i prócz wypożyczenia listów X.B.W. żadnych innych materiałów nie znalazł.

A teraz jak wygląda prawda dalszych sensacji ob. Zimanda:

Ob. Wilamowska, będąca w kontakcie z Boyem, pisała mu o naszych usiłowaniach odcyfrowania starych zapisków bratanka X.B.W.

Boy był tym zaciekawiony i wyraził zdanie, iż byłoby to niezmiernie interesujące, gdyby zapiski te można było odcyfrować, gdyż może znalazłoby się tam coś ciekawego z życia Biskupa — „quelque chronique scandaleuse" — jak to Boy określił!

Było to więc luźne przypuszczenie Boya, który poza tym nigdy nie zwracał się z propozycją przewertowania tych zapisków i nie wspominał w korespondencji z ob. Wilamowską o chęci poznania tych pamiętników!!

Na zakończenie muszę sprostować jeszcze jedną drobną nieścisłość ob. Zimanda: oto w omawianym przypisie cytuje on, iż w „Wiadomościach Literackich" Nr 42 z 1932 r. ukazał się artykuł Boya pt. „Plotki, archiwa i rewolucje" — napisany jakoby na skutek trudności czynionych świadomie przez ówczesnego właściciela Leska w otrzymaniu owego — jak wykazałem — nieistniejącego manuskryptu X.B.W.

Po sprawdzeniu stwierdzam, że w Nr 42 „Wiadomości Literackich" z 2.X.1932 r. jest artykuł Boya pt. „Gry słów", w którym Boy nie porusza sprawy odbierania zamków itp.

Proszę przyjąć wyrazy mego prawdziwego poważania.

Xawery Krasicki

KSIĄŻKI NADESŁANE

MARKSIZM-LENINIZM

Związek Walki Młodych. Materiały i dokumenty. „Iskry", Warszawa, 1954; str. 531, 1 nl.

LITERATURA PIĘKNA

Klasycy literatury polskiej

Krasicki Ignacy — Monachomachia czyli wojna mnichów. Opracował i wstępem poprzedził Tadeusz Mikulski. Ilustrował Antoni Uniechowski. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1954; str. 90, 2 nl.

— Myszeidos. Pieśni X. Opracował Mieczysław Klimowicz. Zakład im. Ossolińskich, Wrocław, 1954; str. 94, 2 nl.

Lelewel Joachim — Wybór pism politycznych. Wyboru dokonali i przypisami opatrzyli Wł. Bortnowski i J. Danielewicz. Okładkę, obwolutę i stronę tytułową projektował J. Jaworowski. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1954; str. XLVIII, 2 nl., 318.

Niedźwiecki Zygmunt — Proszę o głos. Wybór nowel. Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1954; str. 362, 2 nl.

Proza polska wczesnego Renesansu. 1510—1550. Opracował Julian Krzyżanowski. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1954; str. 553, 3 nl.

Żeromski Stefan — Przedwiośnie. Ilustrował Krzysztof Henisz. „Czytelnik", Warszawa, 1954; str. 357, 3 nl.

Klasycy literatury obcej

Byron — Wiersze i poematy. (Z pism Byrona). Wybór, wstęp i przypisy Juliusza Żuławskiego. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1954; str. 555, 1 nl., 1 knl (portret).

Conan Doyle A. — Pies Baskerville'ów. Przekład anonimowy przejrzała i uzupełniła Eleonora Romanowicz. Okładkę projektował Jerzy Kruszewski. „Iskry", Warszawa, 1954; str. 204, 4 nl.

Fielding Henryk — Przygody Józefa Andrewsa. Tłumaczyła z angielskiego Maria Korniłowicz. Wiersze tłumaczył i posłowiem opatrzył Włodzimierz Lewik. 8 rysunków Williama Hogartha. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1954; str. 466, 2 nl, 1 knl (portret).

Tołstoj Lew — Śmierć Iwana Ilicza i inne opowiadania. Przełożyli: Jadwiga Dmochowska, Kazimierz Truchanowski, Czesław Jastrzębiec-Kozłowski i Jarosław Iwaszkiewicz. Okładkę projektował Czesław Bieniek. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1954; str. 218, 2 nl.

Almanachy, antologie

„...każdej chwili wybierać muszę" (almanach poetycki). Okładkę i przerywniki projektowała Wanda Glińska. „Pax", Warszawa, 1954; str. 446, 2 nl.

Warszawa naszej młodości. Opracował Adam Meuersberger. Obwoluta, karta tytułowa, zdobniki i opracowanie graficzne Marka Rudnickiego. „Iskry", Warszawa, 1954; str. 276, 4 nl.

Warszawa wieku Oświecenia. Wybór i opracowanie Jana Kotta i Stanisława Lorentza. Okładkę projektował Zbigniew Gronowski. Obwoluta Ignacego Witza. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1954; str. 370, 6 nl.

Poezja i dramat

Aragon Louis — Wiersze. Przedmowę napisał Zbigniew Bieńkowski. Okładkę projektował Jan Młodożeniec. „Czytelnik", Warszawa, 1954; str. 107, 5 nl.

Brandstaetter Roman — Marchołt. Komedia sowizdrzalska. W ośmiu sprawach. Rysunki Andrzeja Stopki. Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1954; str. 111, 3 nl.

Iłłakowiczówna Kazimiera — Poezje. 1940 — 1954. Okładkę projektował Tadeusz Niemirski. „Pax", Warszawa, 1954; str. 195, 1 nl, 1 knl (portret).

Pasternak Leon — Płynie Oka. Widowisko w trzech aktach, ośmiu odsłonach z intermediami. Ministerstwo Obrony Narodowej, Warszawa, 1954; str. 134.

Szelburg-Zarembina Ewa — Przedziwna historia Don Kichota z Manczy i jego autora. Ilustrował i okładkę projektował Jerzy Skarżyński. „Iskry", Warszawa, 1954; str. 65, 3 nl.

Proza

Biliński Wacław — Opowiadania. Ministerstwo Obrony Narodowej, Warszawa, 1954; str. 97, 3 nl.

Gałuszka Jerzy — Trudne lata. Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1954; str. 154, 2 nl.

Gołba Kazimierz — Obrazki śląskie. „Pax", Warszawa, 1954; str. 182, 2 nl.

Hen Józef — W dziwnym mieście. Powieść. „Czytelnik", Warszawa, 1954; str. 379, 1 nl.

Kogut Bogusław — Zawieja. „Czytelnik", Warszawa, 1954; str. 463, 1 nl.

Skierski Zenon — Jemioła dojrzewa. „Pax", Warszawa, 1954; str. 322, 2 nl.

SPIS TREŚCI

str.

Mieczysław Jastrun: Krajobraz z lat dziecinnych; Woźnica; Wieczór w ogrodzie; Spokój; Sen; Człowiek; Przyjaciele; Pod wieczór; Pieśń zimowa . . . 3

Paweł Hertz: Pieśni jesienne i zimowe 8

Jarosław Iwaszkiewicz: Dziewczyna i gołębie 12

Stanisław Czernik: Dwie ręce; Macierzyństwo 53

Arnold Słucki: Powrót; Ballada o Icku Mangerze; W Karkonoszach; Most . . 56

Jan Sztaudynger: Puch ostu 58

Anna Kowalska: Fragmenty dziennika 59

Julian Przyboś: Dawny widok; Odjechałem; Złoty obłok; W górach; Nad Aarą pod Bernem; Sen i przebudzenie 75

Artur Sandauer: Esteta czy scyta albo robotnik wyobraźni 78

Jerzy Wyszomirski: Dwie wielkie podróże Czechowa 92

Roman Karst: Casus Hemingway 98

Zbigniew Bieńkowski: Mandaryni 106

Seweryn Pollak: Uwagi o poezji rosyjskiej w Polsce. Od romantyków do „Skamandra" 115

ARCHIWUM: Dwa nieznane listy Lenartowicza — podał do druku i opracował Juliusz W. Gomulicki 128

WŚRÓD KSIĄŻEK: J. W. Gomulicki — Przypomniany romantyk; Wojciech Natanson — Miniatury Szaniawskiego; Jan Błoński — Podróż w nieznane; Lesław Bartelski — Z pamiętników; Andrzej Biernacki — Powieść, nowela, reportaż 136

TEATR: Juliusz Żuławski — Plany repertuarowe i plany wydawnicze . . . 164

NA WIDNOKRĘGU: Józef Spinc — Na warsztatach pisarzy radzieckich; Marceli Ranicki — O prozie Bernarda Kellermanna; a b — Metamorfoza Russela; Marcin Czerwiński — O ludowym bohaterze bez skazy 166

Korespondencja 181

KSIĄŻKI NADESŁANE 183

Wydaje Instytut Prasy „Czytelnik"

Redaktor Naczelny: Jarosław Iwaszkiewicz

Adres redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 8-95-07, centr. 8-24-11, wewnętrzny 54

Administracja: Wiejska 12, tel. 8-24-11

Informacji w sprawie prenumeraty opłacanej w kraju za zleceniem wysyłki za granicę udziela oraz zamówienia przyjmuje Oddział Wydawnictw Zagranicznych P.P.K. „Ruch", Sekcja Eksportu — Warszawa, Aleje Jerozolimskie 119, tel. 805-05.

Cena zeszytu zł 7.—. Prenumerata kwartalna zł 21.—, półroczna zł 42.—

Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca

47

Cena zł 7.–

W najbliższych numerach:

Jan Brzechwa

O POEZJI DLA DZIECI

Mieczysław Jastrun

DZIENNIKI I WSPOMNIENIA

Georg Lukacs

O SZOŁOCHOWIE

Jan Parandowski

O ARYSTOFANESIE

L. Podhorski-Okołów

O MICKIEWICZU

Aleksander Rymkiewicz

NOWE WIERSZE

Adolf Sowiński

FRYDERYK SCHILLER

Julian Stryjkowski

GŁOSY W CIEMNOŚCI